



AGNIESZKA

OLEJNIK

WSZYSTKIE SMAKI ŻYCIA

Apetyt
na więcej



AGNIESZKA

OLEJNIK

WSZYSTKIE SMAKI ŻYCIA

Apetyt
na więcej



Styczeń

Klaudia z niedowierzaniem przerzucała kolejne strony książki, którą dostała na gwiazdkę od Tatiany. *Dieta bez pszenicy* w pewnym sensie stanowiła potwierdzenie tego, co dziewczyna wyczytała w internecie kilka tygodni wcześniej, przygotowując jadłospisy dla Tani. Chociaż właściwie „potwierdzenie” nie było tu odpowiednim słowem – tamte informacje stanowiły zaledwie preludium do rewelacji, których Klaudia dowiadywała się w tej chwili.

Pszenica miałyby przyczyniać się do tak wielu chorób? Artretyzmu, cukrzycy, problemów skórnych, stanów depresyjnych? Nasila objawy schizofrenii, ma jakiś związek z autyzmem? Brzmiało niewiarygodnie, ale okazało się nieźle udokumentowane.

Kiedy dwa lata temu Klaudia zaczęła się odchudzać, zbawieniem okazała się dla niej dieta dobrych kalorii. Dzięki wegańskim jadłospisom, a potem stopniowemu wprowadzeniu produktów zwierzęcych – ale głównie tych o niskim indeksie glikemicznym – dziewczyna schudła ponad czterdzieści kilogramów, a jej mama około dziesięciu. Obie czuły się znakomicie i bez trudu utrzymywały wagę już od dwóch lat. Owszem, miewały czasem lekkie dolegliwości trawienne (według Klaudii wiązało się to ze spożyciem sporych ilości roślin strączkowych), ale to nie było nic naprawdę kłopotliwego.

Czy to możliwe, że wyrządzały swojemu organizmowi więcej szkody niż pożytku? Jeżeli wierzyć Daviesowi, autorowi publikacji, tak właśnie było. Jak by nie patrzeć, obie jadły bardzo dużo makaronu i chleba, dodawały mąkę do wielu różnych potraw, nie stroniły od wypieków.

– Człowiek musiałby chyba nic nie jeść, żeby być zdrowy – westchnęła Klaudia, odkładając książkę na nocną szafkę.

– Mówiłaś coś do mnie? – Matka, która właśnie wychodziła z łazienki, zajrzała do niej.

– Nic, mam. Tak sobie mruczę pod nosem.

– Jakieś problemy?

Mama weszła do pokoju i usiadła na łóżku Klaudii. Jest okropnie przewrażliwiona, pomyślała córka z czułością. Wszyst-ko przez te nasze świąteczne rozmowy i zwierzenia.

Boże Narodzenie spędziły we trzy, bo do Ewy i Klaudii przyjechała babcia Basia z Krakowa. Trzy pokolenia, trzy różne garnitury doświadczeń i poglądów, jak to skwitowała Ewa, kiedy w drugi dzień świąt zaczęły się kłócić. Babcia uważała, że Klaudia powinna bez skrupułów zerwać z Arkiem, chłopakiem, którego nie zdołała pokochać, a z którym spotykała się nadal – chyba dlatego, że

nie umiała albo raczej nie chciała go skrzywdzić. Ewa miała inne zdanie: pozwól się temu wypalić, argumentowała, niech to się skończy bezboleśnie.

– Wszystko w porządku – odpowiedziała teraz Klaudia, bo zorientowała się, że mama wciąż patrzy na nią wyczekująco. – Zaplątałam się w tych dietach. Już sama nie wiem, w co wierzyć. Tu mówią, żeby nie jeść pszenicy, tam, że mięso to samo zło, a jeszcze inni namawiają do odstawienia nabiału. Można zwariować.

Mama odetchnęła – chyba z ulgą. Podniosła się i poprawiła spódnice na biodrach.

– Jak uważasz? – zapytała. – Może być?

– Randka?

– Powiedzmy. Kino, a potem kawiarnia.

– Z kim?

Mama się zachnęła. Klaudia dobrze wiedziała, że chodzi o Jima – rudowłosego Walijczyka, z którym matka widywała się od jakiegoś czasu. Rzecz w tym, że po świętach, kiedy Jim pojechał ze swoją siostrą Lucy w góry, mama zgodziła się na spotkanie z Andrzejem. A potem przez trzy dni beczała i prawie nie wychodziła z pokoju. Babcia powiedziała wtedy, że trzeba ją zostawić w spokoju, bo Ewa i tak nigdy nie chciała słuchać rad.

– Może być czy nie może? – Mama wróciła do tematu ciuchów.

– Może, chociaż lepsza byłaby ta czarna bluzka z białym pasem u dołu.

– Mam być taka oficjalna? Czerń i biel?

– Jak chcesz. – Klaudia wzruszyła ramionami. – Ja ci tylko mówię, w czym dobrze wyglądasz. Ale w sumie to nie ma znaczenia, skoro Jim nie może już bardziej zgłupieć na twoim punkcie.

– Przestań.

– Nie przestanę. Wiemy o tym obie. On cię kocha, ty jego nie kochasz, ale nie umiesz mu tego powiedzieć, bo po pierwsze, jest słodki, a po drugie, wydaje ci się, że coś mu zawdzięczasz.

– Przyganiał kocioł garnkowi – prychnęła matka i wyszła z pokoju.

– Ano, fakt. Przyganiał – westchnęła Klaudia.

Chyba po raz setny tego dnia zerknęła na telefon leżący na biurku. Powinna zadzwonić do Arka, umówić się z nim na spotkanie i poważnie porozmawiać. Wyjaśnić, że bardzo go lubi, ale... No właśnie, ale co? Ale nie może znieść jego dotyku i pocałunków, ponieważ jest lesbijką. I nie udał jej się eksperyment pod tytułem „Leczenie homoseksualizmu w ramionach przystojnego chłopaka”.

Czy może powinna skłamać – że jest ktoś inny? Albo jeszcze inaczej: to był słomiany zapał, krótkotrwała miłośćka, -zauroczenie, które rozwiało się po kilku tygodniach. Co zaboli najmniej?

Jedno było pewne – trzeba załatwić to w taki sposób, żeby nie stracić przyjaźni siostry Arka. Klaudia nie tylko chciała, ale wręcz musiała nadal bywać u

nich w domu, widywać się z Anką, dzwonić do niej i nawet klócić się, żywiołowo dyskutować o wegetarianizmie i rodzajach energii. Anka była szalona, nawiedzona, zwariowana i uparta jak osioł, lecz Klaudia zwyczajnie nie mogła bez niej żyć. Dopiero teraz wiedziała, co to jest miłość. Wsłuchiwała się w teksty piosenek i znajdowała w nich nowe, dotąd nierozumiane treści. Jej hymnem stało się *Do Ani* zespołu Kult.

*Ja czekam cały dzień, patrzę na drzwi,
czy przyjdzie ktoś od ciebie, czy przyjdiesz ty.
Czy wiesz, że Twoje oczy spalają mnie jak ogień?
Gdy patrzę w Twoje oczy, zaczyna się dzień.
Tak bardzo, bardzo kocham cię,
tak bardzo potrzebuję cię...*

Każde słowo trafiało w sedno, Klaudia żadnego by nie zmieniła. I jeszcze następna zwrotka: *Czy wiesz, że gdy odjeżdżasz, umieram dziewięć razy...* Właśnie to czuła, rozstając się z Szajbą – jakby umierała raz po raz, jak gdyby gasły wszystkie światła, a życie się kończyło i nigdy nie miało zacząć się na nowo.

Dziewczyna wstała i przebrała się w strój do ćwiczeń. Jak zwykle, kiedy zaczynała się denerwować, potrzebowała odrobiny bólu, żeby rozładować napięcie. Przrzekła matce i babci – na wszystkie świętości – że nigdy więcej nie użyje do tego celu żyletki.

– Pomyśl o czymś, co jest dla ciebie naprawdę ważne – poprosiła wtedy babcia. – A potem przysięgnij.

Oczywiście Klaudia natychmiast przywołała w wyobraźni obraz Anki, jej niebieskich oczu i grubych, związanych barwnymi sznurkami dredów. Przysięgam na miłość do ciebie, pomyślała, głośno wymawiając tylko pierwsze słowo.

Ćwiczenia nadawały się do rozładowania stresu niemal tak samo dobrze, jak zadawanie sobie bólu ostrzem, a przy tym modelowały sylwetkę. Może to i lepiej, powiedziała sobie w duchu Klaudia, że babcia mnie wtedy nakryła. Na swój sposób chyba chciałam zostać przyłapana; pragnęłam, żeby ktoś mną potrząsnął i znowu powiedział mi, co mam zrobić. Tylko co z tego, skoro teraz nie umiem tych wszystkich rad wprowadzić w życie.

Teoretycznie to wydaje się bardzo proste: dzwonię do Arka i mówię mu prawdę, pół-prawdę albo jakieś śliczne kłamstewko, które łagodzi ból. Teoretycznie. Ale w praktyce... To pierwszy chłopak, który okazał mi prawdziwe zainteresowanie. Zresztą zostawmy w spokoju pleć – to pierwsza osoba, dla której stałam się kimś ważnym. Jak mogłabym go teraz skrzywdzić?

Klaudia przerwała rytmiczne przysiady i podeszła do okna. Odsunęła zasłonę i zerknęła na trzy słoiki z ugotowanym ryżem zalany wodą, które umieściła tam podczas świąt. Na jednym z nich nakleiła napis: „Kocham cię”, na drugim: „Spadaj”, zaś trzeci zostawiła bez etykiety.

Widziała ten eksperyment w ubiegłym miesiącu u Anki. Miał stanowić dowód na to, że ryż, do którego Szajba codziennie szeptała słowa miłości, psuje się dużo wolniej niż ten, któremu mówiła, że go nienawidzi. Klaudia długo myślała o tym, co zobaczyła tamtego dnia: w słoiku obdarzanym codzienną porcją dobrych słów naprawdę znajdowały się białe ziarenka, podczas gdy w tym, który „wysłuchiwał” obelg – ryż zbrązowieł i pokryła go pleśń.

Dla Klaudii to było coś tak niewiarygodnego, a zarazem przerażającego, że dziewczyna postanowiła powtórzyć całą rzecz u siebie, tyle że dodała trzecią porcję ryżu – nazwała ją „próbką kontrolną”. Nie patrzyła na nią, nie mówiła do niej i nie wysyłała jej żadnych myśli. Chciała po prostu zobaczyć, jak psuje się ryż zostawiony samemu sobie.

Mówiąc szczerze, miała wielką nadzieję, że eksperyment się nie uda: że wszystkie trzy porcje ziarenek spleśnieją i cała sprawa okaże się wyglupem Szajby. Albo przynajmniej: że ryż „kochany” zepsuje się wprawdzie nieco mniej, dłużej zachowa biały kolor, natomiast między tym nienawidzonym a ignorowanym nie będzie żadnej różnicy. Liczyła na to z całego serca, ponieważ przerażała ją myśl, że złymi słowami i myślami można wyrządzać krzywdę. Chciała się przekonać, że to bzdura – okej, dobra energia istnieje, w naszych myślach i słowach zawiera się coś, czego nie potrafimy zmierzyć, czego nie widać gołym okiem, ale co przynosi wymierne skutki. Klaudia pragnęła jednak wierzyć, że ludzie nie dysponują złą energią, bo to by znaczyło, że wszyscy ci, którzy myśleli o niej jako o „zboczonej lesbie”, którzy patrzyli na nią z pogardą albo życzyli jej źle – mieli realną moc i naprawdę ją krzywdzili.

Niestety, z dnia na dzień ryż we wszystkich trzech słoikach różnił się coraz bardziej. W tym, do którego Klaudia szeptała, że go kocha i lubi, zachowywał białą barwę. W ignorowanym wprawdzie także był biały, ale na powierzchni wody zbierała się już nieapetyczna pianka, a pośrodku niej widniało wyraźne kółeczko pleśni. Ziarenka w słoiku „nienawidzonym” stawały się coraz bardziej obrzydliwe. Brązowieły, pokrywały się jakimś żółtym śluzem, zupełnie jakby ktoś po kryjomu dolewał tam oleju, no i miały już trzy plamy ciemnoszarej pleśni.

– To ja wychodzę. – Rozległ się głos mamy.

Klaudia obejrzała się i obrzuciła maminią sylwetkę uważnym spojrzeniem.

– Pasuje ci do tego ta bransoletka, wiesz, na przemian czarne i białe kamienie.

– Na co tam patrzyłaś?

– Na ryż.

– I jak? – Mama podeszła bliżej i pochyliła się nad parapetem. – Ale fajnie, naprawdę widać różnicę.

– Mówisz o tym tak spokojnie?

– A jak mam mówić? To fantastyczny eksperyment.

– Mamo, nie rozumiesz?! – zawołała rozzalona dziewczyna. – Przecież to oznacza, że ludzie... Że naprawdę możemy się nawzajem krzywdzić słowami i myślami! Jeśli moje głupie, nic nieznaczące słowa „spadaj, wstrętny ryżu” sprawiają, że te ziarenka gniją albo raczej że woda zawarta w nich się psuje, zmienia swoją strukturę...

– Klaudia, posłuchaj...

– ...to mogę też zepsuć coś w ludziach, właśnie przez złe słowa i myśli. W naszych ciałach jest woda, a woda reaguje na tę energię, czymkolwiek ona jest! Mamo!

– Dla mnie to jest przede wszystkim piękne – powiedziała mama powoli. – Ja patrzę na ten biały ryż i myślę, że mogę chronić ludzi, których kocham, że mogę im darować tę dobrą energię.

– Jasne. A ten brunatny osad ignorujesz, bo tak jest bardziej optymistycznie – odparła ponuro Klaudia. – Zresztą może to jest jakiś sposób. Udawajmy, że tego nie ma.

– Ale masz paskudny nastrój. Chcesz, żebym z tobą została? Obejrzymy jakąś komedię, poprzymierzamy ciuchy albo coś upichcimy...

– Nie, mamo, idź już do tego swojego Walińczyka. Ja poćwiczę, endorfiny zrobią mi porządek w garze.

– Gdzie? – Ewa nie zrozumiała.

– We łbie. W głowie. No, idź, bo wystygnę, a byłam już rozgrzana.

Mama cmoknęła ją w czoło i wyszła, a Klaudia wróciła do przysiadów. Potem zabrała się za brzuszki i deskę. Ale ani na chwilę nie przestała myśleć o tym, co się właściwie dzieje w słoikach z ryżem i czego to dowodzi. Po ćwiczeniach sfotografowała ze wszystkich stron wyniki eksperymentu i zamieściła zdjęcia na blogu z obszernym opisem. Sama przed sobą nie chciała przyznać, że zrobiła to z nadzieją, że jakimś cudem na ten wpis natknie się Anka i taką okrężną drogą dowie się tego, co Klaudia od dawna chciała jej wyznać: że jest lesbijką.

Ewa znalazła wreszcie wolne miejsce parkingowe. Westchnęła, rzuciła okiem na lusterko i poprawiła włosy. Przeszło jej przez myśl, że mogłaby zmienić fryzurę. Miała ochotę na zmiany, nie tylko w wyglądzie, ale szerzej – na jakieś ponowne przemeblowanie w życiu.

Jeszcze dwa lata wcześniej, kiedy odkryła romans męża z Rosjanką Tatianą, Ewa postrzegала zmiany jako zakłócenie porządku świata. Wydawały się jej zagrożeniem, zaburzały poczucie bezpieczeństwa. Teraz, tkwiąc w dziwnej relacji, zawieszona między gorzką, niechcianą miłością do Andrzeja a szczerym pragnieniem pokochania Jima, marzyła o tym, żeby zdarzyło się coś, co zachwieje całym tym układem, zburzy go i zwróci jej wolność.

W grudniu był taki moment, kiedy miała niemal całkowitą pewność, że

zakochuje się w Walińczyku. Widywali się od października, najpierw tylko na lekcjach polskiego i angielskiego, potem także towarzysko. Stopniowo ich spotkania przybierały charakter randek, z początku bardzo ostrożnych, niemal koleżeńskich, potem – czułych i romantycznych, a wreszcie... erotycznych. Jim był spragniony seksu, Ewa także nie narzekała na libido; wydawało się, że powinni zaspokoić wszystkie swoje potrzeby. Tak się jednak nie stało.

Przede wszystkim Ewa nie umiała się pozbyć wyrzutów sumienia. Choć Jim zawsze budził jej sympatię, to przecież nie mogła udawać sama przed sobą. Prawda wyglądała następująco: zainteresowała się nim wyłącznie dlatego, że Andrzej tak strasznie ją zawiódł. Gdyby nie to – gdyby Żaneta Wójcik nie wróciła skruszona na łono rodziny i gdyby Andrzej się z nią nie przespał – Ewie do głowy by nie przyszło, żeby umówić się z Walińczykiem (ani z kimkolwiek innym). Zawsze była bardzo stała w uczuciach, Andrzeja kochała spokojną, dojrzałą miłością i nie szukała już nowych wrażeń.

Mimo to, gdy rozpacz wywołana zdradą ukochanego zaczęła powoli zamieniać się w cichą rezygnację, Jimowi udało się wywołać w sercu Ewy żywsze drgnienie. Walińczyk był tak czuły, taki troskliwy, męski, a przy tym chłopięcy – choć cechy te były całkowicie sprzeczne, on jakoś potrafił je połączyć... Ewa poczuła, że może pokochać zabawnego rudzielca, a przede wszystkim – że bardzo chce dać mu odrobinę czułości i odwdziaczyć się za dobro, jakiego od niego zaznała.

Tęskniła za Andrzejem; ani na chwilę nie przestała. Ale ta tęsknota z czasem stała się podobna do smutku po czymś wyjeździe, takim bez szansy na powrót. Ból nie był gwałtowny, lecz tępy, ćmiący, łatwiejszy do zniesienia, aż pewnego dnia Ewie wydało się, że znikł zupełnie. W jego miejscu pozostało coś w rodzaju troski o Andrzeja: jak sobie radzi, czy nie zaczął znowu pić, czy w całym tym małżeńskim zamieszaniu nie straci bliskości z synem, którą odbudował z takim trudem...

I właśnie wtedy – w wigilijny wieczór – Andrzej pojawił się w życiu Ewy na nowo. Przyszedł ze swoją bolesną opowieścią, bezradny i skrzywdzony – dziecko nie jest jego, Żaneta go oszukała, celowo upiła go, niepijącego od kilku lat alkoholika, zaciągnęła do łóżka, bo potrzebowała ojca dla dziecka, które już nosiła w łonie. Podstęp stary jak świat, teoretycznie w dobie badań genetycznych bez szans na powodzenie, a przecież wciąż w użyciu, myślała potem Ewa.

Andrzej był za miękki, dobry, zbyt przyzwoity, żeby cokolwiek podejrzewać. Wbrew sobie zaczął nawet cieszyć się, że po raz kolejny zostanie ojcem, bo skoro już tkwił w małżeństwie pozbawionym miłości, to przecież mógł przynajmniej czerpać radość z rodzicielstwa. Ewa doskonale to знаła – czyż jej związek z Mirkiem nie był zbudowany na tym samym; czy nie identycznie było z jej rodzicami?

Kiedy prawda wyszła na jaw i Andrzej zaczął znowu myśleć o rozwodzie – nagle okazało się, że między nim a Ewą nie ma już tej bliskości, tego zaufania, które łączyły ich tak niedawno. Może to dlatego, myślała Ewa, że jednak mnie zdradził, nawet jeśli po alkoholu i nie całkiem świadomie. Może dlatego, że ja weszłam w nowy związek – wprowadzie byle jak, powierzchownie, ale przecież spotykam się z Jimem, spałam z nim, spędził ze mną Wigilię, a Andrzej o tym wie. Czy cokolwiek między nami da się jeszcze uratować? I czy na pewno oboje tego chcemy? Czy nie jest tak, że teraz Andrzej, rozwodząc się z Żanetą, analizuje listę strat, a ja nieświadomie kalkuluję, którego z nich wolę – bo przecież Jim wciąż ma jakiś urok nowości, a Andrzej zawiódł mnie tak boleśnie...

Pukanie w szybę przerwało Ewie te niewesołe rozmyślenia. Kobieta przez chwilę rozglądała się, zdezorientowana, aż wreszcie zrozumiała, że od jakiegoś czasu siedzi w samochodzie. Jim stał na chodniku i przyglądał się jej z troską. On coś czuje, pomyślała Ewa, przecież nie jest głupi. Widzi, że od dwóch tygodni zamyślam się albo ni z tego, ni z owego sprawdzam wyświetlacz telefonu. No i unikam zbliżeń.

Zaczerpnęła powietrza jak przed skokiem do wody, po czym otworzyła drzwi i wysiadła. Jim natychmiast zamknął ją w ramionach.

– Ja nie wiem, co ty myślałaś – powiedział, całując ją we włosy. – Ale to nie było wesoło.

– Planowałam sprawdziany z gramatyki na najbliższy tydzień – skłamała gładko Ewa. – I masz rację, że to niewesoły temat. Dla szóstoklasistów nawet tragiczny. To będzie prawdziwa rzeź.

Jim się roześmiał, ale jakoś sztucznie. Najwyraźniej nie dał się oszukać. Wziął ją za rękę i pociągnął za sobą.

– Zaczekaj – powiedziała Ewa. – Jakoś nie mam ochoty na kino. Przepraszam. Może po prostu powłóczmy się po mieście.

– Zimno – zaprotestował. – Ja nie jestem zimowy człowiek. Ale my możemy zjeść coś dobre w restauracji albo iść do mnie. Ja ci zrobię walijski przysmak.

– Nie, Jamesie Clarke. – Ewa przytuliła się do niego. – Pójdziemy do jakiejś cichej knajpki, zjemy coś, a potem wracam do moich szkolnych spraw. Dobrze wiem, czym to się skończy, jeśli wybierzemy się do ciebie.

– Czym? – Jim udał, że nie rozumie. – Czym się skończy? Ja nie rozumiem, co masz w myśli.

– Na myśli. – Ewa poprawiła go odruchowo. – Mam na myśli twoje szerokie łóżko.

– A co jest złe z moim łóżkiem? To jest dobre łóżko. – Przekomarzał się jeszcze. – Ty nie lubisz, że szerokie?

– Nie udawaj, że nie rozumiesz. Nie mogę dzisiaj zostać. A jak już wylądowalibyśmy w pościeli, to nie byłoby łatwo się wygrzebać.

– Ty nigdy nie możesz zostać – mruknął jeszcze Jim, choć już złożył broń. – Zawsze tylko szkoła, sprawdziani, uczniu, nie mam czasu, nie mogę zostać...

– Już lepiej nic nie mów, bo walisz błąd za błędem. Nie mogę dyskutować o łóżku z kimś, kto mówi „uczeniu”.

– *If I had a better teacher...* – Jim zaczął, ale urwał, ponieważ dostał kuksańca.

– Po prostu chodźmy zjeść jakąś naprawdę dobrą kolację – powiedziała Ewa, tym samym kończąc utarczki słowne. Zwykle sprowadzały się do jednego: że ona zaczyna się powoli wycofywać z tego związku, a on doskonale o tym wie.

Po kolacji poszli się przespacerować po Rynku. Ewa pozwoliła Jimowi na kilka namiętnych całusów, ale na tym się skończyło.

– Ja nie rozumiem – powiedział Walińczyk, kiedy się żegnali. – Ty masz samotny wieczór i ja mam samotny wieczór. Przecież ja nie proponuję ślub.

– Obiecałeś, że nie będziesz mnie popędział, Jimmy. Nie naciskaj, proszę.

Jim spłoszył się.

– Ty nie myśl, że ja chcę seks. – Pospieszył z wyjaśnieniem. – Ja potrzebuję twoje towarzystwo. Razem oglądanie telewizji, razem czytanie, Ewa.

– Przecież wiem. Ale naprawdę... Nie zawsze mam na to czas, zrozum.

Pocałowała go i wsiadła do samochodu. Kiedy odjeżdżała, on wciąż stał na chodniku i patrzył za nią smutno.

Już kiedyś tak było, przypomniała sobie Ewa. Wracalam wtedy z jego urodzin w Republice Róż. Odprowadził mnie do taksówki, a kiedy odjeżdżałam, spoglądał za mną tak samo tęsknym wzrokiem. Nic nas wtedy nie łączyło, ale on miał w oczach tyle samo żalu i samotności.

Uzmysłowiła sobie, że liczyła wtedy na wspólną noc z Andrzejem. Na co liczy teraz? Czy historia się powtórzy? Ewa zbuduje sobie śliczny pałac ze złudzeń, ale budowla znowu runie z powodu czyjejś niewierności, nieszczerości albo jakiegoś niedomówienia?

Klaudia już leżała w łóżku, czytała swoją *Dietę bez pszenicy*. Ewa zapragnęła z nią porozmawiać, zwierzyć się jak kobieta kobiecie, może nawet opowiedzieć o tamtej rozmowie z Andrzejem, kiedy padło między nimi wiele gorzkich słów – lecz zanim wzięła prysznic i przygotowała sobie ubranie na następny dzień, dziewczyna już zasnęła, z łokciem pod głową i książką na nocnej szafce. Ewa po cichu weszła do jej pokoju i zgasła lampkę.

Mogłaby zadzwonić do mamy, ale było już późno, a Barbara ostatnio kładła się dość wcześnie. Nie było sensu wybijać jej ze snu tylko dlatego, że dorosła córka nie radzi sobie z uczuciami.

– Dlaczego właściwie nie mam przyjaciółki? – szepnęła Ewa do Cohena

umoszczonego na legowisku w zabawnej pozie, z wywalonym do góry brzuchem. – Tak dobrze byłoby teraz wyzalić się komuś zaufanemu, powywlekać na światło dzienne wszystkie wątpliwości i obawy. Na przykład to, czy związek z Andrzejem ma przyszłość. Kocham go, owszem, ale przecież uczucie to nie wszystko. Jak by na to nie patrzeć, on zawiódł, a skoro taka sytuacja zdarzyła się raz, to może się powtórzyć. I właściwie skąd ta pewność, że mówi prawdę? Może wcale nie było tak, że żona go upiła; może upili się razem, może nawet to on nalewał i zachęcał. Czy można ufać alkoholikowi? Czy powinnam wierzyć w to, że on kiedykolwiek wyjdzie z nałogu? Czy przyjdzie taki dzień, że będę pewna, absolutnie pewna, że znów nie pójdzie w cug?

Zupełnie jakby Andrzej usłyszał jej słowa szeptane do psiego ucha; na komodzie w holu rozdzwoniła się komórka, a na wyświetlaczu pojawiło się jego imię. Ewa nie odebrała. Jeszcze nie uporowała się z własnymi uczuciami po ich ostatniej rozmowie – tej, po której w jej duszy został jakiś gorzki osad.

Zaczęło się od tego, że Andrzej odwiedził ją w wieczór wigilijny i powiedział, że to nie on jest ojcem dziecka swojej żony. To wprowadzie nie zmieniało faktu, że nie dochował Ewie wierności, ale dawało im obojgu jakieś szanse, by mogli ponownie pomyśleć o wspólnej przyszłości. Dlatego zgodziła się, gdy kilka dni później zadzwonił i poprosił o spotkanie. Jim akurat wyjechał z siostrą do Zakopanego. Ewa pomyślała, że będzie czuła się swobodniej, wiedząc, że Walijczyk nie może w każdej chwili wpaść z wizytą. Babcia z Klaudią wybierały się na wielkie zakupy, ponieważ w większości sklepów trwały szalone wyprzedaże – Ewa zaprosiła więc Andrzeja do siebie.

Sama nie wiedziała, na co liczy – może na spokojną rozmowę, czułe wyznania, może kilka buziaków na przeprosiny. Tymczasem to, co otrzymała, było niczym sesja u psychoterapeuty, połączona z atakami zazdrosnego, oszalałego z rozpaczy człowieka.

Andrzej był w kompletnej rozsypce. Najpierw użalał się nad sobą, potem krzyczał. Że jest do niczego, wszystkich rozczarowuje, zawodzi, nie spełnia pokładanych w nim nadziei. Że zdradzali go wszyscy: najpierw ojciec, potem żona, a teraz ona, Ewa, na którą liczył, której ufał, która była dla niego niemal święta.

– Nigdy nie udawałam świętej – odpowiedziała wtedy Ewa, na pozór spokojnie, choć w gruncie rzeczy aż się trzęsła ze zdenerwowania. – Nie jestem ani lepsza, ani gorsza od innych znanych ci kobiet.

– Przed tobą tak naprawdę znałem tylko dwie kobiety – wycedził Andrzej. – Jedna z nich to moja żona i naprawdę wierzyłem, chcę wierzyć nadal, że jesteś od niej lepsza.

Ewa z trudem powstrzymywała łzy.

– Drugą z tych kobiet była moja matka – ciągnął Andrzej, który też cały drżał z nerwów. – Mimo że ojciec ją zdradzał, ona czekała na niego w domu i

zawsze przyjmowała go z powrotem, kiedy wracał skruszony.

– Więc tego ode mnie oczekujesz?! – zawołała Ewa, w której aż się zagotowało. – Miałabym czekać, aż wiarołomny ukochany znudzi się nową zabawką?

– Ale o czym my mówimy?! Nie miałem żadnej nowej zabawki! Popełniłem błąd, rozumiesz?

– Jeśli porównujesz mnie do swojej matki, to bądź też świadom, co z tego porównania wynika! Gdybym była taka jak ona, to wcale by cię nie było w moim życiu! Czekałabym teraz na Mirka, aż wróci do mnie wprost z objęć swojej Tatiany! Więc zastanów się, może to jednak dobrze, że nie przypominam twojej mamy, Andrzej.

Nie odpowiedział wtedy, zamilkł na długo, a ponieważ Ewa także nie miała już nic do powiedzenia, siedzieli w ciężkiej, nieprzyjemnej ciszy, która oddalała ich od siebie równie skutecznie jak najgorsze obelgi. Wreszcie Ewa zdecydowała się przerwać tę okropną sytuację i poprosiła go, żeby już poszedł.

– Co się z nami stało, Ewuś? – zapytał Andrzej cicho, kiedy zapinał kurtkę, a ona stała w holu, ze wzrokiem wlepionym w podłogę.

Wzruszyła bezradnie ramionami. Zdradziłeś mnie, to się właśnie stało – chciała powiedzieć, ale nie miała siły na kolejną wymianę ciosów.

– Kocham cię tak, że wszystko mnie z tej miłości boli – wyszeptał jeszcze. – Ale szaleję z zazdrości i zachowuję się jak ostatni idiota, kiedy tylko pomyślę, że spotykasz się z kimś innym, że on mi ciebie odebrał.

– Nikt mnie nikomu nie odbierał – zaprotestowała słabo.

– Wiem, wiem, nie kłóćmy się już. Ja sobie zasłużyłem, naprawdę to rozumiem.

– Idź już, Andrzej. Pozwól mi ochłonąć.

– Przepraszam.

Nie odpowiedziała, więc wyszedł. Nie widzieli się od tamtej pory. Andrzej dzwonił potem trzykrotnie – dziś właśnie był ten trzeci raz, lecz Ewa nie odbierała. Jeszcze nie. Wciąż się bała, że jedyne, co usłyszy, to kolejną porcję zarzutów i pretensji zaborczego mężczyzny. A to była ostatnia rzecz, na jaką miałyby teraz ochotę.

Żaneta się obudziła, gdy tylko w pokoju Sławka zadzwonił budzik. Usiadła na łóżku i ugryzła kawałek ciasteczka owsianego. Wprawdzie już nie męczyły jej poranne mdłości, ale nawyk pozostał – rano zawsze jadła ciastko i piła wodę z odrobiną miodu.

Wstała i poszła do łazienki, żeby popatrzeć w lustrze na swój brzuch. Inaczej niż w pierwszej ciąży, kiedy panicznie bała się przytyć, teraz czekała z niecierpliwością na wypukłość z przodu. Chciała czuć się „bardziej w ciąży” –

zwłaszcza odkąd podjęła decyzję, że pojedzie do Anglii, stanie przed Bogdanem i powie mu: ono jest twoje. Teraz musisz podjąć decyzję, co zrobisz ze mną i z tym maleństwem.

Mąż traktował ją obecnie lepiej niż przedtem, kiedy sądził, że to on będzie ojcem. Ludzie są dziwni, myślała Żaneta, a w każdym razie ja ich nie rozumiem. Z drugiej strony, jak mam rozumieć kogokolwiek, skoro nie pojmuję siebie i własnych decyzji.

Na przykład – dlaczego uparła się, że nie napisze Bogdanowi prawdy w wiadomości na Facebooku? Już od jakiegoś czasu korespondowali ze sobą. Na jego gorączkowe pytania, co się stało, dlaczego wyjechała, odpisała jedynie, że musiała wrócić do Polski, aby załatwić stare sprawy. Po części to była prawda, bo przecież odwiedziła dawną kochankę ojca i odzyskała list, który przed laty napisał do niej tata. List nigdy niewysłany, a przecież najważniejszy, jaki kiedykolwiek do niej napisano.

Żaneta nie rozumiała jeszcze wielu innych spraw. Zdawała sobie sprawę, że jest kompletnie niedojrzała, a nawet więcej – głupia. Tak to właśnie nazywała, odkąd dowiedziała się o istnieniu tego typu inteligencji: emocjonalnej. Uznała wtedy, że z jakiegoś powodu jest w tej dziedzinie kretynką, nawet jeśli w życiu radziła sobie zupełnie nieźle i generalnie zawsze zdobywała to, czego chciała.

Do tych rzeczy, których Żaneta nie pojmowała, zaliczała się jej miłość do księdza Bogdana. On sam nie był przecież szczególnie przystojny, niczym jej nie imponował, a jej związek z nim nie miał szans, nie dawał nawet cienia nadziei na wygodne, łatwe życie. A jednak właśnie tego mężczyznę Żaneta pokochała taką miłością, o jakiej wcześniej jedynie słyszała, ale w nią nie wierzyła. Było to uczucie histeryczne, gwałtowne i pełne rozpacz, bo przecież od początku zdawali sobie sprawę ze swojej sytuacji: on jest katolickim duchownym, a ona mężatką. Oboje męczyli się strasznie – dziesiątki razy obiecywali sobie nie spotkać się więcej, by już nazajutrz, z okropnym poczuciem winy, wodzić opuszkami po swoich twarzach i powtarzać, że nie mogą żyć bez siebie.

– Bez ciebie boli mnie nawet bicie serca – powiedział jej kiedyś, a Żaneta pomyślała, że czuje dokładnie to samo, tyle że nie nazwałaby tego tak prosto, a zarazem precyzyjnie; nie umiała mówić o miłości.

Po pierwszym spotkaniu w polskiej księgarni natknęli się na siebie jeszcze dwukrotnie, i to były rzeczywiście przypadki. Ale potem nic już nie działo się przypadkowo, zaczęli siebie szukać, brnęli w to coraz dalej, okłamując samych siebie, że jest jakiś ważny powód, dla którego powinni być w danym dniu w określonym miejscu. Wkrótce oboje znali swoje trasy, po wielokroć przemierzane każdego dnia, znali na pamięć rozkład swoich zajęć, on wiedział, o której ona zaczyna pracę, gdzie kupuje grahamki na kolację, ile razy w tygodniu chodzi na fitness albo do solarium. Ona znała godziny nabożeństw w jego kościele,

wiedziała, gdzie spaceruje, kogo odwiedza, w jakie dni i o której godzinie prowadzi lekcje religii w polskiej szkole i do -którego sklepu wstępuje po drodze na plebanie.

Bardzo długo nie było między nimi bliskości fizycznej. Żaneta do tego nie dążyła, wręcz przeciwnie, wydawało się jej, że po raz pierwszy kocha miłością platoniczną. Bogdan zaś, nawet jeśli miewał grzeszne myśli, tłumił je w sobie i nie zdradzał się z tęsknotą za dotykiem i w ogóle cielesnością. Tym gwałtowniej wybuchła ich namiętność, kiedy pewnego dnia spotkali się przypadkiem za rogiem piekarni, dosłownie wpadli na siebie, i żeby nie upaść, instynktownie chwycili się za ręce. Było już ciemno, on wracał ze spaceru, ona zaś szła do domu z nadzieją, że zobaczy go z daleka. Bogdan przytrzymał wtedy jej dłonie, a potem – zupełnie jakby boleśnie pękła w nim jakaś struna – schylił się nagle i zanurzył twarz w ich ciepłym wnętrzu. Całował jej palce, potem nadgarstki, a wówczas Żaneta wiedziała już, że ta miłość nie jest nawet w najmniejszym stopniu platoniczna, że rozpiera ją pożądanie, a jej skóra płonie w oczekiwaniu na to, żeby poczuć na sobie dotyk dłoni tego mężczyzny.

Tamtego dnia to były tylko pocałunki. Jeszcze wiele razy kończyło się na tym – i na gorączkowym tuleniu, do bólu żeber, ściskanych silnymi męskimi ramionami, które dotąd nie pozwoliły sobie na spełnienie pragnień. Pierwszy raz kochali się, kiedy umówili się na wyjazdową randkę do Chester, urokliwego miasteczka pełnego śladów przeszłości. Razem wsiedli do pociągu, ale udawali nieznanym aż do momentu, gdy wysiedli i upewnili się, że znaleźli się w miejscu, gdzie nikt ich nie zna. Skierowali się do skromnego hotelu, zameldowali się jako para i przez resztę dnia nie wychodzili z łóżka; poznawali swoje ciała, spełniali fantazje i obdarowywali się miłością, od której byli potem rozkosznie obolali.

Bogdan miewał takie chwile, że zapominał, jak bardzo sprzeniewierza się swoim zasadom i ślubom kapłańskim. Ale znacznie częściej parzyły go wyrzuty sumienia i lęk przed tym, co się stanie, jeśli ten romans wyjdzie na jaw. W takie dni Żaneta – z miłości do niego – proponowała, że powinni się rozstać.

– Ja zniknę, jeśli chcesz – mówiła z płaczem. – Nigdy więcej mnie nie zobaczysz. Jakoś wytrzymamy, kochany. Dla mnie najważniejsze jest, żebyś nie cierpiał, nie dręczył się tak strasznie. Wiem, że nie będzie cię miała inna kobieta, a to, że mnie kochasz, w zupełności mi wystarczy.

On godził się na to, żeby się rozstali, żeby zniknęła mu z oczu, sam zaczynał chodzić innymi ścieżkami albo w towarzystwie pozostałych księży – ale po dniu, dwóch lub trzech oboje zrywali wszystkie umowy i niczym ómy lecieli prosto w ogień, wprost w swoje ramiona.

Innym znów razem Bogdan podejmował decyzję, że nie wolno mu Żanety dłużej męczyć – przecież widzi, jak ona cierpi, jak spala się w oczekiwaniu na jego

dotyk, potrzebny jej jak powietrze.

– Trzeba to uciąć, kochanie – mówił w przypiływie silnej woli i wiary, że nad sobą panuje. – Musimy być silni. To jak z uzależnieniem, po prostu trzeba przetrzymać kilka dni, kilkanaście... Potem będzie już łatwiej. Ja ciebie zawsze będę kochał, ale nie możemy się tak szarpać, bo to nas wyniszcza.

Żaneta zgadzała się z nim; widziała, że ta miłość jest toksyczna – właśnie przez to, że zakazana, że sekretna, próbowali więc jeszcze raz, tylko po to, by dwa dni później zadzwonić do siebie w środku nocy i płakać w słuchawkę, że nieprawda, bez powietrza nie da się żyć.

Kiedy Żaneta odkryła, że zaszła w ciążę, w pierwszym odruchu zamierzała poszukać sposobu na pozbycie się dziecka. To nie było trudne, wystarczyło zaopatrzyć się w odpowiednie tabletki, a potem poczekać na coś w rodzaju „silniejszej miesiączki” – tak o tym mówiła Betty, która już dwukrotnie musiała skorzystać z pigułek wczesnoporonnych. Gdyby ta ciąża była owocem któregośkolwiek z wcześniejszych romansów, Żaneta zapewne zrobiłaby to samo. Nigdy nie była nadmiernie sentymentalna, nie rozczulały jej małe dzieci, a macierzyństwo nie spełniło jej oczekiwań.

Ale tym razem nosiła w sobie dziecko mężczyzny, którego kochała do szaleństwa. Kochała wbrew instynktowi samozachowawczemu, kochała tak, jak niektórzy nie kochają przez całe życie. Myśl o tym, że mały – bo była wówczas pewna, że to będzie chłopczyk – mógłby być podobny do Bogdana, mieć jego kędzierzawe włosy, roześmiane szare oczy i dołek w jednym policzku, wywoływała w niej nieznaną dotąd wzruszenia. Nie mogła pozbyć się tego dziecka; to byłoby jak zabicie ich miłości, najładniejszej jej części. To dziecko było tym kawałeczkiem Bogdana, do którego miała prawo, którego nikt – ani Bóg, ani Kościół – nie mógł jej odebrać. Pewnie dlatego, w obawie przed reakcją Bogdana, przed tym, że każe jej jednak pozbyć się kłopotu – uciekła z Anglii bez pożegnania. Spędziła cztery dni w Calais, wyjąc w poduszkę w najtańszym hoteliku, zanim doszła do siebie na tyle, żeby przyjechać do domu, stanąć przed Andrzejem i Sławkiem i udawać, że nic się nie stało. Oto jestem, wróciłam, będziemy żyć razem. Tak po prostu, tłumiąc ból duszy, zaciskając zęby, żeby się nie rozryczeć, udawała idiotkę, która nie wie, że w tej rodzinie od dawna nie ma już dla niej miejsca. Potem z nie mniejszą determinacją sprawiła, że Andrzej poszedł z nią do łóżka – to nic, że niewiele pamiętał. Najważniejsze były plamy spermy na pościeli, której specjalnie nie prała przez kolejne dwa tygodnie, żeby móc mu pokazać test ciążowy i w razie problemów podsunąć pod nos dowód na prześcieradle.

Dopiero od niespełna miesiąca Andrzej wiedział, że to wszystko było kłamstwem. Najpierw Żaneta była na siebie zła. Cholerne USG, myślała, gdybym nie zachowała tego wydruku, gdybym go wyrzuciła... Ale bardzo szybko w

miejsce złości pojawiła się ogromna ulga. Żaneta chyba podświadomie chciała prawdy, pragnęła pretekstu, by wrócić do Manchesteru i wyznać wszystko Bogdanowi. Mimo rozłąki nie przestała kochać go ani odrobinę – wszystko było jeszcze ciepłe, wilgotne niczym niegojąca się rana. Wiedziała, że on także tęskni, że cierpi – świadczyły o tym pełne wykrzykników wiadomości na Facebooku, na które początkowo zabraniała sobie odpowiadać, ale po tym, gdy prawda wyszła na jaw i Żaneta wiedziała już, że małżeństwo z Andrzejem runęło na dobre, nie widziała powodu, by dłużej katować siebie i Bogdana. Odpisała więc. Od tamtej pory pisali po kilka razy dziennie, coraz goręcej, coraz bardziej rozpaczliwie, aż wreszcie ona obiecała mu, że przyjedzie.

Ze wspomnień wyrwało ją pukanie do drzwi łazienki.

– Już wychodzę – mruknęła, po czym opłukała wodą twarz i delikatnie osuszyła ręcznikiem.

Wklepała krem pod oczy i w okolice ust, a następnie wpuściła Sławka. Wydawało jej się, że syn patrzy na nią badawczo, ale równie dobrze mogło to być jej poczucie winy, że znowu zamierza go zostawić.

– Przygotuję ci śniadanie – zaproponowała, choć zwykle się tym nie zajmowała.

– Tata już to zrobił – odpowiedział chłopiec.

Tata sobie świetnie radzi, pomyślała, a więc nic tu po mnie. Nawet nie zauważą, że wyjechałam. Ta myśl sprawiła, że Żaneta poczuła się lepiej, dlatego pociągnęła ją dalej. Nie jestem im potrzebna, przekonywała sama siebie, a Bogdan nie może beze mnie żyć. No i dziecko, ono przecież musi mieć ojca. To oczywiste, że powinnam wyjechać. Po prostu nie mam innego wyjścia.

Kiedy po raz kolejny udało jej się w to uwierzyć, Andrzej ze Sławkiem już wyszli z domu. Żaneta została sama. Zaczęła się powoli pakować, postanowiła. Zarezerwuję bilet, ale nie uprzedzę Bogdana. Zrobię mu niespodziankę.

Ewa zapisała na tablicy temat: „Jak i dlaczego zmienia się język?”. Klasa zajęła się przepisywaniem, a ona tymczasem rzuciła okiem na siedzącego w ostatniej ławce Sławka. Wydawał się chory – albo może niewyspany i smutny.

Ostatnio często mu się przyglądała. Chłopiec dorastał, zmieniał się. Jego rysy stawały się twardsze, bardziej męskie, ztracał urodę dziecka. Ewa szukała w nim Andrzeja i znajdowała coraz więcej jego cech – niewielki garbek na nosie, wyraźnie zarysowana żuchwa, dołek w brodzie, czarne brwi i rzęsy, w ogóle ciemne oczy, ich wyraz – czasem leciutko kpiący, czasem zawadiacki.

Otrząsnęła się z zamyślenia i poprowadziła lekcję, która stanowiła wstęp do słowotwórstwa. Najpierw odczytała uczniom fragment *Żywota człowieka poćwiwego* Mikołaja Reja, prosząc o wynotowanie wszystkich wyrazów, które wydadzą się dzieciom dziwne, niezrozumiałe, zabawne. Kiedy omówili je wspólnie

i zapisali definicję archaizmu, poszedł w ruch *Słownik dawnej polszczyzny*. Ewa wiedziała z doświadczenia, że to dla uczniów najatrakcyjniejsza część lekcji; każdy rocznik szóstoklasistów uwielbiał znajdować w słowniku wyrazy, które już wyszły z użycia, i zadawać sobie zagadki dotyczące ich znaczenia.

– Pamiętajcie, że macie ułożyć zdania, które będą stanowiły odpowiedź – przypominała Ewa, krążąc między ławkami. – To nie może być na przykład pytanie: „Co dawniej znaczył pośladek”, tylko coś zawierającego ten wyraz w -odpowiednim kontekście, choćby: „Zostawmy rowery na pośladku”.

Dzieci parsknęły śmiechem i pokiwały głowami, po czym wróciły do układania zagadek. Przechodząc obok ławki Sławka, Ewa spojrzała na efekty jego pracy. Z kilkoma skreśleniami, jakby chłopiec nie mógł się zdecydować, widniało tam zdanie: „Ojciec nie spluskał się już od trzech miesięcy”.

Wróciła do biurka i zapytała, kto chce odczytać swoją zagadkę. Zgłosiło się kilkoro uczniów, w tym oczywiście Marcel, który nie przepuściłby okazji do rozbawienia klasy. Tak jak Ewa się spodziewała, w jego zdaniu pojawiło się słowo „rzyć” – ten archaizm zawsze bił rekordy popularności, zresztą strona, na której się znajdował, była w słowniku oznaczona – przed trzema laty jakiś dowcipniś narysował na rogu kształtny tyłek.

Ewa uciszyła towarzystwo i odczekała jeszcze chwilę, ale ponieważ nikt więcej się nie zgłaszał, podsumowała lekcję i podyktowała zadanie domowe kierujące dzieci w stronę kolejnego tematu – neologizmów. Kiedy zadzwonił dzwonek, natychmiast otworzyła słownik i zaczęła szukać wyrazu „spluskać się”.

Mógł znaczyć wiele rzeczy. Coś z myciem, coś z płacem, coś z oddawaniem moczu, to pierwsze przyszło jej do głowy. Wreszcie znalazła. Spluskać się. Między innymi -znaczeniami widniało to, na które miała nadzieję: upić się, być pijanym.

A więc tyle się przynajmniej dowiedziała: że Andrzej nie pije od października. Dziwną drogą trafiła do niej ta informacja, ale Ewa była wdzięczna losowi, że chociaż na jedno z pytań otrzymała odpowiedź: w tej sprawie Andrzej nie kłamał.

Była ciekawa, które z rodziców Sławka przyjdzie w tym miesiącu na wywiadówkę. Styczniowe zebranie było połączone z wręczeniem listów gratulacyjnych i koncertem dla rodziców. Oczywiście Sławek, jako jeden z najsłabszych uczniów w klasie, nie miał otrzymać żadnych gratulacji, Ewa liczyła jednak na to, że Andrzej lub jego żona przyjdą i że uda im się wreszcie ustalić jakiś plan postępowania z dzieckiem. Ostatnio oceny Sławka stały się prawie tak słabe, jak w czwartej klasie, kiedy odreagowywał odejście matki. Ewa ze smutkiem uświadomiła sobie, że ten chłopiec przeżywa to samo, co ona: także czuje się odtrącony, zdradzony, znajduje się niejako w zawieszaniu i nie wie, komu zaufać; kogo może kochać, aby nie zostać zranionym.

Westchnęła i wpisała temat do dziennika, a potem zamknęła okno i posprzątała na biurku. Koniec na dziś, trzeba zrobić po drodze jakieś zakupy, upichcić coś na obiad i przygotować lekcje na jutro.

Jeszcze nie zdążyła zasunąć krzesła, kiedy do klasy wpadł zdyszany Sławek.

– Zdążyłem – wysapał. – Zapomniałem wpłacić pieniądze na wycieczkę.

– Przecież mówiłam rodzicom, żeby zapłacili na zebraniu – odparła Ewa z uśmiechem, wyciągając z torebki portfel klasowy. – Szóstoklasiści mają dziwną tendencję do zapominania albo gubienia pieniędzy.

– Ja wolę sam – odpowiedział Sławek z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

Ewa zastanowiła się. Chyba chciał jej coś powiedzieć.

– Dlaczego? – zapytała ostrożnie. – Rodziców nie będzie na wywiadówce?

– Nie wiem, czy mama będzie. Ona się pakuje i chyba... Chyba wyjedzie.

Biedny dzieciak, pomyślała. Biedny, zagubiony dryblas, któremu lada dzień zacznie się sypać wąs, a który staje się -bezradnym, smutnym chłopczykiem, ilekroć ta cholerna matka zapomina o jego istnieniu.

– A mógłbyś przekazać mamie, że chciałabym z nią porozmawiać? Najchętniej jeszcze przez tym wyjazdem. – Ewa udała, że nie rozumie, o jakiego rodzaju „wyjazd” chodzi. – Niech wpadnie do mnie do szkoły. Mama nie pracuje, prawda?

Sławek pokręcił głową.

– No to może będą jej pasowały godziny moich konsultacji. Nie martw się, to nic złego, nie jakieś tam uwagi czy nagany. – Uspokoila go, bo chyba się zdenerwował. – Po prostu ostatnio o czymś rozmawialiśmy i nie dokończyliśmy tematu. Przekażesz?

– Przekażę.

Sławek wyszedł, a Ewa upomniała się w duchu, że zachowuje się impulsywnie. Po co zaprosiła panią Wójcik? Co chciałaby od niej usłyszeć, co sama jej powie? Poza tym, że nie wolno fundować dziecku takiej huśtawki emocjonalnej? I czy właściwie ma prawo się wtrącać?

Mam, odpowiedziała sobie natychmiast. Jako wychowawczyni chłopca mam prawo i obowiązek przypomnieć tej kobiecie o jego potrzebach. O tym, że on się zwyczajnie boi, co z nim będzie. Niezależnie od tego, czy Andrzej rzeczywiście nie pije od trzech miesięcy, to jednak jest alkoholik – i zostawianie z nim dziecka...

Urwała to zdanie, zanim pomyślała je do końca. Co właściwie miała na myśli? Że Żaneta powinna zostać z mężem i synem? Czy raczej zabrać ze sobą syna? Ale to przecież nie wchodziło w grę. Andrzej nie może zostać sam, Sławek znaczy dla niego zbyt wiele – to by go złamało. Zresztą dla Sławka także będzie lepiej, jeśli zostanie przy Andrzeju, który mimo swego nałogu jest chyba stabilniejszy, pewniejszy jako opiekun niż ta dziwna kobieta.

Ewa westchnęła ciężko i wyszła z klasy. Czuła się kompletnie zagubiona.

Jak pomóc Sławkowi i Andrzejowi, jak rozwiązać własne sprawy, jak postąpić z Jimem i co zrobić, żeby Klaudia uporała się ze swoimi problemami?

Najwyraźniej Sławek jeszcze tego samego popołudnia przekazał matce prośbę wychowawczyni, bo Żaneta Wójcik pojawiła się w szkole już następnego dnia. Weszła do klasy pewnym krokiem, jak zawsze ubrana z przesadną dbałością, w pełnym makijażu, pachnąca drogimi perfumami. Ewa pomyślała, że ta kobieta dąży do perfekcji w wyglądzie zapewne dlatego, że kompletnie nie panuje nad bałaganem w swoim życiu uczuciowym.

– Dzień dobry. Proszę usiąść. – Wskazała jej krzesło i dyskretnie przyjrzała się Żanecie, czy widać już brzuszki.

Może był odrobinę wypukły, ale tylko trochę. Szczęściara, nie tyje nawet w ciąży.

– Chciałam, żeby pani przyszała, bo bardzo martwię się o Sławka.

Żaneta Wójcik milczała, przyglądając się Ewie badawczo.

– Rozmawialiśmy w październiku...

– Wtedy pani powiedziała, że jest dużo lepiej. – Wójcikowa przerwała niemal agresywnie. – A teraz nagle co się stało?

– To nie tak, że stało się coś konkretnego – tłumaczyła Ewa, starając się zachować spokój, choć opryskliwość kobiety prowokowała ją do użycia ostrzejszego tonu. – Po prostu chciałam porozmawiać. Po pierwsze, Sławek wydaje mi się jakiś smutny, zgaszony. Może się mylę, ale wygląda tak, jakby nie dosypiał, jakby gryzł się czymś...

– Sprawia problemy?

– Słucham?

– Czy sprawia problemy w szkole? Łobuzuje, bije kogoś?

– Nie, nic z tych rzeczy.

– No to nie rozumiem.

W oczach Żanety Wójcik pojawiło się coś niedobrego. Kobieta patrzyła na nauczycielkę jak na wroga. Nie po raz pierwszy Ewa zastanowiła się, czy matka Sławka może wiedzieć o jej romansie z Andrzejem.

– Proszę pani. – Zacisnęła dłonie, aż zbieleła jej skóra na kostkach. – Jestem wychowawczynią pani syna. Do moich obowiązków należy reagowanie, jeśli widzę, że z dzieckiem dzieje się coś niepokojącego. To po pierwsze. Po drugie, Sławek wczoraj na lekcji napisał zdanie, które mnie zastanowiło. Dzieci układały zagadki z archaizmami, to są takie wyrazy... No, nieważne. W każdym razie napisał o tym, że tata nie upił się od trzech miesięcy. – Chłodno obserwowała, jak twarz Żanety nagle tężeje. – A po trzecie, kiedy zapytałam, dlaczego sam wpłaca pieniądze na wycieczkę, choć przecież prosiłam, żeby dzieci nie nosiły tak dużych kwot do szkoły, odparł, że mamy może nie być na wywiadówce, ponieważ się

pakuje. Sama więc pani widzi, że mam powody, żeby poczuć się zaniepokojona sytuacją chłopca...

– Nie musi się pani niczym niepokoić. – Żaneta Wójcik przerwała jej stanowczo. – Ja się pakuję, to prawda. Ale wcale nie wiem, na jak długo wyjeżdżam, może tylko na parę dni. Muszę załatwić jeszcze kilka spraw, tam, w Anglii. Nie wiem, co będzie potem. Może ściągnę do siebie Sławka...

– A on tego chce?

Pani Wójcik umilkła. Najwyraźniej nie знаła odpowiedzi na to pytanie.

– Mąż też ma do pani dołączyć? – Ewa odważyła się jeszcze zapytać. – Z tego, co zauważyłam, Sławek i ojciec są ze sobą bardzo związani.

– Związani – prychnęła jej rozmówczyni. – Proszę pani, ja nie wiem, z kim jest związany mój mąż, ale chyba nie tylko ze Sławkiem.

Ewa poczuła gęsią skórę. O czym ta kobieta mówi?

– Wraca codziennie bardzo późno, jakiś taki... zadowolony. Nie je kolacji, bo już jadł, tak mówi. To jak pani myśli, u kogo jada? On kogoś ma; ja wiem, że to pani nie interesuje, to nasze sprawy... Ale taka jest prawda, proszę pani, mój mąż sobie znalazł kochankę, a ja z brzuchem sama zostanę. Zresztą może to i lepiej. Chcę rozwodu. Wyjeżdżam i jeszcze zobaczę, na razie nie wiem... Chyba już nie wrócę. I nie wiem, czy Sławek będzie wolał tu zostać z ojcem i jego nową kobietą, czy dołączy do mnie.

Ewa milczała, oszołomiona, jakby dostała obuchem w głowę.

– A że nie pije od trzech miesięcy, to akurat prawda. Przedtem miał ciąg, no po prostu przez kilkanaście dni nie było z nim kontaktu. Ale teraz jest trzeźwy, już od jesieni.

– Nie boi się pani... – zapytała słabym głosem Ewa. – Nie obawia się pani, że po pani wyjeździe... A jeśli mąż zacznie znów pić, to jak Sławek... – Nie mogła zebrać myśli.

– Sławek, proszę pani, zna to lepiej niż ja. On wie, co wtedy robić. Zresztą to jest bardzo samodzielny chłopiec.

Musiała zauważyć, że Ewa patrzy na nią z potępieniem, bo natychmiast dodała:

– Przecież w razie czego od razu do mnie zadzwoni, a ja najwyżej go do siebie ściągnę. O to niech się pani akurat nie martwi.

Ewa nie mogła dojść do siebie – nawet kiedy już znalazła się w domu i zaparzyła sobie wielki kubek herbaty, w głowie kołatały się jej strzępki rozmowy z żoną Andrzeja. Jak to: „kogoś ma”? Owszem, podejrzewała go o nieszczerść, rozważała taką możliwość, że jest okłamywana, ale przecież nie w tej sprawie: myślała, że może jednak dziecko jest jego, że żona mogła go wcale nie zaciągnąć do łóżka, przeciwnie – po alkoholu to on mógł wziąć sobie siłą to, czego chciał;

wreszcie – że może nadal popija. Ale kochanka? Mężczyzna, który raptem dwa tygodnie temu zrobił jej karczemną awanturę o Jima, -miałby jadać kolacyjki u nowej kochanki? To się nie trzymało kupy.

Najprostszym rozwiązaniem było zadzwonić i po prostu zapytać. W każdej innej sytuacji Ewa tak by właśnie postąpiła – podobnie jak kiedyś wprost zapytała Mirka, czy ją zdradza, gdy zaczęła coś podejrzewać. Tyle że już się przekonała, jak to bywa ze szczerością w takich przypadkach. A poza tym, nawet gdyby Andrzej odpowiedział, że nie, nie ma żadnej kochanki – czy ona jeszcze umiałaby w to uwierzyć?

Z brakiem zaufania jest paskudnie, rozmyślała, krojąc łososia w drobną kosteczkę i przygotowując nadzienie do jajek na twardo. Zwątpienie w związku jest zupełnie jak perz w ogrodzie – jeśli się pojawi w jednym miejscu, to już potem wyrasta wszędzie.

Andrzej miał za sobą wyjątkowo trudny okres. Od pamiętnej nocy wigilijnej, kiedy to odważył się powiedzieć Ewie, że nie zostanie ojcem, i zapytał, czy jest jeszcze szansa dla nich dwojga – przeżywał na przemian -wzloty i upadki. Tylko pani Alinie zawdzięczał to, że nie napił się w tych najczarniejszych dniach, gdy z ukrycia obserwował rudego Walińczyka, czule całującego Ewę na pożegnanie.

Za każdym razem, kiedy odzyskiwał siły i wiarę w siebie, dzwonił do Ewy albo jechał pod jej dom, gotów na jakieś poważne rozmowy i rozstrzygnięcia. Tylko raz zgodziła się z nim spotkać – rzecz w tym, że on wszystko zepsuł swoją głupią zazdrością.

Zaczęło się niewinnie. Siedzieli obok siebie na sofie, ale choć Andrzej umierał z tęsknoty za ciałem Ewy, nie odważył się nawet jej objąć, dopóki nie wyjaśnią sobie wszystkiego. Opowiedział jeszcze raz, co się działo od powrotu Żanety. O tym, jak miotał się, czy powiedzieć Ewie o przyjeździe żony, o tym, jak tamta szykowała kolacyjki i usiłowała wkupić się na nowo w życie rodzinne i wreszcie – jak popłynął na falach nalewanych przez żonę drinków i jak ocknął się z dłońmi na jej piersiach. Ewa słuchała tego spokojnie, choć przecież -widział, jak wiele ją ten spokój kosztuje.

Potem Andrzej mówił jeszcze o swoim upodleniu, o prawie trzech tygodniach wymazanych z życiorysu, zarzyganej podłodze w pokoju, smrodzie i brudzie pijackiego ciała oraz jego uroczystym postanowieniu, że dopiero kiedy wytrzeźwieje na dobre, będzie mu wolno spotkać się z ukochaną kobietą i wziąć ją w ramiona. Problem w tym – i tu nerwy mu puściły – że ona już była w czyichś ramionach, że ktoś go ubiegł. Nie czekała, ochoczo dała się pocieszyć.

Nie użył takich słów, ale na jedno wyszło. Nie potrafił powstrzymać potoków żalu i pretensji, bo przecież Ewa nadal spotykała się z tym rudym, a Andrzej chyba wyobrażał sobie, że to będzie prostsze: dziecko nie jest jego, Żaneta zgadza się na rozwód, więc to oczywiste, że Ewa i on wracają do siebie i żaden Walińczyk nie jest tu mile widziany.

Może gdybym rozegrał to inaczej, rozmyślał teraz, taszcząc pełne zakupów torby do mieszkania pani Aliny. Gdybym nie atakował, tylko poprosił o jeszcze jedną szansę... Ewa sama podjęłaby decyzję, że rozstaje się z tamtym. Bo przecież nie kocha go, to oczywiste. Widzę to w jej smutnym wzroku; dla niej, tak samo jak dla mnie, nic się nie skończyło, nic nie minęło. Tęskni za mną, pragnie mnie. Jesteśmy ze sobą związani tak mocno, że żaden rudzielec nie może tego zmienić, i tylko niepotrzebnie wyskoczyłem z tą zaborczością, bo prawda jest taka, że nie miałem do niej żadnego prawa.

– Mleko się już rozlało – powiedziała pani Alina, kiedy zwierzył się jej z

tych rozterek i wyznał, jak beznadziejnie rozegrał tamto spotkanie. – Jesteś histerycznie zazdrosny, jak prawie każdy mężczyzna. Problem w tym, Andrzejku, że niektóre kobiety bardzo tego nie lubią, i twoja Ewa wydaje się należeć właśnie do tego gatunku.

– To co mam teraz zrobić? Spokojnie patrzeć, jak ona pozwala mu się ścisnąć, jak strzepuje mu z rękawa jakieś paproszki? Przecież szlag mnie trafi na miejscu.

– Może przestań patrzeć? Dopóki tam jeździsz i czekasz jak wierny pies, ona ma was obu. Jak przestaniesz się zjawiać pod jej domem, to kto wie, może zatęskni? Jeśli naprawdę cię kocha, to da ci znać, że jednak wybiera ciebie.

– A jeśli nie da? – zapytał Andrzej z rozpaczą, ale pani Alina tylko wzruszyła ramionami.

No tak, jeśli nie da, to znaczy, że jednak nie kocha – odpowiedział wtedy sam sobie.

Pani Alina od jakiegoś czasu niedomagała. Nie chciała iść do lekarza, twierdziła, że to zwyczajna niestrawność, ale Andrzeja niepokoiła jej ściągnięta bólem twarz. „To tylko wątroba”, powtarzał z przekąsem słowa staruszki. Nawet -jeśli rzeczywiście tak było, to przecież trzeba się dać zbadać.

Postawił siatki na wycieracze i zapukał ponownie. Go-spodyni otworzyła dopiero po długiej chwili.

– Mówiłam, żebyś nie przywoził tyle zakupów – gderała, kiedy Andrzej wchodził do przedpokoju.

– Przecież to dla mnie. – Andrzej się bronił. – Ja sam to wszystko pozeram, pani Alino. Pani mnie uczy gotować, w porządku, ale to przecież nie powód, żebym panią objadał.

– A Sławka kiedy przywieziesz?

– Może w piątek. Obiecałem mu, że pod pani kierunkiem nauczymy się robić knedle. Pamiętam, że mama lepiła takie kule... A widziałem ostatnio mrożone śliwki i tak mi przyszło do głowy...

– Oj, tak, Andrzejku, knedle ze śliwkami to jest mistrzostwo świata. I łatwo się robi, nie ma w tym nic trudnego. Ciasto jak na kopytka, śliwka w środek. Cynamon, cukier na wierzch i już. Niebo w gębie.

– Właśnie tak to zapamiętałem.

Gdyby nie treningi Sławka, Andrzej przywoziłby go częściej do pani Aliny, bo tych dwoje bardzo się polubiło. Chłopiec odrabiał czasem lekcje u staruszki – miała dla niego więcej cierpliwości niż ojciec, potrafiła pochwalić za jakiś drobiazg, który Andrzejowi umykał. Sławek bardzo szanował starszą panią i liczył się z jej zdaniem. Kiedy powiedziała, że zadanie domowe z przyrody odrobił byle jak, natychmiast wyrwał kartki z zeszytu i przepisał wszystko jeszcze raz,

wklejając nawet wydrukowane obrazki, wyszukane w internecie. Pani Alina prawie spuchła potem z dumy, dowiedziawszy się, że chłopiec dostał pierwszą w życiu szóstkę z przyrody.

– Jak tam twoje sprawy? – zapytała teraz staruszka, podając Andrzejowi talerzyk z szarlotką. – Żona wyjeżdża?

– Spakowała dwie walizy, więc pewnie tak. Ale u nas, pani Alino, o takich rzeczach się nie rozmawia. Wszystkiego muszę się domyślać.

– Dziwna z was rodzina.

– A to w ogóle jeszcze jest rodzina? – Andrzej zaśmiał się gorzko. – Bo mnie się wydaje, że nie zasługujemy na taką nazwę.

– Jakim cudem od tylu lat jesteście razem?

– Chyba nie my jedni. Ewa też przedtem żyła z mężem taką siłą rozpędu. Życie się toczy i jakoś tak... mija jeden rok, potem drugi. Człowiek zapomina, że kiedykolwiek chciał czegoś innego, bo przecież nie ma tragedii, jest co jeść, jest dach nad głową, wszyscy zdrowi, jakoś sobie radzimy...

Pani Alina pokiwała głową. Andrzej zjadł szarlotkę i zebrał palcem okruchy.

– Coś wspaniałego – powiedział. – Dziękuję. Następnym razem ja piekę. A jak wątroba? Już nie boli?

– Przeszło jakoś. Widzisz, obyło się bez lekarza.

Andrzejowi wydawało się, że starsza pani nie mówi prawdy, ale dał spokój.

– No to lecę, pani Alino. Sławka trzeba skontrolować, słyszałem, jak matka go strofowała, że znów się opuścił w nauce. Wywiadówka dopiero w przyszłym tygodniu, wtedy się dowiem dokładnie. Nie chcę tam jechać wcześniej, żeby Ewa nie pomyślała, że się narzucam. Tak jak pani radziła, nie pokazuję się jej na razie na oczy.

– A pod domem nie sterczysz?

– Nie. – Andrzej złożył palce jak do ślubowania i położył sobie na piersi. – Słowo harcerza. Tylko raz się zламаłem i zadzwoniłem, ale i tak nie odebrała, więc to się nie liczy.

– No ale nie dzwoń już, nie dzwoń. Ona się musi wystraszyć, że ciebie straci.

– Ale też musi wiedzieć, że ja ciągle czekam. – Andrzej miał minę zbitego psa.

– Wiesz, co ja myślę? – Staruszka uśmiechnęła się wyrozumiale. – Że to akurat ona wie aż za dobrze. Rzecz w tym, że twoja Ewa nie ma pojęcia, jak postąpić. Ten jej nowy przyjaciel pocieszał ją w trudnych chwilach, ona jest mu wdzięczna i nie chce go skrzywdzić. Ale musi zrozumieć, że tu chodzi o wielką miłość, a nie żadną tam wdzięczność. Nie zbuduje się związku na wdzięczności.

– I co w takim razie?

– Nic. Musisz czekać. Jak się przestraszy, że ty więcej nie poprosisz, to sama cię znajdzie.

– A jeżeli...

– Nie bój się, Andrzej. Jeśli to było coś warte, przekonasz się, że mam rację. A jeśli nie było, to i walczyć nie ma o co.

Jeśli to było coś warte, powtarzał sobie Andrzej, jadąc przez skąpany w wieczornych światłach Poznań, to poczekam. Tak jak obiecał pani Alinie, od dziesięciu dni w drodze do domu nie przejeżdżał przez Winogrody. Początkowo czuł się jak narkoman na głodzie, ale teraz odkrył, że jest mu łatwiej. Nie widując rudzielca, łatwiej mógł sobie wyobrazić szczęśliwe zakończenie tej historii.

– Dobranoc, kochanie – szepnęła Andrzej, myśląc o Ewie, która o tej porze zapewne szykowała jakąś lekką kolację. – Śpij dobrze i niech ci się przyśnię. Niech ci się wyśni porządna scena erotyczna ze mną w roli głównej, i niech ten sen koniecznie się spełni.

Klaudia zaczęła panikować, ponieważ ojciec z Tatianą spóźniali się już prawie godzinę, a tymczasem Igorek, który od jakiegoś czasu nie tylko chodził, lecz biegał, upadł i rozbił sobie główkę o kant lodówki. Ranka była płytka, ale chwilę trwało, zanim Klaudia zatamowała krwawienie. Mały marudził trochę, chyba bardziej ze zmęczenia niż z bólu, a wystraszona siostra nie miała odwagi położyć go do łóżeczka, zanim rodzice nie obejrzą skaleczenia.

Dzwoniła do nich; stali w korku, bo na wylotówce była jakaś kraksa i nie dało się jej objechać. Klaudia nic im nie powiedziała o upadku małego; niepotrzebnie by się denerwowali.

Wreszcie przyjechali. Oboje lekko podchmieleni – nawet mniej niż lekko, ale w ich oddechach dał się wyczuć zapach szampana.

– Co się stało?! – zawołała Tania, gdy tylko weszła do domu i zobaczyła synka z posklejanymi od krwi włoskami.

– Upadł w kuchni, gruchnął głową w lodówkę – tłumaczyła gorączkowo Klaudia. – Przyłożyłam mu zimny kompres, ale nie chciało przestać lecieć, dlatego w końcu dałam spokój z obmywaniem.

– Mój Boże, maleńki. – Tania prawie płakała, a ojciec starał się ją uspokoić.

– Dajże spokój, Taniu, to tylko powierzchowne. Gdybyś widziała, jakie Klaudia miała wypadki w dzieciństwie. Raz tak oberwała huśtawką w głowę, że mówiła od rzeczy.

– Poważnie? – Klaudia się zainteresowała.

– Nie pamiętasz tego? Miałaś na szyi pasek harcerski, bo bawiłaś się w psa i łąziłaś na czworaka. W pewnym momencie wstałaś, a z tyłu łup! Walnęła cię huśtawka. To było na takim blokowisku u dziadka w Człuchowie.

– Ale daj spokój, Mirek, o czym ty teraz opowiadasz. Zobacz, to mu wcale nie zaschło. – Tatiana się denerwowała. – Nie trzeba szyć?

Mirek obejrzał.

– Nic nie trzeba, za parę dni będzie śliczny strupek. Daj, ja go wykąpię, a ty się przebierz i zaraz się wszyscy poprzytulamy.

Klaudii zrobiło się nieswojo, zupełnie jakby wtykała głowę do sypialni, w której ktoś uprawia seks.

– Przepraszam – powiedziała. – Nie upilnowałam go.

– Daj spokój, Klaudia. – Ojciec tylko machnął ręką. – Zdarza się najlepszym. No, zasuway już, bo zostawiłem dla cie-bie taksówkę.

Wychodząc od ojca, dziewczyna pomyślała, że już niedługo to się skończy. Popilnuje im malucha, dopóki nie znajdą jakiejś opiekunki na stałe, ale potem zamierza zająć się tylko nauką do matury. Ewentualnie jeszcze kursem na prawo jazdy, który sfinansował jej tata. A po maturze – wyjazd. Jak najdalej stąd. Może do Walii, bo przecież siostra Jima, Lucy, obiecała, że rozejrzy się za pracą dla niej.

Klaudia często się zastanawiała, czy będzie tęsknić. Oczywiście, odpowiadała samej sobie, najbardziej za Igorem. Na pewno trochę też za rodzicami, takie rzeczy czuje się dopiero z dala od domu. Jedynie o tęsknocie za Szajbą zabraniała sobie myśleć. Wiedziała, że jeśli zacznie analizować perspektywę wyjazdu z tej strony, to po prostu stchórzy, zostanie w Poznaniu i nadal będzie się podniecać każdym niewinnym gestem Anki, będzie wpatrywać się w jej usta i wmawiać sobie, że złożyły się jak do pocałunku. Że kuksaniec pod żebro, wymierzony w żartach, był zaproszeniem do przytulenia, że kiedy tamta mruga żartobliwie, to jej coś sugeruje, do czegoś Klaudię zachęca. To wszystko razem wzięte było szaleństwem, jakimś obłędem.

Jakim cudem Arek niczego nie podejrzewał, rozmyślała w taksówce, wtulona policzkiem w zagłówek. Jak może być tak ślepy? Czy nie dostrzega, że ja patrzę tylko na jego siostrę, że tylko do niej się uśmiecham, jedynie z nią chcę rozmawiać?

– Przyszedł twój kolega – powiedziała mama, kiedy Klaudia weszła do domu i skierowała się do kuchni, żeby zaparzyć sobie zieloną herbatę.

– Arek? – Zdziwiła się. – Przecież pisałam do niego, że się nie spotkamy, bo zostaję dłużej u taty. Mieli jakieś problemy z dojazdem.

– A, to nie wiem – wzruszyła ramionami mama. – Ja mu tylko powiedziałam, że jeszcze cię nie ma, a ponieważ wyglądał na zmartwionego, zapytałam, czy chce poczekać.

– I czeka? – Klaudia ściszyła głos.

– Tak. Jest na górze.

Tego tylko brakowało. Najpierw to Igorkowe rozbicie głowy, a teraz, kiedy Klaudia najchętniej padłaby na łóżko, nawet bez prysznic... wizyta Arka.

– Nie martw się. – Mama chciała ją pocieszyć. – Jeśli będzie długo siedział, to go wypłoszę. Powiem, że masz się brać do nauki albo coś w tym stylu.

– Nie trzeba, mamoo.

– Ale nie miej takiej miny. Przecież to sympatyczny chłopak. Nie lubisz go?
Klaudia spojrzała na nią poważnie.

– Kiedyś powiedziałaś, że nie da się lubić kogoś, wobec kogo ma się wyrzuty sumienia – odparła. – Wtedy tego nie rozumiałam, ale teraz widzę, że miałaś rację.

Matka milczała przez chwilę, pewnie usiłowała sobie przypomnieć tamtą rozmowę.

– No widzisz, a ja ciągle jeszcze lubię Jima – powiedziała wreszcie, a potem się zamyśliła.

Klaudia wyszła z kuchni, zostawiając mamę zatopioną w zadumie. Kiedy szła po schodach, wydawało jej się, że jej nogi ważą po kilkaset kilogramów. Wreszcie stanęła w drzwiach pokoju i uśmiechnęła się blado.

– Co za dzień – powiedziała zamiast przywitania. – Igor rozbił sobie głowę o lodówkę. Beczał strasznie, krew mu kapłała na twarz i mieszała się ze łzami. Nie chciałbyś tego wiedzieć.

Arek siedział na łóżku i patrzył na nią z dziwnym wyrazem twarzy, jakby nie rozumiał, co mówi.

– Ale to coś poważnego? – spytał po chwili.

– Nie, tylko skaleczenie – odpowiedziała i usiadła obok niego. – Dlaczego przyjechałeś?

Odpowiedział dopiero po chwili. Wziął jej dłoń w swoją i zaczął delikatnie przekładać palce, jakby je liczył.

– Nie wiem. Wydawało mi się, że mnie okłamałaś. Że jesteś w domu, tylko nie chcesz się ze mną spotkać. Więc przyjechałem i chciałem ci powiedzieć, że jeśli nie chcesz, to po prostu wystarczy powiedzieć. Ale twoja mama potwierdziła, że -zostałaś tam dłużej... I powiedziała, żebym na ciebie czekał.

– Och, Arek... – szepnęła Klaudia, a on oparł głowę na jej ramieniu, jakby chciał, żeby go pocieszyła, uspokoila.

Podniósł jej rękę do ust i pocałował każdą kostkę z osobna. Klaudia poczuła, że to zbyt wiele jak na jej siły.

– Nie kocham cię – powiedziała gorąco, takim tonem, jakby mówiła, że właśnie kocha na zabój, że tęskniła i chce z nim spędzić resztę życia. – Nie chciałam się z tobą spotkać, masz rację. Ale nie okłamałam cię. To znaczy... Na swój sposób okłamywałam cały czas.

– Nie mów tak.

– Nie powinnam była wcale się z tobą spotykać.

– Przecież to ja nalegałem. – Arek podniósł głowę i spojrzał jej prosto w oczy. Jego spojrzenie było szare i bardzo smutne. – Pa-miętam, jak mówiłaś, na samym początku, że nie możesz mi dać tego, o co proszę.

– Tak mówiłam?

– Jakoś tak. Ale ja byłem pewien, że z czasem zakochasz się we mnie, że kiedy poznamy się bliżej...

– Arek.

– Nie przerywaj, ja to muszę powiedzieć. Chyba każdy zakochany jest taki pewny siebie. To znaczy pewny i zarazem nieśmiały, bo z jednej strony bałem się podejść i zacząć rozmowę, wiesz, taka paraliżująca nieśmiałość, lęk przed ośmieszeniem się...

– Wiem. – Klaudia pokiwała głową. – Bardzo dobrze to znam.

– Ale z drugiej strony człowiek myśli, że kiedy już się odważył, to nie ma innej opcji, tylko happy end. Rozumiesz?

Tego akurat nie rozumiała, ale skinęła, bo nie było sensu dyskutować.

– Chciałbym wiedzieć tylko jedną rzecz. – Arek poprosił jeszcze, nie puszczając jej ręki. – Czy to dlatego, że kochasz się w kimś innym? Jest ktoś, kto... no wiesz?

– Masz na myśli innego chłopaka?

– Tak.

Klaudia spojrzała poważnie w jego mądre oczy.

– Nie – powiedziała uroczyście. – Przysięgam ci, że nie ma żadnego innego chłopaka. I nigdy nie było.

– Więc dlaczego? Jestem taki do dupy? Za miękki, jak mówi Szajba? Cielak? Lebiega?

– Nie, Arek. – Poglaskała go po twarzy. – Absolutnie nic z tych rzeczy. Bardzo mi się podobasz, imponujesz mi i wspaniale się z tobą spędza czas. Rzecz w tym, że wolę cię jako... kolegę, kumpla. Przyjaciela. Nie ma tej chemii czy jak to się nazywa. Nie ma iskry między nami, rozumiesz?

– Ale była, przecież kiedyś zaiskrzyło. – Jeszcze próbował ją przekonać. – Pamiętasz, jak się kochaliśmy?

Klaudia pokręciła głową i cofnęła rękę.

– Pamiętam i do dziś nie mogę sobie tego darować. Ja już wtedy wiedziałam, że nic z tego nie będzie, Arek. Wiesz, to nie tak, że było źle czy coś... Po prostu nie powinienam była na to pozwolić.

– Więc właściwie dlaczego to zrobiłaś? Było ci mnie żal, tak? Że się tak staram, że odstawiam takie tańce godowe? – Głos mu zadrżał, ale tym razem chyba z urazy lub gniewu.

– Przestań. Nie mówmy o tym, bo powiemy o jedno zdanie za dużo. Przepraszam, nie chciałam, żebyś się poczuł...

– Daj spokój! – Arek zerwał się z tapczanu. – Jakie to ma znaczenie, jak się poczuje?! To akurat, jak się okazuje, nie ma żadnego znaczenia! No nic, idę. Dobranoc.

I wyszedł, nie czekając, aż ona wstanie i odprowadzi go do drzwi. Zanim

oszołomiona Klaudia zeszła na dół, już go nie było.

Poszła pod prysznic i długo polewała się gorącą, a potem chłodną wodą. Pomyślała, że czuje się tak, jakby zamordowała jakieś malutkie, niewinne stworzenie, zdeptała ślimaka z piękną muszelką albo niechcący udusiła kociaka. Spodziewała się, że kiedy już będzie po wszystkim, pojawi się też jakiś rodzaj ulgi – ale się nie pojawił.

Leżąc już w łóżku, zaczęła strasznie płakać, a wtedy przyszła do niej mama i położyła się obok. Nic nie powiedziała, tylko raz po raz głaskała córkę po włosach, a Klaudia poddała się temu rytmowi. W końcu załkała ostatni raz i zasnęła, wtulona w matkę.

Rano obudziły się zdrętwiałe i spocone, więc dzień trzeba było zacząć od pospiesznego prysznica i potem wszystko robić w biegu, żeby zdążyć do szkoły.

– Jedno jest pewne – powiedziała mama, kiedy Klaudia wysiadała przed budynkiem liceum. – Pewnego dnia będziemy się z tego śmiały. Przeżyliśmy gorsze hece, pamiętasz?

– Pamiętam, mamo.

– No, to uszy i cycki do góry.

– Tak. Uszy do góry. Z cyckami różnie bywa. Pa, mamuś.

Wysiadłszy, Klaudia odetchnęła głęboko i rozejrzała się po parkingu. Dokoła niej spieszyli w różne strony opatuleni, zmarznięci ludzie. Niektórzy posapywali śmiesznie, inni chowali usta i nosy w szaliki. Nikt się nie uśmiechał, wszyscy wyglądali na niewyspanych i sfrustrowanych, że zaczyna się nowy dzień. Klaudia, nie bacząc na to, że zwraca na siebie uwagę, rozłożyła szeroko ramiona i wzięła głęboki wdech. Mroźne powietrze rozjaśniło jej umysł. Wreszcie poczuła to, na co czekała od tak dawna: ten jedyny w swoim rodzaju rodzaj nieśmiałego szczęścia, które można było chyba nazwać odzyskaną wolnością.

Wieczorem zamieściła na blogu przepis na ciasteczka anyżowe z białą czekoladą – czyli coś, co kompletnie nie pasowało do jej zasad żywieniowych. Miała ochotę złamać kilka reguł, zrobić coś bardzo niegrzecznego, lecz ostatecznie przy pieczeniu ciasteczek uszła z niej cała para. Kładąc się spać, Klaudia nie czuła już ani odrobiny wcześniejszej radości.

Ewa była zdenerwowana do granic. Nie dość, że omal się nie spóźniła do pracy, bo pocieszając Klaudię, zasnęła w jej łóżku i rano wyglądała jak rozczapierzona miotła, nie dość, że teraz bolał ją kark – od spania w niewygodnym skrucie, to jeszcze cała była opuchnięta i wyglądała na ciężko chorą. Akurat w tym dniu, kiedy przypadała wywiadówka i kiedy ona miała nadzieję na rozmowę z Andrzejem.

W szkole będzie nam łatwiej, przekonywała samą siebie. Ani on, ani ja nie poddamy się emocjom. To był błąd, umawiać się u mnie w mieszkaniu, gdzie już

sam fakt, że siedzimy obok siebie na sofie, miał jakiś podtekst. Teraz będzie inaczej, spotkamy się na neutralnym gruncie i porozmawiamy jak dorośli ludzie.

Nie była gotowa niczego Andrzejowi obiecać – a już na pewno nie tego, że tak z dnia na dzień rozstanie się z Jimem, oczekiwała jednak zapewnień o miłości i całkowitej wierności. Słowa Żanety Wójcik o tym, że podejrzewa męża o romans, zraniły Ewę bardziej, niż sama przed sobą się do tego przyznawała.

Właściwie nie wierzyła w zdradę Andrzeja; przecież gdyby kogoś miał, nie błagałby jej o wybaczenie. Po co by mu było kajanie się, te wszystkie przeprosiny, niemęskie łzy i upokarzające wyznania? A jednak ziarno niepokoju zostało zasiane i teraz Ewa czekała na zebranie cała w nerwach. Nie mogła się skupić na sprawdzaniu dyktand, poszła więc do pokoju nauczycielskiego, włączyła komputer i zaczęła przeglądać strony internetowe w poszukiwaniu gier dydaktycznych z języka polskiego. Ale i to nie zaabsorbowało jej na tyle, by przestała myśleć o Andrzeju. W końcu się poddała. Wróciła do klasy, usiadła przy biurku, zamknęła oczy i pogrążyła się we wspomnieniach.

Dwie godziny później pożegnała się z ostatnim z rodziców, który jeszcze chwilę zamarudził przy wpłacaniu zaliczki na wycieczkę. Wysłuchawszy opowieści o tym, że Dominika Lesik dojrzewa, że pyskuje w domu i nie szanuje rodziców, Ewa opadła ciężko na krzesło i znów zamknęła oczy – tym razem jednak nie po to, by powspominać pierwsze randki z Andrzejem, lecz żeby się uspokoić.

Nie przyszedł. Po prostu nie mogła w to uwierzyć. Ona cały dzień zerka do lustra, poprawia makijaż, martwi się cieniami pod oczyma i spuchniętymi powiekami – a on po prostu nie przychodzi?!

Teoretycznie mogło się coś stać. Coś ze Sławkiem, z Żanetą Wójcik i jej ciążą albo wreszcie z samym Andrzejem. Teoretycznie. Bo Ewie jakoś nie chciało się wierzyć, że akurat dziś i że to „coś” było tak pilne, tak absorbujące, że Andrzej nie zadzwoniłby albo nie zaesemesował, żeby uprzedzić: nie przyjdę, widzimy się na konsultacjach w piątek. Albo coś w tym rodzaju.

Przecież dotychczas odliczał dni do tych wywiadówek, czekał na nie, bo to były ostatnio jedyne ich spotkania. Nawet w tym okropnym okresie, kiedy Ewa nie chciała go widzieć, kiedy czuła się tak bardzo zdradzona i wykorzystana – nawet wówczas błagał, aby wolno mu było przyjść na zebranie i tylko na nią patrzeć.

Ona też czekała. Niby nie pozwalała, złościła się, prosiła, żeby zastąpiła go matka Sławka – ale przecież prawda była taka, że z drzeniem serca wyczekiwała tych dni, kiedy wielka sylwetka Andrzeja zamajaczy jej na korytarzu. Zawsze zbliżał się spokojnym krokiem, tym swoim głębokim głosem witał się z Ewą i rodzicami, po czym siadał w ostatnim rzędzie, skąd wpatrywał się w nią płonąącym wzrokiem.

Chyba każda kobieta pragnęłaby być tak adorowana, podziwiana i kochana,

jak czuła się Ewa podczas tych zebrań. A teraz – właśnie teraz, kiedy pojawiła się w ich popekanym związku jakaś nadzieja na „sklejenie” wszystkich tych elementów, które roztrzaskały pod niszczycielskim obcasem Żanety – Andrzej zaczynał się wycofywać.

Ewa wyszła z niemal pustej szkoły i wsiadła do samochodu. Uruchomiła silnik, żeby rozgrzać dłonie, ale nie ruszała jeszcze przez długą chwilę. Może głupio, naiwnie czekała, że Andrzej podjedzie zaraz na parking z piskiem opon, wysiadzie zdenerwowany, zrozpaczony, że się spóźnił, pogna na trzecie piętro i właśnie kiedy będzie jej gorączkowo szukał, zaglądał do wszystkich klas i do pustego już pokoju nauczycielskiego, ona wyjdzie mu na spotkanie i spokojnie powie... Nie wiedziała, co miałyby powiedzieć, ale to nie było istotne – ważny był jedynie ciąg dalszy, bo prędzej czy później padliby sobie w ramiona, wszystko zostałoby wyjaśnione i wybaczone, Żaneta Wójcik wyjechałaby do tej swojej Anglii, Sławek pogodziłby się z tym, że w życiu taty pojawiła się nowa kobieta, i wszyscy żyliby sobie długo i szczęśliwie, amen.

– Szczęśliwie, gówno prawda! – prychnęła Ewa, rozcierając ręce i ruszając wreszcie z parkingu. – Słusznie mówią, że życie jest jak papier toaletowy: długie, szare i do dupy. A zresztą, nawet z tą długością różnie bywa. Bo ten szary to się akurat dość łatwo rwie, i to dokładnie w tym momencie, gdy człowiek potrzebuje naprawdę sporego kawałka.

Kiedy dojeżdżała do domu, w jej torebce rozdzwonił się telefon. Miała jeszcze głupią nadzieję, że to Andrzej, ale dzwonił oczywiście Jim. Odebrała z niewesołą konstatacją, że z braku laku dobry kit.

– Wracaś? – zapytał Walijczyk. – Wracaś już do domu? Bo ja mam dla ciebie niespodziankę.

– Wracam, Jimmy, ale jestem półżywa. To chyba nie jest dobry moment.

– Ale ty się ucieszysz. Ty i Klaudia się ucieszysz.

– Znowu zmiękczasz wszystko, co się da. Chyba jesteś podekscytowany.

– No jestem, właśnie jestem – wymówił bardzo starannie.

– Nie, tym razem „właśnie”, przez ś, wariacie.

– Never mind. Przijadę.

Rozłączył się. Ewa z westchnieniem wysiadła z auta i wszedłszy do domu, udała się do kuchni, żeby skontrolować stan zapasów w lodówce. Trzeba będzie coś przygotować na kolację. Chyba że poprzestaną na czerwonym winie, które kupiła ostatnio, bo miało piękną, elegancką butelkę. W takich butelkach przechowywała później nalewki.

Na durszlaku znalazła umyty i już odsączony szpinak – widocznie Klaudia zamierzała coś przyrządzić.

– Klauduś! – zawołała. – Na co ten szpinak? Co będziesz pichcić?

Nie było odpowiedzi, więc Ewa poszła na górę i zajrzała do pokoju córki. Na tapczanie leżały porozrzucane byle jak bluzki, a na podłodze – dżinsy. Ewa zajrzała jeszcze do łazienki – no tak, najwyraźniej ktoś tu się malował w wielkim pośpiechu, bo na szafce zostały otwarte cienie do powiek i krzywo zakręcony tusz.

– Dostaniesz łomot, jak wrócisz – powiedziała Ewa, po czym zaśmiała się z tych słów.

Już chciała zejść po telefon i zadzwonić do Klaudii, kiedy na drzwiach swojego pokoju dostrzegła przyklejoną byle jak karteczkę: *Mamus, randka. Wróć późno. Cohen wybiegany. Przeprós Jima, napisałam mu SMS, że dziś nie mamy konwersacji.*

Serce Ewy zabiło gwałtowniej. Inne matki pewnie się cieszą, kiedy ich dziecko informuje je o randkach. Ona za każdym razem czuła ścisk w dołku – z kim ta randka? I czy znowu w jakimś klubie, gdzie wyuzdane lesbijki i geje ocierają się o siebie?

– Ulegasz stereotypom – powiedziała Ewa do swojego odbicia, gdy znów znalazła się w łazience i zaczęła zmywać nieświeży makijaż. – Masz w głowie te wszystkie ohydne obrazki z parad równości. A przecież oni są tam w przebraniach, grają jakąś głupią rolę, niczym na balu kostiumowym. Na co dzień większość z nich to tacy sami wrażliwcy jak twoja córka. Marzący o miłości, zmagający się z samotnością i bojący się świata.

Rozprowadziła mleczko kosmetyczne po policzkach i czole, po czym starannie usunęła je wacikiem. Potem opłukała twarz i odkręciła buteleczkę toniku.

– A poza tym – rzekła już pewniejszym tonem – te inne matki muszą umierać ze strachu, że córka wróci z którejś randki z brzuchem. A ja nie muszę, ha, ha, ha.

Potem zeszła na dół i przed przyjazdem Jima zdążyła zmiksować szpinak, dodać do niego śmietany i majonezu, a następnie doprawić czosnkiem, ziołami i solą. Pokroiła jeszcze w słupki marchewkę i seler. Będziemy mieli zdrową kolację, pomyślała, trochę w stylu tej jego francuskiej byłej żony.

– Zadzwoniła Lucy – powiedział Jim, kiedy już wyściskał Ewę na powitanie, zupełnie jakby nie widzieli się od wielu tygodni. – Ona bardzo polubiła twoją Klaudię i szukała dla niej pracy, ty wiesz.

– Pracy? Ale przecież Klaudia chce studiować... – Ewa wyraziła zdziwienie, chrupiąc marchewkę umoczoną w sosie szpinakowym.

Jim sięgnął po kawałek selera.

– Ty nie masz chleba? – zapytał. – Bo ten sos jest taki dobry, bardzo dobry.

– Mam chleb, Jim, zaraz ci ukroję. Chcesz z masłem?

– Tak, z masłem i sos. Ja zrobię sobie.

– Jasne, że zrobisz – mruknęła pod nosem. – Jeszcze tego brakuje, żeby cię

obsługiwała, jak kiedyś szanownego małżonka.

– Co ty mówisz, Ewa?

– Nic, nic. Nie zmiękczej.

– Kiedy ja się staram, to mi wychodzi dobrze, wyraźnie – wyjaśnił. – Ale wtedy zapominam słowa.

– Wiem. Masz tutaj chleb, posmaruj sobie, czym tam chcesz.

Postawiła przed nim maselnickę, pastę szpinakową, słoik z ogórkami kiszonymi i resztę smarowidła z ciecioriki i czosnku, które zostało z poprzedniego dnia. Jim był wniebowzięty. Zrobił sobie od razu trzy kanapki, każdą inną.

– Już ci mówiłem kiedyś – powiedział z pełnymi ustami. – My mamy niedobry chleb w Wales. Polski chleb jest lepszy.

– *À propos* Walii, co to za praca? Wspomniałeś o Lucy i pracy.

Najpierw dokończył jedzenie, potem popił herbatą; najwyraźniej sprawiało mu przyjemność trzymanie Ewy w niepewności.

– Lucy zawsze chce mieć własny pensjon – wyjaśnił wreszcie.

– Zawsze chciała mieć pensjonat? – upewniła się.

– Tak. A Klaudia chce mieć leczenie otyłość.

– Tak, marzy jej się taka klinika. I co z tego?

– Nie rozumiesz? One mogą razem pracować. One mogą tam mieć pensjon i potem zrobić klinikę.

Ewa roześmiała się z przymusem.

– Jimmy, gdyby to było takie proste... My nie jesteśmy bogate. Teraz, po rozwodzie, to ja ledwo przędę z tej mojej nauczycielskiej pensyjki. Klaudia oczywiście ma alimenty od ojca, ale przecież musi się usamodzielić. Nie wątpię, że tata zechce jej pomóc, ale to chyba jednak ogromne pieniądze, taki pensjonat.

– Nie musi być od razu pensjon – wyjaśnił Walijczyk, dobierając jeszcze ogórka ze słoika. – Najpierw ludzie pracują w barach, potem mają swoje bary, a potem swoją pensjon. Ludzie tak dochodzą do marzenia.

– Wiesz co? – westchnęła Ewa. – Napijemy się. Jak się napijesz, to przestaniesz sądzić takie koszmarnie błędy językowe. Albo ja przestanę na nie zwracać uwagę. Co w sumie na jedno wychodzi.

Wypili niemal całą butelkę wina i wówczas Ewa rozrzewniła się nieco, ponieważ uświadomiła sobie, że Andrzej prawdopodobnie je teraz kolację z inną kobietą. Jim usiłował ją pocieszyć, ale odsuwała go łagodnie, aż wreszcie nie wytrzymała i powiedziała:

– Jim, chyba nie rozumiesz. Ja nie chcę, żebyś mnie całował. Już nie.

– Nie? – powtórzył smutno. – Ty wolisz Anzieja? Chociaż on mówi nieprawdę?

– Nie chodzi o to, czy wolę, czy nie wolę. Po prostu... to nie jest w porządku wobec ciebie. Nie czuję tego, co byś chciał, żebym czuła.

– Ale jak ty moiesz wiedzieć, co ja bym chciał? – Tłumaczył jej łagodnie. – Mozie ja bym chciał tylko odrobina czułości. Mozie odrobina ciepła, co, Ewa?

– Mozie tak. – Nieświadomie przeszła na jego styl. – Ale to nie jest szczere, Jimmy. Ja cały czas udaję. Szukam w twoich ramionach czegoś, czego tam nie ma.

– Czyli jednak Anzieja?

– Anzieja – potwierdziła.

Milczeli przez chwilę, z kieliszkami purpurowego trunku w dłoniach. Z odtwarzacza dobiegały dźwięki *Czterech pór roku* Vivaldiego, które Ewa lubiła sobie włączać wieczorami, żeby się wyciszyć. Do czerwonego wina pasowały idealnie.

– Przepraszam, Jimmy – dodała jeszcze. – Naprawdę próbowałam.

– On wrócił? – zapytał krótko. – Przeprosił i ty wybaczyłaś?

Zaskakujące, jak twardo wymówił teraz wszystkie głoski. Ani śladu zmiękczenia.

– Wręcz przeciwnie – odparła Ewa. – Wszystko wskazuje na to, że ma kogoś innego... Że jakoś się zdołał pocieszyć.

– To dlaczego? Dlaczego?

– Po prostu dlatego, że na to nie zasługujesz. Jesteś cudownym, zabawnym facetem, Jim. Tyle kobiet szuka właśnie ciebie, dokładnie kogoś takiego jak ty... A ja nie szukam. Ja już znalazłam swojego mężczyznę, tyle że nam nie wyszło. Ale nie da się w taki prosty sposób zabiżnić tamtej rany, wypełnić pustki kimś innym, choćby to był najcudowniejszy Walińczyk pod słońcem. Nie gniewaj się, to zwyczajnie nie działa.

Jim pokiwał głową i odstawił kieliszek. Nie dopił wina. Może mu nie smakowało.

– Ja rozumiem – powiedział. – Teraz będzie trudno. Ty przychodzisz na zajęcia, ja będę ciebie często widział.

– Jeśli chcesz, jeśli ci to pomoże, mogę zrezygnować z kursu.

– Nie! – zapewnił szybko. – Ja nie chcę tego powiedzieć. Tylko ja nie będę umiał się zachowywać.

Ewa niezupełnie rozumiała, co Jim właściwie chciał przez to powiedzieć, ale nie drażyła tematu. Poczwała ulgę, gdy uświadomiła sobie, że właśnie wybrnęła z czegoś, co od kilku tygodni odbierało jej spokój. Człowiek musi być w zgodzie z sobą samym, pomyślała. W przeciwnym razie miota się i męczy. To jakiś koszmar. Co w takim razie musiała przeżywać ta nieszczęsna żona Andrzeja? Co musiał przeżywać Mirek, tkwiąc w małżeństwie dla przyzwoitości, choć od dawna kochał już Tatianę?

Ewa po raz pierwszy znalazła się w sytuacji, kiedy musiała wybrać między prawdą, która kogoś zrani, a kłamstwem, które przynajmniej pozornie zapewnia spokój. Po raz pierwszy także świadomie wydała wyrok – miłość Jima została

skazana na ucięcie łba, a w zamian... w zamian było wielkie nic. Wielka niewiadoma.

Klaudia z zapartym tchem obserwowała Ankę, która przymierzała czerwoną sukienkę. Miała na sobie czarną bieliznę. Klaudia usiłowała odwrócić wzrok, ale jej spojrzenie padło na odbicie Szajby w lustrze – drobnutkie piersi pod koronkowym biustonoszem, wystające żebra i prostokątne ramiona z ostrą linią obojczyka niczym u modelki.

– Ty nie za mało jesz? – zapytała, żeby zacząć myśleć o czymś przyziemnym, nie o tym, co by zrobiła, gdyby było jej wolno; jak całowałyby te chude obojczyki i kości biodrowe.

– A gdzie tam, za mało! – prychnęła Anka. – Przecież widziałas, ile potrafię w siebie wpakować. Po prostu mam takie geny. Mama miała bardzo szczupłą sylwetkę. Arek też jest chyba dość kościsty, co? – Dała Klaudii kuksańca i mrugnęła porozumiewawczo. – Nie masz czasem siniaków po seksie?

Klaudia uśmiechnęła się z przymusem. Zastanawiała się, czy to dobry moment, żeby powiedzieć Szajbie, że między nią a Arkiem wszystko się skończyło.

Szczerze mówiąc, kiedy Anka zadzwoniła i prosiła o spotkanie, Klaudia była pewna, że tamta już wie o zerwaniu i że właśnie o tym chce pogadać. Może przekonywać, że należy dać chłopakowi szansę, a może po prostu zapytać, dlaczego. Tak czy owak, Klaudia szykowała się cała w nerwach i choć -myślała o tym jak o randce, w głębi duszy była przekonana, że to pierwsze i ostatnie takie spotkanie z Szajbą.

Tymczasem okazało się, że sprawa jest bardzo przyziemna: jakaś kuzynka z Podbeskidzia wychodzi za mąż, Szajba jedzie na wesele, a nie ma sukienki. Potrzebuje pomocy, bo jeśli pójdzie za zakupy sama, to skończy się na tym, że jak zwykle kupi kieckę do ziemi, a do tego dobierze jakieś indyjskie naszyjniki albo bransolety lub po prostu pojedzie na ślub ubrana w tunikę w kwiaty i sztruksy dzwony.

– Ty jakoś tak potrafisz wszystko dobrać – powiedziała Anka, kiedy spotkały się na przystanku i wyjaśniła Klaudii swoją prośbę. – Niby modnie, a ponadczasowo, niby młodzieżowo, a elegancko.

Klaudia przyjęła komplement z zadowoleniem. Rzeczywiście ubierała się inaczej niż większość jej rówieśniczek. Nie nosiła bluz z kapturem i z idiotycznymi kolorowymi napisami, nigdy w życiu nie założyłaby celowo podziurawionych spodni, a legginsy akceptowała tylko jako odzież treningową. Natomiast uwielbiała luźne bluzki koszulowe lub pomysłowe tuniki do rurek i wysokich obcasów, odważne kolorystycznie sukienki o ciekawym kroju, zwariowane swetry, które

nazywała „artystycznymi”, i dodatki. W dodatkach kryła się tajemnica stylu, tak uważała.

Kiedy przeszły się po sklepach w pasażu handlowym, bardzo szybko wyluskała z wieszaków czerwoną sukienkę dla Szajby. Była uszyta z lejącego materiału, niezbyt krótka, tuż przed kolano. Z przodu pozbawiona dekoltu, natomiast mocno wycięta na plecach.

– Chcesz kogoś poderwać i zaciągnąć do łóżka na tym weselu? – zapytała teraz Klaudia, oceniając, jak sukienka leży na szczupłej sylwetce Anki. – Bo jeśli taki jest plan, to na sto procent się powiedzie. Wyglądasz jak bogini seksu.

– Nie mówię tak, nie mówię nie – odparła Szajba beztrąsko. – Jestem wolna i bezpruderyjna. Jeśli któryś z braci albo kuzynów pana młodego wpadnie mi w oko... Kto wie?

Klaudię aż zakłuło w sercu z zazdrości.

– Tak lekko do tego podchodzisz? – zapytała, udając, że w gruncie rzeczy niewiele ją to obchodzi.

Anka parsknęła śmiechem.

– Aż tak lekko to może nie – odparła. – Ale też nie jakoś śmiertelnie poważnie. Spójrz na mnie, brać tę kieckę czy nie brać? – Okręciła się wokół własnej osi.

Materiał uniósł się, ukazując jej zbyt szczupłe uda i wystające kolana. Klaudia poczuła nagłe wzruszenie.

– Brać – powiedziała szorstko, żeby ukryć emocje. – Teraz tylko dodatki, buty, torebka i gotowe.

– Buty mam – mówiła Szajba, kiedy skierowały się do kasy. – Czarne czółenka, nie jakaś wysoka szpila, bo pewnie bym się zabiła, ale całkiem zgrabne. Jeszcze ze studniówki. Torebka też się znajdzie. Tylko z dodatkami musisz mi pomóc. Co pasuje do moich dredów?

– Do dredów to nic nie pasuje. – Klaudia się roześmiała. – A już na pewno nie czółenka i taka kiecka. Ale jeśli zwiniesz je i upniesz wysoko, wiesz, taki węzeł czy kok, to powinno być okej.

– Chyba wiem, o co ci chodzi. Coś *à la* Nefretete.

– Właśnie. A przy takim uczesaniu potrzebujesz długich kolczyków. Do tej sukienki nie pasuje żaden naszyjnik, ona gra plecami, a nie dekoltem, więc jedynie kolczyki się nadadzą. Ewentualnie bransoleta, ale przeszkadzałyby ci w tańcu.

– W takim razie chodźmy poszukać czegoś w sklepach z tanią biżuterią. Na nic drogiego nie mam kasy.

– A kto mówi o czymś droгим? W sklepach z tanioczą można znaleźć niesamowicie pomysłowe dodatki.

Ostatecznie zdecydowały się na czarne kolczyki koła z motywem drzewa w środku, niezbyt strojne, ale jednak fantazyjne; Klaudia uznała, że do natury Anki i

jej dredów nie pasuje tradycyjna biżuteria.

– Wyglądają fantastycznie. – Szajba ucałowała Klaudię w policzek. – Dzięki! Gdyby nie twoja pomoc, nigdy bym nic nie wybrała. Jak ty to robisz, że w zalewie tandety umiesz wyszukać takie perełki?

– Mama zawsze mi powtarza, że powinnam być stylistką. – Klaudia uśmiechnęła się z zadowoleniem. – Ale chyba jednak zostanę przy dietetyce i fitnessie.

– Przecież możesz to połączyć. Mogłabyś być stylistką gwiazd, która jednocześnie planuje im treningi i dietę. Taka kompleksowa obsługa.

– Nie chciałabym pracować z gwiazdami – prychnęła Klaudia. – Interesują mnie zwykli ludzie.

– Każda gwiazda była kiedyś zwykłym człowiekiem.

– No nie wiem... Kim Kardashian chyba nigdy nie była.

– No dobra, są wyjątki. – Szajba się zaśmiała. – Ale ty mogłabyś właśnie pracować ze zwykłymi dziewczynami i robić z nich gwiazdy.

Zapłaciła, wzięła paragon od sprzedawczyni i odwróciła się w stronę Klaudii.

– To teraz pora na deser – powiedziała. – Zapraszam cię na coś pysznego.

– Czyli co? Lody? – zapytała Klaudia, choć wiedziała, że to niemożliwe, skoro Anka była weganką.

– Zaraz tam lody! Sałatka owocowa...

Szajba urwała. Z uśmiechem na ustach przyglądała się komuś, kto najwyraźniej znajdował się za plecami jej rozmówczyni. Zanim Klaudia zdążyła się odwrócić, poczuła na twarzy dotyk czyichś dłoni. Ten ktoś zasłonił jej oczy i zbliżył usta do ucha. Jeszcze nim się odezwał, Klaudia wiedziała: to była Paula.

– Zgadnij kto – szepnęła Paula i namiętnie pocałowała Klaudię w szyję.

Dziewczynie zrobiło się gorąco. Zaczerwieniła się i spociła, zaczęły jej się trząść ręce. Nie sposób było udać, że to zwyczajne spotkanie z dawno niewidzianą koleżanką. Anka na pewno to zauważy.

– Nie odzywasz się od tygodni, ja usycham z tęsknoty, a ty już masz nową dziewczynę – dogadywała Paula niby wesoło, ale w rzeczywistości z jakimś jadem w głosie.

Klaudia rzuciła Szajbie spłoszone spojrzenie i uśmiechnęła się sztucznie. Postanowiła udawać, że to po prostu wygłupy.

– To siostra mojego przyjaciela, Ania – powiedziała, usiłując brzmieć bez troski, po czym zwróciła się do Szajby: – A to Paula, stara... znajoma.

Modliła się w duchu, żeby Paula poczuła się urażona i poszła sobie czym prędzej, a wówczas całą sprawę będzie można jakoś wytłumaczyć, obrócić w żart. Niestety, tamta objęła ją ramieniem i roześmiała się rubasznie.

– Znajoma, ładnie powiedziane. Ja bym dodała, że znamy się dość dogłębnie.

Ze szczegółami... – ściszyła głos – ...anatomicznymi.

Znów zaśmiała się paskudnie.

– Przystań się wygłupiać – wydusiła Klaudia przez zaciśnięte gardło i strąciła jej rękę z ramienia.

Wiedziała już, że nie uda jej się tego zbagatelizować, wytłumaczyć Ance, że to tylko żarty. Szajba patrzyła na nią szeroko otwartymi oczami, a Paula najwyraźniej zdała sobie sprawę, co się dzieje.

– Nie wiedziałaś? – Zwróciła się do Szajby. – Myślałaś, że jesteś jej pierwszą miłością? A, to w takim razie przepraszam. Zresztą, może jesteś. Ze mną pewnie chodziło tylko o seks, sądząc po tym, jak szybko się zwinęła.

Klaudia rozejrzała się z rozpaczą. Stały w pasażu, mijaly je dziesiątki ludzi; o ile objęcie ramieniem czy całus mogły uchodzić za zwykłe przyjacielskie gesty, o tyle rozmowa o seksie lesbijskim w takim miejscu była ryzykowna. Klaudia panicznie się bała, że ktoś usłyszy słowa Pauli.

– Zostaw mnie! – powiedziała zduszonym szeptem. – Nie rozumiesz? To była pomyłka. A teraz idź stąd i nigdy więcej mnie nie zaczepiaj.

Pociągnęła Szajbę za rękaw i zaczęła uciekać.

– Co było pomyłką?! – zawołała za nią Paula. – Ty i ja? Czy może sama ty? Co nazywasz pomyłką?!

Klaudia biegła, początkowo ściskając w garści rękaw kurtki Anki, a potem, kiedy tamta się wyrwała, uciekała nadal, byle dalej, byle ukryć się przed głosem swojej dawnej dziewczyny. Wreszcie wbiegła do Empiku i schowała się między półkami.

– Co to było? – wydyszała Anka, kiedy znalazła ją tam po chwili. – Możesz mi to jakoś wytłumaczyć?

Klaudia się rozplakała. Chciała przytulić się do Szajby, ale tamta odsunęła się z takim wyrazem twarzy, jakby dotknęła robaka.

– Wytłumaczę, ale nie tutaj – wychlipała Klaudia. – Chodźmy gdzieś, gdzie nikt nas nie usłyszy. Nie umiem o tym mówić tak... tak jak Paula.

– O czym nie umiesz mówić? – wyszeptala z niedowierzaniem Anka. – O czym ty, do ciężkiej kurwicy, nie umiesz mówić?!

– Dlaczego przeklinasz? Nigdy nie przeklinałaś.

– Bo jestem przerażona. Klaudia, co się dzieje?!

Wyszły z Empiku, Klaudia wciąż zapłakana, a Anka z dzikim wyrazem twarzy; obie jednakowo budzące niezdrawe zainteresowanie innych klientów. Wreszcie Klaudia znalazła plastikowe ławki na końcu alejki, tuż obok sklepu z drogimi zegarkami.

– Usiądziemy? – zaproponowała nieśmiało. – Chcę ci wszystko opowiedzieć.

– Nie wiem, czy chcę siadać. Tego się nie da krótko?

– Da się. Ale usiądź, proszę.

Anka usiadła, ale zachowała bezpieczny dystans, żeby ich kolana broń Boże się nie dotknęły. Klaudia uśmiechnęła się przez łzy. Zaczyna się, pomyślała. Już nie będę fajną koleżanką, która pomaga dobrać kieckę na wesele, teraz stanę się obrzydliwą, zбочoną lesbą.

– Jeśli myślisz, że dla mnie to wszystko jest łatwe, to się bardzo mylisz. – Zaczęła. – Nigdy nie było. Kiedy to zrozumiałam, próbowałam popełnić samobójstwo.

– Co zrozumiałaś? – zapytała Anka zimnym tonem.

– Że jestem lesbijką – odparła Klaudia, a tamta odsunęła się jeszcze o parę centymetrów. – Nie bój się, tym się nie można zarazić.

– Daruj sobie sarkazm – prychnęła Szajba. – Gównu mnie obchodzi twoja historia, bo rozumiem z niej tylko jedno: ktoś tu się zabawił kosztem mojego brata.

– Nieprawda, nie zabawiłam się.

– Nie?! A jak to nazwiesz?!

– Ania, zaczekaj – tłumaczyła Klaudia gorączkowo. – On się we mnie zakochał na pływalni. Nie znał mnie. Zakochał się w obrazku, który mu się spodobał, rozumiesz? W ładnym opakowaniu, zgrabnej sylwetce, czy ja wiem? Pewnego dnia zaczął mnie i powiedział, że przygląda mi się od sierpnia, że chciałby mnie zaprosić na herbatę, takie tam...

– I co? Nie mogłaś mu powiedzieć, że wolisz dziewczynki?!

– Próbowałam. Jakoś delikatnie. Mówiłam, że nic z tego nie będzie, że nie mogę mu dać tego, czego chce. Nie słuchał mnie...

– Trzeba było nazwać rzecz po imieniu. Gwarantuję, że spieprzałby, gdzie pieprz rośnie. W podskokach.

– Dlaczego? – Klaudia zdziwiła się smutno. – Czy to, że zakochuję się w dziewczynach, czyni ze mnie kogoś aż tak obrzydliwego? Złego? Jestem zagrożeniem, jakimś paskudztwem, jak choroba skórna? I to mówisz ty, osoba, która wierzy, że słowami i myślami można komuś zrobić krzywdę? Dlaczego tak cię oburza fakt, że ktoś urodził się inny, niż by chciał? Myślisz, że wymarzyłam sobie coś takiego? – Rozpląkała się znowu.

Anka milczała.

– Bardzo chciałam, żeby się okazało, że z tego można się wyleczyć – kontynuowała po chwili Klaudia. – Pomyślałam, że jeśli ktokolwiek mógłby ze mnie zrobić hetero, to jedynie Arek, z tą jego delikatnością, z tym najprawdziwszym pierwszym zakochaniem... Naprawdę się starałam. Ale nie zdołałam go -pokochoać. Nie umiem.

– Dlaczego mu o tym nie powiedziałaś? – W głosie Anki nie było już agresji, lecz ogromny żal.

– Bo wiedziałam, że zareaguje tak, jak ty przed chwilą. Bałam się.

– Więc mogłaś z nim zwyczajnie zerwać! – krzyknęła Szajba ze łzami w

oczach. – Nie wolno oszukiwać ludzi! On się pierwszy raz zakochał, szczerze, naiwnie, a ty go oszukujesz, przez cały czas kłamałaś...

– Zerwałam z nim. – Klaudia jej przerwała. – Nie powiedział ci?

Tamta tylko pokręciła głową. Przez chwilę obie popłakiwały, w końcu Anka wyciągnęła z torby chusteczki i jednocześnie wydmuchały nosy. W każdej innej sytuacji rozśmieszyłyby je to, ale teraz nie było im do śmiechu.

– Zwlekałam z tym, przyznaję – dodała jeszcze Klaudia. – Nie umiałam tego skończyć, bo... Bo się zakochałam. – Podniosła czerwone oczy i z rozpaczliwą odwagą spojrzała na Ankę. – Tylko niestety nie w nim.

Sporo trwało, zanim Szajba zrozumiała, co właściwie Klaudia ma na myśli. Na jej twarzy pojawił się wyraz zdumienia przemieszanego z obrzydzeniem. Klaudia opuściła wzrok. Było dokładnie tak, jak się spodziewała.

– A teraz już idź – powiedziała. – Myślę, że najlepiej będzie, jeśli skończymy naszą rozmowę w tym miejscu. Gdybyś mogła... Nie mów tego Arkowi. O moich uczuciach do ciebie. Proszę. Chyba lepiej, żeby nie wiedział.

Ukryła twarz w dłoniach, nie widziała więc nawet, czy Szajba pokiwała głową, czy może pokręciła nią przecząco. Zresztą to nie miało już znaczenia. Ważne było tylko to, że miejsce obok, gdzie jeszcze przed chwilą siedziała śliczna, drobna dziewczyna, teraz było puste. Klaudia czuła to, choć nadal nie otworzyła oczu.

Siedziała tam jeszcze długo, wyplakała na tej ławce całe rozczarowanie sobą i światem. Kiedy wróciła do domu, była już prawie zupełnie spokojna. Pieprzyć miłość, pieprzyć przyjaźń i dobrą energię. Zamierzała zdać maturę i uciec stąd – im dalej, tym lepiej. Zarobi dużo pieniędzy i będzie ją stać na wszystko. Na płatną miłość, jeśli będzie miała chęć na seks, i na luksusowy dom gdzieś na Zanzibarze.

Poprzysięgła sobie nigdy więcej się nie zakochać. I nie mieć marzeń. Otworzyła bloga i zamierzała o tym napisać, ale nie potrafiła. Pomyślała, że nie zostało jej już nic.

Kiedy zadzwoniła ciotka Bonnie, Lucy akurat wracała z pracy. To był wyjątkowo paskudny dzień: dwóch klientów się zalało, jeden z nich wszczął bójkę, a drugi zarzygał kontuar; szorując potem ręce, Lucy nie mogła się zdecydować, co było gorsze.

Chyba jednak sprzątanie wymiocin, postanowiła wreszcie, i właśnie wtedy w jej dzinsowej torebce rozdzwonił się telefon. Torebka została uszyta własnoręcznie, jak wiele innych dodatków i ciuchów. Lucy miała w sobie coś z hippiski. Nie lubiła wielkich sieciówek, nigdy nie kupowała żywności w supermarketach, ponadto uważała, że tylko jedzenie, które przypomina to, z czego powstało, jest coś warte.

Od kilku lat prowadziła bloga kulinarnego, na którym zamieszczała przepisy

na proste potrawy – na przykład marchewkę z groszkiem i masłem, jabłka zapiekane z rodzynkami czy śliwki pod kruszonką. Ponieważ kochała fotografię, okraszała swoje banalnie łatwe przepisy pięknymi, wysmakowanymi zdjęciami, a czytelnicy jej bloga odwiedzili się jej pochwalnymi komentarzami i setkami odwiedzin dziennie.

Lucy coraz częściej miała jednak wrażenie, że to wszystko nie tak. Nie o to jej chodziło. Prowadzenie bloga stanowiło zaledwie substytut tego, co się dziewczynie marzyło – założenia własnej knajpki, najchętniej z pensjonatem, gdzie zatrzymywaliby się turyści i ludzie z wielkich miast, spragnieni bliskości natury. Serwowałyby im proste, naturalne potrawy, zdrowe i pełne witamin, smaku i aromatu, a oni napawali się tą prostotą, spaliby w staromodnych, lekko trzeszczących łózkach, w chłodnej bawełnianej pościeli pachnącej suszoną lawendą, którą Lucy wkładałaby im pod poduszki. Już nawet kupiła lniane woreczki.

Pensjonat byłby z drewna. Kiedy Jim zabrał ją w polskie góry, Lucy zachwyciła się domami z bali. Właśnie taką chatę wymarzyła sobie na jednym z klifów. No, może niezupełnie na klifie, bo przecież żeby był ruch w interesie, musiałyby tam prowadzić uczęszczana droga – ale w każdym razie w miejscu, skąd widać morze. Bez morza Lucy nie wyobrażała -sobie życia.

Tak czy owak, kiedy zadzwoniła ciotka Bonnie, siostra Jima nie była w najlepszym nastroju. Mimo to grzecznie wysłuchała pełnego wykrzykników powitania i cierpliwie odpowiadała na pytania w stylu: co słyhać u brata, co tam widziała w tej Polsce, a czy to prawda, że Polacy to straszne pijaczyny i tak dalej.

– Wiesz, myślimy ze Stanleyem o czymś spokojnym na starość – powiedziała w końcu ciotka.

Wraz z wujaszkiem Stanleyem ciocia prowadziła w Swansea ogromny salon gier połączony z pubem. Zarabiali naprawdę niezłe pieniądze, ale oboje narzekali na tę robotę. Cóż, salony gier nie przyciągają najspokojniejszej klienteli.

– Pewnie, pora odpocząć – powiedziała Lucy ze zrozumieniem, choć nie bardzo wiedziała, po co ciotka zwierza jej się z takich planów.

– No i właśnie pomyśleliśmy o tobie, złotko. – Ciocia ciągnęła temat. – Zawsze mówiłaś o własnym hotelu albo pensjonacie... Więc może zechciałybyś wejść z nami w ten interes. Potrzebowalibyśmy jeszcze ze dwóch osób, tak na początek. Z biegiem czasu ocenimy, czy to wystarczy, najwyżej się jeszcze kogoś zatrudni. Planujemy przytulny hotelik, wiesz, domowa kuchnia, świeże powietrze, rowery i te sprawy.

Lucy milczała. Nie bardzo widziała siebie w roli kucharki w gospodarstwie, w którym stery dźwżyłaby ciotka Bonnie. Inne pokolenie, inne spojrzenie na świat. Poza tym – choć ciocia i wuj Stanley należeli do tych nielicznych członków rodziny, którzy nie udawali, że nie mają pojęcia o jej homoseksualizmie – Lucy

wciąż nosiła w sercu niezabliźnioną ranę z powodu reakcji większości krewnych na jej *coming out*. Uznała wówczas, że musi sobie radzić sama, a z rodziną będzie jedynie pozować do zdjęć. Teraz miałyby to zmienić?

– Przemyśl to, kochanie. My jesteśmy już starzy, mamy pieniądze, moglibyśmy zupełnie zwyczajnie przejść na emeryturę, ale nie chcemy przez resztę życia pierdzieć w fotele. – Ciocia słynęła w rodzinie z interesujących powiedzonek. – Chcemy spróbować czegoś nowego i cieszyć się tym. Ale sami nie damy rady, wiesz, jak to jest. Wszystkie te internety, e-maile, teraz ludzie chcą oglądać jakieś strony internetowe i nie rezerwują już pobytu telefonicznie. Potrzebujemy kogoś młodego, kto ogarnie sytuację od tej strony. W każdym razie zastanów się.

– Dobrze, ciociu. Przemyślę sprawę.

Tamtego wieczora Lucy wcale się nie zastanawiała – była tak zmęczona, że po powrocie do domu padła na łóżko i spała kamiennym snem aż do rana. Ale następnego dnia temat do niej wrócił i wracał tak jeszcze kilkakrotnie, za każdym razem odsłaniając nowe możliwości. W końcu zadzwoniła do Jima, żeby mu powiedzieć, co wymyśliła.

– Wiesz, że nie cierpię tej roboty w pubie – mówiła, jakby to jego musiała przekonać, a nie samą siebie. – A poza tym zawsze to jednak coś nowego. Czegoś się nauczę, zdobędę doświadczenie, będzie co napisać w CV.

– No jasne, mała.

– Ale wiesz, pomyślałam też o tej fajnej dziewczynie z Polski, córce twojej Ewy.

– Tak?

– Ona się rozgląda za pracą, a ja obiecałam jej, że popytam. Chce sobie zarobić na studia, a przy okazji przyjrzeć się, jak tu u nas jest. Może na początek taki hotelik by jej pasował?

– Może.

– Zapytasz, bracie?

– Zapytam, siostró. Chociaż w sumie mogłabyś sama jej o wszystkim opowiedzieć.

– Jeśli będzie zainteresowana, to oczywiście, że opowiem, ale najpierw niech się zastanowi, czy w ogóle chce w to wchodzić.

Jim milczał przez chwilę. Lucy wyobraziła go sobie, jak kiwa tą swoją kasztanową głową.

– Lucy?

– Słucham.

– Lubisz ją? Spodobała ci się?

Lucy zachnęła się i machnęła ręką, jakby opędzała się od komara, choć przecież Jim nie mógł tego widzieć.

– Daj spokój – powiedziała. – Myślisz, że wpada mi w oko każda ładna dziewczyna? Ja liżę rany po odejściu Keiry. Zresztą ta Klaudia jest strasznie smarkata.

– Ale dojrzała i mądra. Samotna, zagubiona lesbijka w kraju, w którym jest trzy razy więcej homofobów niż u nas.

– Lesbijka? Skąd wiesz, że jest lesbijką?

– Lucy, przecież spotykam się z jej matką. Po prostu wiem.

– Opowiedz mi – zażądała. – Sama się przyznała czy ją przyłapali?

Historia Klaudii wstrząsnęła nią i jednocześnie ją zafascynowała. Lucy usiłowała sobie to wszystko wyobrazić: jak Klaudia przez lata ukrywała przed matką zdradę ojca, coraz bardziej nienawidząc samej siebie, jak uciekła z domu, by popełnić samobójstwo i w ten sposób wymierzyć karę – sobie i właśnie ojcu, jak wreszcie dzięki determinacji matki i własnej schudła czterdzieści kilogramów. Czterdzieści! To wydawało się niemożliwe – ale Lucy nie miała powodów, by podejrzewać Jima o kłamstwo lub koloryzowanie.

Teraz rozumiała, skąd te marzenia Klaudii o studiowaniu dietetyki i założeniu kliniki leczenia otyłości. To bardzo śmiały plan, ale kiedy się pokonało takie trudności, człowiek ma prawo marzyć o czymś naprawdę wielkim. Lucy zastanawiała się, czy w jakiś sposób może pomóc tej sympatycznej Polce. Wydawało jej się, że praca u cioci Bonnie na początek jest niegłupim pomysłem. Ciotka i wujek wykładają pieniądze, wybierają lokalizację (wujek Stan podobno już nawet znalazł stary dworek do remontu – idealnie położony, bo z okien widać zatokę) – a ona, Lucy, miałaby tym wszystkim kręcić, teraz już myślała sobie po cichu, że początkowo z pomocą Klaudii; potem ewentualnie znalazłoby się kogoś na jej miejsce.

Spojrzała na zegar. Siedziała nad kubkiem czarnej jak smoła kawy, była niedziela, za wcześnie, żeby zadzwonić – o tej porze Klaudia mogła jeszcze spać. W gruncie rzeczy Lucy niewiele wiedziała o nowej znajomej: tylko tyle, ile tamta zdołała jej opowiedzieć podczas kolacji wigilijnej i potem krótkiej jazdy samochodem – że też prowadzi bloga, ale nie typowo kulinarnego, lecz z jadłospisami dla odchudzających się, że sporo ćwiczy i pływa, że w tym roku ma egzaminy, których nazwy Lucy nie zapamiętała... – no i właśnie o tych swoich marzeniach na przyszłość.

Ciekawe, czy Klaudia wiedziała, że rozmawia z lesbijką, pomyślała teraz Lucy. Pewnie nie, Jim był zawsze bardzo dyskretny, niby dlaczego miałby opowiadać nowym przyjaciółom w Polsce o sprawach łóżkowych swojej siostry.

A może jednak powiedział? Zresztą nieistotne. Interesujące jest natomiast, czy Klaudia lubi nieco rudawe blondynki z szopą loków na głowie? Czy podobają jej się piegowate nosy i niebieskie oczy o jasnych rzęsach?

Lucy nigdy – no dobrze, może poza najwcześniejszym okresem dojrzewania – specjalnie nie przejmowała się swoją urodą, zwłaszcza że tu, gdzie mieszkała, mnóstwo kobiet wyglądało właśnie tak: blada cera ze skłonnością do rumieńców, piegi, niebieskie oczy z jasną oprawą, splątane loki o rdzawym odcieniu. Teraz jednak, kiedy porównała swój wygląd z walorami Klaudii, poczuła się jak brzydkie kaczątko. Zwłaszcza że ostatnio się zaniedbywała, po rozstaniu z Keirą nie chciało jej się nawet prasować bluzek, więc ciągle chodziła na zmianę w dwóch swetrach i bluzie z polaru.

Odstawiła kubek po kawie do zlewu i poszła do łazienki, żeby umyć zęby.

– Nie wygłupiaj się – syknęła do swojego odbicia w lustrze. – Ta dziewczyna jest od ciebie młodsza o jakieś siedem lat, jeśli nie więcej. To jeszcze dziecko.

Byłam takim samym dzieckiem, kiedy odważyłam się odejść od rodziny, odpowiedział głos w jej głowie. Usamodzieliłam się i zaczęłam żyć na własny rachunek. Ona chce teraz zrobić to samo. Nawet jeśli ma wsparcie matki, nie czuje się odrzucona, nie przeżywa tego, co stało się moim udziałem... To i tak szuka własnej drogi. Dlaczego nie miałabym jej pomóc? Przynajmniej towarzyszyć w tych pierwszych miesiącach?

– Jesteś samotna, i tyle. – Lucy znów powiedziała to głośno. – A jak będziesz gadać sama do siebie, to wylądujesz w psychiatryku.

Kiedy wyszła z łazienki, wahała się przez chwilę, po czym wzięła do ręki komórkę. Znalazła numer Klaudii i napisała wiadomość: *Nie wiem, czy Jimmy przekazał: być może będę miała dla Ciebie pracę. Podaj mi adres e-mail, to napiszę coś więcej. Uściski, Lucy.* Po namyśle zmieniła końcówkę: *Pozdrowienia, Lucy z Walii.* Tak będzie lepiej.

Tatiana przeciągnęła się i z zadowoleniem spojrzała na zegarek. Była już siódma. Igor wciąż spał. A więc nadszedł wreszcie ten upragniony czas, kiedy jej dziecko doceniło przyjemności płynące ze snu. W ciągu ubiegłego roku bywały takie chwile, kiedy wyczerpanej matce wydawało się, że ta chwila nigdy nastąpi.

Teraz mogłaby wylegiwać się dłużej, ale już tego nie potrzebowała. Dzięki temu, że Mirek przejął nocne obowiązki przy małym, Tania karmiła wyłącznie za dnia, a to sprawiło, że czuła się po prostu wyspana. Wyspana – i szczęśliwa!

Na to ostatnie uczucie niewątpliwie miały wpływ również zrzucone ostatnio kilogramy oraz koniec z problemami trawiennymi. Tatiana nie wiedziała, jak to możliwe, ale fakt pozostawał faktem – dieta, którą opracowała dla niej Klaudia, działała. Brzuch przestał boleć, nie przelewało się w nim, nie burczało, poza tym Tania poprawiła się cera i – co najważniejsze – minęły bez śladu jej stany lękowe, ciągnęła ochota do płaczu i jakaś irracjonalna nerwowość. Nie mogła uwierzyć, że odpowiedzialne za to wszystko miałyby być chrupiące bułki, makaron czy zwykłe

kanapki – ale skoro Klaudia twierdziła, że owszem, że jelita są jak drugi mózg, a pszenica może wywierać aż tak zgubny wpływ na organizm, Tania wcale nie zamierzała tego kwestionować. Po prostu cieszyła się, że czuje się świetnie, i planowała kolejne zmiany w swoim życiu.

Jedną z nich był powrót do pracy. Trudności, które do tej pory stanowiły dla Tatiany mur nie do przebycia – fakt, że karmi piersią oraz brak opiekunki dla Igora – udało się rozwiązać już w pierwszym tygodniu po tym, jak odważyła się w ogóle rzucić ten pomysł. Mirek bez zbędnych dyskusji zaakceptował fakt, że Tania zacznie odstawiać synka od piersi, po czym razem ustalili treść ogłoszenia, które następnie zamieścili na portalu *niania.pl*. Ku zdumieniu Tatiany już następnego dnia zadzwoniły dwie osoby – Tania obie zaprosiła na rozmowę wieczorem, kiedy Mirek wróci z pracy, ponieważ chciała podjąć decyzję wspólnie z mężem.

Pierwsza przyszła młodzieńca dziewczyna, Karolina, nieco wyzywająco ubrana. Tania oczywiście wiedziała, że nie należy oceniać nikogo po pozorach. Czasem rozmyślała o tym, że -nigdy nie zaufałyby Klaudii, gdyby miała ją osądzić po wyglądzie – córka Mirka też nosiła niekiedy odważne stroje, no i ten agresywny makijaż. Ale Karolina wydała się Tani bardzo zdeterminowana – coś w stylu „zrobię wszystko, byleby jakikolwiek facet zwrócił na mnie uwagę”. Poza tym mówiła jakoś niedbale, niechlujnie – dla Tatiany język był narzędziem pracy, toteż zwracała nań baczną uwagę. Ktoś, komu nie chce się ładnie mówić, myślała, będzie leniwy także w innych sprawach – nie zapnie starannie pampersa, nie zadba o dopiętą kurteczkę na spacerze. Jednym słowem – oględziny pierwszej kandydatki nie wypadły pomyślnie. Na Mirku dziewczyna także nie wywarła pozytywnego wrażenia, choć nie umiał sprecyzować dlaczego.

Drugą okazała się kobieta około czterdziestki, dla odmiany ubrana aż nazbyt skromnie i nijako. Bez makijażu, z prostymi, szarymi włosami do ramion, o miłej twarzy. Przedstawiła się jako Hanna.

– Pani nie pracuje? – zapytał Mirek.

– Straciłam pracę przed dwoma laty – odparła. – Uczyłam w szkole podstawowej, ale nadszedł taki rok, kiedy dzieci było niewiele, organ prowadzący zdecydował o łączeniu klas, no i ktoś musiał stracić pracę. Padło na mnie.

– Dlaczego akurat na panią? – wtrąciła się Tania.

Wydawało jej się, że pracę w takich sytuacjach tracą najgorsi pracownicy, tak byłoby logicznie.

– Sporo przebywałam na zwolnieniach lekarskich – wyjaśniła tamta. – Córka chorowała, to było tuż po śmierci męża i nie miałam wyjścia, musiałam brać opiekę. A ponieważ uczyłam edukacji wczesnoszkolnej, był problem z zastępstwami.

– Przykro mi – szepnęła Tatiana. – Z powodu męża.

– Nie, to nic. – Pani Hanna machnęła ręką. – Zapił się na śmierć, wie pani.

Nie powinnam tego mówić, ale dla mnie -dopiero wtedy zaczęło się życie. Taka jest prawda. A teraz, kiedy córka przestała chorować, to już naprawdę... Gdybym tylko miała pracę, byłabym w siódmym niebie.

– A na co chorowała córka? – zapytał Mirek.

– To nie tak, że na coś konkretnego. Po prostu była wiecznie chora. Raz angina, zaraz potem płuca, za chwilę krtań. Ciągłe coś. Ale kiedy straciłam tę pracę, musiałyśmy się zamienić na mieszkania, nie dałabym rady utrzymać czteropokojowego, teraz mamy dwa maleńkie pokoje w bloku... I proszę sobie wyobrazić, że ona zupełnie przestała chorować. Okazało się, że w tamtym wielkim, pięknym mieszkaniu były jakieś zarodniki grzybów i pleśni, to ją uczulało...

– Stare budownictwo? – Mirek się upewnił.

Pani Hanna pokiwała głową. Tatiana poczuła sympatię do tej kobiety – o swoich problemach mówiła z jakąś pokorą i zarazem pogodnie, nie jak ktoś, kto szuka współczucia, lecz stwierdza fakt: bywa ciężko, ale przecież zawsze dajemy sobie radę. Mirek chyba miał podobne zdanie.

– Dziękujemy pani, odezwiemy się lada dzień – powiedział, ściskając jej dłoń na pożegnanie.

Kiedy wyszła, Tania spojrzała na męża i już wiedziała. To będzie pani Hanna. Ma wykształcenie pedagogiczne, doświadczenie w pracy z dziećmi, jest silna psychicznie, spokojna. Właśnie kogoś takiego szukali.

Tatiana przeciągnęła się ponownie i w końcu wstała z łóżka. Na palcach udała się do kuchni i zaparzyła kawę. Zaczynał się właśnie ostatni weekend jej wolności – od poniedziałku miała wrócić do tłumaczenia. Szef ucieszył się, kiedy zadzwoniła i zgłosiła gotowość do powrotu.

– Borys już nie nadążał – wyjaśnił. – Teraz jest jakiś szal z ukraińskim i rosyjskim, więcej zleceń niż kiedykolwiek.

Ustalili, że większość pracy będzie wykonywała zdalnie, jedynie obsługa spotkań biznesowych wymagała jej obecności. Najwspanialszą nowiną szef zachował na koniec – polecił ją w wydawnictwie, które podpisało licencję na wydanie dzieł skandalizującego rosyjskiego pisarza, Olega Berukowa. Tania była trochę podekscytowana, a trochę stremowana. Cieszyła się na nowe wyzwania i ten rodzaj satysfakcji, kiedy człowiek radzi sobie z zadaniem: pokonuje własne obawy, załatwia sprawę, doprowadza do szczęśliwego finału.

Oczywiście nie wszystkie zlecenia stanowiły wyzwanie, niekiedy było to nudne tłumaczenie jeszcze nudniejszych tekstów prawniczych, kontraktów czy nawet instrukcji. Ale przekładanie literatury stanowiło szczyt marzeń Tani. Jak dotąd, tylko raz dostała taką szansę – chodziła potem dumna jak paw, zwłaszcza że jej przekład okazał się naprawdę dobry i zgarnął kilka pochlebnych recenzji.

Początkowo martwiła się, czy potrafi się skupić na tyle, żeby solidnie

wykonywać swoją pracę, kiedy za ścianą Igor będzie spędzał czas z opiekunką. Na szczęście ten problem rozwiązał się sam – lokatorzy, którzy wynajmowali jej dawne mieszkanie na osiedlu Orła Białego, właśnie dali znać, że od lutego wyprowadzają się do Ostrowa. Nowych chętnych na razie nie było, tak więc mieszkanie będzie stało puste. Wystarczy wstawić tam biurko i komputer.

Mirek wyszedł z sypialni w samych bokserkach, zaspany i ze śladem od szwu poduszki na policzku. Wciąż był świetnie zbudowany, miał mocne, męskie uda i piękne ramiona. Tatiana przytuliła się do niego.

– Kawy? – szepnęła.

– Może być. – Zgodził się i położył ręce na jej talii. – Nie lubię tej koszulki.

Zdejmiemy ją?

– Dlaczego nie lubisz?

Koszulka była śliczna, w kolorze dojrzałych wiśni, z miękkiej bawełny.

Nie prześwituje, nawet kiedy stoisz przy oknie – wyjaśnił.

Tania się roześmiała. Nalała mężowi kawy z ekspresu i zaniósła do salonu.

– Dzisiaj koło południa ma przyjść pani Hanna – powiedziała. – Niech się trochę rozejrzy, muszę jej wszystko pokazać, no i przede wszystkim powinni się z Igorkiem poznać.

– Jutro też?

– Oczywiście, jutro też przyjdzie. Ale wtedy może zostawimy ich na godzinkę samych, jak myślisz?

– Jasne. Nawet na dwie godzinki. – Mirek mrugnął porozumiewawczo. – Mam już pomysł, co moglibyśmy wówczas robić.

Tania odpowiedziała uśmiechem. Czasy, kiedy miała ochotę ciągle warczeć na męża, a o seksie nie mogła nawet myśleć, wydały jej się teraz bardzo odległe. Życie było przecież pełne pokus i przyjemności – wystarczyło wyciągnąć rękę, żeby cieszyć się jego wszystkimi urokami.

Kiedy w pokoju na górze odezwał się Igor, poszli do niego oboje. Wycalowali pachnące paluszki i pięty, potem Mirek przewinął małego, a Tatiana usiadła w fotelu, żeby go nakarmić. Uśmiechnęła się do synka, który w zabawny sposób objął jej pierś obiema rączkami.

– Będzie dobrze – zapewniła go szeptem. – Oboje zasługujemy na niewielką odmianę.

Andrzej trochę panikował. Wprawdzie pani Alina uparcie twierdziła, że nic jej nie jest, on jednak wciąż miał w pamięci chorobę matki. Nie było go wtedy w Polsce; z pełnych niepokoju telefonów Żanety dowiadywał się, że mama znów nie ma apetytu, że nie śpi po nocach, parzy sobie ziółka i przykłada do brzucha termofor. Niby nic wielkiego, po prostu z dnia na dzień Aniela Wójcik stawała się

coraz słabsza, jakby ktoś za mocno nakręcił w niej zegar życia i ten zaczął gnać jak szalony. Pani Wójcik starzała się za szybko. Aż pewnego dnia – sprężyna pękła, zanim Andrzej zdążył przyjechać i ostatni raz z mamą porozmawiać, oswoić się z jej odchodzeniem, zgodzić się na nie i przynajmniej towarzyszyć jej w tych ostatnich chwilach.

Teraz Andrzej obawiał się, że pani Alina może lekceważyć złe samopoczucie podobnie, jak robiła to wówczas matka. Raz i drugi podczas lekcji gotowania usiadła na krześle z wyraźnym grymasem bólu, trzymając się za brzuch. Andrzej natychmiast chciał ją wieźć do lekarza, ale za każdym razem stanowczo odmawiała, odganiając go ręką niczym natrętną muchę. Powtarzała, że to tylko wątroba jej dokucza, bo je teraz znacznie więcej niż kiedykolwiek, wciąż przecież coś pichcą, a to karkówka, a to ciasta, rozmaite karpaczki i metrowce. Andrzej kupuje te wszystkie pyszności, Sławuś aż przebiera nogami, żeby spróbować, to i ona objada się ponad miarę.

– Ale pani Alinko, jakie objadanie – protestował. – Pani ledwie skubnie, czy nie za słone nam wyszło, czy na pewno dobre. Wszystko pochłaniamy my dwaj.

– A żonie smakowało? – Sprytnie zmieniła temat pani Alina. – Wiesz, te paszteciki, cośmy ostatnio piekli?

Rzeczywiście, jakiś czas temu Andrzej (pod czujnym okiem pani Aliny) upiekł paszteciki z ciasta twarogowego. W środku był farsz z pieczarek i cebuli, a że wyszło tego o wiele za dużo dla ich trójki (Sławek asystował przy pieczeniu i degustacji), pani Alina zaproponowała, żeby „chłopcy” zabrali trochę dla ciężarnej mamy. Widząc rozradowane spojrzenie Sławka, Andrzej nie miał odwagi powiedzieć, że Żanecie pewnie nie posmakują takie wypieki. Udając entuzjazm, zapakował w papier śniadaniowy sporą porcję, którą żona – ku jego zdziwieniu i radości syna – zjadła z apetytem.

– Smakowało – przyznał teraz ze śmiechem. – Ale niech pani nie odwraca kota ogonem. Skoro pani tak szkodzą te nasze lekcje gotowania i wspólne uczyty, pora z nimi skończyć. I tak już nauczyłem się sporo.

– Nie, mowy nie ma, Andrzej – odparła pani Alina nadspodziewanie poważnie. – Nawet o tym nie myśl. Tym nie masz pojęcia, ile się w moim życiu zmieniło, odkąd mam ciebie i Sławka.

Andrzej wzruszył się, ale chyba nie aż tak, jak sama staruszka, która wypowiadając te słowa, odwróciła się gwałtownie i otarła oczy rękawem bluzki.

– W naszym życiu też wiele się zmieniło. – Andrzej rzucił nieśmiało, choć łatwiej byłoby tylko pokiwać głową, zbyć ten temat uśmiechem. – Pani Alino, pani nawet nie wie. Przecież tu nie chodzi o to całe gotowanie, to tylko pretekst...

– Wiem, kochany, wiem. Kiedyś się nawet nad tym zastanawiałam – podjęła pani Alina po chwili milczenia – dlaczego ty wolisz przyjeżdżać do mnie, starej, niż siedzieć w domu i mecz oglądać? Musi być tam strasznie zimno, w tej twojej

rodzinie.

– Dobrze powiedziane – mruknął Andrzej w odpowiedzi. – Zimno. Trafiła pani w sedno.

– A zresztą i po Sławku to widać. Chłopiec kocha mamę, a ona kocha jego, ale dzieciak woli odrobić lekcje pod moim okiem, choć przecież jestem obca. No to sam powiedz, Andrzej, czy to zdrowa sytuacja?

– Nie, na pewno nie. Co do tego nie mam żadnych wątpliwości. Tylko co zrobić, pani Alino, żeby to zmienić? Co ja powinienem zrobić jako ojciec i mąż? Przecież nie wyrzucę Żanety z domu.

Nie – przyznała. – Nie wyrzucisz.

Umilkli oboje, pogrążając się w rozmyślaniach nad tym, jak dziwnie los skrzyżował ich ścieżki i uczynił przyjaciółmi – ją, osiemdziesięcioletnią kobietę, i jego, dwa razy młodszego mężczyznę na życiowym zakręcie.

– Tak czy owak – odezwał się wreszcie Andrzej – nie mam zamiaru patrzeć, jak się pani krzywi z bólu. Powinniśmy jechać do lekarza. Może to jakieś wrzody żołądka, czy ja wiem? Trzeba zbadać.

– Dobrze, Andrzejku. Jak mnie będzie bolało, to pojedziemy – machnęła znowu ręką.

Andrzej nie dał się nabrać. Doskonale wiedział, że gospodyni powiedziała to tylko po to, by go uspokoić. Rzecz w tym, że on wcale nie czuł się spokojny.

I właśnie dlatego we wtorek, który był dla niego szczególnie ważny – bo miał to być dzień spokojnej rozmowy z Ewą, takiej bez nerwów, niby w ramach wywiadówki, w spokojnych i chłodnych murach szkoły; w dniu, kiedy nie pojechał do pracy i który spędził, zaglądając do lustra, wybierając wodę kolońską w drogerii i prasując koszule (trzy – pierwsza okazała się nadpruta przy mankiecie, a w drugiej wyglądał na łachmytę) oraz dzinsy – więc w tym właśnie dniu, zamiast pojechać do szkoły na wyczekiwane od tygodni zebranie z rodzicami, przerażony Andrzej parzył herbatę dla pani Aliny i napełniał termoфор gorącą wodą.

– To nic takiego – mówiła staruszka, mimo wszystko starając się zbagatelizować sprawę. – Akurat wpadłeś z wizytą w niewłaściwym momencie. Tak mnie jakoś wzdęło czy coś...

– Jasne – mruknął. – Tak jakoś, że się pani zgięła wół z bólu. Pani Alinko, pani jest dla mnie jak mama.

Urwał. Nie powiedział tego, co mu się cisnęło na usta: zbyt wiele razy w jego życiu zdarzyło się, że pozwolił komuś odejść na zawsze. Były takie sprawy, o których Andrzej nie potrafił rozmawiać nawet z najlepszymi przyjaciółmi.

Tak czy owak, wywiadówka przepadła. Kiedy później Andrzej o tym rozmyślał – a czasu miał aż nadto, ponieważ spędził bezsenną noc, snując się po cichym domu – doszedł do wniosku, że może to i dobrze. Pani Alina mówiła

przecież, że Ewa musi zatęsknić. Powinna odczuć, że nie można mieć wszystkiego, że tak się nie da: z jednej strony pozwala się wielbić Andrzejowi, cierpliwie słucha błagań o wybaczenie i przeprosin, a z drugiej – chodzi na romantyczne randki z tym drugim. I chociaż Andrzej zupełnie tego nie planował, teraz był w gruncie rzeczy zadowolony, że wyszło tak, jak wyszło: o ocenach Sławka wiedział, a rozmowa z Ewą, choć bardzo ważna, nie była przecież sprawą pilną. W przeciwieństwie do choroby pani Aliny.

Kiedy nad ranem zasypiał, obiecał sobie solennie, że nie pobiegnie w te pędy do Ewy. Wiedział, że konsultacje dla uczniów i rodziców miała w piątki, postanowił jednak poczekać do następnego tygodnia.

Odwożąc Sławka do szkoły, Andrzej uważał, żeby na parkingu nie natknąć się na wychowawczynię chłopca. Dotychczas zawsze było dokładnie odwrotnie, wypatrywał za nią oczy, celowo parkował w miejscu, gdzie ona zwykle zostawiała swój samochód. Tym razem podrzucił tylko syna do bocznej furtki i od razu pojechał do pani Aliny, która obiecała mu przecież, że pozwoli się zawieźć do lekarza.

Zostawił ją w poczekalni, a ponieważ mimo wczesnej pory w przychodni zdążyła się już ustawić długa kolejka, sam skoczył do dwóch marketów budowlanych, wykonał kilka telefonów, w tym jeden przepaszający do właścicielki domu, który właśnie remontował (*tak, oczywiście, wczoraj mnie nie było, ale dziś już na pewno, tylko załatwię sprawę lekarza*), i wrócił akurat na moment, kiedy pani Alina wychodziła ze skierowaniem na badania.

– Nic jeszcze nie wiadomo, Andrzejku. – Staruszka była bardzo zdenerwowana. – Chcą mi zrobić gastroskopię i usg. Na usg pójdę, ale na gastroskopię nie ma mowy, ja mam taki -odruch wymiotny, że to nie wchodzi w grę.

– Ale co mówił lekarz? – dopytywał się, odwożąc panią Alinę do domu. – Przecież coś musiał powiedzieć.

– Nic, no naprawdę nic. Że to równie dobrze mogą być bakterie w żołądku, taka jakaś dziwna nazwa, coś z helikopterem. I że wrzody, i że wątroba, kto to wie. Ty się niepotrzebnie tak przejmujesz.

Niepotrzebnie, myślał ponuro, kiedy jechał do roboty. Tylko że mama zmarła na raka żołądka, a przedtem przez całe lata mówiła, że niepotrzebnie się martwimy, że to tylko zgaga i gorszy apetyt.

Wielki dom na Górczynie, który obecnie remontował, przywitał go ciemnymi ścianami i oknami podobnymi do oczu ślepego. Andrzej zawsze lubił jasne elewacje i firanki w oknach – nie dlatego, że wydawały mu się szczególnie ładne, ale nadawały budynkom taki wyraz, jaki oczom dają rzęsy. Tak to odbierał.

– Będzie dobrze – powiedział do siebie, zanim zabrał się do pracy. – Jakoś

się pozbieramy, wszyscy. Pani Alina wyzdrowieje, Ewa wybierze mnie, a rudemu każe iść w pierony. Żaneta wróci do swojego księdza i wreszcie będzie szczęśliwa, a Sławek... No właśnie, Sławek. Sławek zrozumie.

Andrzej byłby zdziwiony, gdy wiedział, że dokładnie tych samych słów użyła jego żona, dopinając ostatnią walizkę.

– Sławek zrozumie – szepnęła pod nosem.

Następnie udała się do pokoju syna, żeby położyć mu na poduszce list, w którym starała się wyjaśnić powody swojego wyjazdu. Pomyślała o tym, jakie to dziwne, że bezwiednie idzie tą samą ścieżką, którą szli jej rodzice. Innej drogi przecież nie знаła. Zrzucała na nich winę za to, że nie potrafiła ani stworzyć trwałego małżeństwa ani zbudować prawdziwej więzi z synem. Tak było łatwiej, mniej boleśnie.

Kochany Sławku, napisała. Wiem, że nigdy nie byłam dobrą mamą, a ostatnio to już naprawdę zafundowałam Ci prawdziwą szarpaninę. Mam jednak nadzieję, że kiedyś wybaczysz nam, mnie i tacie, to wszystko. Może dopiero wtedy, kiedy założysz własną rodzinę, a może już wcześniej. Każde z nas bardzo Cię kocha, ale nie kochamy siebie nawzajem i dlatego nie wychodzi nam wspólne życie. To nie jest niczyja wina, po prostu źle się dobraliśmy. Ja znalazłam sobie kogoś w Anglii i myślę, że to może być dla mnie szansa na normalność, bo jak dziecko się urodzi, powinno mieć swojego tatę, tak jak Ty masz swojego. Kiedy się urzędzę, będziesz mógł do mnie przyjechać – jeśli będziesz jeszcze chciał mnie widzieć. Mama.

Brzmiało to trochę chłodno, wiedziała o tym, ale nie umiała się zdobyć na pieścizotliwy ton – byłby sztuczny, a Sławek natychmiast wyłapywał każdy fałsz. Robił się coraz bardziej podobny do niej, mimo że fizycznie to był wykapany tatuś, ale tak jak matka wyrastał na introwertyka, skrytego i wycofanego, który chowa przed światem uczucia.

Wyszła przed dom i wystawiła walizki. Zgodnie z regulaminem firmy przewozowej wolno jej było zabrać trzydzieści kilogramów bagażu, ale nie zbliżyła się nawet do połowy. Spakowała tylko najważniejsze ubrania i kosmetyki. Wszystko się kupi, mówiła sobie w duchu, przecież jeszcze póki co mogę pracować. Miała trochę oszczędności, poza tym wierzyła, że nie będzie sama – nawet jeśli Bogdan nie porzuci kapłaństwa, to przecież będzie ją wspierał finansowo.

Żaneta zamknęła drzwi na klucz, po czym wrzuciła go do skrzynki na listy. Nie sądziła, żeby był jej jeszcze kiedykolwiek potrzebny. Przez chwilę badała własne emocje. Żadnego wzruszenia i ani źdźbła wahania. Odrobina podniecenia,

jak zwykle przed podróżą. Troszkę strachu, jakiś rodzaj tremy. Całe morze rozczulenia, kiedy myślała o tym, że Bogdan zamknie ją w stęsknionych ramionach. Poprzedniego wieczoru napisała mu na Facebooku, że jedzie na Wyspy. *Czekam na Ciebie*, odpisał tylko. A potem dopisał jeszcze: *Bardzo, bardzo tęsknię*.

Bus zamówiony przez stronę internetową firmy przewozowej podjechał pod jej dom prawie punktualnie, z niewielkim tylko poślizgiem. Sympatyczny kierowca pomógł jej z bagażem. Kiedy ruszali, Żaneta rzuciła ostatnie spojrzenie na dom, w którym kiedyś miała nadzieję się zestarzeć. Odjeżdżała bez sentymentu, ale serce skurczyło jej się boleśnie, kiedy zahaczyła wzrokiem o okno pokoju syna. Na parapecie stał wielki, rozrośnięty zygokaktus, który kwitł zawsze w Boże Narodzenie. Kiedyś była to ulubiona roślina teściowej, potem zaopiekował się nią Sławek. Żaneta uświadomiła sobie właśnie, że nigdy – nawet gdy zostawała sama w domu na długo, bo Sławek wyjeżdżał do Andrzeja do Anglii – nie podlała tego kwiatka. Mimo to on wciąż żył.

Podczas jazdy Żaneta zasnęła. Śniło jej się niemowlę z twarzą dorosłej kobiety. To był dziwny sen; ani dobry, ani zły, po prostu dziwny. Dziewczynka (Żaneta wiedziała, że ma na imię Elżunia, choć przecież w planach była Anielka) przemówiła do niej nienaturalnie grubym głosem: *To nie takie proste, mamo. Nie da się zawrócić rzeki*.

W Gorzowie Wielkopolskim obudziło ją trzaśnięcie drzwi, bo wsiadał jakiś mężczyzna z dwójką dzieci. Żaneta odmruknęła „Dzień dobry” i wtuliła się głębiej w prowizoryczną poduszkę zrobioną z kurtki zimowej. Chciała wrócić do tamtego snu i zobaczyć ponownie swoją córkę. Jeszcze tylko zapięła pasy, choć w ciąży nie musiała tego robić, pomyślała jednak, że w razie jakiejś stłuczki lepiej nie rozbić sobie głowy przed spotkaniem z Bogdanem.

Nawet jeśli Elżunia przyśniła jej się znowu, Żaneta miała sobie tego nigdy nie przypomnieć. Obudziła się tylko na chwilę krótką jak błysk światła, szarpnięta w przód, a potem w tył potężną siłą, z jaką miota ludźmi rozpędzony samochód, gdy coś stanie mu na drodze. Tym razem owym czymś był szary pręgowany kot, który wbiegł na jezdnię tuż przed maską busa. Kierowca, niespecjalnie nawet lubiący koty, nie zamierzał -ratować życia zwierzaka za wszelką cenę – a już na pewno nie za cenę życia pasażerów – zareagował jednak odruchowo: wcisnął hamulec i skręcił gwałtownie, zahaczając o równie rozpędzony samochód jadący drugim pasem.

Żaneta nie była świadoma tego wszystkiego. Niemal płynnie przeszła ze snu w stan utraty przytomności, z jednym tylko krótkim przebłyskiem huku i ostrego bólu w okolicach żeber. Nie wiedziała, że bus zjechał z jezdni i uderzył w drzewo, że kierowca zginął na miejscu, jedno z dzieci wypadło przez przednie okno, drugie zaś utknęło z połamanymi nogami między siedzeniami. Nie czuła nic, kiedy na jej

kolana osunęła się siedząca obok kobieta z wybałuszonymi oczami i uszkodzonym kręgosłupem. Nie miała też pojęcia, że przerażony kot czmychnął na rosnącą po przeciwnej stronie drogi krzywą sosnę i siedział tam, obserwując zamieszanie, które wybuchło wkrótce po tym, gdy najmniej poszkodowany – ojciec dzieci – roztrzęsionymi rękami wyciągnął z kieszeni telefon i zadzwonił na pogotowie.

Barbara, matka Ewy, rozglądała się bezradnie po parku. Drzewa, o tej porze roku bezlistne i szarobrunatne, wydawały się przyglądać jej zagubieniu z pewną wyższością. Barbara usiłowała nie dać się pokonać narastającej panice. Przyszło jej do głowy, że mogłaby zapytać spacerującą nieopodal kobietę, jaka to dzielnica, ale po pierwsze, wstydziła się, a po drugie – do tamtej podbiegł przywołany przed chwilą ogromny pies. Barbara straciła resztki odwagi.

Wreszcie ruszyła przed siebie, w tę stronę, z której za drzewami zamajaczył jakiś ruch. Jeszcze zanim doszła do ulicy, rozpoznała rzeźby plenerowe i ze zdumieniem skonstatowała, że znajduje się w Parku Decjusza. To było jedno z ulubionych miejsc spacerowych Zbyszka, jej nieżyjącego partnera. Jak się tu dziś znalazła? Jakim cudem krótka przechadzka po Plantach, na którą się wybrała, żeby przeszedł jej ćmiący ból głowy, skończyła się w zupełnie innym miejscu?!

Coś takiego chyba zdarzyło jej się po raz pierwszy... Jednak kiedy już dotarła do domu, zmarznięta i wciąż zdezorientowana, zaparzyła sobie gorącej herbaty i usiadła przy stole w kuchni, zaczęła sobie przypominać inne sytuacje, które budziły ostatnio jej niepokój. Na przykład w ubiegły wtorek, wróciwszy z zakupów, znalazła w reklamówce czerwoną parasolkę. Nie potrafiła sobie przypomnieć ani tego, w jakim sklepie ją kupiła, ani – po co, bo przecież miała już trzy inne parasole.

Albo wyprawa na koncert. Barbara zamówiła bilet telefonicznie – mieli grać IV symfonię f-moll Czajkowskiego. Pamiętała moment, kiedy elegancko ubrana, w nowym płaszczu i jedwabnej apaszce wychodzi z domu, przekręca klucz w zamku i schodzi na dół. Jakąś godzinę później z przerażeniem uzmysłowiła sobie, że koncert już trwa, a ona nie znajduje się w filharmonii, lecz błąka bez celu po Brackiej.

A dziś znowu ten Park Decjusza. Dopiła herbatę do końca, po czym z westchnieniem włączyła komputer i wyszukała przychodnię neurologiczną. Znalazła także laboratorium, w którym postanowiła zrobić komplet badań. Oby to nie było to, o czym myślę, przemknęło jej przez głowę. Bowiem najbardziej na świecie bała się nie nagłej śmierci, nie bólu i cierpienia, lecz utraty zdrowych zmysłów.

Do lekarza wybrała się dopiero po czterech dniach. Z ulgą stwierdziła, że przez ten czas nie zdarzyło się nic niepokojącego, żadnych nowych epizodów

zaniku pamięci, żadnego zagubienia czy lęku. Może jedynie była trochę roztrzęsiona, nerwowa, miała za sobą kilka bezsennych nocy – ale to chyba nic dziwnego, kiedy się człowiek spodziewa takiej diagnozy.

– Czy czuła się pani ostatnio przygnębiona? – zapytał lekarz, przeglądając jej wyniki badań.

– Owszem – potwierdziła. – Odkąd zaczęły się te... zaburzenia, gorzej sypiam. Myślę, że się po prostu wystraszyłam.

– Ale ja nie o to pytam. Widzi pani, tego typu epizody mogą mieć różne podłoże. Większość osób, tak jak pani, boi się, że to początek choroby Alzheimera. A bardzo często mamy do czynienia z nadciśnieniem, cukrzycą...

– Ale nie u mnie, prawda, panie doktorze? – przerwała. – Nie u mnie.

Lekarz spojrział jej prosto w oczy. Miał zmęczone spojrzenie człowieka, który widział za dużo ludzkich dramatów.

– Wyniki badań ma pani dobre. Może tylko lekka niedokrwistość, ale to nic poważnego. Dlatego zapytałam o nastrój.

– Nie rozumiem.

– Niekiedy zaburzenia pamięci zdarzają się u pacjentów z depresją.

– Nie mam depresji.

– To nie zawsze taka postać depresji, jak się powszechnie sądzi. Nie musi pani szlochać w poduszkę, by mieć depresję.

Barbara milczała.

– Zdarza się, że pacjent nie ma chęci do życia, nic go nie cieszy albo ma stany lękowe, cierpi na bezsenność... Depresja ma wiele postaci.

– Panie doktorze, proszę mi powiedzieć prawdę. Mam początki Alzheimera?

– Nie wiem. – Tym razem lekarz błędził spojrzeniem gdzieś za oknem. – Musiałbym panią położyć do szpitala, zlecić więcej badań.

– A jeśli okaże się, że tak? Co medycyna może mi zaoferować?

– Niewiele. Oczywiście dostanie pani leki, ale głównie zalecałbym ruch, aktywność umysłową, w ogóle wszelką aktywność. I towarzystwo. Bliscy, przyjaciele. Samotność sprzyja rozwojowi choroby.

– Rozumiem.

Przez chwilę milczeli. Barbara pomyślała, że prawdopodobnie temat został wyczerpany. Mimo to zadała jeszcze jedno pytanie.

– Czy te leki dają pewność, że... Albo inaczej: jeśli nie będę się leczyć, jak szybko zamienię się w warzywo?

– Nikt tu nie powie niczego na sto procent, pani... – lekarz dyskretnie zajrzał w kartę – ...Barbaro. To nie są sprawy, które można zważyć i zmierzyć. Niekiedy jesteśmy zdumieni tym, ile może zmienić opieka bliskich osób, jak bardzo nowe hobby może spowolnić postęp choroby. Co więcej, czasem stan pacjenta w cudowny sposób się poprawia.

– A czasem ni stąd, ni zowąd pacjent umiera. – Barbara spróbowała rozładować napięcie wisielczym humorem.

– Owszem. Ni stąd, ni zowąd. – Doktor potwierdził, uśmiechając się półgębkiem. – Jak wszyscy ludzie.

Basia wstała i wygładziła spódnicę. Nadal była szczupła i lubiła się elegancko ubrać. W ułamku sekundy, stojąc w promieniach zimowego słońca, przesianego przez rzadki wzór firanki w gabinecie neurologa, przypomniała sobie, że lubi nie tylko to – kocha też taniec, podróże oraz dobre książki, muzykę klasyczną i czerwone wino. A teraz jej mózg zaczyna obumierać i ona koniec końców zwyczajnie zapomni, kim jest. Zapomni o sukienkach, winie, Czajkowskim. Nie zobaczy Sycylii, a przecież zawsze chciała tam pojechać; uczyła się włoskiego, ale nigdy nie wybrała się do Włoch.

– Przepraszam, ma pan rację – powiedziała. – Wszyscy kiedyś, ni stąd, ni zowąd, umrzemy. Do widzenia.

Ewa miała już powyżej uszu tej niepewności. Czekala na Andrzeja w piątek, bo w tym dniu miała konsultacje – uważała za oczywiste, że skoro nie mógł przyjść na wywiadówkę, pojawi się podczas godziny, którą przeznaczała specjalnie na kontakt z uczniami i rodzicami. Tym razem zresztą uczniowie nie byli zainteresowani – przyszła tylko jedna dziewczynka i wyłącznie po to, by się upewnić, że wypożyczyła właściwą wersję *Robinsona Kruzo*.

Może powinnam do niego zadzwonić, myślała Ewa. Wy-jaśnilibyśmy sobie wszystko, niechby mi nawet wykrzyczał, że skoro ja spotykam się z Jimem, to jemu wolno mieć jakąś chętną wdówkę czy rozwódkę. Niechby. Wszystko byłoby lepsze niż takie głupie podejrzenia, nadzieje i obawy.

Zamknęła klasę i zeszła do pokoju nauczycielskiego. Odłożyła na miejsce dziennik, narzuciła płaszcz i wyszła, usiłując zaplanować sobie, jak spędzi weekend: po sprawdzeniu dwudziestu czterech opisów pokoju przydałoby się coś przyjemnego, jakaś strawa dla ducha. Może Klaudia da się wyciągnąć do kina, do teatru albo na koncert.

Przy wejściu do sali gimnastycznej przestępował z nogi na nogę Sławek Wójcik. O tej porze kończyły się zajęcia sportowe, nie było w tym więc nic dziwnego, ale Ewie wydało się, że chłopiec stoi w tym miejscu celowo i czeka na kogoś. Może na nią?

– Nie idziesz jeszcze do domu? – zapytała.

Pokręcił głową.

– Czekam na Konrada – wyjaśnił. – Pokaże mi triki na deskorolce.

– W takie zimno deskorolka? – Ewa się zaśmiała. – To jest wiosenny sport. Zresztą zaraz zrobi się ciemno.

Sławek wzruszył ramionami. Nie jakoś niegrzecznie, ot tak, żeby jej

pokazać, że mówi bzdury.

– Mama się nie martwi, kiedy wracasz po ciemku? – zapytała Ewa głupio, choć przecież nie o matce chciałyby się czegoś dowiedzieć.

– Mama wyjechała. – Brzmiała odpowiedź.

– Aha. A tata?

– Tata się martwi. Ale teraz nie ma do tego głowy. Ciągle siedzi u pani Alinki, bo ona jest chora.

Ewie pociemniało przed oczyma. Oparła się o futrynę i przez chwilę łapała równowagę.

– U pani Alinki? – powtórzyła. – To jakaś przyjaciółka taty?

– Tak. Właśnie we wtorek chciał ją zawieźć do lekarza i dlatego nie był na zebraniu. Przyjdzie na konsultacje.

– Ale konsultacje już były. Dzisiaj.

– A, no to nie wiem. Może pani Alinka znowu się źle czuła.

Ewa nie miała więcej pytań. „Pani Alinka”. No cóż. W sumie, jak by nie patrzeć, można się było tego spodziewać. Andrzej jest przystojny, inteligentny, prawie wolny... Ale to głupio brzmi: „prawie wolny”. Albo jest się wolnym, albo nie. A on wcale nie jest. Oprócz tego, że jeszcze się nie rozwiódł, ma także ją, Ewę, przecież padło między nimi ileś tam zapewnień i obietnic. W tej chwili niewiele ją obchodziło, że ona sama nie chciała mu niczego obiecywać i do niczego nie czuła się zobowiązana.

Z bólem w sercu i ogromnym żalem do całego świata poszła na parking i pojechała do domu, po drodze wstępując do delikatesów po opakowanie truskawek. O tej porze roku to była prawdziwa rozpusta, a Ewa miała właśnie ochotę na coś nieprzyzwoitego. Przepelniał ją bunt.

W domu umyła owoce, następnie naląła sobie do pucharka nalewki kokosowej, która powinna stać jeszcze dobre dwa tygodnie – Ewa uznała jednak, że likier wypity przedwcześnie z całą pewnością nie okaże się szkodliwy, co najwyżej mniej aromatyczny. Po osuszeniu i sprawiedliwym rozdzieleniu truskawek na dwie równe porcje, wrzuciła swoje owoce do nalewki i postanowiła zjeść to łyżeczką, jak deser. Aby ta rozpusta wydawała się bardziej luksusowa, Ewa napełniła jeszcze wannę gorącą wodą z odrobiną płynu o zapachu – a jakże – kokosowym. Dopiero wtedy, zanurzwszy się w cudownie kojącej kąpieli, smakując każdy kęs i łyk, odprężyła się odrobinę.

– Jest kilka możliwości – powiedziała z pełnymi ustami. – Albo ta jakaś Alinka jest taka abso-kurwa-lutnie cudowna, że Andrzej zgłupiał do szczeru i nie ma czego ratować.

Odłożyła miseczkę na brzeg wanny i zanurzyła się głębiej, mocząc włosy i pozwalając, żeby ciepło ogarnęło całe jej ciało.

– Albo – kontynuowała po chwili, wynurzywszy się – robi to, żeby wzbudzić

moją zazdrość. Zresztą, jasna cholera, z powodzeniem.

Krople wody spływały jej po czole, następnie po łukach brwi i w dół policzków. Truskawka. Łyzeczka nalewki. Gęsta, dobra nalewka, a zatem kolejna łyżeczka, i jeszcze kolejna.

– Opcja numer trzy: to moja wina. Prowadzałam się z Jimem, nie zważając na uczucia Andrzeja. Chciałam go ukarać, pora to nazwać po imieniu. Chciałam, żeby wył z zazdrości i błagał o każde moje spojrzenie. Chyba nawet miałam złudzenie, że mi się to należy. Jak psu zupa, by zacytować dziadka Jędrzeja. Czyżbym się myliła?

Nalewka. Truskawka. Nalewka. Jeszcze kilka truskawek, a potem wybieranie z miseczki resztki nalewki – palcem, bo przecież kiedy się siedzi w wannie, człowiek może się brudzić bezkarnie.

– A teraz trzeba wypić piwo, którego się nawarzyło. I ja nawarzyłam, i Andrzej, i przede wszystkim ta jego żona, ale to już teraz bez znaczenia, bo przecież to my dwoje musimy sobie z całym tym galimatiasem poradzić. Tylko po kiego diabła nam ta Alinka?

Ewa wygramoliła się z wanny i owinęła ręcznikiem, po czym – nie zważając na to, że zostawia na podłodze mokre ślady – poszła do salonu i wślizgnęła się nago pod puchaty koc. Czowała się błogo, ogarnął ją spokój i poczucie bezpieczeństwa. Po co mi ten bałagan z miłością, pomyślała jeszcze, zanim zasnęła. Tylko w romansach się od tego umiera. W prawdziwym życiu poboli, poboli i przestanie.

Klaudia wróciła do domu bardzo późno. Miała nadzieję, że mama nie zapyta, gdzie była – nie lubiła kłamać, a przyznać się, że po dwugodzinnej jeździe po mieście (tata zafundował jej kurs prawa jazdy) przesiedziała popołudnie i wieczór w klubie odwiedzanym przez homo-seksualistów, byłoby trudno.

Ostatnio spędzała wolny czas wyłącznie na dwa sposoby: ćwicząc do upadłego lub przesiadując we wspomnianym klubie z telefonem w dłoni. Czekala. Nie była pewna, na co: na telefon albo esemesa, że Anka chce porozmawiać, czy może na jakieś obelgi i zarzuty. Klaudia doszła nawet do wniosku, że woli wszystko, najgorsze wyzwiska i inwektywy, niż to okrutne milczenie.

Sama wysłała do Szajby kilkanaście wiadomości. Najpierw, zaraz po pamiętnej rozmowie w centrum handlowym, tylko przeproszała i prosiła o dyskrecję. Później ton tych esemesów stawał się coraz bardziej wojowniczy, aż wreszcie Klaudia przeszła do ataku. *Więc wszystkie Twoje teksty o dobrych słowach i energii były tylko czczą gadaniną?* – napisała. Potem próbowała sprowokować jakąkolwiek dyskusję: *Wyobraź sobie, jaka ohydna się stajesz od takiej homofobii, gnijesz jak ten ryż.*

Anka ignorowała jednak zaczepki i to bolało znacznie bardziej, niż gdyby

odpowiedziała agresją. Zupełnie jakby Klaudia przestała istnieć. Świadomość tego, że znaczy tyle co nic, była dla Klaudii trudniejsza aniżeli wstręt do własnej cielesności, do homoseksualizmu, który sprawiał, że ludzie się od niej odwracali.

Wiedziała, co by jej pomogło – ten moment, kiedy skóra napina się i otwiera pod naciskiem ostrza, narastający ból, potem pieczenie i potężna ulga w chwili, gdy na palcach czuje się lepkość ciepłej krwi. Ale obiecała tego nie robić i teraz nie mogła złamać danego słowa, już nie tylko dlatego, że przysięgała na miłość do Ani, lecz przez szacunek dla babci i mamy, które nie prosiły o nic więcej, tylko o to jedno. Akceptowały całą resztę, nie krytykowały, nie wypytywały. Starły się zwyczajnie ją kochać i Klaudia czuła teraz tę miłość bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

Jakoś jednak trzeba było sobie poradzić z emocjami. Trochę po-magał alkohol, sączony w tym nieszczęsnym klubie, do którego Klaudia chodziła, żeby jakoś zabić tęsknotę za Anką. Basenu, który wcześniej dawał jej odrobinę zapomnienia i upragnionego bólu zmieszanego ze zmęczeniem mięśni, wołała teraz unikać, aby nie natknąć się na Arka. Poza alkoholem znajdowała tylko jeden sposób, żeby napięcie nieco zelżało: ćwiczenia aż do mdłości.

À propos mdłości, czasem odmawiała sobie jedzenia. Dawało jej to jakiś ponury rodzaj satysfakcji i przynosiło ulgę, jakby to, że żołądek wiązał się w supeł i nie wpuszczał pokarmu, stanowiło odpowiednik okaleczania się. Dotychczas zawsze było odwrotnie: im większy był stres, im silniejsza frustracja, tym więcej Klaudia wrzucała w siebie żarcia. Tak było, gdy dowiedziała się o zdradzie ojca, tak zabijała poczucie winy, że oszukuje matkę – i w ten sam sposób zareagowała na odkrycie, że jest homoseksualna.

Teraz potrafiła powstrzymać się nawet od ulubionych potraw i bardzo ją to cieszyło. Tak, to była kara, to stanowiło godne zadośćuczynienie – za wszystko, na co się oś-mielila, za to, co zepsuła i co przez jej lesbijstwo nie mogło się udać.

Wchodząc do domu, starała się nie hałasować, ponieważ nie chciała obudzić mamy. Nie żeby była taka delikatna – chodziło wyłącznie o to, że mama mogłaby wyczuć zapach alkoholu. Wprawdzie Klaudii daleko było do stanu upojenia – wypila zaledwie dwa drinki, ale to wystarczyło, żeby wyglądać odrobinę nienaturalnie, nabrać trochę wulgarnych rumieńców i tego czegoś niewyraźnego w ustach i oczach, po czym poznawało się podchmielone dziewczyny.

Kiedy wzięła prysznic i wyszła z łazienki, owinięta w ręcznik, przekonała się, że mama jednak nie śpi. Siedziała na sofie w salonie, zupełnie naga.

– Co się stało? Dlaczego nie śpisz? – spytała Klaudia. – I dlaczego jesteś goła?

– Śpię – odparła mama trochę nieprzytomnie. – Zostawiłam ci truskawki.

– Skąd miałaś truskawki? O tej porze roku?

– Kupiłam w delikatesach. Zrobiłam sobie wieczór rozpuszty. Maczałam truskawki w nalewce... Teraz przyszło mi do głowy, że powinien być szampan, ale nalewka też pasowała. Wiesz, ta kokosowa. – Pomilczała chwilę, po czym dodała sennie: – I kawior.

– Co takiego?! Jadłaś truskawki z likierem kokosowym i kawiozem?

– Nie, ten kawior byłby dobry do szampana. Teoretycznie. Tak zawsze wygląda rozpusta w filmach, zauważyłaś?

Mama opatulila się puszystym kocem w lamparce cętki i poczłapała na górę. Klaudia została sama. Poszła do kuchni i ugryzła kawałek truskawki, ale natychmiast ją wypluła. Ulubiony smak dzieciństwa, pomyślała, i znowu poczuła tę dziwną przyjemność płynącą z faktu, że wymierza sobie karę – że sobie tego smaku odmawia. Do ust napłynęła jej ślina, dużo słonej śliny, dlatego pobiegła do łazienki i przez chwilę zwracała. Był tam tylko alkohol, niedużo, ale jeszcze przez chwilę szarpał nią odruch wymiotny. Wreszcie żołądek się uspokoił; Klaudia umyła zęby i poszła spać.

Rano, jeszcze przed wyjściem do szkoły, sprawdziła pocztę. Lucy obiecała, że napisze coś więcej o tej ewentualnej pracy w Walii. Klaudia sama nie wiedziała, czy chciałaby skorzystać z tej możliwości, ale pomyślała, że nie zaszkodzi dowiedzieć się szczegółów. Zresztą nie była w tak komfortowej sytuacji, żeby przebierać w ofertach. Miała wprawdzie namiary na jakąś robotę przy cebulkach tulipanów w Holandii, natomiast porcjowanie kurczaków okazało się nieaktualne.

Właściwie ostatnimi czasy Klaudia sama nie była już pewna, czy nadal chce wyjechać za granicę – najpierw do pracy, a potem na studia. Jak się nad tym głębiej zastanowić – nie chciała już niczego. Nie miała planów. Nie miała odwagi. Wszystko, czego chciała, co jej się roilo, skończyło się z dniem, w którym Anka odwróciła się od niej ze wstrętem i odeszła.

Maila od Lucy wciąż nie było, więc Klaudia przeczytała po raz setny tego poprzedniego:

*Cześć Claudia,
pozdrawienia z deszczowej Walii! Obiecywałam, że rozejrzę się za czymś dla Ciebie i stąd ta wiadomość: chyba coś mam. Moi ciocia i wujek chcą rozkręcić nowy biznes: hotelik nad morzem. Oni wnoszą do interesu pieniądze, my miałybyśmy wnieść siłę, energię i nowoczesne technologie. Mówiłaś, że interesujesz się dietetyką, pamiętam też, że wspominałaś o blogu – ja też bloguję, zajrzyj na mywelshtaste.gb – proste potrawy, proste życie, to mnie interesuje. Myślę, że razem mogłybyśmy pociągnąć ten hotel, ewentualnie zatrudniłoby się jeszcze kogoś młodego, pełnego pomysłów. Nabralabyś doświadczenia i zarobiłabyś trochę, a potem podjęłabyś decyzję – zostajesz albo odchodzisz, studiujesz albo zaczynasz coś na własną rękę.*

Daj znać, czy to w ogóle wchodzi w grę i czy mam Cię w razie czego wliczać

do zespołu.

Uściski

Lucy

Klaudia odpisała już dawno: *Yes, I am interested; waiting for details* – oczywiście, że była zainteresowana. Ale kolejna wiadomość ze szczegółami do tej pory nie nadeszła, więc zapewne nic z tego nie będzie; Lucy musiała się rozmyślić albo może ciocia z wujkiem jednak zmienili zdanie.

Szkoła, jak to szkoła – trochę nudów, trochę wyzwań. Niektóre lekcje były całkiem interesujące – na przykład angielski, geografia albo matma; inne to koszmar każdego ucznia – dziesiątki zapisanych zdań, z których nic nie zostawało w głowach. Nauczyciele przeceniają wartość notatek, myślała czasem Klaudia. Żyjemy w dwudziestym pierwszym wieku; po diabła cokolwiek notować, skoro wszystko można wygooglować. Mam telefon, jest zasięg, więc po co mi notatki.

Ale na ogół wcale o tym nie myślała, szkoda jej było czasu na myślenie o szkole. Wiedziała, że rozstanie się ze swoim liceum bez cienia żalu; podobnie zresztą rozstawiała się z gimnazjum. Jedynie podstawówka zostawiła po sobie ciepłe wspomnienie – może dlatego, że wtedy jeszcze Klaudia nie czuła się inna. Miała koleżanki, czuła się częścią grupy. To sprawiało, że nauka stawała się przyjemnością – a nawet jeśli w przypadku niektórych przedmiotów była brzemieniem, to dźwigało się je wspólnie z koleżankami.

W liceum najgorsze było uczucie, że nie należy do tego miejsca, że jest jakby obok. Nie miała przyjaciół – wielu z tych, z którymi zaprzyjaźniła się w pierwszej klasie, głównie aktorów ze szkolnego koła teatralnego, skończyło już szkołę i poszło na studia. Ci, którzy zostali, w ostatnim czasie znaleźli sobie pary i spędzali przerwy w czułych uściskach swoich drugich połówek. W klasie Klaudia nie zdołała znaleźć nikogo, kto okazałby jej zainteresowanie albo przynajmniej jakiś cień sympatii. Odnosiła wrażenie, że w spojrzeniach kolegów i koleżanek jest jakieś pobrażanie, jakby wciąż widzieli w niej biedną, nieporadną grubaskę. No i wstręt, bo była przecież inna niż oni. Fakt, że ich ostatnie próby prześladowania skończyły się zawiadomieniem policji, nie przysporzył jej sojuszników.

Żyła teraz w nieustannym poczuciu zagrożenia. Wydawało jej się, że z każdego kąta może wyskoczyć Paula i obwieścić wszystkim rewelację na jej temat: nawet nie że Klaudia jest lesbijką, bo o tym już wiedzieli, tylko na przykład jakie lubi pieszczoty, jakie ma piersi, gdzie najmocniej reaguje na dotyk. Albo że się, głupia, zakochała w jakiejś chudej lasce z dredami.

Tak, to ostatnie było najbardziej żałosne. Kiedy Klaudia się nad tym zastanawiała, miała ochotę schować się ze wstydu sama przed sobą.

Luty

Mirek nie miał wprawdzie zbyt wiele czasu, żeby rozmyślać nad swoim życiem, ale zdarzały mu się takie chwile jak ta – kiedy stojąc w korku, doznawał nagłego objawienia i coś, czego wcześniej nie dostrzegał, stawało mu przed oczyma. Tym razem był to prosty, acz trudny do zauważenia fakt, że... wszystko jest dobrze.

Wszystko. Tatiana wróciła. W sensie dosłownym i w przenośni. Wróciła do pracy, do dawnego trybu życia i do niego – emocjonalnie oraz fizycznie, bo znów uprawiali seks, znowu byli sobie bliscy. Prawie odzyskała dawną sylwetkę. I wreszcie: wróciła do poprzednich przyzwyczajeń i upodobań, stała się na powrót tą energiczną, pełną życia dziewczyną, w której się kiedyś zakochał, dla której stracił głowę do tego stopnia, że był gotów zburzyć porządek świata, zostawić rodzinę, złamać wszystkie przysięgi.

Co poza tym? Iгореk pięknie się rozwijał, nawiązał świetny kontakt z opiekunką, przespiał całe noce i wreszcie miał apetyt. Może dlatego, że ta nowa niania, pani Hanka, spędzała z nim mnóstwo czasu na dworze. Sporo też rozmawiała ze swoim podopiecznym, czytała mu jakieś proste wierszyki i maluch zaczynał już po swoim mówić, doprowadzając rodziców do łez – czasem ze wzruszenia, ale najczęściej ze śmiechu.

Pani Hanna, choć wcale o to nie prosili, zaczęła też gotować. Najpierw były to zupy – tłumaczyła, że przyrządza je dla Igora, ale przecież nie da się ugotować tylko tyle, co dla dziec-ka, zawsze zostawało jakieś pół garnuszka i Mirek zajadał się -potem tymi resztkami. Pani Hania gotowała tak, jak kiedyś jego mama – zupy były gęste, zabiłone dobrą śmietaną. Tania nawet nie chciała spróbować, ponieważ do śmietany opiekunka dodawała trochę mąki, a Tatiana przecież obecnie nie tknęłaby niczego, co zrobiono z pszenicy – tak więc pan domu miał dla siebie całą miseczkę tych pyszności.

Z biegiem dni oprócz zup pojawiały się inne smakołyki. Co drugi dzień – ciasto (znowu z pszenicą; Tania uśmiechała się tylko z przekąsem), czasem gulasz, pieczone mięso, ryba w sosie koperkowym... Mirek od dawna nie jadał tak dobrze. Ponieważ na ogół to Tatiana wracała pierwsza z pracy, nie zastawał już pani Hanny, więc nie mógł jej osobiście podziękować i wyrazić zachwyty. Zaczął więc zostawiać karteczki z komplementami. Najpierw tylko „Dziękuję, było pyszne”, potem bardziej osobiście: „Pani Haniu, sos – mistrzostwo świata, aksamitny i delikatny”.

Stopniowo porcje zaczęły rosnać, teraz już pani Hanna nie mogła udawać, że gotuje wyłącznie dla dziecka. Mirek pomyślał, że może sytuacja była zdrowsza i bardziej klarowna, gdyby ustalili szczegóły: niechby gotowała dla całej rodziny,

sama także jadła, a nawet zabierała w trojczkach porcję dla córki. Dzięki temu on nie miałby wyrzutów sumienia, że płaci jej wyłącznie za opiekę nad dzieckiem, a tymczasem ona jest nie tylko nianią, ale też kucharką, a nawet bywa sprzątaczką. Porozmawiał o tym z Tatianą – wydawała się szczęśliwa, że gotowanie na dobre spadnie z jej barków; potem przekazała tę propozycję opiekunce i usłyszała: „To dla mnie wspaniałe rozwiązanie, bo nie będę musiała szykować w domu drugiego obiadu”.

Mirek zaparkował przed domem, przeciągnął się i zabrał z tylnego siedzenia zakupy, które zrobił w mięsny obok biura. Od jakiegoś czasu chodził za nim kapuśniak, który gotowała w dzieciństwie jego matka. Zadzwoił do pani Hani i zapytał, jakie produkty powinien kupić. Kości wędzone, brzmiała -odpowiedź. Cała reszta jest tu, w pobliskim sklepie, ale bez kości nie da rady.

Kiedy wchodził do domu, jego uszu dobiegł radosny śmiech Igora. Opiekunka siedziała z nim na dywanie i poruszała pluszowym króliczkiem, udając, że zwierzak zjada klocki lego duplo.

– Żona zadzwoniła, że musi zostać dłużej – wyjaśniła pani Hanna i podniosła się z podłogi.

Mirek pokiwał głową. Tania uprzedzała, że spotkanie z tym rosyjskim pisarzem może się przedłużyć. Na szczęście córka pani Hanny była już na tyle duża, że sama wracała ze szkoły i dzięki temu opiekunka mogła zostawać dłużej z Igorem.

– Kupiłem te kości – powiedział i zaniósł reklamówkę do kuchni. – Tylko nie wiem, czy o takie chodziło. Sprzedawczyni powiedziała, że na kapuśniak będą w sam raz.

Pani Hania obejrzała wędzone żeberka i pochwaliła. Mirkowi wydała się bardzo zmieniona – kiedy widział ją ostatnio, była szara, nijaka, zaniedbana. Teraz miała delikatny makijaż i chyba rozjaśnione włosy. Okazała się ładną kobietą – nie piękną, bez fajerwerków, po prostu ładną. Zapewne też strój robił swoje – przedtem w beżowym swetrze i nieciekawej spódnicy, teraz miała na sobie wiśniowy kardigan, spod którego wзираł blad różowy półgolf. Do tego dobrała zgrabne dżinsy. Mirek, który uważał się za konesera kobiecej urody, odnotował te zmiany z zadowoleniem.

– W takim razie jutro zapraszam na kapuśniak – powiedziała opiekunka. – A dzisiaj mamy pierogi leniwe i gulasz. Może być?

– Ależ pani Haniu, jak pani może w ogóle pytać! Już sobie nakładam!

– Nie, ja panu podam, proszę sobie odpocząć, panie Mirku.

Mirek poczuł się trochę zakłopotany, ale nie protestował. Umył ręce i usiadł przy stole, a już po chwili delektował się sosem z leciutką grzybową nutą, delikatnym mięsem i rozpływającymi się w ustach pierożkami.

– Właściwie skąd ta nazwa „leniwe? – zapytał, przełknąwszy pierwszy kęs. – Przecież zapewne trzeba się przy nich napracować.

– Kiedy właśnie nie – zaśmiała się pani Hania.

Usiadła naprzeciwko z Igorem na kolanach i podsunęła małemu miseczkę z surówką z marchewki. Chłopczyk nieporadnie usiłował nabrać trochę na łyżeczkę.

– W porównaniu ze zwykłymi pierogami leniwe przyrządza się błyskawicznie. Zamiast wałkować ciasto i zalepiać twaróg w środku, gniecie się po prostu ciasto z twarogiem.

– Tak czy owak, rewelacja. Przepyszne!

– Igor też chyba tak uważał, bo zjadł osiem sztuk. Jak na taki mały brzuszek, to niezła porcja.

– Tak. Ja w ogóle widzę, pani Haniu... On lepiej je, lepiej śpi dzięki pani. Pani jest czarodziejką – powiedział Mirek szczerze. – Powinniśmy panią na rękach nosić.

Niania roześmiała się radośnie, a on uświadomił sobie, że pierwszy raz słyszy jej śmiech.

– A czy pan wie, że my się właściwie znamy? – Zmieniła temat. – Od pierwszego dnia usiłowałam sobie przypomnieć, gdzie pana widziałam, i wreszcie mi się udało: ja przez krótki czas pracowałam z pana żoną.

– Jak to?

– To znaczy... z pierwszą żoną. – Pani Hanna się stropiła. – Przepraszam, tak mi się powiedziało.

– Nie szkodzi.

– Pracowałyśmy w tej samej szkole. I kiedyś na sylwestra... pewnie pan nie pamięta, to był taki nauczycielski sylwester...

– Pamiętam! – Mirek się ożywił. – Byliśmy z Ewą na takiej imprezie, jeszcze przed narodzinami córki. Rzeczywiście. To był jakiś jubileusz, prawda?

– Tak, szkoła obchodziła trzydziestolecie, tak mi się wydaje.

– I pani tam była?

– Siedzieliśmy razem przy stoliku. Tak myślałam, że pan nie pamięta... Zresztą ja się bardzo zmieniłam od tamtego czasu.

Zarumieniała się i spuściła wzrok. Mirek usiłował sobie wmówić, że coś mu się przypomina, ale nie udało się – kojarzył tylko, że świetnie się wtedy bawił.

– Nawet brudzia wypiliśmy – dodała jeszcze pani Hanna.

– Naprawdę? W takim razie musimy sobie mówić po imieniu. Co się raz wypilo, tego się nie „odpije”. – Mirek zażartował nieco sztucznie, bo nie bardzo wiedział, jak zareagować.

– Nie jestem pewna. – Kobieta ściszyła głos, choć przecież Tani nie było w domu. – A żona nie będzie miała nic przeciwko?

– Dlaczego miałyby mieć? Pani Haniu... To znaczy Haniu, co ty

opowiadasz? Dlaczego miałyby mieć coś przeciwko?

Hanna wzruszyła ramionami z taką miną, jakby chciała powiedzieć: „Z kobietami różnie bywa”.

– No nic, jedzenie było pyszne, ale pora się zabrać do roboty. Muszę przejrzeć parę faktur. – Mirek odsunął od siebie talerz i wstał, wciąż trochę zakłopotany.

– To może ja jeszcze zostanę, skoro masz coś do zrobienia? – zapytała nieśmiało niania.

– Ależ nie, absolutnie. Wracaj do córki! Ja mogę przekładać papiery, doglądając małego, to żaden problem.

Chciał, żeby już poszła; czuł się coraz bardziej niezręcznie. Przez chwilę zastanawiał się, czy ona robi to ce-lowo – chce dłużej zostać, bo płaci się jej od godziny. Potem jednak, kiedy Hanna już zakładała płaszcz w wiatrołapie, zawstydził się tych myśli. Po prostu chciała pomóc.

– Do widzenia – powiedziała. – Przekaż żonie, że w małym rondelku jest gulasz bez mąki, specjalnie dla niej.

– Dobrze, dziękuję – odparł. – Do jutra. Nie mogę się doczekać. – A widząc jej zdziwione spojrzenie, dodał szybko: – Ka-puśniaku jak u mamy.

Tatiana złościła się trochę, że musi zostać dłużej, jednak czuła, że rozmowa zmierza w dobrym kierunku. Wydawca zabrał ją i gościa specjalnego, rosyjskiego prozaika Olega Pietrowicza Berukowa – na obiad do eleganckiej restauracji. Wprawdzie wzbudzali niezdrowe zainteresowanie innych gości, ponieważ Oleg okazał się trzydziestoletnim punkowcem w starej kurtce skórzanej, dziurawych džinsach i przybrudzonych glanach, ale kelner zachował kamienny wyraz twarzy. Pewnie nie takie indywidua tu widywano. Zwłaszcza że Oleg Pietrowicz zachowywał się nadzwyczaj spokojnie, niemal nic nie mówił, zresztą niewiele także jadł.

Kiedy wyszli z restauracji, panowie uścisnęli sobie dłonie i umówili się na następny dzień w siedzibie wydawnictwa. Pisarz poprosił jednak, żeby Tatiana jeszcze chwilę została. Chciał ustalić szczegóły współpracy.

– Proszę, żeby pani najpierw przeczytała książkę i powiedziała mi, co pani myśli o tekście.

– Dobrze. – Zgodziła się ostrożnie, choć nie uśmiechało jej się formułowanie własnej opinii.

Podejrzewała, że Oleg, jak wszyscy artyści, może być bardzo wrażliwy na swoim punkcie, będzie więc musiała rozważnie dobierać słowa. Poza tym nie bardzo rozumiała, jaki związek ma jej opinia z przekładem. Tłumaczenie to tłumaczenie: czy jej się spodoba, czy też nie, ma to zrobić porządnie. I robi.

– To tylko dwieście stron – dodał jeszcze. – Da pani radę na jutro?

– Oczywiście. – Przytaknęła, choć w głębi ducha zakłęła. Będzie musiała zarwać noc. – Zamówię panu taksówkę.

– A daleko ten mój hotel?

– Nie, w samym centrum.

– W takim razie chętnie się przejdę. Gdyby tylko była pani tak miła i wskazała mi drogę...

Był bardzo szarmancki. Młodszy od Mirka, mniej więcej w jej wieku. Przystojny, choć tak okropnie ubrany. Za czasów jej młodości w Rosji nieczęsto widywało się takich mężczyzn. Przez chwilę Tania boleśnie zatęskniła za ojczyzną.

– Jeśli pan chce, przejdę się kawalek z panem, i tak mam po drodze.

– Będę zaszczycony. Spacer będzie jeszcze przyjemniejszy.

Nie wiedzieć czemu, zarumieniła się jak panienka.

– Pan pierwszy raz w Polsce?

– Tak. Ale z pewnością nie ostatni.

Mówiąc to, położył nacisk na „z pewnością”, jakby za ty-mi słowami krył się jakiś dodatkowy sens. Tania pomyślała, że niełatwo się z nim rozmawia, i pożałowała, że postanowiła mu towarzyszyć, ale właśnie w tej chwili Oleg zaczął opowiadać: że Poznań go zachwyił, zwłaszcza Stary Rynek i te wąskie uliczki wokół, a także Zamek Cesarski i przestrzeń placu Mickiewicza z pomnikiem Dwóch Krzyży; że chciałby zobaczyć także Warszawę i Kraków, słyszał również wiele dobrego o Gdańsku.

– Więc interesują pana miasta?

– Jestem prostym chłopakiem z rosyjskiej wsi. – Roześmiał się. – Wychowałem się wśród łąk i lasów, nad rzeką, więc ciągnie mnie do cywilizacji.

– Och, ja także jestem ze wsi – odparła Tatiana poważnie. – Ale pan powinien poznać Polskę także z tej drugiej strony, Olegu Pietrowiczu. Jest... inna niż Rosja.

– Piękniejsza? – zapytał z jakimś wyrzutem, jakby miał do niej żal, że tak mówi.

– Tego się nie da tak prosto porównać. – Machnęła na niego ręką; zaczynała się czuć swobodnie w jego towarzystwie. – Polska jest niczym pigułka, wszystko skondensowane, intensywne. Nie ma tego ogromu, co Rosja, nie ma tej zadumy...

– I tego smutku – dokończył Berukow.

– Nie smutku, tęsknoty. – Tania go poprawiła. – Pan wie, pan rozumie. Rosjanin zawsze ma w sobie tęsknotę. Ja myślę, że to właśnie dlatego, że u nas jest wszędzie daleko. Ot, i doszliśmy. Oto pański hotel.

– Dziękuję, pani Tatiano. Do zobaczenia jutro.

– Do zobaczenia.

Odwróciła się i poszła przed siebie, jeszcze przez kilka minut czując na plecach spojrzenie Olega.

Następnego ranka bardzo długo dobierała bluzkę do spodni. Była zdenerwowana, ponieważ oba zestawy, które zaplanowała sobie poprzedniego wieczora, okazały się jeszcze przyciasne – Tania bardzo powoli wracała do wagi sprzed ciąży. Ostatecznie zdecydowała się na spodnie cygaretki oraz luźną błękitną bluzkę, przynajmniej trochę ukrywającą oponki, które tworzyły jej się nad paskiem.

Zamiast spiąć włosy w kok, zdecydowała się na swobodny styl; pozwoliła spływać jasnym kosmykom na ramiona i łopatki. Czuła się trochę jak przed egzaminem, ale takim, do którego jest się świetnie przygotowanym – człowiek trochę się boi, lecz jednak spodziewa się sukcesu.

– Wracasz normalnie czy znów później? – zapytał Mirek, który golił się przy drugiej umywalce.

Przez chwilę szukała w jego tonie czegoś na kształt zarzutu albo zaczepki, ale nie znalazła. Po prostu pytał.

– Nie mam pojęcia – odparła, perfumując sobie nadgarstki. – Zobaczę, czego będą ode mnie chcieli. Najpierw rozmowy w wydawnictwie. Potem mam mu powiedzieć, co myślę o książce. Diabli wiedzą, po co mu moja opinia. Może chce się upewnić, że wszystko zrozumiałam.

Mirek doskonale wiedział, że to zlecenie stanowi spełnienie jej marzeń, toteż nie zadawał więcej pytań. Nadstawił wytarty policzek do całusa, a następnie znów zajął się poranną toaletą.

Tatiana wyszła z łazienki i skierowała się do pokoju dziecięcego, gdzie pani Hanna właśnie układała pluszaki na szafce.

– Pa, kochanie. – Tania zwróciła się do Igora i wzięła go na ręce. – Mamusia chyba znów dziś wróci późno.

Mały puścił bańkę ze śliny i złapał mamę za włosy. Zdażyła chwycić jego piąstkę i rozewrzeć ją, zanim pociągnął.

– Nie wolno psuć mamusi fryzury – powiedziała pani Ha-nia. – Patrz, mam tu liska.

Igor natychmiast odwrócił się do niej i wyciągnął ręce do maskotki. Tatiana posadziła go na podłodze i wyszła. W holu zawahała się, czy postawić na wygodę i wybrać płaskie czółenka, czy może jednak botki na obcasie. Wygrały botki.

W wydawnictwie spędziła sporo czasu, analizując umowę, która – wbrew temu, czego się spodziewała – zawierała kilka klauzul dotyczących doboru słów. Wśród nich był na przykład zapis mówiący o tym, że nie wolno jej, jako tłumaczce, zrezygnować z wulgaryzmów. Dla Tatiany było oczywiste, że powinna w ogóle wprowadzać jak najmniej zmian w stylu przekładanego utworu, jednak zdziwił ją nacisk na ten akurat aspekt języka. Zdziwił i nieco rozbawił – bo zupełnie nie pasował do uprzejmego, kulturalnego Olega.

Kiedy czekała na niego przed budynkiem wydawnictwa, zastanawiała się

nad sprzecznością, która w nim tkwi. Zupełnie jakby nie mógł się zdecydować: jego wygląd wskazywał na człowieka, który buntuje się przeciw światu, kpi sobie z norm i konwenansów, natomiast kiedy zaczynało się z nim rozmawiać, odnosiło się wrażenie, że to delikatny, subtelny chłopak, który się po prostu przebrał w jakiś kostium.

Zjawił się wreszcie, nieco spóźniony, i oczywiście gorąco za to przeprosił. Jego taksówka długo stała na jakimś skrzyżowaniu, opowiadał zakłopotany, a on wiercił się niespokojnie, bo nie znosi niepunktualności. Tatiana zanotowała w myślach, żeby zawsze dotrzymywać terminów.

– Przeczytała pani? – zapytał z obawą.

Tania przeczytała. Nie trzeba było nawet zarywać nocy. Igorek zasnął poprzedniego wieczora wyjątkowo wcześniej, a wraz z nim Mirek, tak więc Tania mogła zanurzyć się w upragnionej ciszy i spokoju. Wzięła odprężającą kąpiel i umościła się z książką w fotelu. Powieść okazała się naprawdę dobra, choć Tatiana nigdy by po nią nie sięgnęła z własnego wyboru – była przepelniona gniewem, a przy tym poruszała takie struny w duszy, o istnieniu których Tania wolałaby zapomnieć. Bohaterem i zarazem narratorem był młody chłopak, Mitia, molestowany seksualnie przez wujka. Po osiągnięciu pełnoletności Mitia wraca do rodzinnego miasta i obmyśla morderstwo doskonałe.

Jak chyba większość czytelników, Tania zadawała sobie pytanie, ile jest w tej postaci prawdziwego Olega. Wiedziała – jednak, że nie odważy się o to zapytać.

– Chodźmy gdzieś na kawę, porozmawiamy – zaproponował Oleg.

– Mam tu na parkingu samochód – powiedziała Tatiana. – Pojedziemy w jakieś ciche miejsce. A potem... Co pan zamierza potem? Powrót do hotelu i pędem na lotnisko czy zwiedzanie miasta?

– Zostaję w Poznaniu jeszcze dwa dni, więc zwiedzanie. Później wybieram się do Gdańska, następnie do Warszawy i stamtąd lecę do Moskwy.

– Rozumiem – odparła. – W takim razie, jeśli pan zechce, pokażę panu Poznań. Chyba że woli go pan poznawać samotnie.

Nie wolał. Był wdzięczny i podekscytowany, a do tego bardzo ładnie umiał to okazać.

Tej nocy Tatiana kręciła się z boku na bok, nie mogąc zapomnieć ich rozmowy przy kawie. Właściwie przy dwóch kawach, ciastku (makowo-kokosowe, bez pszenicy), a potem jeszcze herbacie. Rozmawiali o wszystkim: o Moskwie i Putinie, o wojnie, o wielu wojnach, także tamtej w Afganistanie, w której Tania straciła brata. Oleg pytał, a ona odpowiadała, choć przecież powinno być odwrotnie, to ona powinna poznać go lepiej, żeby zrozumieć jego prozę, żeby lepiej oddać jej ducha.

Opowiedziała mu o ojcu pijaku i o cioci Darii – aniele w ludzkiej skórze. O

tym, że mama zmarła nagle trzy lata po Taninej ucieczce z domu, a drugi brat już wcześniej wyjechał i słuch po nim zaginął. Tatiana szukała go co jakiś czas w mediach społecznościowych, ale bez skutku. Może coś mu się stało, może wpłatał się w coś niebezpiecznego i zginął, tak jak Sieroża, ale może jest inaczej: gdzieś sobie spokojnie żyje z żoną i gromadką dzieci. Rosja jest taka wielka, świat jest wielki.

– Nie taki wcale wielki – zaproponował Oleg. – Nie, kiedy się ucieka.

Nie powiedział nic więcej, ale Tania rozumiała, co miał na myśli. Ona przecież także kiedyś uciekała, ukrywała się przed Wadimem, swoim ukochanym, który miał ludzką krew na rękach. Wydawało jej się wówczas, że nie ma na całym globie bezpiecznego miejsca. Nie wierzyła, że nadejdzie dzień, w którym przestanie się bać.

A jednak ten dzień nadszedł i teraz Tania chciałaby to Olegowi powiedzieć, obiecać, że tak się stanie również z nim, jednak nie zrobiła tego, ponieważ nie umiała mu się zwierzyć z tej ślepej, posłusznej miłości do Wadima. Nie była w stanie przyznać, że złemu, zepsutemu człowiekowi powierzyła kiedyś swoją duszę i ciało. Wstydziła się tego i nie opowiadała nikomu.

Podczas tej bezsennej nocy, przekładając głowę na poduszce i wpatrując się w ciemny kształt żyrandola, rozpaczliwie tęskniła za Rosją. Za ciocią Darią, która dożywała swoich dni ze staruszką Stanisławem w moskiewskim mieszkanku. Za widokiem łąk w rodzinnej wsi – tuż za płotem ich niewielkiego ogrodu rozciągały się barwne dywany kwiatów i traw. I za niebem odbijającym się w tafli stawu na Patriarszych Prudach, gdzie jako miłośniczka Bułhakowa przesiadywała z książkami w ciepłe dni, ucząc się do sesji.

Tak przyjemnie było znów rozmawiać w ojczystym języku, tak rzewnie się robiło w sercu. Tatiana nie mogła się doczekać, kiedy znów usłyszy głos Olega. Umówili się, że ona zabierze się za tłumaczenie już nazajutrz, a wieczorem zadzwoni do niego i powie, jak jej idzie. Potem on zatelefonuje z Gdańska, bo przecież musi jej powiedzieć, jak mu się podoba polskie morze. Potem będą w kontakcie mailowym, koniecznie – to jej pomoże w tłumaczeniu. W maju Oleg przyjedzie na targi książki do Warszawy, bo jego książka będzie miała wówczas premierę.

Tatiana westchnęła. Trzy długie miesiące.

Jeśli chcesz rozśmieszyć Boga, powiedz mu o swoich planach – przypomniał sobie Andrzej zasłyszane kiedyś powiedzonko. Właśnie tak się teraz czuł: jakby zza pleców dobiegał go ironiczny rechot jakiejś siły wyższej. Andrzej planował spotkanie z Ewą, wyobrażał je sobie w najdrobniejszych szczegółach. Zamierzał zjawić się na piątkowych konsultacjach, niby tylko w sprawie syna, przeprosić za nieobecność na wywiadówce, z powagą odegrać swoją rolę – wiesz, straszne

-zamieszanie, żona wyjechała, znów stałem się samotnym ojcem, a do tego sporo teraz pracuję.

W jego wyobrazeniach Ewa miękła jak wosk; znał ją przecież, wiedział, że jest opiekuńcza i zwyczajnie dobra. Czekaliby zapewne, aż on zapyta o Jima, czy nadal się z nim spotyka. Liczyliby na to, że Andrzej poprosi o jeszcze jedną szansę. Ale on by o nic nie pytał, zachowywałby się tak, jakby się poddał, nie zamierzał walczyć, skoro ona woli tego Walińczyka, skoro z jej strony to nie było prawdziwe uczucie... Pani Alina twierdziła, że to odniesie skutek, i Andrzej bez zastrzeżeń uwierzył w jej zapewnienia. Ewa poczuje się zaniepokojona: Jak to, mój urok już na niego nie działa, straciłam go? I zechce znowu złapać go w sidła miłości.

Tak miało się stać, tak to sobie wymarzył. Minał jeden piątek, Andrzej wytrzymał i cierpliwie czekał, by zobaczyć się z Ewą w następnym tygodniu – a teraz właśnie ów tydzień nadszedł. Był czwartek, jutro powinno się odbyć to wyczekane spotkanie, ta rozmowa, podczas której mieli zacząć od nowa. Wszystko już przygotował, łącznie z wyprasowaną błękitną koszulą, dzinsami i odświeżoną marynarką. Ale mimo to wiedział, że nic z tego nie będzie. Nazajutrz, w piątek, nie zjawi się na konsultacjach u Ewy. Zamiast tego będzie siedział przy szpitalnym łóżku swojej żony w szpitalu w Gorzowie Wielkopolskim, bo tam właśnie przywieziono tych nielicznych pasażerów busa, którzy przeżyli wypadek.

Sławek na początku płakał, ale szybko się uspokoił; teraz tylko trzymał matkę za kredowobiałą rękę. Żaneta straciła sporo krwi, miała złamane dolne żebra, ale na szczęście żaden narząd wewnętrzny poza jednym nie został uszkodzony. Tym jednym była macica, która pękła pod wpływem ucisku pasów bezpieczeństwa.

Podobno Żaneta odzyskała przytomność już po kilku godzinach, ale początkowo była w szoku i nie rozumiała, co się stało i gdzie się znalazła. Potem, gdy oszołomienie powoli minęło, zapytała o dziecko. Od tamtej pory nie odezwała się ani słowem.

Mąż i syn siedzieli przy jej łóżku na zmianę – Sławek z zaciśniętymi ustami, tłumiąc łzy, Andrzej zaś wpatrując się w jej twarz, żeby złapać moment, gdy tylko otworzy oczy, ponieważ obiecał chłopcu, że wówczas natychmiast go zawoła. Ostatecznie jednak Żaneta otworzyła je właśnie wtedy, gdy był przy niej syn. Andrzej stał na korytarzu, z komórką w dłoni, bezmyślnie gapiąc się na wyświetlacz.

– Tato! – zawołał Sławek zduszonym szeptem, bo nie chciał pobudzić trzech innych pacjentek drzemiących na pozostałych łózkach.

Andrzej obejrzał się i szybko schował telefon do kieszeni. Wchodząc do sali, zauważył, że Żaneta ponownie zamyka oczy.

– Zaczekaj! – wyszeptał. – Nie chowaj się przed nami!

Rozchyliła powieki, spojrzała na niego, a potem przeniosła wzrok na syna. Andrzej zrozumiał, że to zwyczajny wstyd. Przecież uciekła, znowu ich zostawiła. A oni zdołali ją dogonić.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział jeszcze, kątem oka dostrzegając, że Sławek rzucił mu spojrzenie pełne wdzięczności. – Lada dzień cię wypiszą.

Chciał powiedzieć: „Na szczęście nic poważnego się nie stało”, ale przecież właśnie się stało – w jej oczach widział wyraźnie, że stało się najgorsze.

Żaneta nie odezwała się ani słowem, lecz Andrzej zauważył, że zacisnęła palce na dłoni syna. Pomyślał, że musi się bardzo bać, nie tylko reakcji jego czy Sławka, ale zwyczajnie – życia. Co teraz zrobi, jak postąpi? Czy pojedzie do Anglii, stanie przed tamtym księdzem i opowie mu, co się stało? Czy może uzna, że już nie warto, bo straciła jedyny argument, jaki miała, ten z gatunku najważniejszych?

A jeśli jednak to drugie, jeżeli Żaneta zostanie, to co z nimi, z ich pokraczną, nieudaną rodziną? Zanim pozwolił sobie na samolubną myśl: co ze mną i Ewą, o ile znowu odsunie się spełnienie moich pragnień – zanim dopuścił do siebie to pytanie, jego spojrzenie padło na Sławka, który przecież najbardziej na świecie chciał teraz, żeby mama wróciła, cała i zdrowa, do ich domu, nawet jeśli bez braciszka czy siostrzyczki.

Andrzej nie mógł dłużej znieść tej ciężkiej ciszy. Uciekł na korytarz, podszedł do okna i przyłożył czoło do zimnej szyby. Znowu wyjął telefon, po czym odszukał numer Ewy. Właśnie zamierzał napisać do niej esemesa z wyjaśnieniem swojej nieobecności na konsultacjach, kiedy usłyszał za sobą cichy głos syna.

– Mama znowu zasnęła – powiedział chłopiec. – Do kogo dzwonisz?

– Nie dzwonię. Piszę ci usprawiedliwienie.

Sławek patrzył na niego wyczekująco. Andrzej westchnął i napisał: *Proszę usprawiedliwić Sławkowi nieobecności, jesteśmy w szpitalu u jego mamy. Miała wypadek. Pozdrawiam, Andrzej Wójcik.*

Miał nadzieję, że chłopakowi się znudzi i wróci do matki, a wtedy on mógłby wykasować treść i napisać coś bardziej osobistego. Sławek stał jednak przy nim i zerkał na wyświetlacz, toteż Andrzej w końcu kliknął „wyślij” i szybko schował telefon do kieszeni. Wolał sobie nie wyobrazić, jak zareaguje Ewa na tak oficjalnie brzmiącą wiadomość.

Przenocowali w jakimś skromnym hoteliku, w którym nie było restauracji ani nawet bufetu, Andrzej musiał więc -kupić im obu po bułce; wzięli w garść kabanosy i jakoś dotrwali do rana. O poranku poszli na spacer nad Wartę, żeby rozbudzić się na dobre, po czym – gdy tylko wpuszczono ich na oddział – rozpoczęli czuwanie przy łóżku chorej.

Żaneta początkowo znowu tylko milczała, ale najwyraźniej dotarło do niej, że oni nie zamierzają zrezygnować, bo po jakimś czasie odezwała się cicho:

– Jedźcie do domu. Ja teraz wolę być sama.

Andrzejowi wydało się, że przy tych ostatnich słowach przełknęła łzy, ale jej oczy pozostały suche. Sławek nic nie powiedział, spojrzał tylko błagalnie na ojca. Andrzej nie miał pojęcia, o co właściwie syn go prosi.

– Posiedzimy z tobą, przynajmniej dopóki lekarz nie powie, kiedy cię wypiszą.

– Nie, Andrzej.

– Co: „nie”? Dlaczego?

– Sławek i tak ma tyle tych jedynek... A teraz jeszcze nie -poszedł do szkoły.

Tak jakbyś się kiedykolwiek przejmowała jego nauką, pomyślał Andrzej, ale nie powiedział tego na głos.

Chłopiec zwiesił głowę.

– On już zaczyna poprawiać oceny – skłamał Andrzej. – By-liśmy umówieni na dzisiaj, ale równie dobrze to może być przyszły piątek. Wtedy są konsultacje. Nic się nie bój.

– Nie boję się. Teraz już niczego się nie boję.

Zamknęła oczy. Wyglądała tak, jakby płacz czał się dosłownie na skraju jej powiek. Andrzej wiedział jednak, że Żaneta powstrzyma emocje. I nie mylił się.

– Jedźcie do domu – powtórzyła. – Jestem bardzo słaba i wciąż tylko chce mi się spać, a jak wy tu siedzicie, to nie mogę. Naprawdę, wolę być sama.

– Będziemy do ciebie dzwonić. – Sławkowi wreszcie udało się wydobyć z siebie głos.

– Dobrze. Popraw te oceny, okej?

– Okej. – W ciemnych oczach syna zalśniły łzy i Andrzej wiedział, że teraz chłopiec da z siebie wszystko, żeby zdobyć lepsze stopnie.

W gruncie rzeczy obaj jesteście takie same miękkie cielaki, przemknęło mu przez głowę. A kobiety robią z nami, co chcą.

Wszystko zaczynało nabierać realnych kształtów. Początkowo, kiedy ciotka i wuj zaprezentowali Lucy kilka zdjęć budynku, w którym postanowili urządzić pensjonat, dziewczyna omal nie dostała ataku histerycznego śmiechu. We wcześniejszej rozmowie telefonicznej padło słowo „dworek”, tymczasem Lucy nazwałaby to raczej „chatą” albo „chałupą”. Na fotografii widniał dom z pięknej cegły, na szczęście kryty nie strzechą, lecz solidnym dachem, bo strzechy, choć wyglądały malowniczo, były podobno bardzo drogie w utrzymaniu; tak powiedział wujek Stanley.

– Futryny i framugi pomaluje się na zielono. – Ciocia Bonnie się rozmarzyła.

– Będą kosze z kwiatami, mnóstwo donic. Byliśmy ze Stanem na południu Francji, tam są właśnie takie tarasy.

– Ale tu nie ma tarasu – mruknęła Lucy.

– To się go zrobi. – Dla wujka nie było rzeczy niemożliwych. – Z cegły klinkierowej. Już się zorientowałem w cenach.

– Jasne. Tylko że południowa Walia to nie południowa Francja. Tutaj często leje. Ludzie nie będą chcieli siedzieć na tarasie.

– Cudzoziemcy będą chcieli. A poza tym ja będę chciała – odparła ciocia z wielką pewnością siebie. – Słuchaj, my już popytaliśmy, poczytaliśmy i wszystko wiemy. To jest miejsce atrakcyjne turystycznie, niedaleko jest St. David's z tą katedrą, wiesz. Piękne wybrzeże, w pobliżu park narodowy, po prostu raj.

– Wiem, ciociu.

– Pojeździliśmy trochę po okolicy i powiem ci, że nie jest źle, wprowadzie sporo kempingów, ale niewiele miejsc, gdzie można smacznie zjeść i się wypaść. Zazwyczaj same domki do wynajęcia, bez wyżywienia.

– Rozumiem, ciociu. Ale ta chałupa...

– Przestań marudzić. Już zaczęliśmy remont. Na górze jest pięć pomieszczeń, dwa małe na dole, no i spory salon, to będzie restauracja. Pokoje na dole są dla nas i dla ciebie. Na górze pięć pokoi dla gości.

– Z łazienkami?

– Przecież Bonnie mówiła, że robimy remont. – Wujek ją uspokoił. – Każdy pokój będzie miał łazienkę.

– Już nawet mamy nazwę: Clarke Bed & Breakfast! – Ciocia pokazała Lucy jeszcze jedno zdjęcie, na którym widniał pięknie wykonany szyld.

Cóż, całe to szalone przedsięwzięcie naprawdę zaczęło mieć ręce i nogi.

– A te obory za domem? – zapytała jeszcze Lucy, ale już wyłącznie po to, żeby się podroczyć. – Będziemy hodować świnię albo krowy?

Ciotka Bonnie okazała się bardzo cierpliwa.

– Kochanie, na razie niech sobie stoją, są bardzo malownicze. Potem zadecydujemy. Albo się tam zrobi salę ze stołami bilardowymi, albo dodatkowy domek, wiesz, taką samotnię, może ktoś będzie chciał pomieszkać w odosobnieniu, ze śniadaniem przynoszonym na wycieraczkę. Możemy też tam trzymać rowery dla gości...

– A jakby nawet zwierzaki, to co? – zapytał wujek trochę zaczepnie. – Mielibyśmy własne mleko, śmietanę, jajka.

– Taaa, jasne! – Lucy uśmiechnęła się z przekąsem. – Para mieszcuchów, całe życie w salonie gier, portowy zgiełk i wielkomiejski smród, i teraz nagle wiecie, jak się hoduje kury?

– Dowiemy się, jak będzie trzeba – odparł wujek. – Ty lepiej powiedz, czy w to wchodzisz. Do ciebie by teraz należało urządzenie tego na tyle nowocześnie,

żeby młodzi chcieli przyjeżdżać... No i w miarę tanio. Zajmiesz się zakupami, dopilnujesz tego remontu, to znaczy wiesz, wystrój powinien być w jakimś konkretnym stylu...

– Ale mówiliście o jeszcze jednej osobie.

– Później się poszuka kogoś miejscowego do pomocy. – Ciocia machnęła ręką.

– O nie, na to się nie zgadzam. To musi być ktoś zaufany, z kim naprawdę chce się pracować. Z miejscowych to wy sobie możecie kelnerkę zatrudnić albo kogoś do obierania ziemniaków. Ale jak mam zakładać od podstaw hotelik, urządzić, planować, to potrzebuję kogoś, kto myśli podobnie jak ja.

Wujek i ciocia spojrzeli na siebie porozumiewawczo. Pewnie już o tym rozmawiali, pomyślała Lucy. Może się boją, że zechcą sprowadzić tu swoją dziewczynę i uprawiać z nią dziki lesbijski seks za ich zgorszonymi plecami.

– Masz kogoś takiego? – zapytała ostrożnie ciocia.

– Chyba tak. Będąc u Jima w Polsce, poznałam jego dziewczynę. Ona ma córkę Klaudię, która szuka pracy za granicą. Chce zostać dietetyczką, zna się na zdrowym żywieniu, trochę sama gotuje. W planach ma pensjonat ze spa, ale sami wiecie, od czegoś trzeba zacząć.

– Czy ona jest... – Wujek urwał, speszony.

Lucy udała, że nie rozumie pytania. Nie zamierzała opowiadać im o cudzych tajemnicach, a już na pewno o tych, które dotyczyły życia intymnego.

– Ma dopiero osiemnaście lat, wybiera się na studia, ale najpierw robi sobie przerwę, chce zarobić na naukę. Właściwie prawie jej nie znam, wiem tylko, że podobnie jak ja prowadzi bloga kulinarnego... To jeszcze dzieciak, ale jest pełna zapału i pomysłów...

– Dobrze, dobrze. – Ciocia jej przerwała. – Opowiedz jej, jak tu się sprawy mają, czy jej to w ogóle odpowiada. Rozumiem, że miałyby mieszkać z nami?

– Chyba bez sensu, żeby coś wynajmowała...

– Masz rację. Ale za mieszkanie odciągałabyś jej od pensji, sama rozumiesz. Zresztą jeszcze musisz dokładnie przemyśleć, co by należało do jej obowiązków, a co do twoich.

– My byśmy tylko czuwali nad całością – przypomniał wujek. – Dajemy fundusze i załatwiamy kwestie prawne, a potem cieszymy się słodką starością i dzielimy zyski między ciebie i nas. Taki jest układ, pamiętasz? Cała robota spada na ciebie i tych, których zatrudnisz.

– Pamiętam, wujku. Ale o kurach zapomnij. Nie będę się bawić w farmera.

– O tym się jeszcze pogada. Na razie hotelik, Clarke Bed & Breakfast. Stoi?

– Stoi!

Ciocia wyciągnęła rękę, a Lucy i wujek przyłożyli swoje.

Tego wieczoru Lucy naląła sobie kieliszek czerwonego wina i usiadła do komputera, żeby zredagować maila do Klaudii. Stukała w klawisze, ale gdy tylko napisała kilka zdań, natychmiast je kasowała, by po kilku minutach zacząć od nowa. W końcu wybrała numer telefonu brata.

– Opowiedz mi jeszcze o tej córce twojej Ewy – zaczęła zamiast powitania.

– Cześć, siostra. Wszystko w porządku, miło, że pytasz.

– Oj, Jimmy, daj spokój. Co u ciebie? Wszystko dobrze? To teraz opowiedz mi o tej dziewczynie.

Jim milczał przez chwilę.

– To nie jest „córka mojej Ewy” – powiedział wreszcie.

– Co takiego? A czyja?!

Lucy przez moment czuła się zupełnie skołowana. Prze-mknęło jej przez głowę, że to jakaś rodzinna tajemnica, że Klaudia została adoptowana i dopiero teraz sprawa wyszła na jaw albo coś w tym rodzaju.

– Nie w tym sensie, że nie Ewy, tylko że nie mojej – wyjaśnił Jim. – Już nie mojej.

– No co ty gadasz?

– Rozstaliśmy się.

Tak więc zamiast porozmawiać o Klaudii i zatrudnieniu jej w Clarke Bed & Breakfast, zaczęli rozkładać na czynniki pierwsze relacje Jima z Ewą, jej miłość do Andrzeja, pokorne -czekanie Jima i to, czy taka postawa się kobietom podoba, czy one nie wołałyby czasem, żeby mężczyzna trzasnął drzwiami i wyszedł.

– Jedno jest pewne: na to pytanie ci nie odpowiem – zakończyła Lucy. – Wiem sporo o kobietach, ale nie o ich związkach z facetami. Jak dla mnie, facet trzaskający drzwiami jest kompletnie nieinteresujący. Ale ten nietrzaskający także, więc żaden ze mnie pożytek, jak widzisz.

– A gdyby to była dziewczyna? – Jim się upierał. – Co byś wolała? Żeby czekała cierpliwie, aż ją pokochasz, czy uniosła się honorem?

– Gdybym jej nie kochała?

– Tak.

– To wolałabym, żeby sobie poszła. Miałabym problem z głowy – rzuciła Lucy, zanim się zorientowała, że nie o taką odpowiedź mu chodziło.

Porozmawiali jeszcze trochę, choć Jim wyraźnie przygasł i nie pomogły nawet próby rozśmieszenia go starymi dowcipami ani opowieścią o tym, że wujek Stanley zamierza hodować kury.

– Jamesie Clarke, uszy do góry – powiedziała wreszcie Lucy. – Nie będziesz jej widywał, to zapomnisz. Ja już nie płaczę po Keirze, choć jeszcze parę dni temu wydawało mi się, że będzie bolało wiecznie.

– Ale kiedy ja właśnie widuję Ewę – odpowiedział Jim. – Przecież uczę ją

angielskiego, ona wciąż chodzi na kurs, a poza tym ja udzielam Klaudii konwersacji, bo ona ma za trzy miesiące maturę.

– *À propos*, Klaudia, no właśnie. Ja przecież w tej sprawie dzwonię. Powiedz mi o niej coś więcej. Widzisz, chodzi o to, czy powinnam jej zaufać na tyle, żeby ją tu ściągnąć. To -poważna sprawa, nie chcę zawieść cioci i wuja, a brać sobie na głowę kogoś, kto zawali zaraz na starcie...

– Nie wiem, Lucy. Nie doradzę ci. Ja ją znam od zupełnie innej strony: to jest taka słaba silna dziewczyna...

– Słaba silna? – przerwała mu siostra. – To jakiś polski idiom?

– Nie, ja tak w przenośni mówię. Słaba, delikatna, wrażliwa. Łatwo ją zranić, bo nie umie kłamać, nie udaje. Ale ma w sobie siłę. Opowiadałem ci przecież o tych rodzinnych problemach...

– Tak, pamiętam.

– I wiesz, mnie się bardzo podoba to, jak one się obie z Ewą wspierają, jak jedna drugą dosłownie podtrzymuje, kiedy mają problemy.

Lucy zamilkła na długą chwilę. Obracała w palcach pusty kieliszek po winie i usiłowała przypomnieć sobie kobiety, które poznała podczas kolacji wigilijnej. Żadna z nich nie wyglądała wtedy jak ktoś, kto ma jakiegokolwiek kłopoty. Jim także wydawał się szczęśliwy.

– Ty ją naprawdę kochasz? Tę Ewę? – zapytała w końcu.

Teraz Jim zwlekał z odpowiedzią.

– Sam już nie wiem, *sis* – odparł po namyśle. – Najpierw myślałem, że tak, bardzo. Potem dotarło do mnie, że zakochałem się raczej w tym wszystkim, co ona ma, a mnie brakuje. W domu i rodzinie. U nich jest inaczej, rozumiesz? Inaczej niż w moim pustym, wynajętym mieszkanku.

– To dlaczego nie wrócisz? – Lucy z trudem pohamowała wzruszenie, które pojawiło się nagle, niemal odbierając jej głos. – Jimmy, dlaczego siedzisz tam, w tym zimnym kraju, z dala od domu? Tylko dlatego, że Claire okazała się taką nieczułą, drętwą babą?

– Nie wiem, Lucy. Może polubiłem Polskę, ten ich straszny, szeleszczący język? Może ciągle mam nadzieję, że coś mnie tu spotka?

– Pamiętaj, jeśli będzie ci naprawdę źle, mam dla ciebie pokój w Clarke Bed & Breakfast. Zawsze.

– Okej. Zapamiętam.

– Trzymaj się, bracie. *Rwyn dy garu di*.

– *Rwyn dy garu di, sis*. A co z Klaudią? Zaproponujesz jej tę robotę?

– Jeszcze zobaczę.

Myślała o tym do drugiej nad ranem. Zanim zasnęła, postanowiła, że jednak nie, nie powinna wchodzić w tak poważny układ biznesowy z kimś, kogo nie zna. Jeśli ma rzeczywiście rozkręcić ten pensjonat – i to nie za własne pieniądze, lecz na

zlecenie ciotki i wuja – powinna dobrać sobie do załogi kogoś, kto zna walijskie realia, kto będzie dla niej pomocą, a nie obciążeniem.

Nie pamiętała, co dokładnie jej się śniło, ale w tym śnie na pewno była Klaudia i jej ciemne oczy, pełne łez. Z jakiegoś powodu ten jeden szczegół utkwił Lucy w pamięci – i zapewne dlatego rano, popijając aromatyczną kawę i przeglądając zdjęcia włoskich i francuskich pensjonatów w poszukiwaniu inspiracji, pomyślała: może jednak. Może powinna napisać do Klaudii.

Cześć. Praca jest na sto procent. Na razie nie jestem w stanie napisać Ci, ile byś zarobiła ani jakie byłyby Twoje obowiązki. Wiem tylko tyle: mamy starą chałupę do remontu, piękne miejsce, klify, morze, totalny odjazd, ma być w stylu kawiarenki z Południa, a póki co jest w stylu stodoły z Północy. Urobimy się po pachy, ale: będzie dach nad głową i żarcie, podszkolisz angielski, bo ciotka i wuj rzadko mówią po walijsku. No i rozejrzysz się tu na miejscu po uczelniach i w ogóle. Przemyśl to i daj znać. Ściskam, Lucy.

Po bardzo długim namyśle zmieniła zakończenie na: *Buziaki, Lucy.*

Zanim otworzył Facebooka, wziął głęboki oddech. Jeśli nie napisała, pomyślał, to nie zajrzę przez następną dobę. Albo już nigdy. Albo przez cały tydzień.

Oczywiście doskonale zdawał sobie sprawę, że złamie wszystkie te śmieszne postanowienia już za godzinę. Nie był w stanie usłuchać swojego sumienia. Słuchał tylko serca. Po raz pierwszy w życiu.

Wiele lat temu, gdy Bogdan przekraczał progi seminarium jako zwykły, prosty kleryk, pragnął tylko służyć Panu Bogu i ludziom, sprawować sakramenty, ewentualnie – gdyby mu kazano – uczyć religii w szkołach. Chciał dążyć do samodoskonalenia, kształcić się, a także pisać. Był poetą, pisał do szuflady wiersze o miłosierdziu i wielkości ofiary Chrystusa.

Dlaczego został księdzem? To było oczywiste, że nim zostanie. Mama zawsze mu mówiła, że otrzymał na chrzcie takie właśnie imię: Bogdan, dany Bogu; dla wszystkich stało się jasne, że to dla niego najlepsza ścieżka. Wierzył w Boga głęboko i czuł się uprzywilejowany, że może Mu służyć. Nade wszystko zaś sądził, że jego posługa będzie polegała na niesieniu pomocy ludziom, którzy jej potrzebują. Mylił się.

Początkowo było wspaniale. Wszystko wydawało się nowe, inne niż życie w rodzinnej wsi. Bogdan czuł się wybrańcem, tym bardziej, że kompletnie nie był narażony na pokusy. Nie interesowały go dziewczyny – chłopcy także nie, nic z tych rzeczy.

Seminarzystów przestrzegano przed kobiecością. Mówiono im, żeby unikali miejsc, gdzie łatwo o niebezpieczeństwo. Żadnych spotkań z przyjaciółmi, żadnych klubów, domówek. Mówiono, że wiara i powołanie wystarczą, żeby dochować wierności sobie i Bogu.

Czego nie mówiono? Że w kapłaństwie czeka ich samotność. Zresztą nie tylko o tym zapomniano ich uprzedzić. Właściwie na nic nie zostali przygotowani. Życie w seminarium, wyobrażenia i rzeczywistość – to były trzy różne światy. A między nimi – bolesna, wielka dziura. Rana zawiedzionych nadziei.

Zaraz po święceniach trafił do Andruszków. Była to niewielka miejscowość w pobliżu Torunia – ludzie pobożni, miejsca spacerowe nad Wisłą, ładne widoki... Powinno być dobrze, ale nie było. Na plebanii od początku czuł się obco. Nie jak w domu – lecz jak w hotelu. Sporo starszy proboszcz po -południu był już zazwyczaj pijany, wszelkie obowiązki spadały więc na Bogdana. I może to nawet dobrze, bo pozwalały -zabić uczucie, że jest niepotrzebny. W kościele pojawiały się -wyłącznie starsze panie, młodych wiara nie interesowała. Ci nieliczni, którzy zostali, chcieli tylko odhaczyć niedzielną sumę. Zupełnie jakby był to dla nich nieznośny obowiązek.

Bogdan zauważył w pewnym momencie, do czego sprowadza się jego rola: miał pilnować, żeby wierni regularnie sprząтали kościół, dobrze płacili za chrzciny, śluby i pogrzeby. Czuł się jak sprzedawca, zresztą całkiem dobry w swoim fachu. Ale przecież nie o to mu chodziło. Nie tak chciał żyć i nie po to został księdzem.

Czarę goryczy przepełnił artykuł, który Bogdan znalazł w jednym z popularnych czasopism. Wynikało z niego, że Polacy wyżej cenią urzędnika, sklepikarza, nie wspominając o dyrektorze fabryki – niż księdza. Wierni zarzucali duchownym pazerność, wywyższanie się, obojętność i lekceważenie ludzi, a nawet hazard, hulanki i pijaństwo.

Bogdan, jako ksiądz żyjący zgodnie z tym, w co całą duszą ciągle wierzył, nie mógł się pogodzić z takim obrazem Kościoła. A tym boleśniesz były takie słowa, im bardziej czuł, że tkwi w nich sporo prawdy.

Kiedy dawny przyjaciel z seminarium, ksiądz Jakub, odezwał się po latach z Manchesteru – że potrzeba im kapłanów i że gdyby tylko Bogdan chciał... bo odwiedził ich biskup i obiecał pomoc... – Bogdan uznał to za cud. Bardzo chciał. Byłoby uciec od tego, co się działo w Polsce, co zaczynało się dziać i przerażało go coraz bardziej. Przerażało tym, że nie miało nic wspólnego z nauką Chrystusa. Tym, że w duszpasterzach buzowała agresja, niechęć do ludzi, złość. On nie chciał w Kościele polityki, lecz duchowości. Nie chciał anachronicznego systemu, który nie zmienił się od czasów feudalizmu – pragnął pracować po nowemu, na zasadzie pełnego zrozumienia dialogu z wiernymi. Dlatego uciekł z Polski.

A teraz zdarzył się w jego życiu cud miłości. Tak Bogdan myślał o tym wszystkim, co kotłowało się w jego samotnym sercu. Początkowo nad tym cudem wisiło ogromne poczucie winy. Walczyli oboje z Żanetą, bronili się przed uczuciem. Ale w końcu przestali. Gdyby Bóg nie chciał, żeby ludzie łączyli się w pary, nie dałby nam miłości, nie stworzyłby czegoś tak pięknego. Bo że miłość nie może być dziełem szatana, tego Bogdan był pewien.

Z poczuciem winy rozprawił się również dzięki studiowaniu Biblii. Oczywiście, Jezus zachęcał do celibatu, delikatnie sugerował go również święty Paweł, ale przecież dodawał przy tym, że „każdy jest obdarowany przez Boga inaczej”. I właśnie Bogdan czuł się obdarowany. Po raz pierwszy w życiu poznał bliskość. Dopiero teraz potrafił zrozumieć spowiedzi wiernych, ich troski, ból tych, których porzucono, niepokój tych, którzy ulegali pokusom. Wiedział już, jak potężną siłą jest miłość. I jak wiele ma twarzy.

Najmniej znaczyła dla niego cielesność. Nie było tak, jak w jakiejś bzdurnej powieści, którą sobie kupił, kiedy zaczęła w nim kiełkować decyzja o odejściu ze stanu duchownego (zresztą zakupił wówczas kilka książek na ten temat – niektóre okazały się zbiorem reportaży o takich księżach jak on, inne ckliwymi melodramatami). W tamtej historii rolę zapalnika wysadzającego w powietrze życie kapłana – odegrał seks. Dla Bogdana, gdyby miał sporządzić listę, seks byłby na ostatnim miejscu.

Co znalazłoby się na pierwszym? Na pewno to, że Bogdan po raz pierwszy czuł się komuś potrzebny. Żaneta nie mogła bez niego żyć tak samo, jak on nie potrafił funkcjonować bez niej. Wiedział, że to nie jest jej pierwsza próba znalezienia miłości, że gdzieś tam czeka (albo i nie czeka) niekochany mąż, ale to nie miało żadnego znaczenia. Był pewien szczerości jej uczuć, bo po prostu widział je, miał je przed sobą jak na dłoni; ona cała była tęsknotą i cała stawiała się ukojeniem, kiedy udawało im się spotkać i objąć, być blisko.

Po drugie, pierwszy raz w życiu poczuł się mężczyzną. Chciał być silny, opiekuńczy, chciał... być ojcowski. Od uświadomienia sobie tego faktu i nazwania tej myśli po imieniu był już tylko krok do następnej: pragnął mieć rodzinę. Może nawet niekoniecznie dzieci, chociaż tak, dzieci również – ale przede wszystkim dom i ją, Żanetę, u boku.

Marzyły mu się takie prozaiczne czynności: obniżają się drzwiczki szafki kuchennej i on je dokręca, albo Żaneta mówi: przekop mi ogródek, będę siać zielony groszek. Po jakimś czasie uświadomił sobie, że odtwarza w wyobraźni sceny z życia rodzinnego, kiedy jako dzieciak mieszkał na wsi i kiedy świat zdawał się składać wyłącznie z pięknych, słonecznych obrazków.

Zaraz za tą myślą przyszła kolejna: jak zareaguje matka staruszka, gdy się dowie, że syn złamał śluby? Czy nie uzna tego za zdradę – nie tylko wobec Kościoła, ale wobec niej samej? Właśnie słowo „zdrada” powtarzało się najczęściej w tych reportażach, które Bogdan czytał po kilka razy, żeby się upewnić, że życie po zrzuceniu sutanny jest w ogóle możliwe. I że ci, którzy to uczynili, nie żałują.

No dobrze, jeśli więc Żaneta nie napisała, to on nie zajrzy na Facebooka aż do jutra rana. Trzeba zachować resztki ambicji. Chociaż, z drugiej strony, ostatnia jej wiadomość brzmiała: „Jadę na Wyspy”. Nic więcej – ani kiedy dokładnie

przyjeżdża, ani czym: samolotem czy autokarem, ani gdzie się spotkają... Czyli pewnie już wyjechała i nie ma jak napisać.

Tyle że od tamtego dnia, kiedy drżącymi palcami wystukał odpowiedź, że czeka – mijał tydzień. Tymczasem kobiety, którą kochał, na którą czekał i dla której postanowił zmienić swoje życie, ciągle nie było.

Ewa dyskretnie wsunęła komórkę do torebki. Chyba dziesiąty raz sprawdzała, czy nie ma wiadomości od Andrzeja, lecz po tamtej dziwnej, suchej – z usprawiedliwieniem syna – nie napisał już ani słowa. Przechyliła szklankę z drinkiem, ale nic nie znalazła na dnie. A szkoda, bardzo jej smakowało.

– Ja jeszcze zamówię – zaproponował natychmiast Jim, który obserwował ją kątem oka.

Wymówił „sz” i „cz” wyjątkowo twardo jak na obcokrajowca. Jestem z ciebie dumna, pomyślała Ewa, ale oczywiście nie powiedziała tego głośno. Unikała zwracania się do niego, wyrażania sympatii, jakichkolwiek ciepłych gestów. Może to głupie, ale uważała, że w ten sposób szybciej wrócą do normalności. Tak, teraz, po tym drugim drinku, uznała, że na pewno głupie.

– Nie, Jimmy, dziękuję. Ja już się zbieram.

– Ale mowy nie ma! – Renata, która obchodziła urodziny, mocno przytuliła Ewę. – Parzyste przynosi pecha, nie wiesz? Musisz wypić trzeciego, bo będę miała pecha.

Ewa nie wiedziała. Że kwiatów w bukietcie powinno być nieparzyste, to owszem – ale drinki?

– Człowiek uczy się przez całe życie – mruknęła.

Całe towarzystwo siedziało w ulubionym pubie. Świętowali nie tylko urodziny Renaty, lecz także wieść, którą przyniosła Patrycja: jest w ciąży. Miłka, która od jakiegoś czasu planowała dziecko, ożywiła się wyraźnie i wciąż zadawała pytania: o -lekarza prowadzącego, usg, kolor wózka i planowane imię.

– Lepiej nie planować – odezwał się Grzegorz, który wprawdzie jako samotny gej nie miał zielonego pojęcia o ciąży, ale zawsze bardzo chętnie rozmawiał na takie tematy. – Ciesz się stanem odmiennym, obserwuj swój organizm i czekaj na cud narodzin.

– Naczytałeś się artykułów w prasie kobiecej czy co? – prychnęła Patrycja. – Jaki tam cud? To będzie ból i wrzask, tyle ci powiem.

Z oczywistych względów piła tylko sok i wydawała się nieco rozdrażniona faktem, że wszystkim robi się wesoło, a jej nie.

– A tak w ogóle jak się czujesz? – zapytał Tomasz, najwyraźniej przerażony perspektywą rozmowy na temat porodu.

– Niby jest okej – odburknęła Patrycja. – Tylko ciągle mi niedobrze. Tak jakby ciągle kac. Niby nic wielkiego, ale wiecie, tak jakoś muli w żołądku i

człowiekowi się w środku trzepocze na myśl o jedzeniu.

Wszyscy, nie wyłączając najmłodszego Maćka, który był studentem, pokiwali głowami z głębokim zrozumieniem.

– Kiedy ja byłam w ciąży, to wszędzie czułam zapach wnętrzości drobiu. – Ewa przypomniała sobie fakt sprzed lat. – Rozumiecie, wchodzi do obuwniczego, a tam śmierdzi flakami kurczaka. Wchodzi do cukierni, to samo.

Urwała, widząc miny przysłuchujących się mężczyzn. Wyglądali tak, jakby mieli zamiar zwrócić właśnie wypite drinki.

– A miałaś zachcianki? – dopytywała Patrycja. – No wiesz, ogórek kiszony, jagody i do tego na przykład śledzie.

– Takich dziwnych to nie – odparła Ewa. – Ale miewałam kosmiczny apetyt na określoną rzecz. Na przykład gotowaną wołowinę albo arbuza.

– Ale nie w zestawie? – Tomasz się upewnił.

– Nie, absolutnie. Weź przestań, wołowina z arbuzem?

– Ludzie lubią różne połączenia – zauważyła Renata, a Grzesiek, który wykladał kulturę klasyczną, dodał z mądrą miną, choć nieco już bełkotliwie:

– *De gustibus non disputandum est*. O gustach się nie dyskutuje. U mnie w domu na przykład się jadło dżem truskawkowy na kanapce z serem. Zamiast keczupu.

– A u mnie mama kładła plaster ananasa na kotlecie schabowym – dodał Maciej.

Jim przyglądał się przyjaciółom z zagadkowym wyrazem twarzy.

– O co chodzi? – zapytała Ewa. – Pewnie myślisz, że Polacy mają kompletnie pokręcone pomysły kulinarne.

– Nie – odparł, patrząc jej w oczy. – Ja myślę, że z wami nie jest nudno. Człowiek nigdy nie wie, czego się spodziewać.

Ewa się zarumieniła, bo z jakiegoś powodu wydało jej się, że te słowa dotyczą jej i ich niedawno zakończony związek. Powoli dopiła trzeciego drinka i wstała, by pożegnać się z jubilatką.

– Jeszcze raz wszystkiego najlepszego – szepnęła, przytulając ją. – Niech ci się spełnią wszystkie marzenia, kochana.

Potem pomachała pozostałym i wyszła przed lokal. Chciała się trochę przewietrzyć, zanim zadzwoni po taksówkę. Dopinała właśnie płaszcz, kiedy za nią trzasnęły drzwi.

– Ty nie musisz przede mną uciekać – powiedział Jim, który także wyszedł z pubu.

– Muszę. – Roześmiała się. – Dobijają mnie te twoje zaimki na początku zdania. Dla własnego zdrowia psychicznego muszę cię unikać.

– Jimmy Zaimek? Tak mówiłaś?

– Tak. Jim...

Urwała, bo Walijczyk wziął ją za rękę i najwyraźniej usiłował coś jej wyznać. Nie była tylko pewna, czy chce to usłyszeć. Nie chciała znowu wybebeszać tego wszystkiego, co już zdążyło się ładnie zabiżnić.

– Ja ci chcę powiedzieć, Ewa, że ty jesteś mój przyjaciel, a ja jestem twój. Nie umiem tego dobrze po polsku powiedzieć.

– Bo jesteś zdenerwowany. Spokojnie. Jim, przecież ja doskonale wiem, że...

– Zaczekaj. My jesteśmy przyjacieli. Nie chodzi mi o miłość, ja wolę być przyjaciel.

Ewa umilkła, ponieważ najwyraźniej to, o czym próbował jej powiedzieć Jim, było z gatunku rzeczy naprawdę ważnych.

– Ja nie chcę was stracić, ciebie i Klaudii. Nie wiem wcale, czy ciebie kocham. Może nie. Może ja tylko chciałem mieć kogoś, żeby...

Urwał, widząc jej zdziwione spojrzenie.

– Ty mnie chyba źle rozumiesz.

– Nie, Jimmy, chyba zaczynam cię właśnie dobrze rozumieć. Chcesz mi powiedzieć, że nie jesteś już pewien, czy byłeś we mnie zakochany, czy po prostu strasznie samotny?

– Tak.

– I że chcesz, abyśmy się nadal przyjaźnili?

– Tak, Ewa. To jest ważne. Ważniejsze.

Odetchnęła z ogromną ulgą i uściskała go serdecznie.

– Nadal cudownie zmiękczasz, kiedy się zapominasz.

Roześmiali się oboje, jakby to, że Jim nie umie wymawiać polskich głosek, było jakieś szczególnie zabawne. Ewa czuła, jak z każdą sekundą tego oczyszczającego śmiechu wraca między nimi normalność i swoboda. Jak mogłam do tego dopuścić, pomyślała. O mały włos nie straciłam wspaniałego kumpla, -towarzysza tylu radosnych wieczorów. Przecież wolno mi mieć przyjaciół, nawet jeśli będę z Andrzejem.

Zaledwie o tym pomyślała, pojawiło się pytanie: Czy jest jeszcze szansa, że rzeczywiście z nim będzie, że wrócą do siebie? Jim nie był właściwą osobą, której mogłaby się zwierzyć z tych wątpliwości – mimo tej deklarowanej przyjaźni rozmowa z nim na takie tematy byłaby niepotrzebnym ranieniem jego uczuć.

Dlatego Ewa pożegnała się z Walijczykiem, ściskając go i obiecując, że pogadają po najbliższych konwersacjach u Klaudii, po czym zadzwoniła po taksówkę i pojechała do domu. Obiecała sobie, że następnego dnia zatelefonuje do mamy i zapyta ją, co powinna zrobić.

Kiedy weszła do domu, zaskoczyły ją głosy dobiegające z kuchni. Nie spodziewała się, że Klaudia o tej porze zaprosi gości. Zdjęła buty, poprawiła włosy

przed lustrem, po czym zajrzała, żeby się przywitać. Omal się nie przewróciła, widząc przepasaną fartuchem... swoją matkę.

– Mamuś?! – zawołała. – Co tu robisz?

Uściskała ją serdecznie.

– Właśnie o tobie myślałam, że muszę jutro zadzwonić, że mi doradzisz...

– Pomyślałam, że zrobię wam niespodziankę.

– Cudowna niespodzianka, mamo! Ale jak ty sobie dałaś radę? Trzeba było zadzwonić, przyjechałabym po ciebie na stację!

– No, raczej byś nie przyjechała, sądząc po zapachu. – Barbara się roześmiała. – Wyczuwam subtelny aromat dobrej wódki.

– Koleżanka miała urodziny... – Ewa poczuła się nagle jak mała dziewczynka, przyłapaną na niedozwolonej zabawie.

– Nie tłumacz się, przecież nic nie mówię.

– Ale dlaczego ty pichcisz, mamo?! Przecież jesteś gościem! Klaudia, weź od babci...

– Daj mi spokój. Chcę gotować, to gotuję. Zapiękam pieczarki z mozzarellą.

Ewa poczuła, jak schodzi z niej powietrze, niczym z przekłutego balonika. Czasem dobrze jest mieć kogoś, kto przejmie stery, pomyślała.

– To ja się wykapię i przebiorę – powiedziała. – A potem pogadamy.

Kiedy wróciła po prysznicu, w ulubionej flanelowej piżamie, mama już przecierała blat, a Klaudia kąpała się w łazience na gorze.

– Powiesz mi, co jest grane? – zapytała Ewa. – Bo nie uwierzę, że tak po prostu postanowiłaś wpaść na kolację.

– Oczywiście, że powiem – odparła matka ze spokojem. – Ale ty też mi wyśpiewasz, jak na spowiedzi, co się dzieje. Dlaczego, mimo że rozstałaś się z Jimem, nie bywa u ciebie Andrzej?

– Jesteście okropne plotkary, ty i Klaudia.

– Zaraz tam „plotkary”. Martwimy się o ciebie i tyle.

– Nie ma powodu do zmartwień.

Barbara przyjrzała się córce uważniej. Ewa doskonale wiedziała, że matka nie zadowolili się byle wyjaśnieniem, trzeba będzie powiedzieć jej całą prawdę.

– Rzeczywiście rozstałam się z Jimem – powiedziała z westchnieniem. – Tak jak mi radziłaś.

– Ja? – Barbara się zdziwiła. – Doradzałam ci coś takiego? Nie przypominam sobie.

– No, może nie wprost. Ale przecież kilka razy mówiłaś, że nie da się pokochać nikogo siłą woli.

– Mówiłam to do Klaudii, chodziło mi o tamtego chłopca, Arka. – Barbara się uśmiechnęła z filuternym błyskiem w oku.

– Dobra, dobra, mamo. Jak mawiają moi uczniowie: nie ściemniaj.

– Nie ściemniam. Naprawdę nie chciałabym, żebyś myślała, że ja byłam w jakiś sposób przeciwna temu przemiłemu Walińczykowi.

– Wiem – westchnęła Ewa. – Wiem, że nie byłaś. Jemu nikt nie może być przeciwny, bo to po prostu najsympatyczniejszy facet na świecie. Tyle że ja kocham innego, może mniej sympatycznego, może nawet nie tak przystojnego, czy ja wiem...

Tu muszę zaprotestować. Andrzejowi nic nie brakuje. Za-równo na zdjęciach, jak tu, czekając na ciebie pod domem, wyglądał szalenie męsko.

– Tak? Spodobał ci się? – Ewa rozżaliła się nagle. – To go sobie weź.

I chociaż wcale tego nie planowała, wypłakała cały swój żal, całe rozczarowanie w miękkiej rękaw maminego swetra.

Jak dobrze, myślała dwie godziny później, kiedy już opłukała chłodną wodą zapłakane oczy i poszła spać – jak dobrze, że jest mama, która wysłucha nawet najbardziej poplątanych zwierzeń, zrobi człowiekowi kubek herbaty z cytryną i pozwoli się wybeczeć do samego dna. Jak dobrze.

Barbara nie mogła zasnąć, i nie miało to nic wspólnego z faktem, że znajdowała się w cudzym domu, na cudzym łóżku. Zresztą do tego akurat trzeba przywyknąć. Od dnia, w którym podjęła ostateczną decyzję, musiała pogodzić się z kilkoma takimi faktami: od tej pory nie będzie sypiała we własnym łóżku, nie będzie piła porannej kawy z tej samej ulubionej filiżanki ani kupowała rogalików w cukierni, którą odkryli przed kilku laty wraz ze Zbyszkiem.

Nic już nie będzie takie samo, wszystko to trzeba będzie stracić – ale w zamian coś się wygra, coś zyska. Przynajmniej taką Basia miała nadzieję.

Po pierwszej wizycie u neurologa odwiedziła jeszcze dwóch innych lekarzy – w myśl zasady, że zawsze trzeba porównać diagnozy i usłyszeć kilka poglądów na tę samą sprawę. Podczas pierwszej z tych wizyt elegancka pani doktor sucho i rzeczowo powiedziała jej, że nic się nie da zrobić. W momencie, gdy pacjent odczuwa pierwsze objawy demencji, oznajmiła, ubytek neuronów w mózgu może sięgać nawet osiemdziesięciu procent. Nie ma czego ratować, jest już po zawodach. Takiego sformułowania użyła, jakby chodziło o jakiś cholerny turniej, w którym trzeba zdobyć więcej punktów niż pozostali.

A przecież Barbara chciała po prostu jeszcze trochę pożyć. Jak wszyscy. Z goryczą pomyślała wówczas, wychodząc z gabinetu tej nieprzyjemnej lekarki, że owszem, wszyscy chcemy „jeszcze trochę pożyć”, ale tak niewiele potrafimy zrobić, żeby się nasycić światem, żeby brać życie pełnymi garściami i napchać sobie nim kieszenie.

Życie na emeryturze było przyjemne i spokojne, zwłaszcza że w sensie fizycznym dopisywało jej doskonale zdrowie. W ogóle w towarzystwie Zbyszka codzienność miała całkiem sporo uroków, ale po jego śmierci Basia musiała szukać

ich trochę siłą woli, ponieważ wierzyła, że tak trzeba. Z rozsądku bardziej niż z realnej potrzeby znajdowała sobie codzienne, drobne radości: spacer w ciepłym deszczu, koncert muzyki klasycznej, herbata wypita w „Wiśniowym Sadzie”, pełnokrwisty kryminał czytany o zmroku, z kieliszkiem dobrego wina dla dodania sobie animuszu. Z przyzwyczajenia i dla towarzystwa, bo polubiła ćwiczące z nią kobiety, chodziła na jogę. Nie musiała się nigdzie spieszyć, nie miała obowiązków – była wolna. A jednak smak takiej egzystencji wydawał jej się teraz mdły niczym papkowata kaszka manna na mleku. Od kiedy uświadomiła sobie, że przeżywa być może ostatnie dni w pełnej sprawności umysłowej, zapragnęła innych doznań: czegoś ostrego, wyrazistego. Niechby piekło na języku, niechby było gorzkie albo za słone. Niechby się po tym zakręciło w głowie, nawet niechby to trzeba było odchorować – byle po raz ostatni poczuć, że życie ma smak.

Ostatni z lekarzy, do których udała się Barbara, okazał się bardzo młodym człowiekiem. Miała nawet głupi odruch, chciała uciec, kiedy wysoka, barczysta postać w fartuchu odwróciła się i Barbara napotkała spojrzenie brązowych oczu w chłopięcej twarzy.

Całe szczęście, że jednak nie uciekła, bo dopiero ta wizyta dała jej coś, czego Barbara szukała w każdym z odwiedzanych gabinetów: nadzieję, że zdąży. Że jeszcze choć jedną garść życia zdoła dla siebie urwać. Lekarz zbadał ją bardzo dokładnie, obejrzał wyniki jej badań, wypytał dokładnie o dietę (z samych liczb na wydruku wywnioskował, że jest wegetarianką) i tryb życia. Pochwalił spacer i jogę. Potem zadał jeszcze kilka pytań pozornie nie dotyczących zdrowia: czy czyta książki, czy mieszka z rodziną, jak spędza czas. Pytał o drobiazgi, ale Barbara uświadomiła sobie później, że każda z tych informacji budowała obraz jej życia: tego, co ona robi ze swoim ciałem i umysłem. Żaden z poprzednich lekarzy nie zapytał na przykład, czy chodzi do teatru albo czy gra w szachy. A przecież higiena umysłu była w tym przypadku równie ważna, jak dbałość o ciało.

– Fizycznie jest pani w znakomitej formie, tylko pozazdrościć. Natomiast te problemy z pamięcią, napady lęku... To rzeczywiście mogą, ale wcale nie muszą być początkiem choroby Alzheimera – powiedział lekarz, kiedy uzyskał już od Barbary wszystkie potrzebne mu informacje. – Widzę, że ma tu pani skierowanie od doktora Rylaka na dalsze badania.

– Tak. – Barbara mu przerwała. – Ale ja chyba nie pójdę do szpitala.

– Dlaczego?

Przyglądał jej się tymi mądrymi, brązowymi oczami tak, jakby już znał odpowiedź. Mimo to wysłuchał Barbary uważnie.

– Nie chcę spędzić końcówki życia... tego, co mi zostało, chodząc od lekarza do lekarza, przenosząc się z oddziału na oddział. Sam pan powiedział, panie doktorze, że to może być początek demencji. A jeśli tak, to ta lekarka... doktor Krawczyk... Ona powiedziała, że osiemdziesiąt procent neuronów... –

Barbara urwała, bo nie chciała tego powiedzieć: że zostało jej dwadzieścia procent mózgu, zupełnie jakby reszta zepsuła się, niczym owoc, który zbyt długo leżał w spiżarni, zapomniany i już niepotrzebny.

– Tak, rozumiem.

Barbara umilkła, a potem zapytała rozpaczliwie:

– Co powinnam zrobić? Co by pan zrobił na moim miejscu? Pan jest taki młody, ale gdyby pan... gdyby się pan dowiedział, że zostało panu niewiele czasu, może rok... Jak by pan spędził ten czas?

– Nikt z nas nie wie, ile mu zostało – zauważył lekarz, a ona się zachnęła. – Ale rozumiem, co pani ma na myśli. Cóż, gdybym był na pani miejscu... Przede wszystkim zrobiłbym te wszystkie badania, żeby znaleźć przyczynę kłopotów z pamięcią. Gdyby wyniki wykluczyły chorobę Alzheimera, poszukałbym źródła tych problemów w diecie. Pani jest wegetarianką...

– Nie zacznę jeść mięsa! – Barbara się zaperzyła. – Odkąd wykluczyłam je z diety, czuję się znacznie lepiej, nie przekona mnie pan, panie doktorze...

– Wcale nie mam takiego zamiaru. Chcę natomiast przekonać panią do rezygnacji z soi. Z tego, co mówiła pani wcześniej, wynika, że traktuje pani soję jako główne źródło białka.

– Po prostu bardzo lubię rośliny strączkowe.

– Rozumiem. Radziłbym jednak zastąpić soję fasolą. Także groch, soczewica, ale nie soja. Poza tym będziemy potrzebowali witamin z grupy B, zwłaszcza B12. Oczywiście podamy ją domięśniowo, potem konieczna będzie suplementacja, ale oprócz tego powinna pani dostarczać ją organizmowi w diecie: skoro nie mięso, nie wątroba, to może chociaż ryby?

– Ryby owszem, jadam od czasu do czasu.

– Teraz więc będzie pani je jadła częściej. Podsumowując: ryby, jajka, niewiele produktów mlecznych, a jeśli już, to nie mleko, ale jogurt, kefir, biały ser. Oczywiście jak najwięcej warzyw, w tym również kiszonki. Do tego migdały, orzechy, pestki, owoce. Zresztą to wszystko pani doskonale wie.

– Wiem. Choć przyznam, że ostatnio nie stosowałam się do zasad zdrowego odżywiania – przyznała Barbara. – Wie pan, łatwiej pójść na rogalika z konfiturą i wypić kawę w kawiarni, niż przyrządzić sobie sałatkę.

– Łatwiej, tak. Zdrowiej? Nie. Jeśli chce pani walczyć o siebie, proszę zrezygnować z rogalików.

– Dobrze, czyli dieta. A poza tym? Co jeszcze powinnam robić?

Chyba miała nadzieję, że ten młody człowiek podejmie za nią decyzję, która chodziła jej po głowie od czasu tamtej pierwszej wizyty u neurologa.

– Żyć pełną piersią – odpowiedział. – Tak, jak się pani podoba. Nie bać się.

– Pan by się nie bał?

– Nie wiem. Wydaje mi się, że strach jest wprost proporcjonalny do tego, co

mamy do stracenia.

– Ma pan na myśli to, że i tak niewiele mi zostało?

Lekarz uśmiechnął się ciepło.

– Nie zrozumiała mnie pani. Mam na myśli to, że jest pani wolna. Nie ma pani malutkich dzieci, nie musi budować domu ani robić kariery. Nikt nie będzie miał pani za złe, jeśli na przykład pojedzie pani do Kanady na rafting.

– Do Kanady to może nie – odparła z namysłem. – Podobno tam jest okropnie dużo komarów.

– Hiszpania? – zapytał z szerszym uśmiechem.

– Raczej Włochy.

– O tak, doskonały wybór. Dobre wino, dieta śródziemnomorska, sjeta i wieczorne śpiewy.

Barbara poczuła się młodsza o dobre dwadzieścia lat. Wstała i zawiązała apaszkę pod szyją.

– Naprawdę mogę się napić wina? Od czasu do czasu?

– Ja bym nawet powiedział, że to wskazane.

– Dziękuję, panie doktorze.

Odprowadził ją do drzwi. Kiedy wychodziła, dodał jeszcze:

– Ale te badania powinna pani zrobić.

– Może po powrocie, panie doktorze. Teraz szkoda mi czasu.

Właśnie tak było: nagle zaczęło jej się okropnie spieszyć. Uzmysłowała sobie, że na świecie są setki miejsc, których nigdy nie zobaczyła na własne oczy, że nie spróbowała mnóstwa rzeczy, choćby kąpieli nago w ciepłym morzu. A także – choć ta myśl przyszła najpóźniej, po wielogodzinnych przemyśleniach – że nie zrobiła w życiu nic szczególnego. Nic po niej nie zostanie.

– Ale co ty opowiadasz, że nic! – prychnęła Joanna, notariuszka, dawna znajoma Zbyszka, z którą Barbara utrzymywała luźny kontakt i którą poprosiła o spotkanie, by podpytać o kwestie prawne. – Urodziłaś i wychowałaś córkę, przez całe lata urabiałaś sobie rękę po łokcie.

– Nie rozumiesz. Przecież nie robiłam tego dla świata, dla innych ludzi, lecz dla siebie – zauważyła Barbara, popijając świeżo wyciśnięty sok z pomarańczy.

Siedziały w kawiarni, Joanna smakowała aromatyczną kawę i chrupała ciastko francuskie. Basia już zaczęła wdrażać rady młodego lekarza, poprzestała więc na soku pomarańczowym.

– Mam na myśli to, że żyję jak roślina. Wykiełkowałam, zakwitłam, wydałam owoc i już. Tyle. Na tym miałyby polegać życie? Tak po prostu?

– A wpadłaś na lepszy pomysł?

– Sama nie wiem. Nie podoba mi się myśl, że to już koniec. Mam już tylko czekać na śmierć?

– Dlatego próbujesz przed nią uciec?

– Niezupełnie – odparła spokojnie Barbara. – Nie zamierzam uciekać, chcę tylko znowu zacząć żyć. A jeśli śmierć musi mnie dopaść, to wolę, żeby to się stało w biegu, w ruchu, rozumiesz? Muszę tylko wszystko porządnie zorganizować. Właśnie dlatego poprosiłam cię dziś o spotkanie, chciałabym, żebyś -doradziła mi, jak to zrobić. Chcę zapisać wszystko, co po mnie zostanie, mojej córce i wnuczce, po połowie. Ale nie wiem, ile tego będzie.

– Co masz na myśli? – Notariuszka zastygła z ciastkiem uniesionym w pół drogi do ust. – Bój się Boga, coś ty wymyśliła?!

– Sprzedaję mieszkanie, pakuję tylko potrzebne rzeczy, resztę zamierzam sprzedać albo rozdać – wyjaśniła Barbara. – I wyruszam na wielką wyprawę. Nie planuję powrotu. Nie chcę umrzeć w szpitalu, kochana, ani w poczekalni u lekarza. Chcę żyć ile się da, nachapać się, nasycić, a potem zakończyć życie w jakiś interesujący sposób. Chyba zawsze miałam w sobie odrobinę szaleństwa, tylko nie pozwalałam jej się ujawnić.

– A niby jak się umiera „w interesujący sposób”? Można tak?

– Oczywiście. Porównaj sobie śmierć w łóżku szpitalnym albo w pustym mieszkaniu z szaleńczym lotem w jakimś kanionie.

– Zwariowałaś.

– Być może. Ale też trochę sobie z ciebie żartuję. Przecież nie wybieram się w Himalaje i nie zamierzam skakać w przepaść. Jadę na południe. Kupiłam sobie taki nowoczesny telefon z dostępem do internetu, zastąpi mi mapy i przewodniki. Mam w planie Francję i Włochy, Asyż, Florencję, Rzym, Neapol... Na koniec Sycylia, pomieszka tam trochę, a potem... Potem jeszcze zobaczę.

– Naprawdę oszalałaś! Basiu, a co zrobisz, jeśli się gorzej poczujesz?! Tam są latem upały, przecież serce może ci nie wytrzymać... Nie możesz sprzedać mieszkania, musisz mieć dokąd wrócić!

– Jak będzie upał, to pojedę do Kanady, pewien sympatyczny lekarz mi polecał. Nie próbowałam jeszcze raftingu, wiesz, to są te tratwy. Wyszukałam sobie w internecie, bo szczerze mówiąc, nie wiedziałam, o co chodzi.

– Stać cię na to? Taka jesteś bogata?

– Nie, bogata nie. Ale mieszkanie ma swoją wartość, prawda? Zresztą mam jeszcze sporo na koncie, po sprzedaży domu i gospodarstwa trochę tego było, a ja zawsze żyłam oszczędnie. Teraz sobie za to pozwiedzam świat. Zresztą też oszczędnie. Planuję na przykład jeździć autostopem po Japonii. Oni są podobno bardzo zdziwieni, kiedy ktoś łapie okazję.

– Chryste Panie, kompletna wariatka – szepnęła Joanna z przerażeniem, ale też, jak się Barbarze wydawało, z jakimś rodzajem podziwu.

A teraz wszystko zaczęło nabierać realnych kształtów. Barbara nie przyjechała, żeby zapytać córkę o zdanie czy prosić o radę, lecz aby poinformować

o swoich planach. Zamierzała spędzić u Ewy kilka dni, nie więcej niż tydzień, ponieważ w domu już czekała na nią spakowana walizka i bilet na autobus do Pragi – właśnie od stolicy Czech Barbara postanowiła zacząć swoją podróż. Następny punkt programu stanowiło Monachium, ale program mógł jeszcze zmienić; Basia miała w głowie zaledwie luźny zarys trasy. Zamierzała bez pośpiechu, powoli zmierzać na południe, objechać przy okazji Alpy – i przywitać wiosnę w Trydencie.

Nie powiedziała jeszcze córce, dlaczego wyjeżdża i co planuje; obawiała się trochę tej rozmowy. Chciała wyrzucić z siebie wszystko zaraz po przyjeździe, ale jakoś tak wyszło, że zaczęły rozmawiać o problemach sercowych Ewy, a potem Barbara długo tuliła zmęczoną płaczem córkę i tłumaczyła, że na miłości świat się nie kończy.

– Jeszcze zdążymy porozmawiać o moich sprawach – szepnęła teraz w ciemność. – Jeżeli mogę się na coś przydać, pomóc tym moim dziewczynom, bo przecież i Klaudia potrzebuje pomocy, widzę to doskonale... nawet nie tknęła kolacji i jest jakaś blada... Więc jeśli mogę wreszcie zrobić coś dobrego dla innych, to nie ma co odwlekać. Moja historia może poczekać.

Kiedy wreszcie zasnęła, przyśniły jej się wielkie pola lawendy. Ziemia pod jej stopami chrzęściła sucho, powietrze było pachnące i bardzo ciepłe, a gdzieś z tyłu rozległ się głos Zbyszka: *I nie zapomnij o Prowansji, przecież zawsze chciałaś tam jechać*. Niestety, choć Barbara oglądała się kilkakrotnie, nikogo nie zobaczyła.

Już jadłam śniadanie – tłumaczyła Klaudia babci Basi, która uparła się, że wnuczka musi skosztować sałatki z rukolą, ziarenkami granatu i pokruszonym rokpołem.

Ostatecznie dziewczyna pozwoliła sobie nałożyć niewielką porcję na talerzyk, tak dla świętego spokoju, po czym wzięła odrobinę do ust i przeżuwała z miną świadcząca o tym, że bardzo jej smakuje. Kiedy przełknęła, odwróciła się i zawołała ze sztucznym ożywieniem:

– Musisz mi zapisać przepis, babciu! To się świetnie komponuje: ten ser z granatem i prażonym słonecznikiem.

– Już się robi.

Barbara wzięła jakąś kartkę z parapetu.

– Plusy i minusy – odczytała pod nosem. – Pod plusami: wreszcie sprawa się wyjaśni. Pod minusami: wyjdę na zazdrosną idiotkę. Oho, chyba mama coś notowała. – Szybko odwróciła kartkę i zaczęła pisać przepis na sałatkę.

– Mama jest zazdrosna? – Klaudia się zdziwiła, zadowolona, że babcia zajęła się notowaniem, bo dzięki temu mogła zsunąć resztę sałatki z talerzyka z powrotem do miski. – Wydawało mi się, że to raczej ona robi wszystko, żeby Andrzej oszalał z zazdrości.

– Ano widzisz, tak czasem bywa. Co siejesz, to zbierasz.

Złote myśli, pomyślała ponuro Klaudia. Co siejesz, jasne... A przecież ja nie siałam. Nikomu nie życzę źle, nie oceniam ludzi, nie osądzam, nie krytykuję, nie mieszam się do ich prywatnych spraw. Dlaczego więc ciągle mnie to spotyka? Dlaczego wciąż ktoś rani mnie tak, że zaczynam bać się każdego kolejnego dnia?

– Zapisałam – powiedziała tymczasem babcia. – Może być też inny ser, jakiś delikatniejszy w smaku. O, widzę, że smakowało. Dołożyć ci jeszcze?

– Nie, absolutnie, już muszę lecieć.

Klaudia uciekła do łazienki, szybko umyła zęby, po czym zajęła się makijażem. Nałożyła więcej stalowoszarego cienia na powieki niż zwykle, żeby poczuć się pewniej. Dzięki drapieżnemu wyglądowi mniej bała się tego, co ją ostatnio spotykało w szkole: docinków z powodu zbliżającej się studniówki.

Tak naprawdę to do matury nie zostało sto dni, tylko osiemdziesiąt kilka, myślała ponuro. A poza tym nikomu nic do tego, czy ona idzie, czy nie.

Cała sprawa zaczęła się dwa tygodnie wcześniej, kiedy wychowawczyni ponagliła Klaudię i jeszcze kilka osób z klasy, aby wpłaciły ustaloną przez komitet rodzicielski kwotę. Klaudia odparła, że nie zamierza niczego wpłacać, bo na żaden bal studniówkowy się nie wybiera, a wówczas gdzieś z tyłu klasy rozległ się komentarz: „Zresztą parom jedнопłciowym wstęp wzbroniony”. Nie powinno jej to zboleć, skoro rzeczywiście nie zamierzała uczestniczyć w studniówce, ale szmerek, który się podniósł po tym komentarzu, śmiechy na przerwie, porozumiewawcze spojrzenia nieznanych jej osób z innych klas – wszystko to przez kilka następnych dni stopniowo wyprowadzało Klaudię z równowagi.

Czuła się teraz jak ktoś, kogo zamknięto w więzieniu i kto ma wyjść za trzy miesiące. Z jednej strony przepełniał ją bunt, ponieważ „siedziała” niesłusznie – nie zrobiła nic złego, w ostatnich miesiącach wycofała się nawet z działalności szkolnego teatru; starała się nie rzucać nikomu w oczy. Wiedziała, że trochę się nad sobą użala, ale tak właśnie o tym myślała: siedzę w jakiejś koszmarnej celi, w emocjonalnej lodowatej pustce i nikt mnie tu nie odwiedza. Paula, kiedyś tak ważna i bliska, teraz stała się wrogiem i zagrożeniem, a Anka, która wydawała się przyjacielem – Anka się mnie brzydzi, ponieważ miałam czelność się w niej zakochać.

Z drugiej strony, na końcu tego ciemnego, długiego tunelu, w którym Klaudia się znalazła, jaśniało słabe światełko. Nadzieja. Jej źródłem były wiadomości od Lucy. Klaudia czytała je kilka razy dziennie, żeby dodać sobie sił. Wiedziała, że przetrwa. Najważniejsze to mieć na co czekać.

Nie wahała się ani chwili. Nie dbała o zarobki; nawet gdyby Lucy zaproponowała jej pracę za darmo, Klaudia by w to weszła. Liczył się tylko fakt, że zacznie od początku. Nikt jej nie zna i ona nie zna nikogo. Powie ludziom o sobie tylko tyle, ile uzna za stosowne i bezpieczne. Nigdy, przenigdy nie przyzna się do

homoseksualizmu. Zapomni o Szajbie, już nigdy nikogo nie pokocha.

Starła się nie sięgać myślą daleko w przyszłość. Nie miała nawet pojęcia, czy wciąż chce studiować. Straciła wiarę w to, że cokolwiek może jej się udać: jakieś kliniki, gabinety dietetyczne – wszystko to wydawało jej się teraz idiotyczną mrzonką. Miała jeden cel: ukryć się przed złymi ludźmi, zwinąć się w kłębek i przeczekać cierpienie. Kiedyś znowu nauczy się śmiać. Jeśli ostatnie dwa lata czegoś ją nauczyły, to właśnie tego: że po każdej, nawet najdłuższej, najczarniejszej i najkoszmarniejszej nocy w końcu wstaje dzień.

Odpisała Lucy jeszcze tego samego dnia: *Yes, yes, yes!* Potem, zawstydzony się swojej dziecinnej, impulsywnej reakcji, wysłała kolejną wiadomość, że za trzy miesiące kończy szkołę i gdy tylko zda (albo i nie zda) ostatni egzamin, natychmiast przyjedzie.

Lucy najwyraźniej się ucieszyła, bo w jej mailu również nie brakowało wykrzykników. Załączyła nawet zdjęcia „starej chałupki” i link do mapki okolicy St. David’s – odtąd Klaudia spacerowała wirtualnie po ulicach urokliwego miasteczka, studiowała możliwości dojazdu i w marzeniach komponowała menu Clarke Bed & Breakfast. Póki co, napisała siostra Jima, w budynku trwa gruntowny remont, ale już niedługo zacznie się zabawa z wystrojem wewnątrz, wtedy będzie trzeba się naradzać. Na razie jest czas na szukanie inspiracji.

Klaudia doskonale wiedziała, że decyzje będą zapadały poza nią, ale i tak szperała w internecie w poszukiwaniu zdjęć uroczych nadmorskich hotelików. Problem w tym, że podobały jej się bardzo różne rozwiązania: i te w stylu śródziemnomorskim, z ziołami w glinianych donicach, z wyłożonymi terakotą tarasami oraz cyprysami dającymi trochę cienia, i francuskie kawiarenki z ich markizami, lekkością i ażurami delikatnych krzeseł oraz stolików. A może pójść w stronę typowego pubu, na przykład z motywami żeglarskimi? Samo rozmyślanie o tym przynosiło ulgę, bo w takich marzeniach nie było nic niebezpiecznego, nic nie bolało, nie upokarzało.

W szkole na pozór wszystko było po staremu. Klaudia starała się uważać na zajęciach – nie dlatego, że była szczególnie pilną uczennicą, po prostu odkryła, że jeśli nie pozwala sobie na błądzenie myślami, czas mija jej szybciej, a lekcje stają się znośne. Nieco gorzej było na przerwach, wówczas samotność w tłumie uczniów stawała się szczególnie dotkliwa. Jedyne ratunkiem była komórka i włożone do uszu słuchawki.

Później wielokrotnie miała wracać myślami do tego dnia i kiedy się nad tym zastanawiała, za każdym razem dochodziła do wniosku, że właściwie nie wydarzyło się nic szczególnego. Po prostu kiedy weszła do szatni przed wuefem, grupa przebierających się tam dziewcząt nagle zamilkła. Zupełnie jakby ktoś ściszył dźwięk w telewizorze albo jakby coś się stało ze słuchem Klaudii.

Zatrzymała się gwałtownie; ta nagła, nienaturalna cisza uderzyła ją w twarz. Nie myśląc o tym, co właściwie robi, dziewczyna odwróciła się i wybiegła. Najpierw z szatni, potem z budynku szkoły. Gnała przed siebie. Był szary, lutowy dzień, wiał przenikliwy wiatr i mżył drobny deszczyk, który potęgował uczucie zimna, ale nie było takiej siły, która zmusiłaby ją do zawrócenia po kurtkę. W tej chwili była pewna tylko jednego: nie wróci tam. Pieprzyć szkołę, pieprzyć maturę, wszystko i wszystkich pieprzyć.

Do domu wpadła skostniała i roztrzęsiona – sama nie wiedziała, czy bardziej z zimna, czy z nerwów. Była w bojowym nastroju. Spodziewała się, że kiedy zamknie się w łazience, babcia natychmiast zareaguje, zacznie wypytywać, dobijać się do drzwi i panikować, że Klaudia znów robi sobie krzywdę. Nic takiego się jednak nie wydarzyło. Ochłonąwszy nieco, dziewczyna wzięła gorący prysznic, aby się rozgrzać, opatulila się szlafrokiem i nie zważając na to, że jest dopiero wczesna pora obiadowa, pobiegła do swojej sypialni, by wślizgnąć się pod kołdrę. Poleżała trochę, aż się nieco uspokoiła. Miała ochotę na krótką drzemkę, lecz adrenalina wciąż robiła swoje – Klaudia czuła się nakręcona, jak pod wpływem jakiegoś środka pobudzającego.

Wyskoczyła z łóżka i w samej bieliźnie zrobiła kilkadziesiąt brzuszków i pompek, po czym założyła dres i poszła do kuchni. Babci nie było. Dziwne, o tej porze powinna szykować obiad. Klaudia podeszła do pokoju, w którym zwykle sypiali goście – przez chwilę nasłuchiwała pod drzwiami, ale przekonała się, że babcia nie drzemie: wyraźnie słychać było klikanie myszki. Zapukała, a usłyszawszy zaproszenie, weszła do środka.

– Pożyczyłam sobie laptopa – powiedziała Barbara, nawet się nie oglądając.
– Mogłam?

– Jasne.

– A, to ty. Myślałam, że Ewa już wróciła.

– Zaraz powinna być. Robimy jakiś obiad?

– Zapieklam rybę w szpinaku. Zaraz się odgrzeje.

– A czego właściwie szukasz, babciu?

– Sama nie wiem. Może Sardynia, może Korsyka, jak myślisz? Albo rzeczywiście zacząć od Prowansji, tak jak mówił Zbyszek...

– Babciu! – Klaudia się wystraszyła. – O czym ty mówisz?

Babcia Basia odwróciła się na krześle obrotowym. Oczy jej błyszczały, a włosy miała w lekkim nieładzie. Szczerze mówiąc, wyglądała, jakby sobie chlapnęła. Klaudia dyskretnie pociągnęła nosem, ale zamiast zapachu alkoholu poczuła tylko aromat kawy.

– Bo wiesz, kochanie... – zaczęła babcia. – Ja postanowiłam jeszcze trochę pożyć.

Sławek pojawił się wreszcie w szkole, ale Ewa nie miała odwagi go wypytać o stan zdrowia matki i nienarodzonego dziecka. Ucieszyła się, że już jest, bo sam ten fakt zawierał w sobie trzy informacje: z Żanetą Wójcik musiało być lepiej, problemy szkolne chłopca, i tak już poważne, nie nawarstwia się dodatkowo przez nieobecności, i po trzecie... w szkole pojawi się Andrzej. Ewa nie miała wątpliwości, że czeka ich rozmowa, nie miała tylko pojęcia, kiedy – i czy w ogóle – coś dla nich z niej wyniknie.

Muszę pozostać profesjonalistką, mówiła sobie. Chłód i dystans. Okażę chęć pomocy chłopcu i troskę o jego los – owszem, ale nic poza tym. Jakakolwiek decyzja teraz u nich zapadnie, nie dotyczy ona mnie, lecz rodziny Wójcików.

Już na drugiej przerwie Sławek wdał się w bójkę, ale zanim dzieci zawiadomiły wychowawczynię, czyli Ewę – sprawa została już rozszkodzona przez szkolną panią pedagog. Okazało się, że Wójcik stanął w obronie młodszej dziewczynki, której jakiś łobuz z czwartej c zabierał butelkę z wodą i używał jej jako piłki do futbolu. Dziewczynka została pocieszona, łobuz zbesztany, a Sławek poinstruowany, że chwali mu się stawanie w obronie słabszych, lecz nie takimi metodami.

Podczas lekcji języka polskiego Ewa obserwowała chłopca dyskretnie. Wydawało jej się, że pilnie pracuje, ale kiedy podeszła bliżej, dostrzegła wystającą spod zeszytu kartkę w kratkę.

– W tak zwanym międzyczasie rysujemy sobie Minecraft? – Za-żartowała, bo na tej czynności najczęściej przyłapywała chłopców.

Sławek spojrzał na nią z dziwnym wyrazem twarzy. W jego wzroku było smutne zdziwienie i coś na kształt wyrzutu. Ewa sięgnęła po kartkę i zdębiała, widząc rysunek przedstawiający cmentarz. Pięć nagrobków. Na czterech z nich widniało nazwisko „Wójcik”, zaś piąty, najmniejszy, opatrzony został znakiem zapytania.

– Zostań na chwilę po lekcji – powiedziała Ewa cicho. – Umówimy się, co przygotujesz na jutrzejsze konsultacje.

Chłopak pokiwał głową i schował do książki kartkę z rysunkiem cmentarza. Przez resztę lekcji pracował pilnie: liczył sylaby w poszczególnych wersach wiersza Tuwima i zaznaczał rymy.

Kiedy zadzwonił dzwonek i dzieci opuściły klasę, Ewa zamknęła drzwi i podeszła do Sławka, który z ociąganiem pakował podręczniki do plecaka.

– Powiesz mi? – zapytała.

– Co mam pani powiedzieć?

– Co to za rysunek? Dlaczego rysujesz groby? Co z mamą?

Chłopiec milczał, grzebiąc w kieszonce plecaka, jakby znalezienie w niej kanapki było teraz najważniejsze na świecie.

– Sławek, ja chcę ci pomóc! – zawołała Ewa zduszonym szeptem. – Porozmawiaj ze mną.

Podniósł wzrok i przez sekundę patrzył jej prosto w oczy. Miał spojrzenie starego człowieka, zupełnie jak kiedyś Klaudia.

– Mama miała wypadek – powiedział poważnie, znów pozornie poświęcając uwagę swojej śniadaniówce. – To małe nie żyje.

– To małe?

– Brat albo siostra. Nie wiem – wyjaśnił beznamiętnie.

Ewa przez chwilę nie mogła znaleźć odpowiednich słów.

– Ale mama jest cała i zdrowa? – zapytała wreszcie, bo przyszło jej do głowy, że trzeba chwycić się czegoś pozytywnego.

Sławek pokiwał głową. Wyglądało na to, że nie zamierza powiedzieć nic więcej.

– A co oznaczały pozostałe nagrobki na twoim rysunku? – Ewa odważyła się pociągnąć tę rozmowę.

Wzruszył ramionami z udawaną obojętnością.

– Tam byli babcia i dziadek, no i bracia taty. Tata stracił braci, jak był mały.

Nic mi o tym nie mówił, chciała zawołać, nigdy nie opowiadał. Wspomniał tylko, że matka musiała zaganiać jego i braci do mycia... Ewa była pewna, że oni gdzieś tam sobie mieszkają, że żyją w jakimś dalekim mieście i dlatego nie utrzymują kontaktu.

– Utopili się w rzece – wyjaśnił jeszcze chłopiec. – No a teraz ja straciłem brata. Albo siostrę. Tak samo. I reszta też jest tak samo. Kiedyś słyszałem, jak tata mówił mamie, że on tak jakby nie miał rodziny. No to właśnie tak jak ja.

Ewie zabrakło słów. Rzadko się zdarzało, żeby Sławek wypowiedział tyle zdań – był bardzo zamknięty w sobie. A teraz nagle się otworzył, kiedy ona zupełnie nie była gotowa na takie zwierzenia i nie bardzo wiedziała, jak zareagować. Tu był potrzebny psycholog.

– Masz rodzinę, Sławek – powiedziała miękko. – Nawet jeśli małżeństwo twoich rodziców nie jest udane, to przecież oboje bardzo cię kochają. A że popełniają błędy? Wszyscy je popełniamy. I ty, i ja. Wszyscy.

– Tak samo napisała mama w liście.

– No widzisz? Czyli to musi być prawda. – Ewa bardzo chciała wiedzieć, o jakim liście mowa, ale nie chciała drażnić bolesnego tematu. – A mama jest już w domu czy w szpitalu?

– W szpitalu. Wraca za tydzień.

– Zrobimy jej niespodziankę? Mam na myśli twoje oceny.

Znów podniósł na nią wzrok, ale tym razem patrzył dłużej, odważniej.

– Ja już się nawet nauczyłem na ten test z części mowy – powiedział. – Jutro poprawię na konsultacjach. A jeszcze dzisiaj pani Alinka mi zrobi sprawdzian z niemieckiego.

– Pani Alinka zna niemiecki? To ta przyjaciółka taty? – zapytała słabym głosem Ewa.

Pokiwał głową z wyraźną ulgą, że nie rozmawiają już o matce.

– Tata mnie pyta z angielskiego, a pani Alinka z niemieckiego.

– To świetnie – zakończyła Ewa, bo bardzo zapragnęła zostać sama. – W takim razie jutro czekam na ciebie z testem z odmiennych części mowy. Zasuważ na przerwę. I uszy do góry, wszystko będzie dobrze.

Jadąc do domu, przeżywała gorycz odrzucenia – bo tak właśnie się czuła, odrzucona, niechciana. Przedtem poznała smak zdrady, ale był łatwiejszy do przełknięcia, ponieważ osładzała go świadomość, że ona sama nie zawiniła, to inni okazali się wiarołomni, źli, podli. Tym razem miała pretensje do siebie; nie mogła udawać, że w całej tej sytuacji nie ma jej winy. Andrzej znalazł sobie jakąś Alinkę, ponieważ nie był pewien uczuć Ewy. Ponieważ widywał u niej Jima i ponieważ ona nie chciała się zdeklarować, którego z nich wybierze.

To, co było dobre w filmach o miłości, w realnym życiu można było o kant tyłka rozbić. Nikt nie chce się czuć niepotrzebny i nikt nie lubi prosić o miłość. Nie należało przeciągać struny i sprawdzać, ile jeszcze zakochany facet wytrzyma.

A teraz zostałam sama, zakończyła w myślach Ewa. Nic mnie już nie spotka i chyba nawet nie chcę, żeby mnie spotkało. I tyle.

Weszła do domu z impetem, niesiona złością na samą siebie. Zdejmując buty, usłyszała głosy mamy i Klaudii, dobiegające z salonu. Dziwne, Klaudia powinna być jeszcze w szkole, nigdy nie wracała wcześniej. Może znowu jakieś kłopoty? W mgnieniu oka Ewa zapomniała o rozgoryczeniu z powodu Andrzeja. Skradając się na palcach i czując się idiotycznie w roli szpiega, podeszła do drzwi. Może Klaudia zwierza się babci z czegoś, czego nie chce powiedzieć matce. A może Barbara znowu nakryła ją na samookaleczaniu?

– Przemyśl to jeszcze – odezwała się właśnie dziewczyna. – Przecież zawsze jest jakieś wyjście z sytuacji.

Ewa zmarszczyła brwi. Ta kwestia brzmiałaby dobrze w ustach babci, ale wypowiedzana przez nastolatkę i skierowana do kobiety siedemdziesięcioletniej wydawała się jakimś żartem.

– Nie rozumiesz – odparła spokojnie Barbara. – Właśnie to jest moje wyjście. Takie sobie wybrałam, Klauduś.

– Co sobie wybrałaś? – Ewa zdecydowała się wkroczyć. Zaszurała kapciami w holu, żeby nie przestraszyć matki i córki, po czym weszła do salonu. – I o jakim wyjściu mowa?

Jakieś dwie godziny później, ocierając łzy, sama powtórzyła kwestię Klaudii:

– Przemyśl to jeszcze.

Jej matka uśmiechnęła się łagodnie.

– Już mówiłam, córeczko, to zostało przemyślane, przedyskutowane, nawet przeplakane ileś tam razy. Jestem tego pewna.

– Ale powinnaś najpierw zrobić te badania. – Ewa się upierała.

– Po co? Żeby się dowiedzieć, że to początki Alzheimera, i stracić resztki odwagi?

– Mamo, ale przecież jeśli to naprawdę są początki...

Barbara straciła poprzedni spokój, zaczęła krzyczeć.

– Wówczas powinnam umrzeć w szpitalu?! O to ci chodzi?! Czy może chcesz mnie wziąć do siebie i przeżyć wraz ze mną całą tę udrękę? Wiesz, jakie są objawy? Rozmawiałam z koleżanką, która jakiś czas temu pochowała matkę z demencją. Alzheimer to jest choroba całej rodziny, tak mi powiedziała. I nie trwa kilka miesięcy, lecz ciągnie się latami. Jej matka miewała dni, kiedy nienawidziła wszystkich domowników, oskarżała ich o kradzież, o to, że dodają jej truciznę do zupy. Zamykała się w pokoju przed ukochanym wnukiem, nie poznawała nikogo. Ja tak nie chcę, rozumiecie?

Żadna z nich, Ewa ani Klaudia, nie znajdowała odpowiedzi. Zapadło milczenie. Wreszcie odezwała się najmłodsza:

– Babciu, ale ten lekarz... Sama mówiłaś, że to nie musi być Alzheimer. Powiedział coś o niedokrwistości, o braku witaminy B, prawda?

– Ależ to tym lepiej.

– W jakim sensie?

– W tym, że mam jeszcze szansę. Wzięłam serię zastrzyków, teraz łykam tabletki, mam lepsze wyniki badań krwi.

– No to dlaczego chcesz rzucić wszystko i wyjechać? – Ewa nie wytrzymała, znowu zaszlochała. – Co to w ogóle za pomysł, mamo?!

– A co proponujesz w zamian? Jaki jest według ciebie lepszy koniec życia?

Ewa się zachnęła.

– Koniec życia, dobre sobie! Mamo, żyjemy w dwudziestym pierwszym wieku. Siedemdziesiąt lat to jeszcze nie wiek matuzaleмовy. Kto wie, może masz przed sobą dwadzieścia lat, może trzydzieści?!

– I co w związku z tym? Co mi proponujesz? – powtórzyła Barbara, która zdążyła się uspokoić.

– Zmienisz dietę, Klaudia ci pomoże ułożyć jadłospisy, ona jest w tym naprawdę dobra i ma sporą wiedzę. Będziesz się zdrowo odżywiać... Jeżeli rzeczywiście chcesz jakiejś zmiany, to przecież możesz zamieszkać u nas, w razie czego miałabyś opiekę.

– Cieszę się, że mi to proponujesz. „W razie czego”, jak to ujęłaś, nie omieszkam skorzystać.

– Mamo, mówię poważnie.

– Ja też. Ale wróćmy do twojej recepty na sensownie przeżyta końcówkę życia.

– To nie jest końcówka! – zdenerwowała się Ewa. – Do starości jeszcze ci daleko.

– Do starości, owszem. Wiesz, kiedy według mnie zaczyna się starość?

Ewa milczała. Klaudia, która podczas tej rozmowy głównie milczała w zadumie, uśmiechnęła się do babci.

– Kiedy? – zapytała, bo widziała, że mama nie zamierza tego zrobić.

– Starość to jest stan, w którym ludzie zaczynają z lubością wyliczać swoje choroby. Jakby zbierali ordery albo sprawności harcerskie. Chodzą od lekarza do lekarza, łykają tabletki garściami i czekają. Diabli wiedzą na co.

– Mamo...

– Wiesz, ja po prostu mam inny pomysł. Nie chcę się tak starzeć. Nie chcę, żeby ludzie patrząc na mnie, myśleli: O, jaka miła staruszka – rzekła stanowczo Barbara. – Zamiast tego niech myślą ze zgrozą: Do diabła, co ona jeszcze wymyśli?!

Klaudia znów uśmiechnęła się od ucha do ucha. Ewa poczuła, że przegrywa. Nie przekona matki, że jej plan jest szalony.

– Mamo, martwię się o ciebie. Jeśli rzeczywiście jesteś chora, to chciałabym... Chciałabym ci towarzyszyć. Chciałabym pomóc, kiedy będziesz mnie potrzebowała.

– Ty masz własne problemy, dziecko. Pomóż lepiej samej sobie. – Matka spoważniała.

– Nie zmieniaj tematu.

Klaudia rzuciła mamie badawcze spojrzenie i podniosła się z fotela. Chyba wyczuła, że rozmowa schodzi na bardzo osobiste sprawy, o których Ewa rozmawiała z babcią poprzedniego wieczoru, a potem miała bardzo czerwone oczy.

– Zaparzę nam porządną kawę – powiedziała dziewczyna i się ulotniła.

Barbara westchnęła, przesiadła się do córki na kanapę i wzięła ją za rękę.

– Wiesz, co ja myślę? Życie to jest bardzo dziwna podróż, ponieważ właściwie nikt nie chce dotrzeć do celu. Bo dotarcie do celu oznacza koniec, rozumiesz?

Ewa chlipnęła i pokiwała głową.

– Ale jeżeli już kiedyś muszę dobiec do mety, to najmniej ważne jest to, czy dotrę tam bezpiecznie i w dobrze zakonserwowanym ciele. Bogata? Bez zmarszczek, ze zdrową wątrobą? To nie ma żadnego znaczenia. Moim zdaniem cała sztuka w tym, żeby wsiąść do zwariowanego autobusu i rozkoszować się

przejażdżką, na całe gardło krzycząc: Jasny gwint, ale jazda!

Kiedy Klaudia wróciła do pokoju, niosąc na tacy trzy kubki z parującą arabiką, Ewa i Barbara, ciasno objęte, kołysały się w rytm jakiejś melodii, która rozbrzmiewała tylko w ich głowach. Ewa pomyślała, że mama ma rację: życie jest dziwną podróżą, w której nie cel się liczy, lecz sama wędrówka. Dokądkolwiek się zmierza, i tak dojdzie się w to samo miejsce. Cała sztuka w tym, żeby pojazd, do którego się wsiadło, okazał się wesołym autobusem.

– Dogadałyście się? – zapytała Klaudia, a w jej głosie było coś, co natychmiast sprowadziło Ewę na ziemię. – Bo jeśli tak, to teraz ja mam nowinę.

Jestem w ciąży, pomyślała Ewa. Tak powinien brzmieć ciąg dalszy. Tuż przed maturą. Chyba tego boi się większość matek.

– Rzucam szkołę i wyjeżdżam do Walii – powiedziała Klaudia. – Od dawna to za mną chodziło, a teraz... dzięki babci jestem już pewna, że tego chcę.

Ewa jęknęła. To chyba wolałabym ciążę, pomyślała. Ale nie powiedziała tego głośno. W zamian zapytała drżącym głosem:

– Czy ktoś, podobnie jak ja, odczuwa usilną potrzebę, żeby się napić? Bo chyba mam jeszcze jedną butelkę nalewki.

Najtrudniejsze miała już za sobą. Najpierw musiała odpowiedzieć na dziesiątki pytań w rodzaju: Ale co się właściwie stało, czy znowu ktoś ci dokuczał, czy ktoś cię skrzywdził, córeczko? – i tak dalej. Nie opowiedziała o sytuacji w szkole, oczywiście nie padło także ani jedno słowo o Ance i tej głupiej miłości, bo po co? Wywlekanie flaków, wywnętrzanie się, zwierzanie; jaki to miałyby sens? Nie przestanie boleć, nic się od tego cudownie nie zblizni, to musi samo, powoli, przestać się paprać. Jedynie czas i dystans wyleczą rany, tego Klaudia była pewna – skoro czas pomógł po historii z Kariną, ze zdradą ojca, z Paulą, to zaleczy poharataną duszę także teraz.

Klaudia martwiła się trochę o mamę, czy to nie za dużo jak na jej skołatane nerwy. Andrzej najwyraźniej się wycofał, skoro mimo rozstania z Jimem mama nadal była sama; w dodatku wyskoczyła ta sprawa z babcią. Swoją drogą, kto by pomyślał, że staruszka będzie taka odważna. Sprzedaję wszystko, ruszam w świat.

– Tylko jedno pytanie – powiedziała babcia podczas pierwszej rozmowy z wnuczką, zanim mama wróciła z pracy. – Chcesz moje mieszkanie w Krakowie? Bo jeśli nie, to ja je sprzedaję.

– Nie chcę, babciu – odparła Klaudia z przekonaniem. – Ja chcę wyjechać za granicę. I nie wrócę, póki ludzie się tu nie zmieniają. Póki mężczyźni chcą decydować o kobiecej macicy. I póki dzieli się nas na lepszy i gorszy sort.

– Masz rację, dziecko. Jestem patriotką, mój tata siedział w więzieniu za miłość do Polski, ale na twoim miejscu chyba też bym stąd wyjechała.

To był pierwszy sygnał, że babcia będzie po jej stronie. Drugi zdarzył się,

kiedy już Klaudia oznajmiła swoją decyzję mamie.

– Ewuś – powiedziała wtedy Barbara – ty chyba źle pojmujesz troskę o dziecko.

– Ale mamo, matura...

– Matura srura! O czym niby świadczy matura w dzisiejszych czasach?! Ja znam takich, co mają maturę, a nie wiedzą, że się mówi „wziąć”, a nie „wziąć”. Popatrz na niektórych polityków, studia ukończyli, a dranie i skurwysyny, szkoda słów.

Ewa rzuciła spłoszone spojrzenie na córkę.

– Najważniejsze to być przyzwoitym człowiekiem, żyć w zgodzie z sobą. Aby patrząc w lustro, człowiek nie miał potrzeby odwrócić oczu, ale się do siebie z sympatią uśmiechał.

– Ale mamo, przecież wykształcenie też jest ważne.

Klaudia prychnęła. Żeby babcia była bardziej nowoczesna niż matka? Świat stanął na głowie.

– Cokolwiek na ten temat myślisz, ja i tak wyjadę – oznajmiła, po czym dumnym krokiem wymaszerowała z pokoju.

Nie poszła jednak do siebie, lecz przystanąła na chwilę w holu. Dzięki temu usłyszała słowa babci, które potem analizowała długo w myślach.

– Ewuniu, mądra miłość rodzicielska polega na tym, żeby najpierw dać dzieciom skrzydła, a potem pozwolić im odlecieć.

– Ty tak zrobiłaś? – chlipnęła mama w odpowiedzi.

– Tak. Tylko potem nie umiałam... Nie potrafiłam sprawić, żebyś zechciała wrócić. Nie popełnij mojego błędu.

Na to mama nic już nie odpowiedziała. Klaudia na palcach poszła do siebie. Rozebrała się, wsunęła pod kołdrę, a potem długo patrzyła w ciemny sufit, rozmyślając o tysiącu różnych spraw: czy rzeczywiście niepotrzebna jej matura, a w związku z tym – czy rezygnuje ze studiów; co spakować, co powie tata na ten wyjazd, jak mama da sobie radę bez niej i czy babcia nie popełnia przypadkiem wielkiego błędu, skacząc na głęboką wodę, w której nie widać nawet zarysu dna.

Tata zareagował dokładnie tak, jak Klaudia się spodziewała. Oczekiwała krzyków – i otrzymała je w pięknej wiązance, przeplatanej w zabawny sposób zdaniem kierowanymi do nowej niani Igorka. Brzmiało to mniej więcej tak:

– Nawet o tym nie myśl, nie, nie i nie! Dziewczyno, tyś chyba zmysły postradała, przecież... Tak, Haniu, wspaniały sos, dziękuję. Nigdzie nie pojedziesz, w każdym razie nie przed maturą, a czy po maturze cię puścimy, to się jeszcze zobaczy! Do hotelu, też pomysł! Zapomnij! Dziękuję, może jeszcze grzybków.

I tak dalej. Klaudia słuchała tego najpierw najeżona, gotowa odeprzeć ataki, ale potem wstawki kulinarne zaczęły ją bawić i dzięki temu się zdystansowała.

Odsunęła słuchawkę od ucha. Muszę tam pojechać i zobaczyć tę Hanię na własne oczy, postanowiła. Co też za wspaniałe sosy potrafi pichcić i jakich to grzybków dokłada tacie. I ile ma lat, że ojciec mówi do niej po imieniu.

– Słyszysz, co mówię?! – Tata się zdenerwował, bo najwyraźniej zadał jakieś pytanie, a ona nie odpowiedziała.

– Przestałam słuchać, bo wrzeszczysz – oznajmiła krótko Klaudia. – Możesz powtórzyć?

Sapnął ze złością i rozłączył się. Wściekły jak jasna cholera, pomyślała Klaudia z dziwnym rodzajem zadowolenia. Jakkolwiek bardzo kochała tatę, nie czuła już wobec niego respektu – nie po tym, jak kilka lat temu przyłapała go na zdradzie.

Postanowiła, że za parę dni odwiedzi ojca i Tatianę, porozmawiają spokojnie, ona wyjaśni, jakie ma plany (choć przecież póki co sama nie była ich pewna), a potem wysłucha ich opinii. Choć w zasadzie i tak nie zamierzała się do niej zastosować. Odłożyła dość pieniędzy, żeby nie musieć teraz prosić ojca o wsparcie finansowe, poza tym miała przecież tę polisę założoną przed laty przez babcię – wprawdzie Klaudii nigdy nie interesowała kwota, jaką otrzyma, lecz doskonale pamiętała, że nastąpi to wtedy, gdy skończy osiemnaście lat i przestanie się uczyć. A więc, jak by nie patrzeć, już.

Miała jeszcze jedną rzecz do zrobienia, zanim spakuje się i wyjedzie. Wiedziała, że to głupie, egzaltowane i niedojrzałe, ale kiedy się ma naście lat, popełnia się głupie czynki i rozgrzesza się bez trudu. Bo tego pragnę, bo warto kierować się sercem, bo do odważnych świat należy. Wypowiadając w myślach te i inne frazesy, Klaudia pojechała pod blok swojego byłego chłopaka, po czym usiadła na ławce przed klatką schodową i czekała. Pamiętała, że w piątki Szajba wraca pierwsza, Arek miał po wykładach spotkania jakiegoś koła naukowego, a Anka kończyła zajęcia wczesnym popołudniem.

Było już szarawo i Klaudia zdążyła zmarznąć okropnie, zanim zza sąsiedniego bloku wyłoniła się szczupła sylwetka Ani. W obu rękach dziewczyna niosła wyładowane reklamówki z Biedronki. Klaudia zerwała się z ławki i ruszyła w jej stronę niemal biegiem, ale wyraz twarzy tamtej skutecznie ją przystopował.

– Czego tu chcesz? – zapytała Anka, kiedy już znalazły się blisko siebie. – Po co przyszedłaś?

– Przeprosić twojego brata i... porozmawiać z tobą.

– Nie ma o czym rozmawiać. – Szajba postawiła siatki na ziemi. – Wszystko już sobie powiedziałyśmy.

– Nie odpisałaś mi na żadnego esemesa.

Jaka ona była śliczna, jaka delikatna. Miała takie wąskie skrzydełka nosa, różowe usta i zęby jak z porcelany. Wydawała się jeszcze szczuplejsza niż dawniej; zauważywszy to, Klaudia poczuła nagłe wzruszenie. Wodziła wzrokiem po

kolorowej włóczkowej czapce, spod której wystawały długie dredy, po chuście w jakieś indyjskie maziaje, po całej sylwetce tej -barwnej niczym rajski ptak dziewczyny, za którą tak tęskniła.

– Po co miałabym odpisywać? Nie miałam ci nic do powiedzenia – odparła twardo Anka. – Ja się brzydzę, Klaudia. Nie tego, że jesteś lesbijką. To nie budzi mojego obrzydzenia, lecz współczucie. Ale tego, że użyłaś mojego brata jako wibratora, że chciałaś po prostu sprawdzić, jak to jest zabawić się w seks z chłopakiem... Tego się właśnie brzydzę.

– To nie tak – tłumaczyła gorączkowo Klaudia. – Nie chciałam niczego sprawdzić... Ja się chciałam zakochać. Rozumiesz? Bardzo chciałam odwzajemnić jego uczucie...

– Dosyć. – Tamta jej przerwała. – Nie chcę już tego słuchać. Przerobiliśmy to z Arkiem we wszystkie strony, on nie chce cię więcej widzieć. Zrobiłam wszystko, żeby za tobą nie płakał. Poprawiłam mu trochę samoocenę, mówiąc, że wybrałaś go, bo był cholernie seksowny, w sam raz na narzędzie do masturbacji. Pewnie też się ciebie trochę brzydzi, ale przynajmniej już nie tęskni. Żadne z nas nie chce mieć z tobą nic wspólnego.

Klaudia patrzyła na nią, kręcąc głową. Nie była w stanie wydobyć z siebie głosu, choć jeszcze tyle chciałaby powiedzieć, zaprotestować przeciwko wstrętnym oskarżeniom. Przecież to nie ja go zaczęłam na basenie, nie ja podrywałam, chciała krzyczeć. Przecież nie da się nikogo pokochać siłą woli!

Bezradnie patrzyła, jak Anka podnosi reklamówki z ziemi i wymija ją, po czym idzie w stronę klatki schodowej. Klaudia też ruszyła. Automatycznie zrobiła krok, potem drugi, aż wreszcie zorientowała się, że biegnie na przystanek. Kiedy wsiadała do autobusu, przyszedł jej do głowy jeszcze jeden argument: a gdybym nie była lesbijką, gdybym była zwyczajną heteroseksualną dziewczyną, która zrywa z Arkiem, bo dochodzi do wniosku, że to nie była prawdziwa miłość... Czy wtedy też budziłabym takie obrzydzenie?

Pytanie retoryczne. Po pierwsze dlatego, że nigdy go nie zada; to nie miało sensu, dalsza rozmowa sprowadzałaby się do wysłuchiwania tych samych inwektyw. Po drugie – bo wszystkie takie „gdyby...” zawsze muszą pozostać bez odpowiedzi. Nigdy się nie dowiemy, co by się zdarzyło, gdybyśmy postąpili inaczej. Gdybym nie przyznała się do homoseksualizmu, myślała Klaudia, gdybym nadal siedziała zwinęta jak ślimak w swojej skorupce... Wszystko byłoby dziś inne. Ale czy byłabym dzięki temu szczęśliwsza?

Tego wieczoru spakowała po brzegi plecak i spędziła dwie godziny przy komputerze, szukając najtańszych połączeń do Swansea. Wreszcie znalazła w miarę taną firmę autokarową i kupiła bilet przez internet.

Na łzy pozwoliła sobie dopiero pod prysznicem, ale potem starła je ręcznikiem wraz z kroplami wody. Bała się, że nie zaśnie tego wieczoru, bo ze

zdeenerwowania czuła wzbierające mdłości. W końcu jednak odpłynęła i zupełnie nic jej się nie śniło.

Mirek z zadowoleniem patrzył, jak Hanna całuje Igora w czoło, a potem sadza go przy dziecięcym stolczku i daje niewielką porcję kaszy gryczanej z gulaszem i gotowaną marchewką. Mały coraz lepiej radził sobie z łyżeczką, a apetyt dopisywał mu jak nigdy przedtem. Może dlatego, pomyślał jego tata, że Tatiana nie gotowała nawet w połowie tak dobrze jak Hania.

– Wyglądasz na zmęczonego – zauważyła opiekunka, stawiając przed Mirkiem talerz z parującym obiadem.

Dla niego także była kasza z gulaszem, ale zamiast gotowanej marchewki w osobnej miseczce pojawiła się sałatka z ogórków kiszonych z porem. Coś wspaniałego.

– Może rzeczywiście czuję się trochę przemęczony – odparł, choć przecież wcale nie miał więcej pracy niż zwykle. – Wiesz, codzienny pośpiech i stres robi swoje.

– Powinieneś tego unikać. Potrzebujesz relaksu, codziennej chwili oddechu.

Szkoda, że moja żona tak nie uważa, pomyślał Mirek z goryczą. Odkąd w ramach wyciągnięcia Tatiany z depresji przejął część obowiązków domowych, właściwie nie miał czasu tylko dla siebie. Jeśli wracał z pracy, a Tania jeszcze nie było, zajmował się małym i wykonywał wszystkie te czynności, które według niego powinna wykonywać kobieta: rozwieszał pranie, czasem nawet prasował. Jeśli była ładna pogoda, to zabierał synka na spacer, a jeśli lało albo było za zimno – kładł się przy nim na dywanie i usiłował czytać gazetę, co jakiś czas ustawiając klocek na klocek albo poruszając samochodzikiem.

Dotychczas nie myślał o tym, jak bardzo zmieniło się jego życie od tamtego dnia, kiedy Ewa i Klaudia przedstawiły mu receptę na odzyskanie Tatiany. Ale teraz, pod wpływem ciepłych, współczujących spojrzeń Hanki, -dostrzegł to, co ktoś inny zauważyłby już dawno: utrzymywał rodzinę, zapewniał żonie i dziecku życie na wysokim poziomie, a po -pracy, -zamiast odpocząć, zamieniał się w gospodynię domową.

– Dziękuję – powiedział i zamierzał wstać, by odłożyć talerz do zmywarki.

Ja to zrobię. – Hanna się uśmiechnęła. – Masz ochotę na kawę? Po obiedzie mężczyzna powinien się na chwilę położyć, w końcu nie bez powodu wymyślono sjęstę. A potem mała kawa i będziesz jak nowo narodzony.

Mirek pomyślał, że sjęsta ma chyba związek z klimatem, nie tylko z naturalną skłonnością człowieka do słodkiego lenistwa z pełnym żołądkiem. Nie skomentował tego jednak.

– Jeśli możesz zostać jeszcze chwilę, to rzeczywiście pójde do siebie i położę się na moment – zdecydował. – Ale za kawę na razie dziękuję.

– Przecież możesz położyć się tutaj, na sofie – powiedziała jeszcze Hania. – Ja tylko posprzątam po obiedzie i już pójdę z Igorkiem na górę, nie będziemy ci przeszkadzać.

Skąd się biorą takie kobiety, rozmyślał Mirek, wyciągając się wygodnie na sofie i obserwując opiekunkę spod zmrużonych powiek. Całkiem niebrzydka, szczupła, ostatnio bardzo zadbana, choć początkowo jej tak nie oceniał. Zawsze pogodna, wyrozumiała, pełna ciepła. Czyli jednak można. Nie tak, jak Tatiana, odkąd urodził się Igor, wiecznie niezadowolona i zmęczona. Hanna ma dom na głowie, samotnie wychowuje córkę w wieku szkolnym, do tego sprząta i gotuje, zajmuje się Igorkiem – i jeszcze ma tyle serca, tyle cierpliwości.

Przyglądał jej się jeszcze przez chwilę, udając, że drzemie. Miała zgrabne łydki. Mimowolnie zadał sobie pytanie, jak wygląda w samej bieliźnie, ale szybko odsunął od siebie to wyobrażenie. Usiłował zająć myśli czymś innym, na przykład pracą, ale bez skutku, uparcie wracały do kobiety krzątającej się między kuchnią a salonem.

Była atrakcyjna w inny sposób niż Tatiana – jakoś subtelniej, delikatniej. Pewnie dlatego jej urodę dostrzegano dopiero po jakimś czasie, nie od razu rzucała się w oczy. Hanna nosiła znacznie mniej widoczny makijaż, nie eksponowała też walorów sylwetki. Chyba nie zależało jej na tym, by przyciągać spojrzenia, podczas gdy Tania – Mirek uświadomił to sobie z przykrością – lubiła, gdy oglądali się za nią mężczyźni na ulicy.

Nagle zamrugnął gwałtownie, ponieważ z tych rozmyślań wyrwał go dotyk czyjejś ręki. Przez jedną dziwną chwilę sądził, że to Hanna, ale nie, usiadłszy na kanapie zorientował się, że obok niego znajduje się Klaudia.

– Musiałem się zdrzemnąć, nie słyszałem, jak weszłaś – sapnął.

– Coś się stało? Dziwnie wyglądasz.

– To znaczy? – odpowiedział pytaniem, usiłując pokryć zmieszanie.

– Jakbyś miał dostać zawału – odparła bezlitośnie. – Jesteś czerwony jak burak.

– Wyrwałaś mnie z drzemki – wymamrotał Mirek, świadom, że rumieni się jeszcze bardziej. – Przyszłaś przeprosić?

– Za co? – Klaudia się roześmiała. – Przyszłam się pożegnać. Wyjeżdżam szybciej, niż planowałam.

– Podać kawę i coś słodkiego? – Rozległ się z kuchni głos Hanny. – Mirku? Upiekłam babeczki czekoladowe.

Niania wyłoniła się zza ścianki oddzielającej salon od kuchni. Chyba w międzyczasie podmalowała usta, przedtem nie były tak czerwone.

– Tak, poproszę. – Uśmiechnął się do niej, z niezadowolaniem konstatuując, że Klaudia przygląda mu się drwiąco. – Chcesz też? – zapytał córkę.

– Nie, dziękuję. A Tatiana gdzie? Pewnie zapracowana.

Zpracowana, też coś. Uwiła sobie gniazdko w tamtym starym mieszkaniu i bawi się w tłumacza literatury, a przecież mogłaby tłumaczyć tutaj, przy dziecku. Chociaż, z drugiej strony, wtedy nadal jadaliby byle co i wiecznie byłoby nieposprzątane. Mirek lubił, kiedy wszystko na świecie miało swój ustalony porządek. Tatiana nigdy nie była taką żoną, jak Ewa. Ani taką gospodynią, jak Hanna. Uświadomił sobie, jak bardzo brakowało mu tego tradycyjnego podziału ról.

– Robi przekład – odparł krótko. – Zawsze marzyła o tłumaczeniu powieści, to ma.

Hanna podała mu kawę w filiżance i czekoladową muffinkę na osobnym talerzyku. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, kobieta uśmiechnęła się porozumiewawczo. Czyżby miała podobne zdanie na temat „zpracowanej” Tatiany? Zapewne porównuje jej sytuację ze swoją i wynik tego zestawienia wypada na niekorzyść żony Mirka.

– To wymaga skupienia – dodał jeszcze, bo nagle poczuł potrzebę okazania lojalności wobec Tani.

– Domyślam się – odparła Klaudia. – Pamiętam, jak naiwnie sądziłam, że podczas opieki nad Igorkiem dam radę się uczyć do matury. Wielka kicha.

– No i właśnie, co z tą maturą? – Mirek natychmiast przywrócił rozmowie właściwy ton. – Przecież chyba nie zaprzepaszczysz tego wszystkiego, co...

– Tato, zawsze mi mówiłeś, że nie uczę się dla świadectwa, tylko dla siebie. – Córka mu przerwała. – Więc chyba niczego nie zaprzepaszczę, prawda? Co umiem, to moje. A papierek zwany maturą? Jesteś pewien, że będzie mi do czegoś w życiu potrzeby?

– Nie. Ale też nie jestem pewien, że nie będzie. I ty tego też nie możesz wiedzieć. Kto wie, czy nie nadejdzie dzień...

– Że będę tego gorzko żałować, wiem.

– Ciągłe mi przerywasz!

– Bo wszystko to słyszałam. Od mamy i babci. Stoczyłam już niejedną bój, tato.

– Babeczkę? – Hanna weszła jej w słowo.

Mirek odniósł wrażenie, że powiedziała to kpiąco, ale kiedy zerknął na jej twarz, znalazł na niej tylko ciepły uśmiech. Ładny, z dołkami w policzkach.

– Nie, dziękuję, nie jadłam pszenicy – odpowiedziała Klaudia, dla odmiany nie obdarzwszy opiekunki nawet cieniem uśmiechu. – No nic, tatuś. Idę ukochać Igorka. Boję się, że mnie zapomni.

– Kiedy zamierzasz wrócić?

– Wrócić? – powtórzyła z namysłem. – Nie wiem, pewnie nigdy. Ale przyjeżdżać będę na pewno. Jak zarobię pierwsze porządne pieniądze...

– Ja też ci nieźle płaciłem! – Mirek prawie się obraził.

– To się nie liczy.

Nachyliła się i cmoknęła go w policzek.

– Nie gniewaj się, ale pora dorosnąć. Pracując u ciebie, wciąż byłam córeczką tatusia.

– Zawsze nią będziesz. – Z trudem zapanował nad głosem.

Krzepiący uśmiech Hani powiedział mu, że jest wspaniałym ojcem. Dobre i to.

Klaudia wyściskała Igora i przytuliła się mocno do taty, a potem zwyczajnie powiedziała „Cześć” i wyszła, obiecawszy przedtem, że odezwie się natychmiast po przyjeździe na miejsce. Mirek nie mógł sobie znaleźć miejsca. Chciał, żeby niania Igora już poszła, bo podejrzanie piekły go oczy i kilka razy musiał sobie opłukać twarz zimną wodą, żeby się nie rozkleić.

– Jeszcze kawy? A może koniaczku? – zapytała Hanna.

– A wiesz, koniak to chyba dobry pomysł. Usiądź i napij się ze mną – poprosił. – Igor ładnie się bawi, przecież możesz chwilę odsapnąć.

Hanna wyglądała na zaskoczoną, ale najwyraźniej było to miłe zdziwienie, bo po chwili uśmiechnęła się, przyniosła butelkę i dwa kieliszki, po czym usiadła w fotelu obok sofy.

– Twoja córka to już kobieta – zauważyła. – Wyobrażam sobie, jakie to musi być trudne, pozwolić jej wyfrunąć z gniazda.

Tylko pokiwał głową, bo teraz do szczypania oczu doszło także dławienie w gardle. Do licha, przecież nie rozbeczy się tu przed obcą babą!

– A co u twojej pierwszej żony? – zapytała Hanna, jakby wyczuła, że jak najszybciej trzeba zmienić temat. Mirek poczuł wdzięczność, że jest taka taktowna.

– Dobrze ją znałaś?

– Nie zdążyłyśmy się zaprzyjaźnić, za krótko tam pracowałam – westchnęła.

– Ale lubiłyśmy się. Byłyśmy najmłodsze w gronie, a pierwsze miesiące w szkole nie były łatwe. Jak wszędzie.

– No tak.

– Potem odeszłam do innej szkoły, to były początki szkolnictwa prywatnego i sądziłam, że będą lepiej płacić. Niestety, myliłam się. Wreszcie ponownie wylądowałam w szkole publicznej, ale już innej niż twoja Ewa. Pewnie nigdy o mnie nie wspominała?

– Ewa w ogóle nie opowiadała o pracy. Wiesz, to było dość zimne małżeństwo.

– To dlaczego właściwie... Przepraszam, że tak wypytuję. – Zreflektowała się.

– Nie, nie, w porządku. O co chciałaś zapytać? Dlaczego się pobraliśmy?

Hanna pokiwała głową.

– Nie wiem, chyba z rozpędu. Często myślałem o tym, że takie decyzje czasem podejmuje za nas przypadek. Gdybym poznał ją wcześniej, gdy jeszcze studiowałem, znajomość pewnie rozlazłaby się po kilku miesiącach. Ale los postawił ją na mojej drodze, kiedy już rozkręcałem firmę, ona kończyła studia, -oboje chcieliśmy się jakoś zakotwiczyć. I samo się jakoś porobiło...

– Nie mów tak.

– Dlaczego? – Mirek się zdziwił. – Co w tym złego?

– Nic złego, tylko... Ja myślę, że z jej strony to musiała być wielka miłość.

– Dlaczego? – Roześmiał się.

– Wiesz, kiedy taka kobieta jak Ewa spotyka takiego mężczyznę jak ty...

Urwała, ale w jej głosie brzmiał podziw i coś w rodzaju respektu. Mirek poczuł się diabelnie seksowny i męski.

– Może i początkowo było jakieś uczucie. – Machnął ręką. – Z jej strony pewnie dłużej. Ale wiesz, ja... Potrzebowałem więcej swobody. Ona nigdy nie rozumiała moich potrzeb. Nie rozumiała, że duszę się w tej roli mężusia, tylko praca i dom.

Hanna pokiwała głową.

– To oczywiście – powiedziała. – Dom to miejsce dla kobiety. Ja jestem tradycjonalistką. Idealne małżeństwo, według mnie, wyglądałoby tak, że nie musiałabym pracować, dbałabym o dom, dziecko i mojego mężczyznę, a on by podbijał świat. Dosłownie i w przenośni.

– W twoim małżeństwie tak nie było?

– Mój mąż nie był takim mężczyzną, jak ty – odparła Hania cicho. – Nie potrafił utrzymać rodziny. Musiałam pracować, potem pojawiła się nasza córeczka i gdy zaczęła chorować, on zamiast jakoś się zmobilizować, rozpił się z bezsilności. Wolał uciec w alkohol. Nie dziw się więc, że tak bardzo ciebie podziwiam... – Urwała z uroczym rumieńcem na policzkach. – Przepraszam, nie powinnam tego mówić.

Po wyjściu Hani Mirek położył się na dywanie przy Igorcu, który bawił się klockami: wkładał je do wiaderka, a następnie wysypywał z powrotem na podłogę. Najwyraźniej było to dla niego bardzo zajmujące.

Drzwi na dole trzasnęły, widocznie Tatiana wróciła. Po chwili na schodach rozległ się odgłos jej kroków, a potem głos:

– Jest coś dla mnie na obiad?

Mogłaby zapytać, jak minął dzień, wyjaśnić, dlaczego znowu wraca później niż ja. Mogłaby podejść i pocałować Igora, pomyślał Mirek.

– Kasza i gulasz.

– To widzę. Ale czy jest dla mnie bez mąki.

– Nie, chyba nie.

Tania prychnęła i zeszła na dół. Po chwili zaczęła trzaskać garnkami w kuchni. Mirek przymknął powieki i wyobraził sobie, jak wyglądałby powrót żony do domu, gdyby była choć trochę podobna do Hani. Weszłaby, pocałowała synka i męża, a potem zapytała, czy przyrządzić im coś do jedzenia. Nie, już jedliśmy, odparłby Mirek, a wówczas ona szybko by coś zjadła, przebrałaby się w jakąś domową sukienkę (uwielbiał dziewczyny w sukienkach i gdyby to od niego zależało, wprowadziłby przepisy zakazujące im chodzenia w spodniach) i zaczęłaby się krzątać, wykonując te wszystkie czynności, przy których kobiety wyglądają tak uroczo: posprzątałaby, rozwiesiła pranie, przygotowała kolację, zajęła się dzieckiem. On wodziłby za nią wzrokiem i miał coraz większą ochotę na seks. Potem, gdy już wykąpałaby synka i ułożyła go do snu, przyszłaby do mężowskiego łóżka i zamieniła się (trochę się tych pragnień wstydził, ale wciąż do nich wracał) w wyuzdaną kurtyzanę, mistrzynię sztuki miłosnej, nienasyconą i bezwstydną. I pokazałaby mu takie sztuczki, o jakich nigdy nawet nie słyszał. Związałaby mu ręce, zakryła oczy, a potem znęcałaby się nad nim, doprowadzając go do rozkoszy samym dotykiem języka.

Klaudia miała myśli zaprzątnięte czym innym, ale i tak po wizycie u ojca w jej duszy zagnieździł się jakiś niejasny niepokój – nie podobał jej się ton, jakim zwracała się do taty ta nowa opiekunka. W ogóle sama sytuacja: on leżący na kanapie, ona mówiąca do niego po imieniu, coś tu nie grało. Klaudia postanowiła zadzwonić do Tatiany i wypytać o tę kobietę. Tymczasem jednak miała dwie godziny do wyjazdu – w sam raz tyle, żeby dopiąć plecak, ostatni raz sprawdzić, czy wszystko zabrane, no i najtrudniejsze: pożegnać się z mamą, babcią i Cohenem.

Mama jeszcze nie wróciła z pracy, ale babcia chodziła za Klaudią, jakby bała się choć nawet na chwilę stracić ją z oczu.

– Przestań, babciu. – Dziewczyna wreszcie nie wytrzymała. – Bo się rozkleję.

– Martwię się.

– Czym?

– Że czegoś zapomnisz. Że zabłądzisz, nie trafisz do tej Lucy. Że ci tam będzie źle.

– Jeśli mi będzie źle, to wrócę. Przecież nie palę za sobą mostów.

Barbara umilkła na chwilę, a potem wyrzuciła z siebie jednym tchem:

– Bo widzisz, kochanie, w twoim wieku tyle się ma do stracenia. Każda decyzja znaczy tak wiele, tyle można zepsuć i tyle naprawić, gdyby się było cierpliwym... Cała sztuka w tym, żeby umieć czekać.

– Czekałam naprawdę długo. Ale w pewnym momencie to się stało nie do zniesienia.

Babcia usiadła na sofie i pociągnęła wnuczkę za rękę.

– Chodź tu do mnie, Klaudus. Muszę ci powiedzieć jeszcze parę rzeczy, zanim wyjedziesz. Wiesz, ja nie jestem pewna, czy cię jeszcze zobaczę.

– Przestań, babciu! – Wnuczka się oburzyła. – Nie mów takich rzeczy!

– Spokojnie, kochanie. Może zobaczymy się jeszcze, ale ja nie będę pamiętała, kim jesteś, kto wie. Zresztą, nawet gdybym była zdrowa... Po prostu człowiek nigdy nie wie, ile ma jeszcze czasu.

– Kiedy tak mówisz, czuję się jak ostatnia świnia, że wyjeżdżam – powiedziała cicho Klaudia, tłumiąc łzy.

– Bez przesady. – Barbara się roześmiała z wyraźnym wysiłkiem. – Nawet gdybyś ty nie wyjechała, ja zrobię to na pewno. Daj spokój. Tak czy owak, to jest nasze pożegnanie. Może jedno z wielu, a może ostatnie.

– To co mi chcesz powiedzieć?

– Po pierwsze, przeprosić. Że nie dość cię wspierałam. Że nie było mnie w twoim życiu, kiedy mogłam się na coś przydać. Wtedy, kiedy odkryłaś zdradę taty, i potem, gdy przeraziła cię prawda o sobie samej. Mogłaś wtedy uciec od rodziców do mnie, ale nie przyszło ci to do głowy...

– Przepraszam.

– Nie, to właśnie ja przepraszam. Gdybym była babcią na pełen etat, a nie wakacyjną, miałabyś poczucie, że nie jesteś sama. Wybacz mi, kochanie.

– Babciu, daj spokój. – Klaudia chlipała już na całego.

– Po drugie, kiedy będziesz szukać szczęścia, pamiętaj, że ono nigdy nie ma wielkiej postaci. To nie będzie coś potężnego, złotego, nie będzie błyszczeć, wymachiwać rękami ani krzyczeć do ciebie z daleka. Prawdziwe szczęście jest zawsze maleńkie, niepozorne, niekiedy trudno je dostrzec. Kryje się w detalach. W tym, że ktoś rozgrzewa ci ręce na mrozie albo że ty komuś robisz herbatę i podajesz kawałek szarlotki. W pyszczku przygarniętego kociaka, w karmniku pełnym sikorek. W tym, że byłaś pewna, że róże ci wymarzą, a one odbijają na wiosnę. To zawsze są drobiazgi, okruchy. I dopiero zebrane razem dają to, co ludzie nazywają szczęściem.

Klaudia milczała. Chciała, żeby ta rozmowa się już skończyła, ale zarazem pragnęła słuchać dalej.

– I na koniec: uwierz w siebie. To ty stwarzasz swoje życie. I nie chodzi mi tu o jakieś konkretne talenty czy coś w tym rodzaju. Pamiętasz swój eksperyment z ryżem?

Dziewczyna pokiwała głową. Wytarła głośno nos i przestała płakać.

– Wiesz, według mnie ten eksperyment potwierdza, że ludzka myśl, umysł właściwie, ma ogromną moc. Że możesz nim stwarzać rzeczywistość, zmieniać ją. Słyszałaś o afirmacjach, kochanie?

– Nie, nie mam pojęcia, o czym mówisz.

– Afirmacje to takie zdania, które sobie powtarzasz w myślach lub na głos. Twój umysł przyjmuje je za rzeczywistość i wprowadza w życie. Tak po prostu.

– Tak po prostu? – powtórzyła Klaudia z niedowierzaniem.

– Tak. Wiem, że to ci się wydaje śmieszne. Mówienie do ryżu też jest zabawne, prawda?

– Nie jest. Chociaż początkowo tak sądziłam.

– No właśnie. A zatem powtarzaj sobie afirmacje. Tylko pamiętaj o trzech zasadach: muszą być w czasie teraźniejszym i muszą mówić o procesie, o tym, że coś się dzieje.

– A trzecia zasada?

– Powinnaś im pomagać. Robić coś, żeby się spełniły, nie tylko o tym mówić.

– Babciu, chyba nie rozumiem.

– To proste. Na przykład ja, odkąd pojawiły się u mnie symptomy choroby, robię trzy rzeczy. Po pierwsze, powtarzam sobie: Ja, Barbara Nawrot, z każdą chwilą staję się zdrowsza pod każdym względem. To jest moja afirmacja. Czas teraźniejszy, proces, zmiana na lepsze. Wypowiadam to zdanie kilkanaście razy dziennie. Ale przy tym robię wszystko, żeby miało szansę się spełnić. Wykupiłam leki, zmieniłam dietę, walczę o siebie. Zrozumiałaś?

– Tak, teraz chyba tak.

– No więc do dzieła, kochanie. Ułóż sobie własną afirmację i walcz.

Klaudia przytuliła się mocno do babci.

– Jesteś niezwykła, wiesz? – wyszeptwała. – Jest takie fajne słowo: nietuzinkowa. No więc taka właśnie jest moja babcia.

– Ty też jesteś nietuzinkowa, skarbie. Nigdy ci nie mówiłam, jaka jestem z ciebie dumna, ale teraz ci powiem. Naprawdę. Jestem dumna, że mam taką wnuczkę.

– Taką? Czyli jaką, babciu? Wnuczkę lesbijkę? To żaden powód do dumy.

– Wnuczkę odważną i świadomą tego, czego pragnie. Zde-cydowaną i bezkompromisową. Uczciwą wobec siebie. To znacznie cenniejsze, niż ci się wydaje. Przyjdzie czas, że zaczniesz szukać tych cech w innych ludziach. Wtedy zrozumiesz, jak bardzo są rzadkie.

Klaudia zaszlochała krótko, bez łez. Ostatnie słowa babci nappełniły ją cichą radością, dodały siły i otuchy. Uwierzyła, że wszystko będzie dobrze, że jakoś się ułoży to jej nowe życie.

Kiedy Ewa wróciła z pracy, córka pożegnała się z nią ciepło, ale zupełnie spokojnie, jakby wyjeżdżała na weekend, a nie – być może na resztę życia.

Powrót do domu okazał się trudniejszy, niż się jej wydawało. Leżąc w szpitalu, Żaneta bardzo chciała opuścić to ponure miejsce. Pielęgniarki unikały

patrzenia jej w oczy, jedzenie było najpodlejsze z podłych, a -pacjentki z sąsiednich łóżek wciąż rozmawiały przez -telefon ze swoimi bliskimi, doprowadzając Żanetę do wściekłości, bo jedynym, czego pragnęła, była cisza. Cisza pozwalała jej zamknąć oczy i przenieść się w niebyt, ciemność. Natomiast -głosy -ludzkie podnosiły powieki niczym bez-litosne wytrychy.

Gdyby przy jej łóżku jakimś cudem pojawiła się wróżka, jak w tych głupich baśniach z dzieciństwa, i zapytała o życzenie – Żaneta poprosiłaby jedynie o to, żeby nie czuć. Nie o cofnięcie czasu, bo co by to zmieniło? Dokądkolwiek by -dojechała tym busem, gdziekolwiek by się ostatecznie znalazła i nawet z kimkolwiek, i tak nie byłoby dobrze. Tacy jak ona nie znajdują szczęścia nigdzie i z nikim.

Tak myślała w tej chwili – czuła się pusta, bez wartości, miała wrażenie, że jej ciało jest wypatroszoną skorupą, z której nie ma już pożytku. To dziwne, jeśli zważyć, że nigdy nie planowała więcej dzieci, nie pragnęła ponownego macierzyństwa i bała się go, a zajście w ciążę z Bogdanem było dla niej początkowo istną tragedią. Powinna teraz – obok całego tego bólu fizycznego i nawet psychicznego, bo w końcu umarło w niej dziecko, pękło niby zbyt dojrzała czereśnia – czuć także jakiś rodzaj ulgi; wszak problem rozwiązał się sam. Niczyja wina, nikt nie będzie musiał za to zapłacić.

Ale cokolwiek przepełniało Żanetę, cokolwiek składało się na tę plątaninę emocji, na pewno nie było zmieszane z ulgą. Natomiast natrętnie powracał mdły posmak poczucia winy.

Bo przecież wbrew temu, co powiedział jej szpitalny psycholog, to ona ponosiła odpowiedzialność za to, co się stało. Gdyby nie zapięła pasów, macica by nie pękła. Gdyby pani ich nie zapięła, tłumaczył cicho psycholog, to zginęłybyście obie, pani i córeczka. Więc to rzeczywiście była córka, Anielka albo może Elżbietka, pomyślała Żaneta i suchy płacz zgiał ją wpół na łóżku. Naprawdę suchy, bez łez. Tym bardziej bolał. To zupełnie jak wtedy, kiedy się wciąż ma odruch wymiotny, choć żołądek jest już pusty.

Zadzwoiła, że ją wypisują, i Andrzej ze Sławkiem przyjechali po nią do Gorzowa. Nie dlatego ich zawiadomiła, że tęskniła za domem, lecz wyłącznie z powodu wstydu przed Bogdanem. Czego dokładnie się wstydziła, nie wiedziała. Pewnie tego, że nawet nie umiała upilnować jego dziecka, ochronić go, choć wydawałoby się, że znajdowało się w najbezpieczniejszym miejscu na ziemi.

Siedząc bez słowa obok Andrzeja i gapiąc się bezmyślnie w drogę, która wiła się przed maską auta, zdała sobie sprawę, że przez ostatnich kilka miesięcy po raz pierwszy od wielu lat czuła się coś warta. Może dlatego, że miała coś, czego Bogdanowi nie mógł dać nikt inny. Może z innego powodu: ponieważ to dziecko było owocem niezwyklej miłości, takiej, jaka nie jest dana każdemu. A może z jakiejś innej, kompletnie niezrozumiałej przyczyny. Tak czy owak, Żaneta przez

chwilę czuła, że mogła się na coś przydać, do czegoś była potrzebna.

A teraz? Stała się wypatroszoną, niepłodną, niekochaną przez męża i potępianą przez syna – pełną poczucia winy -wobec nich obu – wykonaną bez polotu karykaturą kobiety.

Jej dni były podobne do siebie. Nie miała siły ani chęci, by wstać i umyć głowę, podmalować oczy, nawet przebrać się – dlatego chodziła przez cały dzień we flanelowej pidżamie, z dłonią spoczywającą na podbrzuszu. Ta dłoń to nie dlatego, że bolało; po prostu pozostał jej nawyk z ciąży, bo przez ostatnie tygodnie niemal bez przerwy kładła rękę tam, gdzie rozwijała się córeczka Bogdana. Teraz, ilekroć Żaneta łapała się na tym geście, przeszywał ją ostry ból, świadomość nieodwracalności śmierci, wciąż tak samo niepojętej jak wtedy, gdy na pogrzebie ojca mała Żanetka uświadomiła sobie, że nigdy więcej nie dotknie jego szorstkich policzków.

Problemem stało się wykonywanie najprostszych czynności. Umycie zębów graniczyło z cudem, bo wymagało setki ruchów, a każdy z nich przyprawiał Żanetę o zbyt szybkie bicie serca. Posprzątanie domu nie wchodziło w grę – raz tylko rozwinęła sznur odkurzacza, ale wydał jej się tak długi, tak trudno było dojść do jego końca, że rozplakała się, i taką zabezczaną, leżącą na kanapie z wtyczką w dłoni, znalazł ją Andrzej po powrocie z pracy. Stanie przy garnku, żeby zamieszać odgrzewany sos, przerastało ją – dosłownie, fizycznie czuła, jak bardzo jest mała, jak kompletnie nie ma szans, nie da sobie rady.

Andrzej zaczął przynosić skądś jedzenie w trojczkach, ale Żaneta nie pytała, czy to jego kochanka gotuje, nie czuła nic na tę myśl i nie była ciekawa. Zresztą prawie nie jadła. Cieszyła się jednak, że jedzenie się pojawiło, bo to zdjęło z niej poczucie winy, że tak zupełnie odpuściła sobie Sławka.

Najgorsze było to, że nie umiała wybiec myślą do przodu, w przyszłość, choćby o parę dni. Co z nią będzie? Co jeszcze mogłoby ją spotkać? Przeczynała, że nadszedł jakiś rodzaj końca, tylko zupełnie nie umiała go sobie wyobrazić. Umrze? Przecież nie, bo jej ciało jest silne, zbyt silne, silniejsze niż by chciała. Popelni samobójstwo? Nie, ponieważ zwyczajnie nie ma na to siły. Nie chce jej się. Nie potrafi. Wyprowadzi się, -rozwiedzie i zwróci Andrzejowi wolność? Zapewne powinna, ale przecież nie ma dokąd pójść.

A Bogdan? No właśnie, Bogdan. Był za daleko, o niczym nie wiedział i był... księdzem. Dla dziecka może porzuciłby kapłaństwo, ale dla niej? Dla pozbawionej kobiecości, okaleczonej, bezwartościowej Żanety? Dla kobiety, która nigdy w istocie nie stała się prawdziwą kobietą, ponieważ zatrzymała się na etapie porzuconej przez ojca dziewczynki? Czy ktokolwiek zmieniłby dla niej cały swój świat? Nie. To było niemożliwe. To nie miałyby sensu.

Tatiana starannie wytarła dłonie. Wybrała granatowy odcień lakieru. Nigdy nie malowała paznokci na takie ekstrawaganckie kolory, przeważnie pozostawiała przy naturalnym bladym różu, a od czasu do czasu, chcąc wyglądać szczególnie seksownie, pozwalała sobie na czerwień. Ale od jakiegoś czasu sprawiało jej przyjemność to, że maluje się i ubiera odważnie.

Długie godziny spędzała teraz w swoim dawnym mieszkaniu. Wciąż nie znaleźli się chętni na wynajem, a jej było to na rękę, bo przecież w domu nie mogłaby się tak skupić, zanurzyć tak głęboko w magicznym, na poły poetyckim, a na poły szorstkim i jakby przybrudzonym języku powieści Olega.

Tłumaczenie sprawiało jej przyjemność, choć okazało się trudniejsze, niż Tania się spodziewała. Metaforyczne, mieniące się znaczeniami opisy stanów emocjonalnych głównego bohatera zabierały jej niekiedy całe godziny – starannie dobierała słowa, jakby usiłowała nanizować koraliki na nitkę, z ogromną pieczołowitością, by idealnie oddać subtelne odcienie uczuć.

Oleg dzwonił co parę dni, by wysłuchać opowieści o tym, co sprawia jej kłopoty; niekiedy kłócili się zawzięcie, gdy zarzucała mu zbytne epatowanie wulgaryzmami albo sugerowała złagodzenie scen brutalnego seksu. Innym razem schodzili na tematy zupełnie niezwiązane z książką, w ogóle z literaturą. Oleg mówił, jaki mają mróz w Moskwie, że szczypie w czubki uszu i rzęsy się kleją. Tania opowiadała, jak pusto jest w jej dawnym mieszkaniu, niemal pozbawionym mebli, z samotnym czajnikiem na kuchennym blacie, jednym kubkiem i puszką kawy.

Wkrótce zaczęła czekać na te telefony, a kiedy zdarzał się taki dzień, że Oleg nie zatelefonował, stawała się rozdrażniona i opryskliwa. Sama jednak nigdy nie wybrała jego numeru – uważałaby to za coś niewłaściwego, choć zapytana dlaczego, zapewne nie umiałyby tego wyjaśnić.

Nadal przestrzegała diety; unikała zbóż i z dnia na dzień chudła, może nie jakoś bardzo szybko, ale wystarczająco, aby czuć, że jadłospisy Klauddii są skuteczne. Coraz więcej ubrań sprzed ciąży zaczynało dobrze leżeć, coraz częściej Tatiana miała ochotę ubrać się w coś seksownego, obcisłego, wyeksponować wdzięki. Tyle że nie bardzo miała dla kogo. Mirek nie poświęcał jej wiele uwagi, znacznie więcej emocji budziły w nim nowe sosy i zupy ugotowane przez panią Hankę niż czerwone szpilki, które kupiła sobie Tania.

Koniec tłumaczenia książki był bliski, bo Tatianę goniły terminy: okładka była gotowa, wydawnictwo czekało na tekst, by zdążyć z redakcją i drukiem przed Warszawskimi Targami Książki. W ostatnich rozdziałach historia stawała się bardzo mroczna, było w niej sporo krwi i śmierci, ale przy tym zrobiło się tak onirycznie, nierealnie, że nie do końca stawało się jasne, czy jeden z bohaterów ginie -naprawdę, czy to tylko senne wyobrażenie narratora. Jeszcze tylko kilka dni,

myślała Tania, i wróć do świata żywych, poświęcę więcej uwagi Igorkowi, może wybierzemy się gdzieś z Mirkiem.

W odpowiedzi na jej pytania i wątpliwości dotyczące zakończenia powieści, Oleg zamiast zadzwonić napisał maila.

Taniusza!

Pytasz, czy Łaskunow ginie naprawdę, czy to tylko projekcja. Nie odpowiem Ci. Nie chcę, żebyś wiedziała – czasem lepiej nie wiedzieć i nie pytaj mnie dlaczego. Przetłumacz to tak właśnie, jak napisałem: żeby i czytelnik nie był niczego pewien.

Twój głos brzmiał inaczej podczas naszej ostatniej rozmowy, nie znalazłem w nim radości. Czy jesteś już zmęczona przekładem? Moją książką? Mną?

Rosja śpi pod śniegiem, Taniu. Czy lubisz dźwięk, jaki wydają buty depczące biały puch? I ciszę, to skradanie się, kroki pozbawione stukotu? Ja lubię, więc chodzę, wydeptuję sobie ścieżki, wędruję po Moskwie; skrzypię obcasami, żeby się nasłuchać tej melodii, póki trwa zima. Potem, gdy przyjdzie maj i będę się zachwycał naszymi moskiewskimi bzami, przypomni mi się ta jedyna w swoim rodzaju cisza i obłoczki pary wydobywające się z ust.

Rozgadałem się, Taniu. Napisz, jaka jest Twoja zima.

PS Może przyjedziesz w maju, wachać ze mną bzy?

Tatiana boleśnie zatęskniła, czytając ten krótki list – i tylko nie była pewna: za Moskwą, za rosyjską zimą, za Olegiem czy za tym, żeby ktoś do niej mówił „Taniusza”; a może za tym, co się w takich mailach mogło kryć, co się mogło zdarzyć jako ciąg dalszy, gdyby tylko oboje na to pozwolili.

To był chyba pierwszy moment, w którym oprzytomniała na chwilę i zadała sobie pytanie, czy robi kolejny krok. Czy chce go zrobić, czy się nie boi. Mogła się zatrzymać, odwrócić, wystarczyło nie odpisać albo odpisać krótko, na temat: o książce. Ona jednak, po tym minimalnym zawahaniu, ruszyła dalej ku emocjom, jakich nie doświadczała od tak dawna. Odpisała mu, że kocha moskiewską zimę, skrzypienie butów i obłoczki pary, szalik naciągnięty na nos oraz grube wełniane rękawice, ale jeszcze bardziej kocha wiosnę i tylko żal, że taka krótka jest wiosna w Rosji, ledwie nadejdzie, a już lato depcze jej po piętach. I że kiedy Oleg przyjedzie do Polski na targi, to właśnie będzie polska wiosna, a ona potrafi być długa, wprawdzie kapryśna, ale zawsze precudna. A wtedy Oleg napisał, że nie może się doczekać. Ale wcale nie wiosny.

Od tej pory rzadziej do siebie dzwonili, częściej poprzestawali na mailach, bo łatwiej było przemycać w listach słowa, które mogły znaczyć coś niebezpiecznego i zabronionego, ale wcale nie musiały, i tylko czytając wielokrotnie znajdowali w nich to drugie dno. Zresztą Tania zakończyła wkrótce przekład i wysłała tekst do redakcji; w zasadzie od tego momentu nie powinna już kontaktować się z Olegiem, bo i po co. Mimo to ich korespondencja trwała dalej,

choć na pozór pisali do siebie o błahostkach.

Kiedy Tatiana wracała do domu, przeżywała huśtawki nastrojów. Z jednej strony miała poczucie winy, choć przecież – tak sobie tłumaczyła – nie robiła nic złego. Może i coś wisiało w powietrzu, może było potencjalnie niebezpieczne, ale ona przecież bardzo się pilnowała, nie przekraczała granicy, za którą wszystko zostałoby nazwane po imieniu.

Z drugiej strony – zalewała ją czułość, gdy małe rączki synka obłapiały jej uda, gdy Igor szeptał swoje pierwsze „mama” w jej szyję, gdy robił „pa pa” i cmokał w powietrze na pożegnanie. Kochała go teraz tak, jak nie umiała kochać nigdy przedtem – czuła już nie tylko biologiczną więź, lecz także coś, co nie pozwalało się zamknąć w słowach, bo było zbyt duże, zbyt czułe i ulotne, choć zarazem – trwałe, mocne, z rodzaju tych spraw na śmierć i życie. Niekiedy Tatiana odnosiła przedziwne wrażenie, że dotyka właśnie czegoś metafizycznego, że dostąpiła wtajemniczenia w wielką tajemnicę macierzyństwa.

Mirek nie uczestniczył w tym procesie; Tania niemal na-macalnie czuła, jak mąż oddala się od niej, choć jednocześnie on także budował coraz bliższą relację z synkiem. Na swój sposób odpowiadało jej to, ponieważ zmniejszało nieco poczucie winy – ale na dłuższą metę czyniło małżeństwo -pustym i zimnym.

Andrzej postanowił, że tym razem nie będzie przygotowań. Pojedzie prosto z pracy, oczywiście ogarnie się trochę, umyje, zmieni łachy robocze na normalne ubranie – ale nie zamierzał się wygłupiać z całym tym dobieraniem koszuli, wodą kolońską i tak dalej. Konsultacje to tylko rozmowa, nie randka, i choć tęsknił za Ewą jak wariat i bardzo chciał się z nią zobaczyć, to w tym przypadku chodziło głównie o Sławka, o jego stan psychiczny i obietnicę złożoną matce – że poprawi stopnie.

Gdyby jeszcze Żanecie naprawdę na tym zależało, myślał Andrzej, splukując z siebie pył, trąc włosy ręcznikiem i zakładając czystą koszulkę, a potem sweter. Zresztą może jej zależy, tylko nie umie tego okazać. Całkiem jak z tą ciążą. Był pewien, że żona nie cieszy się na narodziny niechcianego dziecka, a tymczasem jego utratę przeżywała tak, jakby to było jej wymarzone maleństwo.

Dojechał do szkoły odrobinę za wcześnie, musiał odstać swoje na korytarzu. Jak zwykle, kiedy zadzwonił dzwonek, hałas uderzył go w głowę niczym obuch. Co sprawia, że dzieci potrzebują wrzasku, gdy tylko wyjdą na przerwę? Oto tajemnica dorastania. Andrzej odczekał chwilę, aż tajfun złożony z uczniów obojga płci wydestanuje się z klasy i przetoczy przez korytarz, po czym podszedł do drzwi klasy.

Zmieniła się. Miała nieco dłuższe włosy i chyba zeszczuplała albo po prostu wyglądała tak smukło w granatowej sukience z golfem. Śliczna, kobieca, subtelna i taka delikatna. Miał ochotę wziąć ją na ręce i po barbarzyńsku porwać; wynieść

gdzieś, gdzie mógłby z niej zdjąć tę sukienkę i przypomnieć sobie każdy szczegół jej ciała.

– Dzień dobry – powiedziała chłodno.

Uśmiechnęła się, ale nie takim uśmiechem, jaki dawniej miała dla niego. Ten był jak służbowy uniform, Ewa uśmiechała się w taki sposób nawet do tego idioty Handeckiego, który wyklócał się na wywiadówkach, we wszystkim widział -lewacką propagandę i najchętniej ubrałby nauczycielki w habity.

– Ładnie ci w tej sukience. – Andrzej spróbował zacząć od komplementu, ale Ewa spoważniała i wcale nie wyglądała jak ktoś, kto tęskni, czeka i chce zacząć wszystko od początku.

– Sławek mówił, że żona miała wypadek – powiedziała. – I że dziecko nie żyje.

– Powiedział ci o tym? – Andrzej się zdumiał. – To już mamy jakiś postęp. W domu nie odzywa się do nikogo.

– Nie wiem, czy można mówić o postępie. Przez całą lekcję rysował cmentarz, poprosiłam więc, żeby został. Chciałam z nim porozmawiać, nie miałam pojęcia...

Urwała z miną winowajcy.

– Napisałeś mi tylko, że żona jest w szpitalu – podjęła po chwili.

– Tak. Bus, którym jechała do Anglii, miał wypadek w okolicach Gorzowa. Pasy spowodowały pęknięcie macicy.

Ewa zakryła usta ręką, jakby chciała zatrzymać w nich krzyk.

– Ale co masz na myśli, mówiąc, że rysował cmentarz? – Chciał wiedzieć.

– Nagrobki. Na kilku było nazwisko „Wójcik”, a na najmniejszym znak zapytania. Wyjaśnił mi, że to grób „tego małego”, tak się wyraził, natomiast w tych większych leżą dziadkowie i dwóch wujków.

Andrzej drgnął. Nigdy, przenigdy nie rozmawiał o swoich braciach. Z nikim. Sławek musiał o nich słyszeć od babci.

– Chłopcu jest ciężko. – Czym prędzej zmienił temat. – Matka w depresji, najpierw w szpitalu, a teraz całe dni spędza jak roślina, nie chce z nami rozmawiać. Sławek obiecał jej, że poprawi oceny. Dlatego tu jestem, chciałbym wiedzieć, czy to w ogóle możliwe.

Ewa zaczerwieniła się gwałtownie, a Andrzej dopiero w tym momencie zorientował się, jak to zabrzmiało. „Dlatego tu jestem”, co za bzdura. Jestem tu, bo umieram z tęsknoty, chciał zawołać.

– Oczywiście, że możliwe – powiedziała takim tonem, jakby zamierzała mu oświadczyć, że ona też jest tu wyłącznie z obowiązku. – Test z części mowy już zaliczył, myślę, że poradzi sobie także z pozostałymi zagadnieniami. Najbardziej martwię się o matematykę i historię, z tych przedmiotów Sławek ma chyba najwięcej jedynek. Ale jestem dobrej myśli. Tutaj masz – przerwała, poszukała

czegoś w szufladzie biurka, a gdy znalazła, podała mu złożoną na dwoje kartkę – pytania z historii. Nauczycielka poszła mu na rękę, spisała, o co będzie go pytać. To trzy różne działy, może je zaliczać kolejno, poprawi w ten sposób trzy oceny ze sprawdzianów.

– Dziękuję.

– Z matematyczką powinieneś porozmawiać osobiście. Ona ci dokładnie wytłumaczy, czego wymaga od uczniów, którzy są zagrożeni niedostatecznym, to są naprawdę minimalne wymagania.

– Rozumiem. Porozmawiam.

– Słyszałam też, że jakaś twoja znajoma uczy Sławka niemieckiego – rzuciła, nie patrząc na niego. – To doskonale, że znalazłeś kogoś takiego.

Andrzejowi wydało się, że w głosie Ewy zabrzmiała jakaś fałszywa nuta, ale kiedy spojrzał na nią uważnie, nie dostrzegł w jej twarzy nic poza chłodną obojętnością.

– Tak – potwierdził. – Rzeczywiście miałem sporo szczęścia. Zresztą nie chodzi tylko o niemiecki.

Pokiwała głową jakoś nienaturalnie, zbyt szybko.

– Muszę iść – oznajmiła nerwowo. – Zaraz ma przyjść mama Edytki Sułkowskiej, a ja nie spisałam jej ocen. Jeśli to już wszystko...

Jej wzrok, jej chłodny wyraz twarzy, zaciśnięte dłonie – wszystko mówiło: idź już. Andrzej chciał powiedzieć, że nie, to nie wszystko, bo przecież miał zamiar zapytać o tyle spraw: czy jest jeszcze dla nich jakaś szansa, czy ona za nim tęskni, i co z tym rudym, czy Ewa nadal się z nim widuje. Chciał powiedzieć, że kocha i pragnie, że jej śniade ciało śni mu się po nocach. Że już nie chce się ukrywać, jest gotów na rozmowę ze Sławkiem i Żanetą, bo przecież ta miłość jest dobra, od początku taka była, a rzeczy dobrych nie trzeba się wstydzic i nie wolno z nich zrezygnować.

Ale nie powiedział żadnej z tych rzeczy ani o nic nie zapytał. Pożegnał się i wyszedł; mechanicznie zszedł po schodach i wsiadł do samochodu, po czym wrócił do pracy, żeby zedrzeć sobie do krwi naskórek na kostkach palców i zapomnieć o obolałej duszy, bo ból fizyczny czasem okazywał się na to najskuteczniejszym lekarstwem.

Marzec

Lucy opadła na stary, zielony fotel, który chwilowo pełnił funkcję jedyne mebla wypoczynkowego w pomieszczeniu mającym wkrótce stać się restauracją. Z zagłówek wyłaziła żółtawa gąbka, ale poza tym fotel był w niezłym stanie. No i świetnie się w nim drzemało.

– Mam dość – oznajmiła. – Mam powyżej uszu rozkręcania hotelu czy

innego pensjonatu. Idę na piwo.

Klaudia rzuciła jej spłoszone spojrzenie. No tak, powiedziałam to po walijsku, uświadomiła sobie Lucy. Powtórzyła całą kwestię po angielsku, starając się mówić wolniej niż zwykle. Klaudia wciąż jeszcze miała problemy ze zrozumieniem miejscowego akcentu, choć z każdym dniem robiła postępy.

– Idziesz ze mną? – zapytała jeszcze Lucy, ale Polka pokręciła przecząco głową.

Siostra Jima poszła sama. Najbliższa knajpka, gdzie można było wysączyć kufel dobrego piwa, znajdowała się cztery kilometry od przyszłego hoteliku „Clarke Bed & Breakfast”, w rzeczywistości więc Lucy wcale nie poszła, lecz pojechała na rowerze. Tak czy owak, sama.

Szczerze mówiąc, Klaudia zaskoczyła ją – i to niekoniecznie pozytywnie – pojawiając się bez zapowiedzi, znacznie wcześniej, niż ustaliły w mailach.

– Przecież miałaś najpierw zdać jakieś egzaminy – powiedziała Lucy na jej widok, kiedy przemoknięta (bo akurat lało, zresztą jak niemal codziennie w Walii) Polka stanęła w progu i odetchnęła z wyraźną ulgą.

– *Fuck the exams* – odparła Klaudia, zrzuciła z ramion plecak i rozplakała się.

Znacznie później, kiedy już doszła do siebie, opowiedziała Lucy o wszystkich pokręconych perypetiach, jakie jej się przytrafiły w podróży: że w Swansea ukradziono jej torbę (na szczęście miała tam tylko drobiazgi przydatne podczas jazdy; dokumenty i pieniądze wsadziła do wewnętrznej kieszeni kurtki), że wysiadła na niewłaściwym przystanku, że zwymiotowała z nerwów, takie zwyczajne przygody, które człowieka w innym stanie ducha przyprawiłyby może o lekkie podenerwowanie, ale Klaudii wydawały się końcem świata.

Odsypiała tę podróż szesnaście godzin, a gdy się obudziła, pochłonęła potężne śniadanie i powiedziała, że teraz chce się zabrać do roboty.

– Musimy najpierw ustalić zakres twoich obowiązków – zaproponowała Lucy. – I stawkę. Żeby potem nie było żadnych nieporozumień.

– Mam gdzieś pieniądze – oznajmiła Polka, czym wprowadziła siostrę Jima w konsternację. – W każdym razie chwilowo. Proszę, pozwól mi się czymś zająć. Jak stanę na nogi, to pogadamy o pieniądzach. Teraz chcę harować tak, żeby wieczorem nie mieć czasu na zasypianie.

– Nie mieć czasu...?

– Paść na twarz i od razu spać, rozumiesz? Żadnego myślenia. Żadnej tęsknoty.

Lucy intuicyjnie pojęła, że chodzi o poranione serce.

– Dobrze – rzekła. – W takim razie wchodzisz w to na całego. Jest ciężko. Żeby nie było, że nie ostrzegałam. Jeszcze możesz się wycofać.

- Nie ma mowy.
- Okej. A zatem jest tak: ekipa remontowa składa się z Richarda i Johny’ego. Johny nie był jeszcze trzeźwy, odkąd wzięli tę robotę, a Richard był raz.
- Zawsze coś.
- Taaa. Mieli skuć tynk i położyć nowy. Jak na razie skuli. Ale nie położyli. Za to udało im się zniknąć. Myślałby kto, że mamy takie czasy, że człowiekowi niełatwo się ukryć, prawda? Wiesz, satelity, GPS i te sprawy. Ale oni zniknęli. Podobno nikt nie umie tego robić tak dobrze, jak budowlańcy.
- I co teraz?
- Nic. Nie umiem kłaść tynku.
- Ja też nie. – Klaudia rozłożyła ręce. – Ale możemy chyba poszukać kogoś innego?
- Ciotka Bonnie zapłaciła im za materiały, mieli kupić zaprawę czy jakiś tam gips. W każdym razie pieniądze wzięli, muszą wykonać zlecenie, koniec. Wujek mówi, że mam ich tu ściągnąć.
- Okej. To czym my się mamy zająć?
- Góra jest zrobiona. Łazienki i kuchnia też. Możemy malować ściany, pomyśleć nad meblami, ogólnie nad wystrojem wewnątrz. Ale ścian na dole nie ruszymy bez tych cholernych fachowców.

Stało więc na malowaniu ścian w pokojach na piętrze. Lucy i Klaudia odbyły kilka rozmów, mniej lub bardziej burzliwych, na temat kolorystyki i w ogóle stylu. Klaudia sugerowała coś żeglarskiego, ponieważ z okien pokoików na górze oraz z tarasu było widać zatokę.

– Nie jesteśmy żeglarzami – odpowiadała Lucy. – Czy ty w ogóle wiesz cokolwiek o żeglarskim? Tu są klify, skały pod wodą, tu nikt nie dopłynie jachtem.

– Ale przecież nie chodzi o prawdziwych żeglarzy, tylko o styl. – Klaudia się upierała. – No wiesz, biało-granatowe paski, grube liny okrętowe, motyw kotwicy i róży wiatrów, takie klimaty.

Lucy pokręciła głową i odwróciła wzrok. Klaudia dostawała wypieków, kiedy się zaciętrzewiała, a wtedy robiła się jeszcze ładniejsza niż zwykle.

– Wujek i ciotka chcieli coś *à la* francuskie Południe.

– Czyli co? Prowansja? Będziemy tu sadzić lawendę?

– A dlaczego by nie?

– Bo u was ciągle leje! To już w Polsce mamy ładniejszą pogodę!

– Ładniejszą! Akurat! Jak się człowiek chce oblizać, to mu język przymarza!

Kłóciły się zażarcie, ile wlezie, obrażały się na siebie, a potem każda szła do własnego pokoju – albo raczej pomieszczenia, które dopiero miało się stać pokojem. Na razie ich klitki były wyposażone jedynie w łóżka i kartony na ciuchy.

Najpóźniej następnego ranka, co Lucy uznała za prawdziwe

błogosławieństwo, cała złość Klaudii mijała. Lucy była zresztą ulepiona z tej samej gliny, nigdy nie umiała się obrażać na długo.

– Myślałam o tym twoim francuskim Południu – mówiła Klaudia. – I nadal uważam, że pomysł jest zły. Takie rzeczy, terakota, oliwki i tak dalej, wyglądają dobrze w słońcu. A tutaj sama wiesz, jak jest.

– No wiem – odpowiadała Lucy ugodowo. – Jakies propozycje w zamian?

– Styl nowoczesny.

– To znaczy?

– Stal i szkło. Beton.

– Absurd. Tu, w tej starej stodole?! – I zaczynały klócić się na nowo.

Jakiś tydzień po przyjeździe Klaudii pojawili się wujek i ciotka, żeby poznać nową pracownicę. Z ich min trudno było wywnioskować cokolwiek, ale jedno było pewne: nie doszukali się w Klaudii niczego, co wzbudziłoby ich sprzeciw. Obejrzeliz zaklejone folią okna i umyte przez dziewczyny kafelki w łazienkach na górze, potem pocmokali z niezadowoleniem nad cegłami, które ukazały się spod zbitego tynku, i wyrazili oburzenie, że ekipa remontowa dała nogę.

– Tylko weźcie się jak najszybciej do roboty – powiedział na pożegnanie wujek Stanley. – Nie kombinujcie za bardzo ze stylem i innymi duperelami.

– Jak będzie czysto i będziecie dobrze karmić, to klienci się znajdą. – Ciotka go poparła. – Styl taki czy owaki, też coś. Ma być wygodnie i nie śmierdzieć.

Po powrocie z pubu Lucy zastała Klaudię skuloną w zielonym fotelu.

– Dlaczego nie śpisz u siebie? – zapytała.

– Czekałam na ciebie. – Brzmiała odpowiedź. – Usmażyłam bakłażana, zjesz trochę?

Odkąd gotowały na zmianę, jedna starała się zaimponować drugiej. Lucy przygotowywała bardzo proste, często dwuskładnikowe potrawy, zaś Klaudia wzbogacała swoje dania o interesujące zestawienia. Tym razem, skonstatowała Lucy, na patelni był boczek, bakłażan, pomidor, por i diabli wiedzą, co jeszcze.

– Nie jestem głodna, opiliśmy się piwa – odparła Lucy trochę na złość samej sobie, bo przecież miała chęć spróbować tego bakłażana.

– Okej. – Klaudia wzruszyła ramionami. – W takim razie idę spać. Aha, chciałam ci jeszcze powiedzieć, że wpadłam na zupełnie nowy pomysł. Styl skandynawski. Białe ściany, popielate i błękitne dodatki. Zimą motywy norweskie, latem ewentualnie trochę delikatnych kwiatów, na przykład stokrotki i margerytki, ale przede wszystkim przewaga bieli. To by rozjaśniło wnętrza i zwiększyło optycznie przestrzeń.

Lekko zaspana, z potarganymi włosami i rozchyłoną bluzką, wyglądała tak ślicznie, że miało się ochotę jej dotknąć.

– Pogadamy o tym jutro – odparła szorstko Lucy. – Teraz chce mi się tylko

siku i spać.

Ale wbrew temu, co powiedziała, sen odszedł od niej na dobre. Pokręciła się trochę po domu, usiłując wyobrazić sobie styl skandynawski. Może to nie jest głupi pomysł, zdecydowała wreszcie. Złamana biel, błękit albo popiel, tu i ówdzie odrobina jasnego drewna i wikliny, czemu nie. Potem zamieszała łyżką w smażonym bakłażanie. Spróbowała – pyszne. Ta dziewczyna naprawdę umie gotować. Kiedy tylko uporają się z remontem, trzeba będzie ustalić podział obowiązków w kuchni i ułożyć jadłospisy. Można by się promować jako pensjonat z kuchnią odchudzającą, to zawsze ma wzięcie, a Klaudia, jak by nie patrzeć, jest w tej dziedzinie ekspertem. Lucy wyobraziła sobie ciało swojej współlokatorki przed utratą wagi – trudno uwierzyć, że dziewczyna mogła kiedyś ważyć setkę. A teraz? Obraz, który podsunęła jej wyobraźnia, wywołał na twarzy Lucy rumieńce.

Zanim poszła spać, podeszła do drzwi pokoiku Klaudii. Nie bardzo wiedziała, po co to robi; chyba chciała się upewnić, że wszystko w porządku. Ze środka dobiegały odgłosy rozmowy. Lucy odeszłaby, przecież nie zamierzała podsłuchiwać, lecz wydało jej się, że rozpoznaje własne imię. Przyłożyła ucho do dziurki od klucza. To nie brzmiało jak rozmowa telefoniczna – było rytmiczne, jakby dziewczyna powtarzała to samo zdanie. Czyżby się modliła? Ale w takim razie dlaczego wciąż wyraźnie daje się słyszeć wyraz „Lucy”?

Klaudia mówiła po polsku. Choć Lucy wsłuchiwała się w wielkim skupieniu, poza własnym imieniem zdołała wyłapać tylko jedno słowo: „hooye”. Wreszcie dała spokój, -poszła do siebie i po namyśle, mimo późnej pory, sięgnęła po telefon i wybrała numer brata.

- Cześć, Jimmy – powiedziała. – Co słychać?
- Dobra, siostrze. Skoro dzwonisz o tej porze, to musisz mieć inną sprawę niż zadanie kurtuazyjnego pytania.
- Ale wszystko dobrze?
- Tak – potwierdził. – A teraz mów. O co chodzi? Klaudia dobrze się sprawuje?
- Skąd wiesz, że przyjechała?
- Ewa mi mówiła. Umiera ze strachu.
- Powiedz jej, żeby się nie martwiła. Wszystko jest okej.
- Przekażę. A teraz wal, dlaczego dzwonisz.
- Chcę, żebyś mi coś przetłumaczył z polskiego.
- Z polskiego? Dlaczego?
- Bo Klaudia coś do siebie mówi... Nie wiem, może to jest na przykład modlitwa, ale powtarza się tam moje imię.
- Serio?
- W każdym razie tak mi się wydaje. To brzmi jakoś tak: coś tam, coś tam, bla, bla, bla, Lucy coś tam, hooye.

Jim aż się zakrztusił.

– Co takiego?!

– No tak jak mówię. Wyłapałam tylko „Lucy” i „hooye”.

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza.

– *Sis?*

– Tak?

– Może coś jednak źle zrozumiałaś.

– A jeśli nie?

– Nie wiem, jak ci to powiedzieć... Jeśli już chcesz się bawić w detektywa, to... wolałbym, żebyś spisała dokładnie, co Klaudia mówi.

– A jeśli mówi „Lucy hooye”?

– Po pierwsze, to się kupy nie trzyma. A po drugie, po polsku „chuje” to dość paskudny wulgaryzm.

– Który oznacza...?

– Który oznacza coś jak u nas *dicks*. Kutasy. – A po namyśle Jim dodał jeszcze: – Penisy.

– Jim, wiem, co to kutas.

– No wiem, że wiesz.

Zapadła cisza. Wreszcie Lucy odezwała się słabym głosem:

– No nic, kończę. Jestem okropnie śpiąca.

– Może jednak coś źle zrozumiałaś. To jest w liczbie mnogiej, nie pasuje do słowa „Lucy”.

– Taaa.

– Zapisz dokładnie, sylaba po sylabie, co ona mówi. Albo po prostu ją zapytaj.

– Okej. Nieważne. Pracuje jak należy, nie musi mnie lubić. Zresztą może to było o ciotce i wuju. Wpadli tu niedawno.

– Tak.

– Tylko dlaczego ona powtarza „Lucy”?

– Musiałaś źle zrozumieć.

– Okej, mniejsza z tym, dobranoc.

Rozłączyła się i zgasiła światło. Owszem, kłócimy się, pomyślała, ale przecież to tylko takie twórcze dyskusje, burza mózgów. Wydawało mi się, że między nami jest wszystko okej. Czyżby zatrudnienie tej dziewczyny było wielkim błędem?

Długo nie mogła zasnąć. Leżała, wpatrując się w podświetlone księżycem chmury na nocnym niebie. Czuła się tak -nieszczęśliwa jak wtedy, kiedy uświadomiła sobie, że nigdy nie będzie taka, jak jej koleżanki z liceum. I że mama i tata nie będą z niej dumni.

Ukochana! Piszę chyba siódmy raz, poprzednie wiadomości pozostały bez

odpowiedzi, a przecież wciąż mam nadzieję, że tę kolejną odczytasz, że odpiszesz.

Nie rozumiem, co się stało. Wcześniej, kiedy wyjechałaś, potraktowałem to jako zerwanie naszej znajomości, może brutalne, niedelikatne, ale nie raz przecież próbowaliśmy zakończyć tę miłość jednym cięciem. Nie czułem żalu do Ciebie, nie miałem pretensji, po prostu mnie bolało, zrazu intensywnie i pulsująco, potem tępo, niekończącym się ciężarem, tęsknota stała się ćmiąca niczym ból z tyłu głowy, taki ze zmęczenia, odbierający lekkość myślom i tłumiący wszelką radość.

Ale potem znów napisałaś do mnie i ból minął, nastąpiło cudowne uleczenie! Już wiedziałem, że jedyne, czego naprawdę chcę, to być z Tobą, opiekować się Tobą i towarzyszyć Ci we wszystkim.

Pewnie myślisz, że jestem nikim. Że kiedy zrzucę sutannę, będę zerem, stracę szacunek ludzi, zawód, źródło dochodu – może tego się wystraszyłaś? Ja też się tego obawiam, Kochana. Ale nie aż tak, żebym miał stchórzyć. Lęk jest ludzkim uczuciem, Pan Bóg nie potępia nas za to, że wątpimy, wahamy się i lękamy. Mocno wierzę w to, że On nas w ogóle nie potępia. Także i mnie nie potępi za to, że chcę dożyć starości u Twego boku. Potępią mnie ludzie, ale to dla mnie mniej istotne niż Twoja miłość.

Jeśli zechcesz, weźmiemy do siebie Twojego syna. Zrobię wszystko, co zechcesz, będę się miał wszelkich zajęć, żebyśmy sobie poradzili. Kiedyś, w młodości, pragnąłem pisać, byłem poetą – może napiszę książkę o sobie. O nas.

Bardzo się martwię, wiesz? Napisałaś: „Jadę do Ciebie” i ślad po Tobie zaginął. Przejrzałem wszystkie możliwe serwisy informacyjne, szukałem informacji o katastrofach samolotów z Polski, o wypadkach autokarów, modląc się, żeby nic nie znaleźć. Nie znalazłem, ale wcale nie boję się mniej.

Jak mam Cię odnaleźć? Nie kpij ze mnie, że ten list jest egzaltowany, że piszę jak zakochana pensjonarka – taki jestem, może zbyt miękki, mało męski, ale gdy kocham, nie wstydzę się niczego.

Błagam, odezwij się

Bogdan

Nie mógł dłużej czekać. Zrozumiał, że jego decyzja o odejściu z kapłaństwa nie może zależeć od tego, czy Żaneta odpisze, czy nie. To byłaby nieczysta gra. Sam przed sobą i przed Bogiem musiał być uczciwy, żeby zasłużyć na miłość kobiety i na szczęście rodzinne. Kiedy wysłał wiadomość do Żanety, przebrał się w cywilne ubranie, sutannę i koloratkę położył na łóżku w swoim skromnym pokoju na plebanii. Postanowił – zanim zrobi ten krok, zanim skoczy na głęboką wodę – porozmawiać jeszcze raz z Bogiem. On zrozumie, wybaczy i może podszeptnie jakieś rozwiązanie.

Kościół o tej porze był pusty. Bogdan ukląkł przed ołtarzem; zamierzał pomodlić się cicho, ale nieoczekiwany płacz zgął go wpół. Boże miłosierny, pomóż mi, ześlij mi znak, powtarzał w myślach i nie był w stanie sformułować

dalszego ciągu. Kiwał się jak sierota w przód i w tył, szlochając bez opamiętania. Nie usłyszał, że drzwi kościoła skrzypnęły. Nagle rozległ się stukot kobiecych obcasów o posadzkę.

– Coś się stało? – Usłyszał szept. – Może ja zawołam pomoc?

Zerwał się na równe nogi, niczym wyrwany z transu; przez kilka sekund nie zdawał sobie sprawy, gdzie się znajduje. Przed nim stała kobieta, którą widywał czasem na polskich nabożeństwach.

– Nic, nic – odpowiedział i szybko otarł twarz rękawem. Strasznie się wstydził swojej słabości i tego, że został na niej przyłapany.

Odwrócił się i czym prędzej wyszedł z kościoła. Za drzwiami uderzył go zwykły wielkomiejski gwar. Bogdan nie był pewien, jak długo przebywał w świątyni; w tej dziwnej chwili odnosił wrażenie, że był poza światem przez wiele godzin. Jego życie kruszyło się niczym tafła szkła, na którą ktoś nieuważnie nadepnął, a tymczasem wszechświat trwał nadal, wszystko pulsowało swoim powolnym rytmem.

– Proszę księdza – powiedziała kobieta, która najwyraźniej wyszła za nim.

Dotknęła jego ramienia, a on aż się wzdrygnął.

– Ja księdza znam. Słyszałam o... Jestem przyjaciółką Żanety. Beata mam na imię, Betty. Pracuję w solarium i czasem...

– Boże drogi, mów, dziewczyno! – Złapał ją za dłonie, nie zważając na to, że nieliczni przechodnie przyglądają mu się podejrzliwie. – Gdzie ona jest?!

– Gdzie jest? Nie wiem – odparła, delikatnie wyswobadzając ręce. – Myślałam, że ksiądz wie.

– Nie jestem już księdzem – powiedział niecierpliwie. – Powiedz, Betty, gdzie ona może być, gdzie mogę ją znaleźć. Pisała do mnie, że jedzie na Wyspy, ale nie dojechała.

– Do mnie też napisała. Pytała, czy w razie czego przenocuję ją, dopóki czegoś nie znajdzie.

– I co? Nie dojechała, prawda?! – Bogdan był tak rozgorączkowany, że szarpał kobietę za rękaw. Pierwszy raz w życiu dawał się do tego stopnia ponieść emocjom i czuł, że jeśli spróbuje nad sobą zapanować, to zwyczajnie oszaleje, skończy w zakładzie dla psychicznie chorych. Za długo to wszystko w sobie dusił.

– Nie dojechała. Martwię się, czy coś się nie stało, bo przecież gdyby zrezygnowała z wyjazdu, toby mi napisała.

– A nie masz do niej jakiegoś kontaktu?

– Podawała mi nowy numer komórki, ale nie odpowiada. Tylko słyhać, że abonent niedostępny.

Bogdan przyłożył dłonie do skroni, żeby się uspokoić. Strach, który wyraźnie pełził w stronę serca, wypełniał go potwornym zimnem.

– A adres? Nie podała ci polskiego adresu?

– Podawała, bo wysyłałam jej kiedyś papiery, podatkowe sprawy... – Betty urwała nagle. – Ale przecież ksiądz tam nie może pojechać, ona mieszka z mężem...

– Mogę – powiedział stanowczo. – Oczywiście, że mogę. Mnie teraz wszystko wolno. I już ci mówiłem, nie jestem księdzem.

Jeśli przedtem miał jeszcze jakieś wątpliwości, to teraz pozbył się ich zupełnie. Przecież w tym kościele na kolanach błagał Boga o pomoc, o jakikolwiek znak. Pojawienie się Betty musiało być przejawem boskiej interwencji. Ten Bóg, w którego Bogdan wierzył z całej mocy, musiał stać po stronie miłości – a miłość do kobiety była przecież równie dobra, równie piękna, jak miłość rodzicielska czy oddanie ojczyźnie.

Jeszcze tego samego dnia Bogdan poinformował przełożonych o odejściu, zignorował ich wezwanie do poddania się surowym kościelnym procedurom, spakował swój niewielki dobytek i zwyczajnie uciekł. Wyruszył w podróż do Londynu, by stamtąd złapać samolot do Warszawy. W portfelu miał kartkę, na którym Betty zapisała mu poznański adres Żanety. W duszy – całe mnóstwo obaw o przyszłe życie, poczucie winy, że nie pożegnał się z wiernymi, ogromny ciężar strachu, że ukochanej kobiecie stało się coś złego – i nieśmiało kielkującą nadzieję na szczęście, które gdzieś tam wciąż na niego czeka.

W samolocie rozmyślał o tym, czego powinien się spodziewać. Zapuka do drzwi – i co? Kto stanie w progu? Żaneta? Jeśli tak, to co zrobi, jak się zachowa? Dlaczego ona ostatecznie nie przyjechała? Zrezygnowała, bo nie chciała takiego życia – miłości wyrywanej po kępcę, tylko wtedy, kiedy mogli razem wyjechać w miejsce, gdzie nikt go nie zna? A może uległa prośbom męża albo syna? Albo zwyczajnie przestała kochać, znudził się jej romantyczny ksiądz. Tak czy owak, on musiał się tego dowiedzieć.

Po wylądowaniu na Lotnisku Chopina coś go tknęło i sprawdził telefon – miał sześć nieodebranych połączeń. Wszystkie od Betty, która po ich rozmowie poprosiła go o numer i błagała, żeby koniecznie dał znać, gdy już się dowie, co z Żanetą. Bogdan odebrał bagaż i poszedł na postój taksówek.

– Na Dworzec Centralny – rzucił kierowcy, po czym oddzwonił do Betty.

– Proszę księdza, dzwoniłam, bo o czymś jeszcze nie powiedziałam. Ja miałam wtedy, jesienią, tylko jedną wiadomość od Żanety, i ona... Ona mi powiedziała, że jest w ciąży.

– Jesienią? – powtórzył bezmyślnie Bogdan.

– Tak. Ja nie pamiętam, jak to było, czyje to dziecko. Prze-praszam. Tylko pomyślałam, że powinien ksiądz wiedzieć, bo teraz to już spory brzuch będzie miała.

– Tak, spory brzuch. Dziękuję za informację – rzucił, po czym rozłączył się i napotkał w lusterku znaczące spojrzenie taksówkarza. – W ciąży kobieta zaszła –

wyjaśnił.

– To dobrze czy źle? – zapytał tamten.

Bogdan zamyślił się, patrząc na przesuwane się za oknem budynku i spieszących dokądś ludzi.

– Chyba dobrze – powiedział wreszcie.

Na dworcu długo siedział w poczekalni, bez żadnej wyraźnej myśli. Nie kupił biletu do Poznania. Karteczkę z adresem Żanety wyrzucił. Wyszukał najbliższy pociąg do Olsztyna. Stamtąd tylko parę minut pociągiem i będzie w Wojtkowiznie, swojej rodzinnej wsi. Mama się ucieszy. Nawet jeśli bez sutanny, jeśli przegrany i w kompletnej rozsypce, to przecież w końcu syn wraca do domu.

Andrzej był zdenerwowany. Pani Alina nie odbierała telefonu ani nie otwierała drzwi. Przez ostatnie dwa tygodnie było z nią lepiej, rzadziej uskarżała się na bóle brzucha. Andrzej zaczynał już mieć zresztą wątpliwości, co właściwie boli staruszkę. Lekarz, do którego zawiózł kobietę jeszcze raz, stwierdził, że z żołądkiem wszystko w porządku, odrzucił też sugestię, że może chodzić o wątrobę. W ogóle wszystko wskazywało na to, że pacjentka go irytuje, wcale nie wyglądał jak ktoś, kto rzeczywiście chciałby znaleźć przyczynę dolegliwości.

Co się porobiło z tymi ludźmi, rozmyślał Andrzej, stojąc na wycieracze i po raz kolejny wybierając numer telefonu starszej pani. Kiedy decydowali się na medycynę, kiedy zdawali wszystkie te koszmarne egzaminy na studia, chcieli pewnie pomagać ludziom. Mieli głowy i serca pełne ideałów. Czy codzienne obcowanie z cierpieniem i śmiercią tak bardzo ich zmieniło, zobojętniło na ludzkie nieszczęście? A może to zwykły niefart, ja i pani Alina mamy cholernego pecha, że nie trafiamy na właściwych lekarzy?

Jakkolwiek brzmiała odpowiedź – to, czego świadkiem był Andrzej podczas odwiedzin w szpitalu u żony w Gorzowie, pozbawiło go złudzeń co do polskiej służby zdrowia. Coś w tym systemie było diabelnie nie w porządku, coś nie grało, i tylko kompletnie nie wiedział co i dlaczego.

A teraz mijały trzy dni, odkąd widział się ze swoją przyjaciółką, odkąd ugotował u niej (i dla niej) pomidorową oraz podduśił żeberka z kapustą według jej receptury; od tamtej pory nie dała znaku życia. Andrzej umierał z niepokoju. Tylko dzięki tej ciepłej, spokojnej kobiecie otrzymywał w ostatnim czasie to, co człowiekowi potrzebne, by jakoś trwać – poczucie, że jest coś wart, wiarę w to, że wszystko się poukłada, i... rozgrzeszenie.

Bo prawda była taka, że czuł się winny. Absurdalnie, kompletnie nielogicznie obwinał się o śmierć tego maleństwa, które – jak się okazało – rzeczywiście było dziewczynką i miało nosić imię nieżyjącej babci Anielki. W życiu Andrzeja było już za dużo poczucia winy, za dużo śmierci. Najpierw ta historia z braćmi, o której przez całe dorosłe życie starał się zapomnieć, a która wyskoczyła ostatnio jak królik z kapelusza w rozmowie z Ewą. Potem śmierć mamy, której Andrzej nie zmusił na czas do leczenia, nie zawiózł do lekarza. A teraz z kolei to maleństwo. Nie szkodzi, że to nie jego córka; była rosnącą sobie bezpiecznie w łonie Żanety małą dziewczynką, która mogła mieć wspaniałe życie, kto wie. Gdyby dorośli umieli się dogadać, gdyby umieli mądrze żyć... Przecież można było wszystko załatwić inaczej. Żaneta mogła tu mieszkać do porodu, zawiadomić tego swojego księdza, że wkrótce urodzi jego dziecko. Mogła spokojnie poczekać na jego decyzję, a gdyby ta nie okazała się pomyślna, gdyby

facet się na Żanetę wypiął – to przecież można się rozwieść w cywilizowany sposób, podzielić się majątkiem, zrobić tak, żeby dzieciaki ucierpiały na tym jak najmniej.

Sławek też chyba czuł się winny. Albo może uważał, że wszystko to zdarzyło się przez tatę. Tak czy owak, niemal się do Andrzeja nie odzywał. Do matki zresztą też. Jedyne, co cieszyło znękanego ojca, to fakt, że chłopiec poświęcał teraz nauce każdą chwilę wolną od treningów. Już kiedyś tak było, przypomniał sobie Andrzej. Dwa lata wcześniej Sławek też zakuwał, żeby poprawić oceny przed końcem półrocza. Teraz kończy szkołę podstawową i historia się powtarza – tylko okoliczności są już zupełnie inne. Nie da się niczego powtórzyć, odtworzyć. Ewa już nie jest tamtą kobietą, która mozolnie odbudowywała poczucie własnej wartości po rozstaniu z mężem, Andrzej natomiast nie jest już facetem, który mógłby jej podać silne ramię. Teraz to on sam potrzebował takiego ramienia – nie tyle silnego, ile kojącego, czulego i kochającego.

Ostatnio sporo myślał o przypadkach, o tym, jaką rolę odgrywają w ludzkim życiu. Bo że przypadków nie ma, że to wszystko, co nas spotyka, jest w jakiś sposób konsekwencją naszych wyborów – w to nie wierzył. Lubił stawiać sobie rozmaite „gdyby” i rozwiązywać szarady pod hasłem „co by się mogło zdarzyć”... Gdyby Żaneta nie pojechała w pamiętnym roku do Francji albo on miał tego dnia poranione ręce (co się często zdarzało na winnicy) i nie poszedł do roboty... Gdyby Sławek nie złamał jakiegoś tam kolejnego punktu statutu szkoły i nie został za karę przeniesiony właśnie do klasy Ewy... Gdyby syn pani Alinki wybrał innego fachowca do remontu kuchni...

Takich niezwykłych zbiegów okoliczności (albo może zupełnie zwykłych, jeśli spojrzeć na to bez emocji) było całe mnóstwo i Andrzejowi sprawiało dziwną przyjemność wyobrażania sobie alternatywnych wersji własnego życia.

Pani Alina nie odebrała telefonu, Andrzej zapukał więc ponownie, tak na wszelki wypadek – tym razem znacznie głośniej. Zastanawiał się, co jeszcze mógłby zrobić. Zanim podjął decyzję, otworzyły się drzwi mieszkania naprzeciwko i wychynęła zza nich głowa młodej kobiety.

– Dzień dobry. – Przywitał się. – Proszę nie myśleć, że ja jestem jakimś domokrażcą, tylko...

– Wiem – odparła. – Ja przecież pana tu widziałam kilka razy. Ale tam już nikogo nie ma. Pojechali.

– Kto pojechał? – Andrzej nie zrozumiał.

Jakiś dziwny niepokój spiał mu wszystkie mięśnie.

– Ten syn z żoną. Już zabrali jakieś tam rzeczy, ubrania czy coś. Nie wiem, kiedy wrócą.

– Dlaczego zabrali?

– No do trumny przecież trzeba ubrać.

Andrzej zachwiał się gwałtownie. W ostatniej chwili chwycił się poręczy przy schodach, po czym usiadł ciężko na drugim stopniu.

– Ale jak to? – wyszeptał.

– Wie pan, ona od dawna chorowała, ale z tego, co ta synowa mi mówiła, wszyscy zawsze myśleli, że na żołądek, a to było serce. No i miała zawał. Nie odratowali jej, za późno było. Zdążyła podobno wezwać pogotowie, ale jak przyjechali, to już leżała nieżywa.

Nie słuchał dalej. Kobieta mówiła jeszcze coś o synu pani Aliny, że nie płakał, tylko pokrzykiwał wciąż na żonę, pewnie był bardzo zdenerwowany – ale Andrzej nie mógł słuchać tego ani sekundy dłużej. Wyszedł. Mechanicznie przebierał nogami, z dziwnym wrażeniem, że porusza się w przezroczystym tunelu, gdzie powietrze uległo rozrzedzeniu, a przez to jego ruchy są szybsze. Zanim dotarło do niego, dokąd właściwie zmierza, znalazł się na skrzyżowaniu przy Moście Teatralnym, skręcił w lewo i zszedł na Pułaskiego. Nie myślał o niczym, beznamiętnie przyglądając się twarzom ludzi, migającym za szybami przejeżdżających tramwajów.

Dopiero znalazłszy się pod domem Ewy na Winogradach, zdał sobie sprawę, że rozpaczliwie potrzebuje pomocy. Zapukał raz i drugi, a potem stał i czekał na odgłos jej kroków, zagłuszany szczekaniem Cohena. W końcu rozległy się – zrazu szybkie, potem znacznie wolniejsze, wreszcie zatrzymały się – widocznie zobaczyła go przez okno kuchenne, sterczącego na ganku, pochylonego w pół przy balustradzie, jakby go bolał brzuch. Zresztą może bolał. Bolało go wszystko. Pani Alina umarła, a jego nie było w pobliżu, nie zdołał jej pomóc. Czy zdążyła pomyśleć o nim przed śmiercią? Pewnie nie, -miała przecież syna i wnuczęta, to im poświęciła ostatnie sekundy.

A zresztą, może umierając, myśli się tylko o sobie? Może po prostu rozpaczliwie chce się żyć, złapać jeszcze jeden oddech, i nic innego się wtedy nie liczy?

Kiedy drzwi się otworzyły, Cohen rzucił się do Andrzeja z radosnym skomleniem, a wtedy on przykucnął i rozpłakał się jak dzieciak. Pozwolił psu zlizywać te łzy i gorączkowo tulił do siebie jego łeb. Wreszcie Ewa, przyglądająca się tej scenie ze zdumieniem, pociągnęła go za rękaw kurtki.

– Coś się stało Sławkowi? – zapytała.

W jej głosie zabrzmiał nieudawany strach i to sprawiło, że Andrzej rozszlochał się jeszcze bardziej.

– Nie – próbował powiedzieć. – Nie chodzi o Sławka.

Zamiast słów wydobyły się z niego porwane na strzępki sylaby, ale Ewa widocznie zrozumiała, że to było zaprzeczenie, bo odetchnęła z ulgą.

– Wejdz – poprosiła. – Zrobię ci herbaty i spróbujesz się uspokoić, a potem mi wszystko opowiesz.

Była taka dobra, taka spokojna i mądra, a on tak bardzo za nią tęsknił. Wszedł i wciągnął w płuca znajomy zapach, w którym była woń jej skóry, jej oddechu i perfum, których używała, a także jego ulubionej pasty z bobu i ciepłego, -żytniego chleba.

Ewa od kilku dni przeżywała gehennę – najpierw wyjechała Klaudia, a potem także Barbara; nie zważając na prośby i błagania córki, zaczęła się zbierać do wyjazdu.

– Przecież nie powinnaś jechać teraz – argumentowała zrozpaczona Ewa. – Trzeba cię najpierw wyleczyć z tej anemii.

– Przyjmowałam zastrzyki, biorę leki. Poza tym zmieniłam dietę, jem więcej ryb, warzywa, zupełnie odstawiłam soję. A Klaudia pożyczyła mi książkę o pszenicy i chyba spróbuję jeszcze wyeliminować zboża, wiesz? Wszystko będzie dobrze, Ewuniu.

– Ale mam, okropnie się o ciebie martwię.

– Niepotrzebnie.

– Chciałabym mieć pewność, że nic złego cię nie spotka.

– Nigdy się nie ma takiej pewności, kochanie. Żadna z nas nie wie, co zdarzy się jutro, prawda? Mogę wyjść do apteki po witaminy i nigdy nie wrócić.

– Mamo, przestań.

– Nie, ja mówię poważnie. Czytałam kiedyś takie mądre słowa Dalajlamy, nie pamiętam dokładnie, jak to szło, ale coś w tym stylu: człowiek tak bardzo martwi się o swoją przyszłość, że nie umie cieszyć się z teraźniejszości. W rezultacie nie żyje ani w teraźniejszości, ani w przyszłości. Najpierw, będąc młodym, niszczy swoje zdrowie i żyje tak, jakby miał nigdy nie umrzeć. A na koniec umiera, choć tak naprawdę nie zdążył pożyć.

– Wiesz, Klaudia mi zawsze zarzucała, że ja do niej mówię sentencjami. Teraz wiem, po kim odziedziczyłam takie skłonności.

– Co złego jest w sentencjach? – Barbara się roześmiała. – Skoro są mądre, to warto je pamiętać.

– Mamuś, nie jedź. Zaczekaj na wiosnę.

– Wiosna! – prychnęła Barbara. – Widzisz, to jest właśnie to. Wiecznie czekać. Czekać na spełnienie marzeń, na lepsze jutro, na to, żeby coś zacząć robić „od poniedziałku”! A ja nie chcę już czekać. Chcę powolutku przeżywać każdą chwilę. Uważnie, starannie. To tak, jakbyś jadła najpyszniejsze danie świata i nie chciała uronić ani kęsa.

Ewa westchnęła. Nie lubiła sytuacji, w których nic nie zależało od niej – a to była właśnie taka sytuacja. Najpierw Klaudia postanowiła mieć własne zdanie i żyć

po swojemu, a teraz mama.

– To dokąd pojedziesz? – zapytała z rezygnacją.

– Najpierw wrócę do Krakowa, muszę sfinalizować sprawę sprzedaży mieszkania. Klaudia powiedziała, że go nie chce, zresztą ona ma jeszcze pieniądze z polisy, wiesz, tej, którą założyłam po sprzedaży gospodarstwa.

– Pamiętam.

– Jeśli rzeczywiście nie podejmie studiów, zechce coś w tej Walii rozkręcać... Wtedy jej powiemy, że ma fundusze na początek. Ale jeśli jednak wróci do nauki, to niech one sobie leżą, te pieniądze.

– Jak niby miałyby wrócić do nauki, skoro rzuciła szkołę – mruknęła Ewa niechętnie. – Ale ty nie odpowiedziałas na moje pytanie. Dokąd się właściwie wybierasz?

– Nie wiem, kochanie. Na tym polega cały urok tej wyprawy. Zaczynam od Pragi, zawsze chciałam się powłóczyć po Złotej Uliczce. I mam takie śmieszne marzenie, jeszcze z czasów studenckich, żeby usiąść na Moście Karola, na tym murku, majtać sobie nogami i nigdzie się nie spieszyć.

Ewa pomyślała, że są dwa wyjścia: albo jej matka zwariowała, albo jest znacznie bardziej interesującą osobą, niż można by sądzić. Rzecz w tym, że dotąd nie dała się poznać z tej strony.

– A co potem, to się jeszcze zobaczy – ciągnęła Barbara. – Mam kilka marzeń podróżniczych. Po pierwsze, Rumunia i Albania. Po drugie, Prowansja. A po trzecie, Włochy. Mówiłam ci, że chodziłam na kurs włoskiego?

– Tak, mamo. Mówiłaś.

– No właśnie. A nigdy nie miałam okazji sprawdzić, czy umiałabym się dogadać. Marzą mi się małe włoskie miasteczka, chociaż z drugiej strony marzy mi się także Rzym i Neapol.

– I Wenecja... – wtrąciła rozmarzona Ewa.

– Wenecja także, ale poza sezonem.

Rozmawiały tak do późna w nocy. Kiedy następnego dnia Barbara wyjeżdżała, Ewa starała się trzymać fason. Nie płakała, nie błagała o rozsądek. To w końcu moja matka, pomyślała. Ona powinna pouczać mnie, a nie na odwrót. Zresztą kto wie, czy nie ma racji. Może tak właśnie powinno się żyć. Jakby nie było jutro albo przynajmniej przyszłego tygodnia.

Mimo tych przemyśleń przepłakała swoje. Po paru samotnych dniach, żeby nie użalać się dłużej nad sobą, zadzwoniła do Patrycji i Renaty, przyjaciółek z kursu językowego, i poprosiła o wsparcie. Dziewczyny zarządziły spotkanie sztabu kryzysowego w herbaciarni Pod Lampionami. Ewa umalowała się i akurat włożyła ażurowy sweter w kolorze miedzi, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Zerknęła przez kuchenne okno i zamarła, widząc Andrzeja. Zdążyła jeszcze zadzwonić do

Reni i powiedziec: „Sorry, nie przyjdę, nagły przypadek”, po czym wzięła głęboki wdech i otworzyła.

Teraz, patrząc na łkającego Andrzeja, usiłowała uporządkować emocje i nazwać jakoś to, co czuła. Współczucie, to raz. Nieważne, z jakiego powodu tak strasznie płakał; ona nie mogła na to patrzeć. Bardzo chciała mu pomóc i ta chęć nie miała nic wspólnego z tym, co ich kiedyś łączyło. Był człowiekiem i cierpiał. Wystarczający powód.

Po drugie, chyba rozczarowanie. Czekala na niego tyle razy, przez tyle samotnych wieczorów. Odkąd rozstała się z Jimem, każdy dzień zaczynała z nadzieją, że coś się wydarzy – coś, co pozwoli im do siebie wrócić bez całego tego bagażu niedopowiedzeń i wzajemnych żalów. Że na przykład wpadną na siebie w jakimś sklepie, dosłownie wpadną: on ją obejmie, ona – chcąc nie chcąc – przytrzyma się jego koszuli i ten dotyk, ta przypadkowa bliskość sprawi, że będzie jak w filmach, bohaterowie love story przypomną sobie, że bardzo się kochają, że nic się między nimi nie zmieniło.

Niestety, życie nie przypominało filmu. Bohater jej snów siedział teraz na sofie, głaszcząc łaszącego się do niego psa i rozpaczliwie pociągając nosem, aż Ewa nie wytrzymała i poszła do łazienki po rolkę papieru toaletowego, a wówczas Andrzej wytarł nos i nieco się uspokoił.

– Jesteś w stanie wyjaśnić mi, co się stało? Jakiś problem z żoną?

Potrząsnął głową. Przez dłuższą chwilę siedział w milczeniu, kiwając się nerwowo, a potem nagle wyrzucił z siebie:

– Ja nie umiem o nikogo zadbać, nie potrafię upilnować, rozumiesz?

Ewa czekała, bo wyczuła, że to tylko wstęp.

– Już wtedy, z moimi braćmi. To nic, że byłem najmłodszy, powinienem był pobiec po rodziców, naskarżyć. Oni poszli nad Wartę, a ja przecież wiedziałem, że mama zabrania. Zrobili statek z patyczków po lodach, wiesz, zbierali po chodnikach i posklejali, i chcieli zobaczyć, czy popłynie do Bałtyku. Na wakacje mieliśmy pojechać nad morze i jak to smarkacze, wierzyliśmy, że ten statek wyląduje akurat na tej plaży, gdzie będziemy się opalać i zbierać muszelki.

Spojrzał na nią pytająco, jakby szukał potwierdzenia, że wszystkie dzieci tak rozumują, pokiwała więc głową.

– Strasznie chciałem iść z nimi, ale mi nie pozwolili. Łukasz był najstarszy, kazał mi zbierać dalej patyczki. Jak się uda, powiedział, to zbudujesz sobie własny i też puścisz na rzekę. No to poszedłem. Z nosem przy chodniku zbierałem te patyczki, najwięcej było przy koszach na śmieci, miałem pełne kieszenie. A wieczorem, kiedy zrobiło się późno, a Łukasz i Tomek nie wrócili, zacząłem beczeć, bo wiedziałem, że powinienem powiedzieć rodzicom, ale strasznie się bałem, że bracia się na mnie obrażą. Wiesz, że najmłodszy, skarży-pyta, kapuś.

Andrzej mówił tak, jakby stał się nagle tamtym chłopcem sprzed lat, z taką

samą dziecięcą egzaltacją, jaką Ewa niekiedy słyszała u swoich uczniów. Wciąż miał w sobie tamtego przerażonego dzieciaka z brzemieniem poczucia winy. Czy dlatego czuł się tak niewiele wart? Dlatego pozwalał Żanecie pomiatać sobą, znosił z pokorą jej komentarze, że nie jest prawdziwym mężczyzną, godził się na jej zdrady? Stąd te jego wybuchy zazdrości, zaborczość, jakby nieustannie potrzebował potwierdzenia, że zasłużył na miłość Ewy, że nikt mu jej nie odbiera?

– A potem mama – dorzucił jeszcze Andrzej, nagle ucinając rozmowę o braciach. – Wiedziałem, że choruje, skarżyła się na bóle brzucha, a ja nie przyjechałem, nie zawiozłem jej do lekarza. Były pieniądze, można było poszukać jakiegoś specjalisty, zresztą nawet za granicą...

– To był rak żołądka, prawda? – wtrąciła Ewa.

– Tak. Na pewno bym kogoś znalazł, jakiegoś profesora czy dobrą klinikę. Tylko że ona zlekceważyła objawy, a ja... Mnie się nie chciało przyjeżdżać, wołałem zarabiać i jeszcze... Powiem ci szczerze, to był czas, kiedy poczułem się wolny. Było mi tam dobrze, w tej Anglii.

– Rozumiem.

– Wiem. Ty zawsze rozumiesz wszystko. – Spojrzał na nią zapłakanymi oczyma i nie wyglądał przy tym ani męsko, ani atrakcyjnie, ale Ewa zapragnęła go przytulić.

Przysunęła się bliżej i objęła go ramionami. Andrzej wtulił twarz w jej szyję. Już nie płakał. Jego gorący oddech sprawił, że Ewę przeszył dreszcz podniecenia, najpierw delikatny, niczym łaskotanie w podbrzuszu, a potem zaczęło ją ogarniać znajome ciepło. Zapragnęła się z nim kochać i uzmysłowiła sobie, że wreszcie może: jest sama, wolna od zobowiązań, Andrzej rozwiązał swoje sprawy z żoną, nie muszą się już ukrywać, czekać na okazje, na krótkie chwile, gdy nikogo nie ma w domu. I tylko... nie wiedziała, czy Andrzej chce.

– Powiesz mi wreszcie, co się dzisiaj stało? – zapytała po chwili oczekiwania na jego pocałunki, które nie nastąpiły.

– Umarł ktoś... kto był dla mnie bardzo ważny.

Ewa zeszywniała. Andrzej najwyraźniej tego nie wyczuł, bo przytulił się jeszcze ciaśniej.

– Znów nie upilnowałem. Przecież chorowała, bolało ją, a ja głupi wierzyłem w jej zapewnienia, że to jedynie niestrawność, że żołądek. Nie dała się zawieźć do szpitala. A teraz do-wiaduję się, że to był zawał. Rozumiesz? Gdzie serce, a gdzie żołądek.

Zaszlochał znowu.

– Nawet nie zdążyłem się pożegnać. Przychodzę, a tam puste mieszkanie. Ta myśl, że mogła mnie wołać, że potrzebowała pomocy...

– Alina? – odważyła się zapytać Ewa. – Mówisz o Alinie?

Andrzej pokiwał głową, a po chwili wyszeptał w jej szyję:

– Skąd wiesz?

– Sławek mi opowiadał.

Znowu pokiwał, jakby to załatwiało wszystko. Jakby fakt, że Ewa dowiedziała się o jego nowej przyjaciółce (czy może kochance?) od Sławka, wystarczał w zupełności – nic już nie trzeba wyjaśniać, wszystko jasne: przecież się rozstali, ona ma swojego Walińczyka, toteż nie powinna mieć pretensji, że on sobie znalazł kogoś na jej miejsce.

Siedzieli tak jeszcze bardzo długo, ona sztywna i urażona, on złakniony czułości, wtulający się w nią jak dziecko. Ewa mechanicznie głaskała go po włosach i słuchała, jak opowiadał o swoich braciach – zupełnie jakby odblokowało się ujście bolesnych wspomnień i po tylu latach wszystko postanowiło wypłynąć: że Łukasz wiecznie miał stupy na kolanach, a Tomek gwizdał najlepiej z całego osiedla.

Kiedy wreszcie poszedł, Ewa rozebrała się i weszła do wanny, odkręciła gorącą wodę i powoli zanurzyła spragnione miłości ciało, a potem zadzwoniła do Patrycji i opowiedziała jej o wszystkim, becząc i śmiejąc się przez łzy, bo cała sytuacja wydała jej się nagle absurdalna.

– Pocałował cię chociaż na pożegnanie? – zapytała Patrycja.

– W oba policzki. Bardzo romantycznie.

– Hm, no tak. W tej sytuacji widzę tylko jeden pozytyw, choć to raczej koszmarnie: że rywalka została wyeliminowana.

– Pati, bój się Boga, co ty opowiadasz!

– No co, mówię jak jest. Prawo dżungli. Silniejsi zostają, słabsi odpadają w rozgrywkach. Porządny facet to towar na wagę złota.

– Nie chcę tego słuchać.

– Ja jestem w ciąży, mnie wszystko wolno. Zresztą mam ostatnio takie koszmary, że zaczynam czuć się jak jakaś psychopatka.

– Na przykład? – zapytała Ewa, już rozpogodzona.

– Na przykład ostatniej nocy wydłubywałam prosiakowi oko.

– Co takiego?!

– Oko. Łyzeczką.

– Po co?

– Bo misiowi wypadło. Rozumiesz, śniło mi się, że mam dziecko i ono ma misia, a temu misiowi wypadło. To oko. Dziecko płacze, a ja widzę prosiaka.

– Gdzie był ten prosiak?

– Na wsi. W ogóle cały sen był na wsi. Idę do chlewika i trzymam łyżeczkę, i próbuję mu to oko...

– Dobra, już nie mów, Pati. Chyba nie chcę wiedzieć.

– No, ale sama widzisz, że idzie zwariować. Tak czy owak, nie becz i nie przejmuj się. Inni mają gorzej.

– Taaa, na przykład taki prosiak – podsumowała ponuro Ewa.

Rozłączyła się i wyszła z wanny. Opatuliwszy się puchatym szlafrokiem, usiadła do komputera i otworzyła pocztę. Były w niej dwa maile, oba od córki. W obu to samo: żeby mama się nie martwiła, że Klaudia tęskni, że nic ciekawego i że pracy ma po pachy. Albo i więcej.

Ziemia pachniała jakoś inaczej, jakby zaczynała żyć. Klaudia zawzięcie usuwała mech, chwasty i kępki trawy spomiędzy płyt chodnikowych. Otoczenie „chałupki” zaczynało przypominać ogród, choć oczywiście o tej porze roku nie wyglądał on zbyt imponująco. Dziewczyny zrobiły jednak, co w ich mocy, aby usunąć chaszczę, poprzycinać krzewy (choć żadna się na tym nie znała), pomalowały też drzwi i okna stodoły, a nawet zawiesiły w nich fikuśne firanki, choć przecież póki co miało tam być jedynie pomieszczenie gospodarcze.

Ponieważ remont pokoi i łazienek na górze dobiegł końca, zaczęło się wielkie sprzątanie. Klaudia niekiedy myślała, że trafiła do czyścica, i to takiego w stylu greckiego Tartaru – robota zdawała się nie przynosić żadnych rezultatów i nic nie wskazywało na to, aby miała się kiedykolwiek skończyć. Ilekroć pościerały pył i kurz, on pojawiał się na nowo, następnego dnia leżał na sprzętach, w szczelinach i zagłębieniach mebli – jak gdyby nigdy nic, jakby zaledwie wczoraj nie został usunięty na mokro.

Wspólna praca była przyjemna, choć Klaudia nie rozmawiała z Lucy zbyt wiele. Początkowo dlatego, że krępowała ją własna wymowa – doskonale słyszała, że jej szkolny akcent w zestawieniu z walijskim brzmi zabawnie. Potem odważyła się wreszcie i po jakimś czasie różnice zaczęły się zacierać; Klaudia bardzo szybko łapała melodię zdania i specyficzną wymowę samogłosek. Pojawił się jednak drugi problem z rozmową: Lucy onieśmiewała ją, wydawała jej się zbyt dorosła, mądra i bardzo kobieca.

Wyjeżdżając z Polski, Klaudia sądziła, że nigdy nie wyleczy swego złamanego serca. Miała nadzieję, że ból w końcu ucichnie, ale nie wierzyła w to, że kiedykolwiek zapomni o Ance i przestanie tęsknić. Jak bardzo się myliła, pokazał już pierwszy tydzień wyteżonej pracy. Kiedy padała wieczorem na łóżko, zmęczona tak, że jedynie siłą woli zmuszała się do pójścia pod prysznic, ostatnią rzeczą, o jakiej by myślała, były sprawy sercowe. Wszystko, co przeżyła w Polsce, wydawało jej się teraz tak odległe, jakby przyjechała do Walii przed rokiem, a nie zaledwie kilkanaście dni temu.

Lucy o nic nie pytała. Zdziwiła się, owszem, bo przecież Klaudia miała się zjawić dopiero po maturze, ale nie skomentowała tego. Ostrzegła tylko, że robota będzie ciężka. Chociaż kilka razy przyłapała Klaudię na tym, jak ta stoi zamyślona i gapi się przez okno, nie zadawała pytań ani nie popędzała jej do pracy. Wiedziała, że czasem człowiek zмага się z własnymi myślami i porządkuje sobie świat, i że bez uciszenia tego wewnętrznego chaosu nie da się tego osiągnąć.

Pierwsze dni były oczywiście pełne chłodu spowodowanego dystansem naturalnym dla nieznanym sobie osób. Potem jednak dziewczyny wyraźnie

zaczęły się lubić. Okazywały sobie sympatię drobnymi gestami, uśmiechami, delikatnym dotykiem, który był wyłącznie przyjacielski, ale zdarzało się, że Klaudia myślała o nim długo przed snem. Nie wiedząc nawet, kiedy i jak to się stało, zaczęła się podkochiwać w Lucy. Nie miała zamiaru jej tego okazywać, solidnie odrobiła lekcję po nieudanej próbie wyznania miłości Ance – już wiedziała, że takie rzeczy nie mają prawa się udać. Marzyła jej się jedynie dziewczynska przyjaźń, taka z przytulańcami, buziakami na dzień dobry i do widzenia, ze zwierzaniem się, zaśmiewaniem się do łez i wspólnym płaczem, gdyby któreś z nich coś poszło nie tak.

Kiedy Lucy zaproponowała jej wyjście na piwo, Klaudia wystraszyła się, że pod wpływem alkoholu wypaplałaby za dużo. Zacznę się zwierzać, myślała, najpierw opowiem o Karinie, potem o Pauli, Ance, i tak to się wszystko ze mnie wyleje, że w końcu skończę na rozpaczliwym: podobasz mi się. A wówczas, nawet gdyby Lucy okazała się najbardziej tolerancyjną osobą na świecie, trzeba będzie zwijać manatki i wrócić do Polski z podkulonym ogonem.

Klaudia zamierzała napisać o swoich rozterkach babci albo mamie, wstydziła się jednak. Uznała, że potraktują ją jak kochliwą smarkulę – właściwie sama była nieco zde gustowana faktem, że nieustannie się zakochuje. Może to dlatego, że jestem tak okropnie samotna, myślała – a może po prostu dziewczyny w moim wieku tak mają.

Tak czy owak, nie zwierzyła się w mailu mamie, a do babci napisała tylko, że jest fajnie, ale nie jest pewna, czy kiedykolwiek i gdziekolwiek znajdzie prawdziwe szczęście.

Szczęście możesz znaleźć tylko w sobie – brzmiała odpowiedź. – Z tej prostej przyczyny, że nie ma go nigdzie indziej. Możesz zawędrować na koniec świata i nie znaleźć zupełnie nic – ale możesz też zwyczajnie wejść rano do kuchni, zaparzyć sobie kawy i poczuć pełnię szczęścia. Ono musi się pojawić właśnie w Tobie, w Twojej głowie, w Twoim sercu, w duszy, Klaudus. To właśnie Twoje zadanie: znaleźć je, nauczyć się go. I guzik mnie obchodzi, że to brzmi banalnie. Taka jest po prostu prawda.

Babcia

PS A pamiętasz o afirmacjach?

Mówiąc szczerze, Klaudia nie pamiętała. Nie bardzo też rozumiała, co babcia ma na myśli, pisząc, że ma odnaleźć w sobie szczęście. Nie potrafi go odnaleźć, bo go tam zwyczajnie nie ma. Jakim cudem miałoby być: w rozczarowanej światem i sobą samą dziewczynie, w kimś, kto nie spełniał oczekiwań rodziców, własnych, nauczycieli i przyjaciół (teraz już: byłych przyjaciół), w kimś pozbawionym talentów, szczególnych umiejętności, specjalnej urody czy inteligencji. Niby co ona, Klaudia, takiego posiada, co mogłoby ją uczynić szczęśliwą? Odpowiedź brzmiała: kompletnie nic.

Mimo to (a może właśnie dlatego) ułożyła sobie dwie afirmacje. Pierwsza brzmiała: *Każdego dnia staję się coraz szczęśliwsza*. Druga dotyczyła Lucy.

– Coś zepsułam – mruzczała do siebie Klaudia, wyrwijąc kolejną kępę trawy. – Coś, do jasnej cholery, zepsułam, i tylko zupełnie nie wiem, dlaczego.

Chodnik odzyskiwał wyraźne krawędzie. Lucy gotowała obiad, z domu dochodził słodkawy zapach zielonego groszku. Klaudia powiodła wzrokiem po oknach – w tym, przy którym znajdował się zlew, zamajaczyła jej rudawa głowa współlokatorki. Dziewczyna westchnęła i wróciła do pracy.

Nie mogła zrozumieć, dlaczego fakt, że wówczas odmówiła tego wspólnego wyjścia do pubu, tak wiele między nimi zmienił. Klaudia pamiętała doskonale, że właśnie po powrocie Lucy coś zaczęło się psuć. I tylko kompletnie nie mogła zrozumieć, dlaczego. Duszony bakłażan był niedobry? Czy może chodzi o to, że się zdrzemnęła w fotelu?

– Mówiłaś coś? – Okno otworzyło się, a Klaudia dopiero teraz uświadomiła sobie, że przez cały czas było uchylone.

– Nie, skądże.

Lucy zniknęła na chwilę z pola widzenia, by pojawić się na ganku.

– Powiedz mi – zażądała. – Przecież ja słyszę, że coś czasem do siebie mówisz. Przeklinasz? Modlisz się? Tak ci tu strasznie źle?

Klaudia zrobiła się czerwona jak burak.

– To nie tak, Lucy. Ja tylko... Nie o to chodzi, że mi źle.

– A o co?

Jak jej to wytłumaczyć, żeby nie pomyślała, że ma do czynienia z wariatką?

– Pamiętasz, jak ci opowiadałam o eksperymencie z ryżem? – Klaudia odpowiedziała pytaniem. – Byliście u nas na Wigilii i mówiłam ci...

– Tak, pamiętam. – Lucy przerwała. – Że reagował na słowa i myśli.

– No właśnie. Ja to potem jeszcze powtórzyłam i znowu wyszło mi tak samo.

– Ale co to ma do rzeczy?

– To, że słowa mają moc. Że jest w nich jakaś sprawcza siła, rozumiesz?

Lucy powoli pokręciła głową. Najwyraźniej nie rozumiała. Wpatrywała się w Klaudię z dziwnym wyrazem twarzy.

– Babcia mi doradziła, żebym powtarzała sobie afirmacje. Takie zdania, które zawierają...

– Wiem, co to afirmacje.

– Ale nie w tym potocznym sensie, że na przykład jestem świetna, doskonale sobie radzę, kocham siebie i tak dalej. Tylko takie stwierdzenia, które chcemy, żeby stały się prawdą. I jeśli je powtarzasz i powtarzasz, to twój umysł przyjmuje je za stan faktyczny, rozumiesz? Wtedy rzeczywiście się tak stanie.

– Na przykład?

Rumieńce na twarzy Klaudii przybrały odcień purpury. Miała wrażenie, że z policzków i uszu tryśnie jej krew.

– Na przykład: Każdego dnia staję się szczęśliwsza.

Lucy westchnęła i usiadła na schodkach wiodących do domu.

– A więc nie jest ci tu dobrze? – zapytała smutno. – Dlaczego? Masz za dużo pracy?

– Nie o to chodzi! – zapewniła ją żarliwie Klaudia. – Tylko... Wiesz, ja rzuciłam szkołę. I cały czas się zastanawiam, czy to było dobre posunięcie. Przecież marzyłam o studiach, miałam swoje plany, może nierealne, ale jakoś mnie... – Zabrakło jej słowa, nie знаła odpowiedniego angielskiego idiomu, czegoś jak polskie „trzymać kogoś w pionie”.

– Mobilizowały? – podpowiedziała Lucy.

Klaudia pokiwała głową z rezygnacją. Jakie znaczenie ma dobór słów, pomyślała, skoro i tak nie mówię ci całej prawdy. Omijam sedno sprawy, obchodzę je niczym zgniłe jajo, żeby nie trącić, nie nadepnąć, bo wtedy cały smród wydostanie się na zewnątrz.

– To może wróc do Polski. Ja tu sobie poradzę.

Pewnie jest ze mnie niezadowolona, pomyślała Klaudia. Ciągłe coś robię nie tak, ciągle okazuje się, że do czegoś się nie nadaję, że ktoś ze mnie rezygnuje. A przecież naprawdę się staram.

– Już za późno – odparła krótko. – Ale jeśli będziesz chciała mnie wylać z roboty, to się nie krępuj.

Starła się nie pokazać po sobie, że czuje się dotknięta. Nadała swojemu głosowi ton opryskliwy i wyniosły, starając się wyglądać obojętnie. Lucy patrzyła na nią przez chwilę, po czym wzruszyła ramionami i wstała. Klaudia miała nadzieję, że usłyszy jakieś słowa otuchy, ale nie – po chwili trzasnęły drzwi i Walijka wróciła do gotowania obiadu.

Kika na obczyźnie

Bardzo dawno nie pisałam – czy ktoś tu jeszcze zagląda? Zaniedbałam mojego bloga i obawiam się, że będę go zaniedbywać nadal, ponieważ kompletnie nie mam czasu. I tym razem nie jest to zwyczajny „brak czasu”, ten przedmaturalny, który towarzyszył mi dotąd. Jest to BRAK CZASU napisany CapsLockiem, BRAK CZASU totalny.

Wszystko przez to, że jak można wywnioskować z tytułu wpisu, jestem za granicą. I nie jest to wycieczka krajoznawcza, tylko zupełnie nowe, nieoswojone jeszcze życie.

Przyjechałam tu z kilku powodów. Przede wszystkim dlatego, że uciekłam. Wiecie przecież, kim jestem – tacy jak ja często nie wytrzymują i uciekają. Po drugie, bo nie dostrzegałam sensu w tym, co robię. Nie mogłam znaleźć żadnego powodu, dla którego miałabym nadal chodzić do szkoły, znosić nienawistne

spojrzenia osób, którym nie zrobiłam nic złego, oraz obojętność tych, którzy uważali się za bardzo tolerancyjnych (bo przecież nie robili mi krzywdy, prawda? Niech sobie żyje ta zboczona lesba, ale na wszelki wypadek będziemy omijać ją wzrokiem).

Wreszcie, przyjechałam także dlatego, że nie jestem pewna, czego szukam i czego chcę od życia. Nie mam pewności, czy powinnam studiować – może wcale nie pragnę zostać dietetyczką, tylko na przykład prowadzić pensjonat ze zdrową kuchnią? A może jednak zostanę trenerką -fitnessu? Skąd mam wiedzieć, mając niespełna dwiętnaście lat, co powinnam zrobić z moim nabierającym dopiero roz-pędu życiem?

Z drugiej strony, moja Babcia, jedna z najmądrzejszych osób, jakie znam, napisała mi ostatnio, że szczęścia nie znajdę nigdzie poza sobą. Jedyne miejsce, gdzie ono się może pojawić i gdzie je odkryję, to ja sama. A to oznacza, że nieważne, czy będę w Polsce, czy za granicą – na studiach czy w pracy. Ważne jest to, czy nauczę się żyć tak, jak lubię. Czy posiadę umiejętność czerpania radości z małych, na pozór niewiele znaczących zdarzeń. Jeśli pójdę na studia – to okej, pod warunkiem, że będą mnie cieszyć. Jeśli zostanę tu, gdzie jestem, i nadal będę zaharowywać się po łokcie – to też okej, ale muszę się nauczyć mieć z tego frajdę.

Rozumiecie coś z tych moich wynurzeń? Bo ja sama chyba nie do końca wiem, o co mi chodzi.

Trzymajcie za mnie kciuki, żebym się w tym wszystkim połapała. I żebym podejmowała same mądre decyzje!

Kika

Mirek czytał gazetę w ciężkiej ciszy wypełniającej dom. Nie miał pojęcia, co się właściwie stało, skąd wzięły się te ciche dni. Nie kłócili się przecież z Tatianą, nie było żadnej awantury, nic ich nie poróżniło. Dzień mijał za dniem w takiej właśnie znudzonej ciszy, a oni byli od siebie coraz dalej.

Jeśli był to jeden z tych dni, kiedy Mirek wracał z pracy pierwszy, zawsze czekała na niego uśmiechnięta Hanna z pysznym obiadem i ciepłymi słowami. Dzięki niej się odprężał; w jej obecności spływały z niego biznesowe stresy, ale też czuł się atrakcyjniejszy, bardziej męski i potrzebny, bo Hanna często prosiła go o jakieś drobiazgi – na przykład kiedy zaczęło kapać z kranu w łazience, chciała, aby jej pokazał, jak go uszczelnić. Oczywiście Mirek zrobił wszystko sam, ale ponieważ Hania stała przy nim i wzdychała, że tak świetnie mu to idzie, poczuł się jak super samiec.

Jeżeli z kolei Tatiana wracała pierwsza ze swojego „biura” urządzonego w starym mieszkanku na Orła Białego – Mirek po powrocie zastawał w domu obcość i ciszę. Żona przeważnie leżała z Igorkiem na dywanie, obserwując, jak mały się bawi (choć Mirkowi zdawało się często, że wzrok miała nieobecny) i zerkając co chwila na komórkę. Myślałby kto, że musi być taka dyspozycyjna, mrucał do

siebie sfrustrowany małżonek, któremu w takich dniach brakowało zainteresowania, jakim obdarzała go Hanna.

Wieczory spędzali osobno. Mirek coraz częściej nad kieliszkiem koniaku albo lampką dobrego wina, a Tania – która kiedyś lubiła się z nim odrobinę napić i posłuchać muzyki z jego kolekcji (Mirek uwielbiał starego bluesa i tradycyjny, tęskny jazz) – brała długą kąpiel i szła do łóżka, przed snem czytając coś z rosyjskiej literatury w oryginale, bo stwierdziła, że ma w tej dziedzinie ogromne braki.

Niekiedy – gdy wypił więcej kieliszków tego swojego koniaku – szedł do sypialni żony i wślizgiwał się do niej pod kołdrę. Na ogół już spała i właśnie taką ją lubił najbardziej, na wpół przytomną; może właśnie w tym stanie najbardziej przypominała jego dawną Tatianę. Brał ją powoli, rozbudzając jej ciało pocałunkami i powolnymi ruchami bioder, a ona była rozgrzana i otwarta.

Ale ostatnio coraz częściej ona czytała dłużej, niż on popijał i słuchał muzyki, a kiedy zajął do niej i usiłował wyjąć jej książkę z rąk, mruknęła, że dziś nie można, bo ma okres. Zdarzyło się to dwukrotnie, a po tym drugim razie Mirek obliczył, że żaden okres nie może trwać tak długo, musiałyby krwawić przez jedenaście dni, czyli Tania po prostu kłamała. Jeśli nie ma ochoty na seks, może to zwyczajnie powiedzieć, pomyślał z urazą i od tamtej pory nie odwiedzał jej sypialni.

Dwa razy śniło mu się, że kocha się z obcą kobietą. Za pierwszym razem było ciemno, tylko purpurowe światło dyskoteki co jakiś czas muskało ciało jego kochanki. Wiedział, że nigdy więcej jej nie spotka. Lokal, w którym się znajdowali, był pusty, choć tętnił od muzyki i Mirek miał wrażenie, że powietrze wibruje od tańca. A jednak nikt nie patrzył, wziął więc tę kobietę na stole, wśród pustych i pełnych kieliszków z kolorowymi drinkami.

Za drugim razem kochał się we śnie z Hanną. Na fotelu w swoim biurze. Długo i mocno. Po tej nocy przez kilka dni unikał jej wzroku, a ona, zdziwiona, szukała kontaktu; skąd mogła wiedzieć, że Mirek boi się na nią spojrzeć, bo natychmiast przypominały mu się ich igraszki.

Im bardziej czuł się winny, że miewa takie myśli, tym bardziej obwiniął o wszystko Tatianę. Gdyby nie zamykała się w swoim świecie, gdyby wciąż przyjmowała go chętnie w swoim łóżku – nie miałby takich pragnień. Nie powiedział jej tego, ponieważ to byłoby upokarzające, zupełnie jakby prosił o usługi seksualne albo o czułość.

Hanna chyba widziała, że coś jest nie w porządku, i usiłowała go jakoś pocieszyć. Z biegiem czasu zapomniał o tamtym śnie (no, może nie zapomniał, ale w każdym razie nie miewał już wyrzutów sumienia) i po prostu pozwolił sobie dogadzać. Jej sosy i kremowe zupy były mistrzostwem świata, a desery potrafiły ukoić najbardziej zbolące serce. Anioł, nie kobieta.

Tatiana zastanawiała się, co sprawiło, że powroty do domu przestały mieć w sobie tę magię: na przykład moment, gdy zsuwa się z obolałych stóp niewygodne czółenka i wkłada cudownie miękkie kapcie, chwila pod prysznicem, potem wygodny dres, kubek gorącej herbaty i kochający ludzie. Poczucie bezpieczeństwa, ulga, odprężenie; jeśli ma się ochotę, to rozmowa, ale jeżeli to akurat jeden z tych dni, gdy ma się chęć na myślenie, bo w głowie za dużo hałasu, to można poleżeć obok siebie w ciszy, uporządkować wewnętrzny rozgardiasz, uspokoić się.

Tak było jeszcze niedawno. Tania wracała, jadła obiad i siadała na kosmatym dywanie, obserwowała bawiącego się Igora, bawiła się z nim i pokazywała mu obrazki w książeczkach. Po jakimś czasie przychodził Mirek i zaczęli do siebie mówić, najpierw pojedyncze słowa, potem zdania, aż w końcu to z nich, które czuło akurat taką potrzebę, rozpoczynało opowieść, wyrzucało z siebie problem, na który to drugie zawsze znajdowało radę.

Ostatnio jednak opowieści nie było. Zdań także nie, chyba że krótkie; komunikacja ograniczała się do pytań, czy obiad zjedzony, czy w sosie jest mąka, czy Igor robił kupę albo czy są jeszcze pampersy. Tania zastanawiała się, dlaczego nie chce im się już ze sobą rozmawiać. Co się zmieniło? Ona wróciła do pracy, owszem, miała teraz mniej czasu. Ale przecież jeszcze mniej mieli go dla siebie dawniej, gdy nie byli małżeństwem, kiedy spędzali ze sobą tylko chwile ukrywane przed Ewą i Klaudią, kradzione rodzinie Mirka. Wtedy umieli cieszyć się każdą minutą, przeżywali te chwile do samego dna. Była w tym gorycz i słodycz, wszystkie możliwe smaki – a jednak chcieli wówczas wyssać z życia wszystko, do ostatniej kropli soku. Co się zmieniło? Co się porobiło z ich miłością?

W biurze tłumaczeń miewała wyłącznie banalne, proste zlecenia, a książkę Olega skończyła już dawno. Nie powiedziała o tym Mirkowi – niech myśli, że ona wciąż przekłada tę powieść; Tania zyskiwała dzięki temu odrobinę czasu tylko dla siebie. Prosto z biura jeździła do mieszkania na osiedlu Orła Białego, otwierała laptopa i czytała maile. Wprawdzie częstotliwość listów i esemesów od Olega nieco osłabła, kiedy Tatiana napisała, że nie, nie przyjedzie do Moskwy, nie pójdzie z Olegiem na wiosenny spacer. Nalegał, prosił, potem się naburmuszył. Podobnie jak wtedy, gdy napisała, że nie jest pewna, czy spotka się z nim na Warszawskich Targach Książki.

Mimo to – nadal do niej pisał. Tyle że teraz ciężar tej korespondencji przechylił się na stronę Tatiany. To ona zadawała pytania, to ona prosiła o odpowiedź. Zdarzały się krótkie chwile, gdy przytomniała i docierało do niej, że daje sobą manipulować. Ale zaraz potem pojawiał się wstyd: jak mogę tak myśleć, on jest taki wrażliwy, tyle przeszedł, jest samotny i jak każdy artysta, potrzebuje

uwielbienia, poklasku. Ja mu odmówiłam, uciełam prośby o spotkanie, i przez to poczuł się odrzucony – muszę sprawić, żeby znów w siebie uwierzył, żeby mógł pisać, tworzyć, żeby rozkwitł i otworzył się na nowo.

Tatiana bardzo się pilnowała, żeby z ich korespondencji nie wynikało nic ponad to, że ona tłumaczy jego książki, a on – wyłącznie po to, żeby ułatwić jej zadanie – otwiera przed nią swoją rosyjską duszę. Tylko tyle albo aż tyle, zależy, jak na to spojrzeć. Gdyby ich maile przeczytał ktoś obcy, powiedziałby, że to zaledwie znajomość, może początek przyjaźni, nic więcej. Gdyby zobaczył je Mirek, zapewne obraziłby się śmiertelnie, uznałby je za intymne, stanowiłyby dla niego dowód zdrady. Tania odsuwała od siebie myśl, że to właśnie czyni tę korespondencję tak podniecającą.

Lubiła wyobrazić sobie, jak by się potoczyła ta historia, gdyby ona była wolna. Gdyby Oleg pojawił się w jej życiu, kiedy jeszcze nie była żoną Mirka – może nawet zanim go w ogóle poznała. Chociaż nie, to byłoby zbyt oczywiste, pozbawione smaczku – oboje zupełnie wolni, po prostu poszliby ze sobą do łóżka, nic wyrafinowanego. A przecież to, co między nimi było – o ile w ogóle można użyć takiego sformułowania – zawierało się w niespełnieniu, w niedokonaniu właśnie. Seks zepsułby wszystko, byłby niemal zwierzęcym aktem skonsumowania czegoś, co mieniło się tysiącami odcieni, było zarazem liryczne i rozpaczliwe, pełne nieśmiałej radości i uderzające do głowy jak wino, smutne i drażniące niczym drapanie paznokciem po gojącej się ranie. Tani brakowało słów, by na własny użytek nazwać jakoś złożoną relację, jaka łączyła ją z Olegiem. A najdziwniejsze było to, że sama nie miała pewności, czy cała ta relacja nie istnieje jedynie w jej wyobraźni.

Mirek zachowywał się tak, jakby odczytywał te jej myśli. Był nadąsany, znudzony. Kiedy wieczorami Tania miała cichą nadzieję na rozmowę, on zamykał się w swoim pokoju, nastawiał bluesowe płyty i nalewał sobie kieliszek koniaku. Nigdy nie zaproponował, żeby napiła się z nim, a przecież dawniej lubili usiąść razem z lampką dobrego trunku, słuchać zmysłowej muzyki, a potem kochać się w wannie albo w najdziwniejszych miejscach i pozycjach. Początkowo, gdy Tatiana odkryła, że czeka na maile od Olega i że to oczekiwanie wzbudza w niej poczucie winy, zapragnęła zwalczyć ten rodzający się ułamek uczucia – a osiągnąć to mogła jedynie, zbliżając się do męża. Nie udało się. Poczula się odrzucona, ponieważ Mirek najwyraźniej już jej nie pragnął. Kilka razy zajrzał do jej sypialni, ale odnosiła wrażenie, że specjalnie czeka, kiedy ona zgasi światło, jakby nie chciał już na nią patrzeć. Może traktował seks jako małżeński obowiązek, bo kiedy tylko dostała okres, przestał przychodzić.

Swoją drogą, nigdy wcześniej nie miewała tak długich krwawień. Podpytała koleżanki w pracy – żadna z nich nie słyszała, aby miesiączka mogła trwać niemal dwa tygodnie. Tania umówiła się na wizytę u ginekologa. Zamierzała powiedzieć o

tym rano Mirkowi, ale pokłócili się o pozostawiony w zlewie kubek z fusami po herbacie – Mirek w nocy nalewał sobie wody, kubek przepelnił się i fusy zapchały odpływ.

– Sto razy ci mówiłem – syczał przez zęby. – Wylewaj fusy do muszli.

– Nie mówiłeś mi sto razy, bo nie trzeba mi powtarzać. Zawsze wylewam do muszli.

– Zawsze?! To nazywasz „zawsze”?

– Nie, to nazywam tym jednym razem, kiedy zapomniałam. A gdybyś ty nie nalewał wody po ciemku, to nie lałbyś prosto w fusy i by się nie zapchało.

– Nie mam prawa nalewać sobie wody po ciemku? Mam zapalić światło i się rozbudzić, bo tobie nie chce się zrobić porządku w zlewie?! – wybuchnął. – A co ci się w ogóle jeszcze chce?! Wszystkim zajmuje się Hania, ty przychodzisz na gotowe!

– Podobnie jak ty!

Tania odwróciła się i wyszła z kuchni, ponieważ nie chciała się przy nim rozplakać. Kłótnia zaczęła się od głupich fusów. Teraz jednak Tatiana już wiedziała, o co Mirek ma do niej pretensje: że nie biega ze ściereczką jak pani Hanka, nie gotuje, nie sprząta. Sam od siebie nie wymagał tych wszystkich czynności, bo przecież jest świętym samcem! Jej powinnością, jak wiadomo, jest dogadzać samcowi, a wtedy on łaskawie odwiedzi ją nocą w sypialni! Niedoczekanie!

Ubrała się, ucałowała synka i bez słowa poszła do garażu. Dopiero wyjeżdżając, uświadomiła sobie, że Mirek powiedział zdrobniale „Hania”. Tego dnia napisała do Olega, że chyba jednak wybierze się na Warszawskie Targi Książki.

Kwiecień

Najpierw dni stały się dłuższe i wraz z pierwszymi promieniami słońca Żanecie przybyło nieco sił. Potem kobieta znalazła w sobie dość energii, żeby wyjść na taras, o tej porze roku niezbyt czysty, bo wały się po nim zeschnięte liście jeszcze z jesieni – na zamiatanie jednak siły nie znalazła. Rozstawiła sobie leżak i nie bacząc na to, że mimo przebywania w pokrowcu był nieco przykurzony, położyła się na nim w wąłym cieple marcowego słońca.

Przypomniała jej się podobna scena z początków pobytu w Anglii, tyle że wtedy nie siedziała na własnym tarasie, lecz na parkowej ławce. Towarzyszyła jej Betty, która paplała nieustannie, a to o nowym kliencie solarium, a to, że warto sztuczną opaleniznę „poprawić” taką naturalną, bo nabiera ładniejszego, złocistego odcienia. Żaneta odchyliła twarz do słońca, ale wcale nie z powodu koloru skóry, lecz dla samego ciepła – dodawało jej animuszu, napełniało mocą.

Teraz także to poczuła. Pierwotna, naturalna siła, magia zawarta w dotyku promieni słonecznych, uzdrawiająca moc – jak zwał, tak zwał. Żaneta poczuła, że gdzieś w niej jeszcze tli się życie. Zapragnęła się pomodlić, choć nie robiła tego od dzieciństwa. Przypomniała jej się ścieżka, którą na skrót biegła do kościółka w rodzinnej wsi. Przypomniało jej się niskie buczenie trzmieli i cudne maki na skraju pola, od którego aż buchało gorąco, gdy szło się miedzą do ciotki Władzi. Ciotka pozwalała zrywać agrest i śliwki, bo miała ich mnóstwo, aż słoików nie wystarczało na dzemy i kompoty.

– Boże – wyszeptała Żaneta – pomóż mi to wszystko jakoś naprawić. Podpowiedz, co mam zrobić... Bo przecież -jakoś trzeba żyć.

Poleżała jeszcze chwilę w słońcu, czując jednak, że zaczyna marznąć, ponieważ promyki okazały się zbyt słabe, żeby ogrzać ją mimo podmuchów wiosennego wiatru. Żaneta wstała ciężko i weszła do domu. W wiatrołapie Sławek właśnie zdejmował kurtkę.

– Cześć, mam – powiedział, nie patrząc na nią. – Jest coś do jedzenia?

– Zupa z wczoraj – odpowiedziała.

Andrzej ugotował pieczarkową. Nieźle sobie teraz radził w kuchni, zupełnie jakby przeszedł jakiś kurs. Od paru dni nie przynosił już obiadów w trojaczkach. Może pokłócił się ze swoją kochanicą, myślała Żaneta, ale nie odczuła satysfakcji, nic w ogóle nie odczuła.

– Powiedz mi – poprosiła impulsywnie, przyglądając się, jak Sławek wyciąga z lodówki garnek z resztką zupy i stawia ją na palniku. – Ale tak szczerze. Czego ty byś najbardziej chciał?

Syn rzucił jej spłoszone spojrzenie.

– Ale o co ci chodzi? – zapytał nieufnie, jakby w tym pytaniu był jakiś

haczyk.

– No po prostu pytam, czego chcesz. Jak my powinniśmy z tatą postąpić? Co zrobić, żeby było lepiej?

– W naszym domu?

Pokiwała głową, niezdolna wykrztusić z siebie ani słowa więcej. Poczowała nagłe wzruszenie na myśl o tym, że jej syn tak wydorósł – i że ona pyta go o radę.

Sławek odwrócił się; przez chwilę mieszał zupę, uderzając łyżką o ścianki garnka.

– Ja bym chyba wolał, żebyś ty mieszkała gdzie indziej – odezwał się wreszcie. – Może nawet w Anglii. Żebym ja był raz tam, a raz tu. Ale nie mieszkaćcie razem. Bo jak wy mieszkaćcie razem, to jest całkiem do niczego. Niby się ze sobą nie kłócicie, ale nikt nie rozmawia, nikt się nawet nie uśmiecha.

– Lepiej ci było beze mnie, prawda? – wydusiła Żaneta drżącym głosem.

– Chciałaś, żeby było szczerze – odmruknął, wciąż stojąc do niej plecami.

– Tak, tak. Mnie też było wtedy lepiej.

Chłopiec wyłączył palnik, ale się nie odwracał. Pewnie chce ukryć przede mną łzy, pomyślała Żaneta. Albo urazę. Albo jedno i drugie.

– Napisałaś, że kogoś sobie znalazłaś – podjął po chwili Sławek. – W tamtym liście.

– Tak.

– I co? Co on powiedział? Dlaczego nie przyjechał, jak miałaś wypadek?

– On o niczym nie wie – wyjaśniła Żaneta i dopiero teraz dotarło do niej, jakie to głupie, że nie zawiadomiła Bogdana. Przecież na nią czekał, zapewne umierał z niepokoju... Zresztą nie wiedział o ciąży, wystarczyłoby więc powiedzieć o wypadku, nic więcej. Nie będzie miał żalu, bo nigdy nie dowie się, że stracili córeczkę.

Będę milczeć, obiecała sobie, przecież to potrafię. Milczałam o ojczyźnie, nikomu nie powiedziałam o romansie z szefem, nie zwierzałam się z samotności, kiedy Andrzej wyjechał. Jestem dobra w ukrywaniu bólu. Dam sobie radę. Tylko nabiorę trochę sił i pojadę.

Wyszła znowu na taras, tym razem zbierając ze sobą gruby, brązowy koc w kratę. Położyła się i przykryła aż pod brodę, wystawiając do ciepła tylko twarz. Zaspiając, czuła się silniejsza.

Załatwiła wszystko bardzo szybko. Jadąc do Wielkiej Brytanii, rozmyślała o listach od Bogdana, które tak długo pozostawały bez jej odpowiedzi. Obraził się pewnie, złożył sobie i Bogu jedną z tych swoich obietnic – że nigdy więcej. Dzień przed wyjazdem napisała mu o wypadku i poprosiła, żeby po nią wyszedł w Manchesterze, ale nie odpisał. Musiał czuć się naprawdę urażony albo rzeczywiście

dotrzymywał danego sobie słowa, że nie zajrzy już na Facebooka, nie będzie dłużej czekał.

Po wielu godzinach w autokarze czuła się fatalnie, miała nieświeży oddech, potargane włosy, a z twarzy spływał jej makijaż. W dodatku od paru miesięcy nie odwiedzała solarium, nie przypominała więc dawnej Żanety – w każdym razie tak jej się wydawało. Dlatego – kiedy już przekonała się, że Bogdan nie wyszedł jej na spotkanie – wcale nie poczuła rozczarowania, lecz coś w rodzaju ulgi.

Pójdzie do Betty, zacznie od pięciu minut z przyspieszaczem, nabierze kolorów, wyładnieje; potem uporządkuje swoje sprawy, rozejrzy się za pracą (w ostateczności wróci do składania pudełek). Kupi sobie coś eleganckiego, wyśpi się i wróci do solarium, tym razem na siedem minut. Taka odświeżona, pewna siebie, kobieca i ponętna pójdzie do kościoła, stanie przed swoim mężczyzną, by przeprosić go najładniej jak potrafi, a on nigdy się nie dowie, co stało się z ich dzieckiem.

A kiedy już da się udobruchać, bo nawet jeżeli jest zły, rozczarowany i zmęczony czekaniem, to przecież w końcu ulegnie, jak wiele razy wcześniej – wtedy razem podejmą jakąś decyzję, chociaż Żaneta kompletnie nie miała pomysłu jaką. Nosząc w łonie dziecko, była pewna, że powinni żyć razem, ale teraz nic już nie wydawało się oczywiste, nawet sama miłość.

Noc przespała w najtańszym hoteliku, jaki udało jej się znaleźć. W pokoju, oprócz wąskiego i trzeszczącego niemiłosiernie, ale niespodziewanie wygodnego łóżka, było jeszcze krzesło oraz lustro. Na łóżkiem wisiał wyblakły portret dziewczynki z fiołkami. Albo może bratkami, Żaneta nie wiedziała.

Ku swemu zdumieniu spała jak dziecko, bez snów, bez nerwowego przekładania głowy na poduszce, zupełnie jakby zniknęły wszystkie jej problemy. Rano kupiła sobie ciastko i popiła je kawą, a następnie wstąpiła do jednego z butików po granatową garsonkę. Niezupełnie pasowała do brązowych botków, ale Żaneta kupiła ją i wróciła do hotelu, żeby się od razu przebrać. Potem poszła do solarium. Nie planowała tego dnia spotkać się z Bogdanem, brała jednak pod uwagę, że mogą na siebie wpaść przypadkiem, dlatego wytuszowała mocno rzęsy i wzięła ze sobą podkład i szminkę, żeby uzupełnić makijaż po opalaniu.

Betty zrobiła na jej widok taką minę, jakby zobaczyła ducha.

– Wróciłam – powiedziała Żaneta. – Wiem, że jestem blada jak ściana, więc najpierw pięć minut z przyspieszaczem, a potem pogadamy.

Przyjaciółka uściskała ją, najwyraźniej mając ochotę o coś zapytać, ale Żaneta, zmuszając się do uśmiechu i lekkiego tonu, ucięła:

– Opowiem później.

Kiedy leżała w plastikowym kokonie, obiecała sobie nie mówić o wypadku. Betty nie powinna się dowiedzieć – może się przecież zdarzyć tak, że kiedyś spotkają się we trójkę, kiedy już Bogdan porzuci stan kapłański, usiądą sobie na

przykład przy dobrym winie i Betty się wygada, bo przecież jest plotkarą i trzepie jęzorem. Chociaż, z drugiej strony, wydawało się bardzo mało prawdopodobne, że kiedykolwiek będą się spotykać towarzysko. Nawet jeżeli Bogdan zrzuci sutannę, to przecież będą musieli wyjechać, może do Londynu, może do Kornwalii (Żaneta obejrzała kiedyś kilka odcinków *Poldarka* i od tamtej pory marzyły jej się takie widoki), a może nawet wrócić do Polski.

Wreszcie czas opalania dobiegł końca, Żaneta założyła na rozgrzane ciało bieliznę i nową garsonkę, szybko zrobiła makijaż, po czym wyszła i zapłaciła.

– Zrobisz mi kawę? – zapytała, siadając przy niewielkim stolyczku, gdzie Betty miała zawsze rozłożone jakieś kobiece pisma.

Przyjaciółka pokiwała głową i wysypała łyżeczkę kawy rozpuszczalnej do ciemnej szklanki z duralexu. Potem nalała wrzątku, wpatrując się intensywnie w burą piankę, jakby z nadzieją, że wyczyta z niej jakąś wróżbę. Wreszcie postawiła przed Żanetą napój o zapachu przypominającym wszystko, tylko nie prawdziwą kawę, i zapytała:

– A ciąża?

– Ciężę straciłam – odparła krótko Żaneta. – Miałam przyjechać już dawno, ale jakoś się nie złożyło. Ale teraz jestem. Pamiętasz, mówiłam ci o tym księdzu...

– Tak, wiem.

– Chyba się na mnie obraził, bo nie odpisuje na fejsie; ja mu obiecałam, że...

– Nie obraził się. – Betty jej przerwała.

– Skąd wiesz?

– Bo z nim rozmawiałam. Byłam tam, w kościele, a on się modlił i płakał... I ja mu powiedziałam, że ty jesteś w Polsce.

– Przecież wiedział – powiedziała automatycznie Żaneta, a potem powtórzyła: – Modlił się i płakał?

– Tak. Ale nie mógł się ciebie doczekać i postanowił pojechać. Więc mu podałam twój adres.

Żaneta milczała. Modlił się i płakał. Serce posiekało jej się na drobne talarki. Bolało.

– Boże mój – wyszeptała wreszcie. – To musieliśmy się minąć.

– Nie, to było już dosyć dawno – wyjaśniła Betty. – Nie trafił?

– Nie, nie trafił. Musiał widocznie nie trafić, bo... Ale jak to? Podałaś mu mój adres w Poznaniu?

– Tak. Nie mogliście się minąć. Wyjechał już jakiś czas temu.

Żaneta zerwała się z miejsca, rozchlapując kawę na blat stolika.

– Płakał. Ja muszę mu powiedzieć... Muszę mu wyjaśnić, że byłam w ciąży.

– On wiedział – powiedziała Betty. – Powiedziałam mu. Zadzwoiłam, jak już był w Polsce. Tylko, kuźwa, nie byłam pewna, kiedy ty w tę ciążę zaszłaś. Ale powiedziałam mu, że chyba jesienią.

Żaneta milczała, patrząc na przyjaciółkę. „Modlił się i płakał” – dźwięczało jej w głowie. I jeszcze: „on wiedział”.

– Przecież nie mógł nie trafić – dodała jeszcze Betty. – Wzięłyby taksówkę i już.

– To może wrócił? Jest tu, w kościele? Przyjechał z powrotem?

Tamta tylko pokręciła głową.

Chyba nawet się nie pożegnała. Wyszła z solarium i ruszyła przed siebie. W cukierni kupiła sobie napoleonkę, ale po dwóch kęsach zrobiło jej się niedobrze, wyrzuciła więc ciastko do kosza. Potem pojechała zatłoczonym autobusem do hotelu, gdzie spędziła kilka godzin, patrząc na dziewczynkę z fiołkami. Usiłowała sobie wyobrazić reakcję Bogdana na wiadomość o ciąży. Jak postanawia przyjechać, a potem rezygnuje, bo... Bo co? Bo dziecko? Bo może nie jego czy po prostu – bo jest dziecko?

Po jakimś czasie zasnęła, ale to nie był sen, który przynosi odpoczynek, lecz jeden z tych, z których człowiek budzi się spocony i zdyszany, jakby przebiegł bardzo długi dystans. Śniła jej się Elżunia, ta nienarodzona dziewczynka, która miała nosić imię Aniela, ale z jakiegoś powodu we śnie była wciąż Elżunią. Powtórzyła tamte słowa: nie da się zawrócić rzeki. Dlaczego, chciała zapytać Żaneta, dlaczego mi to mówisz? Ale nie mogła nic powiedzieć, ponieważ miała usta pełne wody, a przy każdej próbie wydobywały się z nich jedynie wielkie bąble powietrza.

Okolo północy Żaneta obudziła się, z mokrymi od potu kosmykami włosów na czole i karku; założyła płaszcz, owinęła szyję szalikiem i wyszła z hotelu. Kiedy szła przed siebie pustymi ulicami Manchesteru, ni stąd, ni zowąd przypomniały jej się słowa dawno zapomnianego wiersza Wisławy Szymborskiej. Deklamowała go jako mała dziewczynka na jakiejś akademii. Miała na sobie białą bluzkę z okrągłym kołnierzykiem oraz granatową spódniczkę, spod której widać było jej niemiłosiernie chude kolana. Nic rozumiała nic z tekstu, który przyszło jej recytować. Za to teraz, po wielu latach, odczuwała każde słowo, jakby było jej własne:

*Choćbyśmy uczniami byli najtępszymi w szkole świata,
Nie będziemy repetować żadnej zimy ani lata,
Żaden dzień się nie powtórzy,
nie ma dwóch podobnych nocy,
dwóch tych samych pocałunków,
dwóch jednakich spojrzeń w oczy.*

Nie będzie powtórki. Niczego nie da się przeżyć jeszcze raz, lepiej, mądrzej. Nie można uratować tamtej wystraszonej miłości. Bliskość bywa bolesna – zdarza się, że sięga aż do trzewi, wypruwa flaki, okazuje się trudna i nie przynosi ulgi, a

wyłącznie cierpienie. Nie można uratować tamtej dziewczynki, która musiała umrzeć, bo coś tam, bo zbieg okoliczności, bo kot na drodze.

– Blackfriars Bridge – powiedziała Żaneta do taksówkarza, kiedy ten zatrzymał się na jej rozpaczliwie machanie.

W Manchesterze nie ma wysokich mostów. Kurwa, gdyby to był Londyn. Albo San Francisco. Ale płaszcz nasiąknie i zrobi się ciężki, poza tym nigdy nie pływałam zbyt dobrze, pomyślała.

Woda wydawała się czarna. Co pomyśli Sławek, zadała sobie pytanie Żaneta, zanim wdrapała się na barierkę i skoczyła. Że tak jest lepiej? Co pomyślał Bogdan, kiedy dowiedział się, że jestem w ciąży? Na pewno właśnie to: tak będzie lepiej. Lepiej, żebym została z mężem. I żeby uniknąć kłopotu. Po co księdzu dziecko. Ani temu dziecku, ani rodzicom nie byłoby łatwo. No właśnie.

Tato, tatusiu. Dziękuję za list. Bardzo na niego czekałam. Tak to jakoś jest, wiesz, że chociaż jestem dorosłą kobietą, to przecież ciągle...

Z jej ust wydobywały się bąble powietrza. Jak w tamtym śnie. Żaneta nie mogła już dokończyć zdania, nie zdążyła nawet pomyśleć go do końca. Ale nie bała się ani trochę.

Richard i Johny z ekipy remontowej przepadli jak kamień w wodę; nie pojawiali się, nie odbierali także telefonu. Wprawdzie Klaudia i Lucy doskonale poradziły sobie z malowaniem ścian pokoi i holu farbą akrylową, doprowadziły też do porządku kuchnię, która została już wcześniej wyłożona kremowymi, kwadratowymi płytkami, zamówiły meble na wymiar i wszystkie niezbędne sprzęty – ale pomieszczenie, w którym miała znajdować się jadalnia dla gości, wciąż straszło skutym tynkiem.

– Ciekawe, czy to jest trudne – mruknęła któregoś dnia Klaudia, sadząc bratki przed domem.

Ogród zaczął wyglądać ładnie, daleko mu jednak było do tych śródziemnomorskich, o których wspominali ciotka Bonnie i wuj Stanley. Nie było także tarasu. Mimo to dziewczyny ustawiły przy wejściu kilka donic i pojechały do centrum ogrodniczego, żeby wybrać rośliny.

– Banalne – odparła Lucy, przekonana, że Klaudia ma na myśli prowadzenie ogrodu. – Sadzisz, wyrywasz chwasty, nawozisz, podlewasz, takie tam drobiazgi. Moi rodzice mieli ładny ogródek.

– Ale ja nie o tym. Chodzi mi o ten tynk.

– A, to nie wiem. Podejrzewam, że trudne. Jakby było łatwe, to ludzie nie czekali by na pieprzonego pijaka Johny’ego albo Richarda, tylko sami by tynkowali.

Klaudia zdjęła rękawiczki i w zamyśleniu spojrzała na Lucy.

– Wiesz co? – powiedziała. – Moja mama miała takiego przyjaciela

budowlańca. Zadzwoń do niego i podpytam.

– I przez telefon nauczy cię tynkować? – zadrwiła Lucy.

– Nie, ale może podpowie, jak wybrnąć z sytuacji. Przecież nie będziemy czekać w nieskończoność.

– Obawiam się, że póki co musimy poczekać. Nie mam kasy na nową ekipę, trzeba najpierw rozliczyć tamtych dziadów.

Mimo wszystko Klaudia zadzwoniła do mamy, która – choć niechętnie – dała jej numer Andrzeja.

– A co ty taka najeżona? Coś się stało?

– Stało się, stało – odparła wyraźnie rozdrażniona Ewa. – Dzwoniła do mnie twoja wychowawczyni z pytaniem, czy jesteś chora.

Klaudia milczała przez chwilę. Oddech jej przyspieszył i serce zaczęło walić jak oszalałe. Zupełnie bez sensu.

– I co powiedziałaś? – zapytała na pozór obojętnym tonem.

– Że owszem, jesteś chora. Że znowu ci ktoś narobił przykrości i wolisz się uczyć w domu.

– Po co, mamó? Po co wymyślasz...

– Bo nigdy nie wiadomo! – wybuchła Ewa. – Może ci się odmieni. Zawsze lepiej zastawić sobie uchyloną furtkę, wiesz? Gdybyś jednak doszła do wniosku, że warto mieć tę maturę...

– Ale ja się tu nie uczę. Ja pracuję.

– To nic. Jesteś mądra, a przez te lata uczyłaś się solidnie i przecież coś tam w głowie zostało.

– Mamuś.

– No co?

– Wszystko w porządku? Tak poza tym?

– Nie, nie w porządku – burknęła mama. – Andrzej był u mnie. Płakał.

– O rany.

– Tak, o rany. Umarła jego nowa przyjaciółka.

Klaudię zatkało.

– Ale jak: umarła. Przecież...

– Wiem, wiem. Nie jesteśmy jeszcze tacy starzy, prawda? Ano, jak widzisz, nasze pokolenie zaczyna się sypać. A w dodatku babcia wyjechała i ja się bardzo o nią martwię... Przywiozła mi tu rzeczy, których nie chciała wyrzucić, mnóstwo fotografii, książek, sprzedała mieszkanie i pojechała. – Ewa nagle się rozplakała. – Urządza jej pokój. Tam, gdzie kiedyś była sypialnia taty. Na wypadek, gdyby jednak wróciła i zamieszkała u nas.

– Mamó...

– Bo widzisz – mówiła dalej Ewa, nie dając córce dojść do słowa. – To jest wszystko źle pomyślane. Kiedy się jest młodym, to człowiekowi się wydaje, że

matka nic nie wie, na niczym się nie zna. Potem zaczyna do niego docierać, że mimo wszystko jej rada na coś by się czasem przydała, a wreszcie okazuje się, że tylko mama wie, co naprawdę należałoby zrobić. Tylko że wtedy bywa już za późno, żeby zapytać. I ja się boję, że babcia nie wróci, nie zdąży, a ja jeszcze tyle bym chciała jej powiedzieć i tyle od niej usłyszeć...

– Wiesz, co ja myślę?

– Co takiego?

– Że jesteś samotna.

Po drugiej stronie mama zaśmiała się dziwnie, sucho.

– Co ty nie powiesz?

– Ale nie o to mi chodzi, że sama, tylko że samotna.

Tym razem nie było odpowiedzi; ani śmiechu, ani w ogóle żadnego dźwięku.

– Wiesz, co napisała mi babcia? Że szczęścia trzeba poszukać w sobie. Nie gdzieś tam na świecie. I ja tak sobie myślę, że nie trzeba go też szukać w kimś innym, w drugiej osobie. W każdym razie mam taką nadzieję.

– Dlaczego?

– Ponieważ ja już zawsze będę sama.

– Nie mów tak, córeczko.

– Ale będę – upierała się Klaudia. – Przecież wiesz, że próbowałam i się nacięłam. Ale nie zamierzam być samotna. To nie są synonimy. Można żyć w pojedynkę, a nadal nieźle się bawić. I ja mam właśnie taki plan.

Po tej rozmowie Klaudia nie mogła się pozbierać. Poszła do siebie i położyła się na łóżku. Miała wyrzuty sumienia, że mama nie ma nikogo oprócz Cohena, że w takich sytuacjach, jak choćby wyjazd babci, nie ma kto zaparzyć jej herbaty i zwyczajnie z nią pogadać. Wreszcie westchnęła i wybrała numer Andrzeja.

– Słucham, Wójcik. – W słuchawce odezwał się niski głos.

– Dzień dobry, mówi Klaudia.

Niezręcznie jej było zwracać się do niego. Dawno temu, kiedy pojawił się w życiu mamy, zaproponował, żeby mówiła mu po imieniu, ale jakoś nigdy nie chciało jej to przejść przez gardło.

– Klaudia?! Coś się stało? – Zaniepokoił się.

Wszyscy jesteśmy kłębkami nerwów, przeszło jej przez myśl. Zwykły telefon może nas wprawić w kompletne rozdygotanie.

– Nic, nic. Tylko dzwonię, bo potrzebuję porady budowlanej.

– Robicie z mamą remont?

W jego głosie chyba zabrzmiała uraza. Pewnie chciałby zapytać, dlaczego mama sama nie zadzwoni. Z drugiej strony, skoro sobie znalazł przyjaciółkę, to niech się teraz nie dziwi...

– Czy mama robi remont, nie mam pojęcia, bo mnie tam nie ma – odparła. –

Jestem w Walii i pomagam w przystosowaniu takiego starego domu... jakby dworku, zresztą jak zwał, tak zwał. Będzie tu pensjonat. I mamy taki problem, że ekipa poszła w cug i nie zjawia się, żeby dokończyć to, co zaczęła.

– Jasne – mruknął Andrzej. – Pewnie dostali pieniądze?

– Tak.

– No to musicie zaczekać, aż wytrzeźwieją.

– Czekamy, ale to za długo trwa. Nie możemy ich namierzyć, nie odbierają telefonu.

– Rozumiem. I co? W czym mogę ci pomóc?

– Chodzi o to, że oni zrobili już prawie wszystko, zostały tylko ściany do otynkowania w jednym pomieszczeniu, ale za to najważniejszym. Zresztą ja nie wiem, czy to się nazywa tynkowanie. Skuli tę warstwę i zostały same cegły.

– To pewnie mają położyć gładzie gipsowe.

– Może i tak. To jest trudne?

Chyba go zaskoczyła, bo chrząknął dziwnie.

– Pytasz, czy sama byś dała radę?

– Tak.

– Nie, nie dałabyś. – Tym razem w jego głosie brzmiała nutka rozbawienia. – Po pierwsze, to najgorsza część roboty. Po drugie, żeby wyszło ładnie, naprawdę trzeba to umieć.

– Aha. Czyli czarna dupa. Przepraszam za wyrażenie.

Andrzej zaśmiał się, a potem dodał:

– Wiesz, istnieje jeszcze możliwość, żeby położyć regipsy, ale też trzeba wiedzieć jak. No i trzecia opcja, że jeśli cegły są ładne, to może szkoda je przykrywać. Takie stare domy mają czasem piękne ściany.

– Ale co to znaczy? Mają zostać gołe cegły, jak w średnio-wieczu?

Znowu się roześmiał. Klaudia pomyślała, że kiedyś taki śmiech często rozbrzmiewał w kuchni, gdy Andrzej był stałym gościem mamy.

– Poszukaj sobie zdjęć w internecie. Cegły można malować, naprawdę ładnie to wygląda. Jak ci się spodoba, to zadzwoń, powiem ci, czym je oczyścić i zagruntować. To akurat każdy potrafi.

Po skończonej rozmowie Klaudia natychmiast otworzyła laptopa, żeby wyszukać zdjęcia wnętrz z ceglanyimi ścianami. Znaleziona fotografia zaskoczyła ją – zwłaszcza cegła pomalowana na biało okazała się naprawdę piękna.

Lucy była w kuchni, słuchała radia i robiła smoothie z arbuza i kiwi. Klaudia uchyliła drzwi pokoju i zawołała ją:

– Lucy, chodź coś zobaczyć!

– Co takiego? Dzwoniłaś? Co powiedział ten znajomy?

– No właśnie chcę ci pokazać. Zobacz, jakie to ładne.

Lucy weszła, trzymając w rękach wysoką szklankę z koktajlem i słomką.

Nigdy wcześniej nie odwiedzała Klaudii w pokoju.

– Trzeba by tu wreszcie urządzić – zauważyła i usiadła obok na łóżku. – Pewnie chciałabyś przywieźć sobie więcej ciuchów.

Klaudia wzruszyła ramionami. Nie wiedziała, jak pokryć zmieszanie wywołane fizyczną bliskością Lucy. Jak zwykle, usiłowała manifestować obojętność, ponieważ wydawało jej się, że każdy objaw sympatii zostanie wzięty za przekroczenie bezpiecznych granic.

Na razie nie planuję wyjazdu do Polski. Zresztą, po co mi ciuchy na tym odludziu.

– Czasem można by gdzieś wyjść.

– Serio? Chyba do stodoły.

Lucy prychnęła.

– Masz dziwny nastrój. Ja zresztą też, pogoda taka depresyjna, chyba jest niskie ciśnienie. W radiu mówili, że jakaś Polka rzuciła się z mostu w Manchesterze.

– Tak? I co, uratowali ją?

– Nie, dopiero rano znaleźli ciało.

Klaudia zamilkła. Przypomniało jej się, jak sama planowała samobójstwo i rozmyślała o tym, kiedy zostanie znaleziona. To było tak dawno, w innym życiu. Wtedy ważyła prawie setkę i wydawało jej się, że nic dobrego już jej się nie przydarzy. Pewnie ta kobieta myślała tak samo.

– Też kiedyś chciałam umrzeć – szepnęła.

– Wiem.

Zaskoczenie. Klaudia rzuciła na twarz Lucy szybkie spojrzenie. Skąd mogłaby wiedzieć?!

– Wiesz? – powtórzyła.

– Tak. Jim mi opowiadał. Nie gniewaj się, po prostu zanim cię tu ściągnęłam, chciałam wiedzieć, jaka jesteś.

– I co? Zlitowałaś się nade mną?

– Wręcz przeciwnie. Uznałam, że jesteś silna. Skoro po czymś takim stanęłaś na nogi, ciągle masz marzenia, walczysz... Po-myślałam, że kogoś takiego chciałabym mieć w drużynie.

Klaudia zarumieniła się. Chciała zapytać, o czym jeszcze opowiadał siostrze Jim, czy... Czy to możliwe, że ona wie o całej reszcie?

– To jest świetne! – powiedziała nagle Lucy zupełnie innym tonem. – Ta cegła tutaj, ta na biało! Rewelacja! I pasuje do naszych klimatów, wiesz, jasno, prosto, nieco surowo, przestronnie. Umiałybyśmy to zrobić same?

– Umiałybyśmy. – Klaudia pokiwała głową, z ulgą przyjmując zmianę tematu. – Tylko jeszcze raz zadzwonię po konkretne instrukcje. Podobno sprawa jest całkiem prosta.

Ponaradzały się jeszcze, pokłóciły, aż iskry leciały, ale ostatecznie zgodziły się na kremowy odcień farby. Lucy chciała surową biel, która Klaudii kojarzyła się ze szpitalem, dlatego Polka wołała beż, na który z kolei nie zgadzała się Walijka. Kolor écru stanowił kompromis, choć żadna z dziewczyn nie była do końca przekonana, że to dobry wybór.

Klaudia wykonała jeszcze jeden telefon do Andrzeja i spisała wszystkie niezbędne informacje; potem Lucy pojechała do marketu budowlanego po drucianą szczotkę do czyszczenia powierzchni cegieł, zaś jej współlokatorka wstawiła zupę z soczewicy, a następnie zaczęła rozkładać na podłodze grubą warstwę gazet. Podczas pracy, jak zwykle, gdy zostawała sama, powtarzała sobie jak mantrę swoje afirmacje.

Lucy kupiła farbę do gruntowania oraz ten nieszczęsny odcień écru w podwójnej ilości, ponieważ znajomy Klaudii twierdził, że „cegła strasznie pije”. Wzięła też dwie druciane szczotki do szorowania powierzchni przed malowaniem. Wracając do domu, wstąpiła do delikatesów po -butelkę wina. Pomyślała, że kiedy skończą, napiją się i -pogadają. Może wreszcie zrobi się między nimi normalnie.

Po tamtej rozmowie, kiedy Klaudia przyznała się, że wypowiedane przez nią zdania to afirmacje, Lucy sama nie wiedziała, co o tym wszystkim myśleć. Z jednej strony oczywiście słyszała o teorii, jakoby każdy człowiek – przy pomocy własnej podświadomości – miał wpływ na życie swoje i innych ludzi. Medytacje, afirmacje, inkantacje, pozytywne myślenie i inne takie. Jasne. Uwierz w marzenia, a one się spełnią. Lucy знаła nawet kilka osób, które twierdziły, że to działa.

Z drugiej strony, była piekielnie racjonalna. Uważała, że jeśli człowiek nie zakasze rękawów i nie weźmie się do roboty, to nic dobrego go nie spotka – chyba żeby przypadkiem znalazł grubszą forszę albo wygrał na loterii. Ale właśnie: przypadkiem. Nie dlatego, że sobie o tym myślał w wolnych chwilach albo powtarzał pod prysznicem: wygram, wygram, wygram.

Afirmacje Klaudii nie obchodziłyby jej więcej, gdyby nie to, że w ubiegłym tygodniu jeszcze dwa razy, skradając się na palcach pod drzwiami dziewczyny (i czując się przy tym idiotycznie), upewniła się, iż wyraźnie brzmi w nich imię „Lucy”. Usiłowała spisać poszczególne sylaby, ale kiedy już skleciła całe zdanie, nagle zrobiło jej się strasznie wstyd i ostatecznie nie zadzwoniła do Jima, żeby zapytać, co to znaczy.

Teraz, płacąc za wino, znalazła w kieszeni kurtki kartkę z ciągiem nic nieznaczących słów albo raczej ich fragmentów. Nic nieznaczących dla mnie, uświadomiła sobie. Dla Klaudii one znaczą bardzo wiele, skoro powtarza je w samotności. Może na przykład nienawidzi mnie do tego stopnia, że powtarza: „A niech tę Lucy szlag trafi”. Tym bardziej, że ostatnio wyraźnie mnie unika. Kłóci się

ze mną tak zajadle, jakby szło o czyjeś życie. Kiedy usiądę obok, odsuwa się, unika patrzenia mi w oczy.

Wróciwszy do domu, Lucy zaparkowała po drugiej stronie drogi, ponieważ zaczęło lać i przed furtką utworzyła się spora kałuża. Trzeba będzie ponaprawiać drogę, wygospodarować miejsce na parking za domem, pomyślała. W ogóle spraw, które „trzeba będzie”, z dnia na dzień przybywało. Chwilami Lucy brakowało sił, ale wciąż jeszcze zdarzały się chwile, w których ogarniał ją entuzjazm. Na przykład takie jak dzisiaj, kiedy siedziała obok Klaudii i razem przeglądały te zdjęcia malowanej cegły. Szczupłe ramię dziewczyny było tak blisko, że niemal czuło się ciepło jej skóry przez koszulkę. Ciemne włosy pachniały szamponem kokosowym. Chyba nie zaczynam się w niej zakochiwać, przestraszyła się Lucy. Nie wolno mi. Ale może mogłybyśmy się zaprzyjaźnić. Może ona mnie w końcu polubi.

Już wchodząc na ganek, usłyszała głos Klaudii. Znowu to samo zdanie, tym razem nie wypowiedane, lecz jakby podśpiewywane, miarowo i rytmicznie. Lucy wsłuchiwała się przez chwilę, po czym odeszła od drzwi, wsiadła z powrotem do samochodu i wybrała numer brata. Z mokrych włosów spływały jej strużki wody.

– Cześć, Jimmy. Bardzo ci przeszkadzam? – zapytała.

– Nie, wcale. Mam właśnie przerwę – odpowiedział wesoło. – A co tam?

– Chciałabym, żebyś mi coś przetłumaczył.

Jim zamilkł.

– Wiesz, te jej mantry. Ona mi wyjaśniła, że powtarza to... nazywa to afirmacjami... bo wtedy się spełni.

– Jesteś pewna, że chcesz?

– Tak, jestem.

– A jeśli to nie będzie miłe? Może lepiej...

– Nie, Jimmy. Ja sobie wolę nie wyobrażać, że ona coś tam mruczy na mój temat. To nie jest zdrowa sytuacja. Jeśli mnie nie lubi, jeśli ma coś do mnie, powinnam o tym wiedzieć.

– Ale takie podsłuchiwanie...

– Tak, wiem, paskudna sprawa... To jak? Powiesz mi, co to znaczy?

– Zobaczę. Jeśli to będzie coś wstrętnego, najwyżej skłamię.

– Głupek.

– Dawaj, *sis*, bo się rozmyślę.

Lucy wyciągnęła z kieszeni kartkę z zapiskami.

– Każde – przeczytała z wysiłkiem – godni zgodzi nago dzine Lucy siwe mi jako hooye.

Jim milczał, najwyraźniej oszołomiony tym, co usłyszał.

– Tak źle? – Lucy odważyła się zapytać. – Powiedz.

– Wiesz, co, siostrzo, przeczytaj mi to jeszcze raz, ale nie rób przerw, okej?

Jednym ciągiem. Bo ja sobie próbuję to poskładać, ale ty strasznie dziwnie akcentujesz. I te „chuje” mi kompletnie nie pasują.

– Każ-de-godni-zgodzi-nago-dzine-Lucy-siwe-mi-zako-hooye – wydukała Lucy, starając się zachować intonację słyszana u Klaudii.

Tym razem Jim wybuchnął śmiechem.

– No co? – Zdenerwowała się, ale on nadal się śmiał, nie zważając na jej urażony ton.

Wysiadła i ze złością zatrzasnęła drzwi auta. Z domu wyjrzała Klaudia; najwyraźniej chciała wiedzieć, czy wszystko kupione. Lucy pokiwała głową i pokazała ręką telefon. Klaudia skinęła na nią i schowała się przed deszczem.

– Powiedz mi, co cię tak śmieszy – warknęła Lucy do słuchawki, czując, że zaraz się rozbeczy.

– Siostro, ona... Ona się w tobie kocha. Jest zakochana i boi się, że ty... Chciałaby, żebyś odwzajemniła tę miłość.

Kiedy w końcu przestało padać, a Lucy ochłonęła na tyle, żeby zapanować nad twarzą, wyjęła z bagażnika wiaderka z farbą i szczotki, po czym weszła do domu tak cicho, jakby bała się kogoś spłoszyć. Klaudia naląła jej zupy z soczewicy i podała na stół, ale sama nie usiadła, tylko poszła na górę. Widocznie już jadła. Lucy czuła się okropnie stremowana.

Wbrew temu, co myślała przedtem w samochodzie, układając sobie wszystko w głowie i czekając, aż deszcz przestanie padać, nic nie stało się teraz łatwiejsze. To nie film, uświadomiła sobie Lucy, tu się nie da wyreżyserować sceny i w razie czego zrobić dubla; nikt nie ustalił, kiedy mam do niej podejść, czy ją objąć, czy pocałować, co ona mi powie. Jest taka młodziutka i tak się już mocno sparzyła, a mnie nie wolno jej skrzywdzić, nie wolno mi jej nawet przestraszyć.

Po południu przeniosły do kuchni wielki, zielony fotel i na wszelki wypadek okryły go starym kocem; w drzwiach zawiesiły folię malarską, żeby pył nie roznosił się po całym domu, i zaczęły szorować szczotkami drucianymi resztki zaprawy wystającej spomiędzy cegieł. Nie odzywały się do siebie, trudno zresztą było nawet zaczerpnąć tchu, bo wszechobecny kurz natychmiast osiadał w gardle. Po jakichś dwóch godzinach opadły z sił, a wtedy Lucy przypomniała sobie, że w samochodzie ma jeszcze wino. Wyszła po nie, a ponieważ znów się rozpadało, krople wyznaczyły na jej brudnej od pyłu twarzy smugi podobne do tych, które zostawiają łzy.

– Chyba nie ma sensu brać kieliszków – powiedziała, kiedy wróciła i usiadła na podłodze obok zmęczonej Klaudii. – Pijemy z gwinta?

– Jasne.

– Usiądź tyłem do mnie – poprosiła jeszcze Lucy, gdy dziewczyna wzięła od niej butelkę. – Oprzemy się o siebie plecami i będzie tak, jakbyśmy siedzieli w

fotelu.

Klaudia zgodziła się bez słowa. Lucy pomyślała, że tak jest łatwiej. Czuła się tak, jakby to ona była nastolatką. Usta jej drżały.

– *Day by day, hour by hour, Klaudia is falling in love with me* – wyszeptala.

Poczuła, jak tamta spina się i sztywnieje.

– Co? – zapytała równie cicho.

– To taka moja afirmacja. Mówiłaś, że działa. Postanowiłam spróbować.

Tym razem nie było odpowiedzi. Siedziały w zupełnej ciszy, w zapadającej ciemności, oparte o siebie plecami, a potem także głowami. Kiedy zrobiło się już tak ciemno, że przestały się bać, odwróciły się do siebie i zaczęły sobie ścierać z policzków pył i łzy. Nieśmiało pocałunki smakowały zaprawą murarską czy może wapnem, ale dziewczyny popiły je winem.

Potem leżały niemal przez całą noc na niemiłosiernie brudnej podłodze, trzymając się za ręce, patrząc sobie w oczy i szepcząc, aż w końcu zasnęły na warstwie gazet, bo choć było im zimno i niewygodnie, to żadna nie chciała spłoszyć tego, co właśnie zaczynało się między nimi.

Ewa postępowała powoli, krok za krokiem, za wszelką cenę usiłując się nie rozpłakać. Zawsze beczała na pogrzebach, niezależnie od tego, kogo chowano. Nawet gdy kilka lat temu uczestniczyła w pochówku męża swojej koleżanki, strasznego sukinkota, który chlał i bił żonę oraz dzieci – też beczała jak bóbr. Sama atmosfera cmentarza przyprawiała ją o wzruszenie, a co dopiero łzy w oczach tych, którzy tracili kogoś bliskiego.

Gdyby dano jej wybór, nie poszłaby na pogrzeb Żanety Wójcik, bo nie uważała tego za właściwe – ale wyboru nie miała. W szkole było przyjęte, że jeśli któryś z uczniów stracił ojca lub matkę, w pogrzebie uczestniczyła cała klasa wraz z wychowawczynią.

Dzieci zachowywały się całkiem w porządku, Ewa tylko dwa lub trzy razy musiała uciszać rozmowy. Mimo słabych ocen Sławek miał w klasie silną pozycję, przede wszystkim jako doskonały sportowiec; może także jako ten, któremu lepiej nie podpaść, bo może się to skończyć podbitym okiem. Dzieci szanowały więc jego smutek.

Andrzej sprawiał wrażenie nie do końca przytomnego. To drugi raz w krótkim czasie, przecież niedawno stracił tę swoją Alinę. Ewa bardzo się martwiła, żeby nie zaczął pić, żeby wytrzymał. Dla samego siebie, ale głównie dla Sławka.

W ostatnich tygodniach chłopiec poprawił niemal wszystkie słabe oceny. Ewa nigdy nie widziała tak zdeterminowanego ucznia. Chodził za nauczycielami i z pokorą wysłuchiwał, że trzeba było się uczyć na czas, że na poprawę niektórych ocen już za późno, a potem po raz kolejny pytał, co musi zrobić, żeby jednak nie mieć niedostatecznych. Kiedy przyszedł do niej z cichą skargą, że pan od historii nie pozwolił poprawić jedyńki sprzed dwóch miesięcy, próbowała stanąć w obronie historyka.

– Zrozum, Sławek – wyjaśniała cierpliwie. – Mamy taki zapis w statucie. Na poprawę oceny uczeń ma dwa tygodnie.

– Ale ja muszę.

– I bez tego zdasz. Przecież poprawiłeś większość nie-dostatecznych.

– Muszę. – Pokręcił głową. – Obiecałem mamie.

Mówił dziwnym głosem, przez zaciśnięte gardło. Ewa robiła wszystko, żeby mu pomóc. Porozmawiała z historykiem, załatwiła też sprawę z matematyczką i panią od przyrody. Najtrudniej było z angielskim, tam chłopiec nabierał w ostatnim czasie najwięcej słabych not, a nauczyciel był wymagający i konsekwentny. W końcu Ewa wytoczyła najcięższą broń, odwołała się do uczuć rodzicielskich, opowiedziała o wypadku mamy Sławka i poprosiła o ostatnią szansę.

– Obiecuję ci – zapewniała. – Daję uroczyste słowo honoru. Wójcik przyjdzie na konsultacje przygotowany, z uzupełnionym zeszytem, będzie znał słówka i oba czasy terażniejsze.

– Nie boisz się o swój honor? – Anglista się zainteresował. – Ja bym się bał.

Ewa się nie bała. Była absolutnie pewna, że chłopiec zjawi się w klasie obkuty na blachę.

Nie zjawił się. Wtedy jeszcze nie wiedziała, że tego ranka Andrzej otrzymał informację o śmierci żony. Nie miała pojęcia, jakie sceny rozegrały się w domu Wójcików, jak zniósł to chłopiec; zresztą nie zamierzała nawet pytać. Czy to ważne, kto płakał, a kto pocieszał, kto ile siły w sobie znalazł, żeby jakoś przetrwać? Liczył się jedynie fakt, że teraz Sławek uzna, iż nie ma dla kogo się starać. Matka po raz kolejny go opuściła – tym razem definitywnie.

Ewa wiedziała tylko tyle, że ciało Żanety Wójcik zostało znalezione w rzece Irwell, nieopodal jednego z mostów w Manchesterze. Policja nie wykluczyła udziału osób trzecich, choć relacja przyjaciółki, mieszkającej na stałe w Anglii Beaty Słomki, wskazywałaby raczej na depresję i samobójstwo.

– A ty jak sądzisz? – zapytała Andrzeja, kiedy zadzwonił, żeby jej o tym powiedzieć i wyjaśnić, dlaczego Sławka nie będzie w szkole przez kilka dni.

– Tak samo – odparł. – Wiesz, Żaneta niby wydobrzała po tym szpitalu, ale w rzeczywistości... Jakby codziennie robiło się jej coraz mniej. Miałem wrażenie, że ona już w nic nie wierzy. Nie chciało jej się żyć.

Idąc za trumną w posępnym pochodzie żałobników, Ewa przypominała sobie swoje nieliczne kontakty z Żanetą Wójcik. Uderzyło ją, jak niewiele w gruncie rzeczy wiedziała o tej kobiecie. Nie udało jej się przeniknąć przez maskę, którą tamta nakładała, aby grać rolę malowanej lali, twardej, nieliczącej się z nikim. A tymczasem okazała się słabsza, bardziej krucha niż wiele innych matek i żon.

Pogrzeb dobiegał końca; nad głowami zebranych poniósł się dźwięk trąbki. Sławek zaszlochał krótko, gwałtownie, jakby kaszlał. Andrzej wyciągnął ramię i przygarnął go do siebie. Ewa szybko odwróciła wzrok. Przyglądanie się twarzom ludzi pograżonych w żałobie uważała za coś równie niesmacznego, jak podglądanie ich w trakcie intymnych sytuacji. Wiedziała, że uczniowie przyglądają się Sławkowi z niezdrowym zainteresowaniem, ale nic nie mogła na to poradzić.

– Mąż i syn proszą o nieskładanie kondolencji – powiedział ksiądz na zakończenie i wszyscy powoli zaczęli się rozchodzić.

Ewa wskazała ruchem ręki kierunek, w jakim mają się udać jej podopieczni. Trzeba przyznać, że stanęli na wysokości zadania, błyskawicznie, bez słowa zebrali się i ustawili w parach. Ewa przeliczyła, czy nikogo nie brakuje, po czym ruszyła w stronę bramy cmentarza. Dopiero kiedy znaleźli się na chodniku za bramą, podziękowała dzieciom za kulturalne zachowanie i poprosiła o takt i wyczucie, kiedy już Sławek wróci do szkoły.

– Ale to znaczy, że nie możemy o tym rozmawiać? – zapytała Karolina.

Ewa przypomniała sobie, co powiedziała jej kiedyś pewna młodziutka pani psycholog z Zakopanego. Ludzie muszą rozmawiać. Kiedy ich coś boli, mówią o tym, a kiedy coś smuci, płaczą. Tak właśnie powinno być.

– Nie – powiedziała. – Możecie zapytać, jak sobie radzi. I możecie powiedzieć, że wam przykro. To nie powinien być temat tabu.

Marek i Sebastian zaczęli szeptać.

– O co chodzi, chłopcy? – Ewa chciała wiedzieć.

– Nie, nic. – Marek strasznie się zaczerwienił.

– Powiedz.

– Mówię tylko, że mam taką grę, „Tabu”. Bardzo fajna.

Ewa westchnęła. Czasem dziwiła się, że mimo pracy w szkole jest jeszcze normalna. Przecież obcując z dziećmi, które prowadzą takie rozmowy po wyjściu z cmentarza, człowiek jest narażony na regres. Zresztą, może się cofam, tylko tego nie zauważam, pomyślała, a potem mimo woli zaczęła się przysłuchiwać, jak Marek tłumaczy kolegom zasady gry.

Wieczorem włączyła komputer i odczytała maila od mamy.

Kochanie!

Praga okazała się tak urokliwa, jak się tego spodziewałam. Miałam sporo frajdy przy spełnianiu mojego studenckiego marzenia – oczywiście nie odważyłam się zrobić tego przy innych turystach, wróciłam więc w nocy na most i wdrapałam się na ten cholerny murek (omal przy tym nie spadając), po czym siedziałam tam, mając nogami ile wlezie. Mam nadzieję, że to zapamiętam, że nie dorwie mnie tak od razu głupia demencja, bo szkoda by było takiego wspomnienia.

Wiesz, co czułam, siedząc na moście?

Wolność.

Pewnie to głupie. Nie czułam się wolna, mając lat osiemnaście ani dwadzieścia, nie czułam się tak, kończąc studia ani wychodząc za mąż za mężczyznę, którego sama sobie wybrałam. Zresztą później, gdy Tata umarł, a ja sprzedałam dom i przeniosłam się do Krakowa, też nie ował mnie najlżejszy nawet powiew wolności. A teraz, siedząc nad Weltawą, majtałam sobie tymi moimi starymi, pokrytymi żyłakami nogami i nucilałam piosenkę żeglarską, zapamiętaną z czasów studenckich: „To by było całkiem klawo chodzić z Sally nad Weltawą” – jakoś tak to szło. Żałuję tylko, że mnie z tego mostu nie zgarnęła policja, bo jeszcze nigdy nie spędziłam nocy w areszcie.

Wyobrażasz to sobie? Twoja matka całkiem zwariowała.

Kocham Cię, Córeczko. Napisz, co u Ciebie.

Mama

To było jakieś zupełnie szaleństwo, ale Ewie się ono podobało – nie

próbowała nawet udawać, że jest inaczej. Nagle pozazdrościła mamie wszystkiego: tego, że może ona tak po prostu jechać przed siebie, że nie ma żadnych powinności, żadnych zobowiązań. Tego, że już niczego się nie boi i że nikogo nie kocha nieszczęśliwą miłością.

– Mój Boże, co ja właściwie wymyślam! – zachnęła się, kiedy zmywała makijaż i jak zwykle mówiła sama do siebie. – Ja też, jeśli tylko zechcę, mogę rzucić wszystko w diabły i iść, dokąd oczy poniosą. Kto mi zabroni? Dziecko wyfrunęło z gniazda, usamodzielnilo się, nie chce nawet słuchać moich rad. Mężczyzna, którego kocham... No właśnie, problem w tym, że nawet nie wiem, czy wciąż go kocham. A praca? No dobrze, może z tym byłby problem. Jakoś trzeba zarabiać na życie. Pod tym jednym względem mama jest do przodu: ma emeryturę, spore oszczędności, no i sprzedała mieszkanie. Wystarczy jej na lata podróżowania.

Ewa wolała nie nazywać po imieniu swoich najgorszych lęków – że nie będzie żadnych „lat podróżowania”, bo jeśli Barbara naprawdę zaczęła chorować, to prawdopodobnie za kilka miesięcy trafi do szpitala albo zagubi się gdzieś w trasie, nie pamiętając nawet, jak się nazywa.

Rozmyślenia przerwało jej pukanie do drzwi. Rzut okiem w lustro – zdążyła zetrzeć tusz rozmazany mleczkiem. Była już w piżamie, zarzuciła więc na ramiona szlafrok. Pewnie Andrzej, pomyślała, i przez chwilę miała ochotę udać, że nie ma jej w domu. Naturalnie nie zrobiła tego. Owszem, wysłucha, w końcu od czego są przyjaciele; ale to nie będzie dla niej łatwe. Ona też ma swoje uczucia; sprawia jej przykrość słuchanie opowieści o jego nieudanym małżeństwie czy o Alinie, kimkolwiek była.

Otworzyła i zdębiała. W progu stał Jim i radośnie wymachiwał butelką szampana. Wprawdzie w ostatnich tygodniach wpadał od czasu do czasu, ale zawsze wcześniej uprzedzał.

– Czeszcz, Ewa – powiedział.

– O rany, aleś się nabombał.

– Nie, tylko trochę. Mogę wejść? – zapytał, po czym nie czekając na odpowiedź, wtoczył się do holu.

– Dzisiaj okropnie twardo wymawiasz. Całkiem przeginasz w drugą stronę.

– Ty nie zgadniesz, co ja wiem. Kochana, ja mam taką wiadomoszcz, że ty też się nabombasz.

– Mów już normalnie. – Ewa się zdenerwowała. – Wolę twoje dawne „zgadnieś” niż „wiadomoszcz”. To jakiś koszmar.

– To nie powiem. – Jim się obraził i udawał, że chce wyjść, ale pchnęła go leciutko w stronę salonu, więc w końcu wszedł i rozsiadł się na kanapie.

– Od razu zaparzę herbaty, coś mi mówi, że zaraz będzie potrzebna – mruknęła Ewa.

– Dawaj lepiej kieliszki... Kieliszki – poprawił się, doprowadzając ją do wariackiego śmiechu. – Jak się razem napijemy, to ci powiem.

Nie dało się ukryć, że zaciekał ją jak nigdy. Przyniosła wysmukłe lampki do szampana i migdały w czekoladzie, by mieli co pogryzać.

– Opowiadaj – zażądała.

Najpierw Jim mówił o obawach Lucy, że Klaudia jej chyba nie lubi. Potem o powtarzanych na głos afirmacjach. Wreszcie o tym, jak udało im się rozszyfrować słowa, które recytowała sobie Klaudia, aby zaczarować rzeczywistość: *Każdego dnia, z godziny na godzinę, Lucy się we mnie zakochuje.*

– Ale ja wcale nie jestem pewna, czy to jest dobra wiadomość – powątpiewała Ewa. – Klaudia jest wiecznie zakochana, ona po prostu strasznie chce kogoś mieć. Jak Lucy na to zareaguje? Czy to jej do Klaudii nie zniechęci?

– Ewa, ona mi się rozryciała w słuchawkę – powiedział Jim z miną spryciarza. – Z radości. Ty się wcale nie bój, to będzie okej.

Uspokojona, pozwoliła sobie nalać jeszcze jeden kieliszek, a potem kolejny. Kiedy zrobiło jej się wesoło, rozczuliła się do tego stopnia, że z oczu popłynęły jej łzy radości.

– Może wreszcie będzie jej dobrze – powiedziała, pozwalając Jimowi objąć się i przytulić. – Jest taka samotna. Była. – Poprawiła się natychmiast.

Wytarła twarz rękawem.

– W głowie mi się kręci – powiedziała. – Może jednak zaparzę tej herbaty.

– Dlaczego nie? – powiedział filozoficznie Jim. – Tylko ty mi powiedz, bo ja nie rozumiem. Co ci się stało z oczami? Ty wyglądasz jak panda.

Ewa pobiegła do lustra w holu i parsknęła. Walińczyk przyszedł, kiedy akurat zabrała się do demakijażu, a ponieważ zdążyła zmyć tusz tylko z jednego oka, teraz, po tych łzach wzruszenia, drugie miała nieco rozmazane. Nadawało to jej twarzy dziwny wyraz: jedno oko demoniczne, z czarną obwódką – drugie wydawało się przy nim niemal przezroczyste.

– Rzeczywiście panda – zawołała ze śmiechem.

W tym momencie do drzwi znowu ktoś zapukał. Choć Ewa doskonale wiedziała, kto to może być, otworzyła bez namysłu – w szlafroku, ze śladami uśmiechu na ustach, z kieliszkiem szampana w ręce i w dziwnym makijażu, który nadawał jej twarzy zawiadziaki wygląd.

– Widzę, że przeszkadzam – powiedział powoli Andrzej i rzucił spojrzenie w głąb mieszkania, na wiszącą w holu kurtkę Jima.

– Nie, skądże. Wejdz – powiedziała.

To się nie dzieje naprawdę, pomyślała. Tylko w filmach zdarzają się takie idiotyczne sceny, ona z innym facetem, który jest tylko przyjacielem, i wtedy wchodzi on, i wszystko rozumie na opak.

– Chyba jednak nie, tylko zepsułbym ci nastrój – odparł.

– Ale ja bardzo chcę, żebyś wszedł. – Upierała się, ponieważ nie przyszło jej do głowy, co innego mogłaby powiedzieć.

Andrzej jednak odwrócił się i poszedł. Ewa stała jeszcze w otwartych drzwiach, wpuszczając do domu wieczorny chłód, ale mężczyzna się nie odwrócił; nawet zamykając za sobą furtkę, unikał spojrzenia w jej stronę. Ewa wróciła do salonu i usiadła ciężko na fotelu.

– Co właściwie miałam mu powiedzieć? – zapytała płaczliwie. – Że przyszedł Jim i opijamy pierwszą szczęśliwą miłość Klaudii? Że było mi smutno, bo zostałam sama, mama pojechała sobie do Pragi i majta nogami na moście, a ty przyszedłeś z szampanem, no więc czemu by nie?

Jim ukrył twarz w dłoniach.

– Przepraszam, Jimmy, źle to zabrzmiało. Chodzi mi o to, że Andrzej pochował dzisiaj żonę, wiesz? I ten wieczór powinien wyglądać zupełnie inaczej. Bo jeżeli on potrzebował pogadać, to ja tu powinnam być, ale nie z tym szampanem i nie z tobą, przepraszam cię bardzo.

– Nie przeprasaj. Ja nie wiedziałem, że coś się stało z jego zioną.

– Chryste, jak ty zmiękczasz, Jim. Napijmy się jeszcze. Mam dobrą wódkę, cytrynową. Najwyżej nabawimy się bólu głowy. Psia jego mać. Na pohybel wszystkim idiotycznym, zenującym sytuacjom, jakie nas jeszcze w życiu spotkają.

– Co to znaczy „na pohybel”, Ewa?

– Coś takiego jak „mam w dupie” – wyjaśniła, a Jim pokiwał głową ze zrozumieniem.

Kiedy wysiadła z samolotu, poczuła idiotyczne wzruszenie. Zupełnie bez sensu, bo przecież nie wracała z jakiejś długiej emigracji, nie było jej w Polsce raptem miesiąc. Mimo to, idąc Alejami Jerozolimskimi (bo w czasie oczekiwania na pociąg do Poznania postanowiła przejść się trochę po centrum Warszawy), rozglądała się i mrugała zdecydowanie zbyt często, chłonąc w siebie ojczysty język, napisy na sklepach, swojskie hałasy i coś nienazwanego, co unosiło się w powietrzu – albo może wcale się nie unosiło, a Klaudia jedynie sobie to wmawiała.

Pomysł, żeby wróciła i zdała tę nieszczęsną maturę, nie był oczywiście jej, lecz Lucy.

– Zrób to dla mnie – prosiła Walijka. – Kto wie, jakie nam jeszcze pomysły przyjdą do głowy. Może obie zaczniemy studiować? Może tak jak chciałaś, otworzymy klinikę leczenia otyłości? Albo zechcemy robić coś zupełnie innego, przecież jest tyle fantastycznych zawodów.

– Ale żeby robić coś fantastycznego, niekoniecznie trzeba mieć maturę. – Klaudia odbijała piłeczkę, lecz szczerze mówiąc, bez przekonania.

Rzecz w tym, że w głębi serca chciała pozdawać te nieszczęsne egzaminy. Może to była kwestia ambicji, a może wychowania, bo tata zawsze mówił, że człowiek bez matury to albo okaz lenia, albo półgłówka. Tak czy owak, Klaudia postanowiła spróbować. Szczególnie trafił jej do przekonania argument Lucy, że przecież nie ma nic do stracenia.

– Jeśli nie zdasz, to przyjedziesz tu z powrotem, wyłożysz się, wypłaczesz, a ja cię wysłucham i obiecuję, że nie powiem: „Spróbuj jeszcze raz”.

– Dobrze. – Klaudia się roześmiała.

– Ale jeśli zdasz, to też wrócisz? – zapytała Lucy i w tym pytaniu słychać było całą jej niepewność, czy to, co jest między nimi, dzieje się naprawdę.

– Wrócę – szepnęła Klaudia, szybkim ruchem ocierając łzy.

Wzruszała się teraz z byle powodu. Beczała przy piosenkach o miłości, pierwsza lepsza scena w romansidle doprowadzała ją do łez (Lucy miała w swojej sypialni mały telewizorek; lubiły wspólnie obejrzeć sobie coś przed snem). Były to jednak zupełnie inne łzy niż tamte, które zdarzało jej się ronić, gdy była zakochana w Szajbie. Sama miłość także była inna. Tamta miała ponure barwy, więcej w niej było rozpacz niż prawdziwego zakochania. Teraz Klaudia kochała radośnie. Ciągle chciało jej się śpiewać. Tańczyła, zresztą tańczyły obie z Lucy, w chłodne poranki wychodziły bosy na trawę, piły kawę, a potem kręciły się przy akompaniamencie przebojów z lokalnego radia. Pokrywając cegły w przyszłej jadalni kolejną warstwą farby w kolorze kości słoniowej, wyśpiewywały na całe gardło tekst piosenki Lily Allen:

*So you say
It's not okay to be gay
Well I think you're just evil
You're just some racist who can't tie my laces
Your point of view is medieval
Fuck you
Fuck you very, very much
Cause we hate what you do
And we hate your whole crew
So please don't stay in touch*

Kochały się delikatnie i czule. Nie było tak jak z Paulą, żadnej dzikiej, rozpasanej namiętności – wyłącznie tkliwy, delikatny dotyk, tak ostrożny, jakby każda z nich trzymała w dłoniach motyla cudnej urody i obawiała się, że zrobi mu krzywdę. Klaudia czasem płakała od tego dotyku, zupełnie jakby miłość płoszyła wszystkie jej wewnętrzne demony, a te rozpływały się we łzach. Lucy śmiała się, że w życiu nie widziała takiej beksy, ale Klaudia nie wstydziła się swojej nadwrażliwości – w ogóle przy Lucy nie wstydziła się i nie bała niczego.

W Złotych Tarasach znalazła kafejkę, gdzie było kilka wolnych miejsc. Zamówiła espresso, chociaż za nim nie przepadała – potrzebowała jednak czegoś, co pomoże jej unieść ciężkie powieki. Zadzwoiła do Lucy.

– Jeszcze nawet nie jestem w domu, a już tęsknię – poskarżyła się.

– *Easy, baby*, damy radę. Jak będzie bardzo źle, to wsiadam w samolot i lecę do ciebie.

Klaudia wiedziała, że tak się nie stanie, ale na dźwięk samego głosu Lucy, radosnego i spokojnego, zrobiło jej się różnie.

– Wyobrażam sobie, jaką niespodziankę zrobię mamie.

– Chciałabym to zobaczyć.

– Też bym chciała, żebyś zobaczyła. Mogłabyś filmować z ukrycia.

– Jasne. Schowałabym się w twoim plecaku.

– Kocham cię.

– To ja cię kocham. Ucz się tam pilnie i nie chodź na imprezy.

– A ty nie chodź sama do pubu na piwo. I nie urządź beze mnie jadalni.

Chcę przy tym być.

– No, nie wiem. Jak wujaszek z ciotką przyjadą i walną nam jakiś obraz olejny na ścianę...

– Najwyżej się go przewiesi odwrotnie.

– Świetny pomysł. A na drugiej stronie namalujemy coś same.

Mogłyby się tak wygłupiać godzinami. Klaudia westchnęła. Tęskniła coraz bardziej, była coraz bliższa płaczu i w ogóle żałowała, że zgodziła się na tę całą

eskapadę.

W pociągu na szczęście zasnęła i spała niemal przez całą drogę do Poznania – nawet nie zdążyła sobie przemyśleć, co powie mamie. Nigdy nie była szczególnie gadatliwa, nie zwierzała się rodzicom, ale doskonale wiedziała, jak bardzo mama czeka na jakiegokolwiek dobre wieści. Chyba więc jakoś będzie trzeba to z siebie wyrzucić; z drugiej strony Klaudia czuła, że ubieranie tej miłości w słowa odbierze jej jakiś czar – zupełnie jakby związek z Lucy miał się przez to stać mniej subtelny, intymny i ładny.

Może lepiej będzie, jeśli napiszę o tym mamie w mailu, już po wyjeździe, postanowiła w końcu. Ostatecznie przyjeżdżam po to, żeby zdać maturę. Sprawy uczuciowe na razie idą w odstawkę.

Kiedy wreszcie dotarła do domu, przeklinając w duszy własną głupotę, bo zamiast jechać tramwajem wsiadła w taksówkę i odstała swoje w porządnym popołudniowym korku, ze zdumieniem stwierdziła, że mamy nie ma w domu. Cohen popiskiwał z radości, widocznie wyczuł ją przez drzwi. Klaudia obeszła dom dookoła, ale w ogrodzie także nie było nikogo; zresztą tego się spodziewała, skoro pies był zamknięty. Na szczęście mama wystawiła już na taras sofę z rattanu, jako że w Polsce też przyszła wiosna. Klaudia zdjęła buty, położyła się wygodnie i patrzyła w niebo, po którym leniwie płynęły ławice młodych chmur. Dobrze było znaleźć się z powrotem w domu. Pomyślała, że zadzwoni do babci, ale zanim sięgnęła po komórkę, zrobiło jej się tak błogo, tak spokojnie, że znowu zasnęła.

Obudził ją głos dochodzący z salonu przez uchylone okno. To mama obsztorcowała o coś Cohena. Klaudia powoli usiadła i po cichutku założyła buty. Podeszła do okna.

– Bez przesady – mówiła Ewa. – Nie jesteś już szczeniakiem, który sika jak suczka, żeby wyprawiać takie cyrki!

– No właśnie – powiedziała głośno Klaudia.

Chwila ciszy, konsternacja i strach na twarzy mamy, a potem nagły pisk i wybuch szczęścia! Warto było spędzić tyle godzin w podróży, żeby to zobaczyć, usłyszeć i przeżyć, pomyślała dziewczyna. Nigdy jeszcze nie sprawiłam nikomu takiej dzikiej radości. Cudowne uczucie.

Mama obchodziła ją przez resztę dnia, jakby Klaudia była jakimś niezwykle cennym eksponatem. Dotykała jej, przytulała córkę i wciąż na nią patrzyła.

– Wiesz, dobrze jest wyjechać, żeby potem móc wrócić – powiedziała Klaudia, pałaszując sałatkę z rukoli, sporządzoną naprędce, bo w lodówce nie było nic do jedzenia.

– A na długo...? – Mama zaplątała się w tym, o co chciała zapytać. – Zostaniesz na zawsze? Rezygnujesz z tej Walii?

– Nie, mamu. Nie zostanę. Przyjechałam, żeby jednak spróbować z tą maturą. A potem wracam.

Ewa odetchnęła z ulgą.

– Można by pomyśleć, że zmartwiłabyś się, gdybym została – zażartowała Klaudia. – Masz jakieś plany, wprowadza się tu jakiś amant czy jak?

– Nie, tylko... Zupełnie nie o to chodzi. Po prostu byłoby przykro, gdybyś... Gdyby między tobą a Lucy coś poszło nie tak. Bo kiedy cię zobaczyłam...

– Mamu! Ty coś wiesz?!

– No wiem. – Teraz już Ewa miała na policzkach ogromne wypieki. – Jim mi opowiedział.

– Wy świntuchy! Plotkarze! To ja całą drogę rozmyślam, jak ci o wszystkim opowiedzieć, a ty obgadujesz moje intymne sprawy z tym rudzielcem?! – Klaudia śmiała się, czując, jak z serca spada jej kolejny kamień.

Była szczęśliwa. Chyba po raz pierwszy, odkąd przestała być małą dziewczynką, poczuła, że tak, o to jej właśnie chodziło, niczego by nie zmieniła, nikomu nie zazdrości i niczego się nie boi. Jest tym, kim chce być. Żyje życiem, jakie sama sobie wybiera, i nawet jeśli te wybory czasem są trudne, to przecież należą tylko do niej.

Tęskniła za Lucy, ale dobrą tęsknotą, taką, za którą stała pewność, że gdzieś ktoś na nią czeka. Nie można mieć wszystkiego naraz, pomyślała. Ale można mieć różne rzeczy po kawałku, po trochu, jeśli tylko umie się czekać. Tak jak mówiła babcia.

– A wracając do amanta – powiedziała Klaudia, podnosząc się, by wstawić wodę na herbatę. – Co słuchać u Andrzeja?

– Nic dobrego. – Twarz mamy ściągnęła się, znikł z niej ten wyraz beztroski i radości. – Pamiętasz, Andrzej stracił przyjaciółkę, Alinę. Opowiadałam ci o niej. To znaczy ja właściwie sama niewiele wiem. A teraz jeszcze pochował żonę...

Jadąc w odwiedziny do taty, Klaudia jeszcze raz przetrawiała historię opowiedzianą przez mamę. Usiłowała wyrzucić z niej emocje, odsiać to, co wywoływało zamęt w myślach, i po-układać sobie w głowie na chłodno – co z tego wynika dla mamy.

Najpierw żona Andrzeja. Nie kochali się od dawna i – o ile Klaudia dobrze rozumiała sytuację – mieli w planach rozwód. To znaczy od momentu, gdy okazało się, że to nie Andrzej jest ojcem dziecka. Swoją drogą, trzeba mieć tupet, żeby zaplanować i przeprowadzić taką akcję, przyszło jej do głowy, ale zaraz zganiała się za takie myśli, bo przecież tamta kobieta nie żyła i nie należało źle o niej myśleć. Tak czy owak, zdaniem Klaudii, jakkolwiek śmierć pani Wójcik była smutna i tragiczna, to największym problemem stawała się teraz sytuacja emocjonalna tego chłopca, Sławka. Bo o ile już wcześniej byłoby trudno, to dziś powiedzenie mu:

„tatuś znalazł sobie nową kobietę i zupełnie przypadkiem jest to twoja wychowawczyni” – jest po prostu niemożliwe.

Druga sprawa: ta cała Alina. Kimkolwiek była, nie żyje. Czyli teoretycznie, rzecz ujmując sucho, zimno i bez skrupułów, nie była już dla mamy rywalką. Ale paradoksalnie to, że nie żyje, oznaczało też, że nie można z nią wygrać. Nie można pokazać Andrzejowi: spójrz, Ewa jest mądrzejsza, ładniejsza, lepsza, bardziej kobieca, ideał po prostu. Nie da się konkurować z kimś, kto jest tylko wspomnieniem, w dodatku – jak każde wspomnienie – wyidealizowanym.

Klaudia westchnęła. Teraz, kiedy sama była szczęśliwie zakochana, bardzo chciała, żeby jej bliscy również znaleźli szczęście. Niestety, wszystko się paskudnie pokomplikowało. Wyglądało na to, że bycie hetero wcale nie gwarantuje powodzenia w życiu uczuciowym.

Igorek ją pamiętał. Na jej widok roześmiał się radośnie, a potem schował buzię w poduszkę i robił „a kuku” chyba tysiąc razy, a wzruszona siostra cierpliwie udawała, że szuka i znajduje go, rozćwierkanego i szczebioczącego „Kada, Kada”, co wszyscy zgodnie uznali za jej imię.

Wszyscy – czyli tata i pani Hanna. Klaudia marszczyła z niezadowoleniem nos, widząc, jak ta nowa opiekunka Igora szarogęsi się w domu ojca. Poza tym wyraźnie go podrywała! Klaudia nie była ślepa; dostrzegала powłóczyście spojrzenia, jakimi Hanna obdarzała Mirka. W dodatku wciąż podsuwała mu pod nos jakieś smakołyki. Dziewczyna uznała, że ta kobieta ma nieczyste zamiary: chce rozbić małżeństwo taty, a -metoda, którą przyjęła, była stara jak świat – przez żołądek do serca.

Żeby zrobić temu babsku na złość, Klaudia wciąż pytała o Tanię. Tata okazał pewne zniecierpliwienie; wydawało się, że jest o coś zły na żonę. Oho, co tu się porobiło podczas mojej nieobecności, pomyślała jego córka. Trzeba działać. Nie po to obmyślałyśmy z mamą strategię wyciągania Tatiany z dołka, nie po to ją odchudzałam, żeby teraz to wszystko rozsypało się jak domek z kart. Igorek musi mieć rodzinę – skoro już moja się rozpadła, to niech chociaż on ma szczęśliwe dzieciństwo.

Pamiętała, gdzie znajduje się stare mieszkanie Tani, toteż wkrótce pożegnała się, obiecując, że przyjedzie w sobotę pobawić się z braciszkiem, po czym pojechała na osiedle Orła Białego, aby porozmawiać z Tatianą.

Kiedy wysiadła z windy i podeszła do drzwi, usłyszała głosy. Wydawało jej się, że rozmawiają dwie osoby i zawahała się, czy powinna pukać i przeszkadzać, ale po chwili dotarło do niej, że nie, to tylko Tatiana. Mówiła coś po rosyjsku, śpiewnie, z mocną, egzaltowaną intonacją. Klaudia nie znała rosyjskiego, ale niektóre słowa nietrudno było zrozumieć, zwłaszcza powtarzane raz po raz: „ja nie magu”.

Dziewczyna stała jeszcze przez chwilę, niepewna, co powinna zrobić, w końcu jednak odważyła się i zapukała. Tania otworzyła niemal natychmiast, widocznie musiała prowadzić rozmowę, stojąc w przedpokoju. Była zarumieniona, w oczach miała łzy, a w dłoni ścisnęła komórkę. Rzuciła coś po rosyjsku do słuchawki, po czym rozłączyła się i uśmiechnęła szeroko.

– Klaudia – powiedziała miękko, wciąż jeszcze z tym wschodnim zaśpiewem. – Przyjechałaś do mnie?

Uściskały się serdecznie i poszły do pokoju, ale ponieważ było tam tylko jedno krzesło i biurko, usiadły na podłodze. Tania zaparzyła im wspólną kawę, którą piły na zmianę z czerwonego kubka z wytartym już niemal zupełnie napisem *Nescafe*.

– Opowiadaj, jak ci tam jest – poprosiła Tatiana, ale Klaudia zbyła ją kilkoma zdaniami, że dobrze i że jednak chce zdać maturę.

– Stęskniłam się za Igorem – dodała, uważnie obserwując twarz Tani. – Pojechałam do was i wyobraź sobie, że mnie poznał. Aż się pobecałam.

– Bo on jest takim mądrym chłopczykiem. – Dumna matka się rozpromieniła. – Zaczyna mówić i je teraz lepiej, i śpi.

– Nadal usypia go tatuś?

– Tak, ale potem już mały zostaje sam w swoim pokoiku. Przesypia całe noce. Pomyśleć, że kiedyś wydawało mi się to niemożliwe.

– A ta opiekunka? Sprawdza się?

– Tak – odparła Tatiana, ale odwróciła wzrok. – Ja za nią jakoś nie przepadam, wiesz, ale chyba jest w porządku. Czasem mam wrażenie, że ona celowo dodaje do wszystkiego mąkę, żeby ja nie mogła jeść. Jakby uważała to za moje fanaberie.

– Nadal przestrzegasz diety? – Klaudia się ucieszyła. – Nawet kiedy tu siedzisz i tłumaczysz, nie podjadasz żadnych ciastek?

Tatiana wyraźnie się ożywiła.

– Tutaj to ja w ogóle nic nie jem, tylko piję kawę albo zieloną herbatę. Pracuję nad kolejną książką... – Wstała i pokazała Klaudii oryginał. – To jest bardzo zdolny pisarz, Oleg Berukow, moim zdaniem absolutne odkrycie, zobaczysz, jeszcze będzie o nim głośno.

Mówiąc o Olegu, dostała wypieków. Pokazała Klaudii fotografie pisarza z internetu i swój przekład, a nawet odczytała z komputera kilka akapitów. Opowiadała, że Oleg jest taki wycofany, że miał traumatyczne przeżycia w dzieciństwie i teraz trudno mu się otworzyć, a tu wywiady, dziennikarze mu życie nie dają. Chyba będzie musiała pojechać na targi do Warszawy, żeby mu jakoś pomóc, bo on się zupełnie w sobie zamknie, tylko ona jedna go zna tak dobrze.

Klaudia zakłęta w myślach. To, co widziała, podobało jej się jeszcze mniej niż pani Hanna i jej kulinarne podchody do taty. Czy oni zupełnie powariowali?

Naprawdę nie widzą, że wszystko im się rozłązi w szwach, że jeśli nie zaczną ratować tego związku, to niedługo z całej tej wielkiej miłości nie zostaną nawet pojedyncze nitki?

W domu cierpliwie zniosła kolejny wybuch czułości mamy, po czym obie zajęły się przyrządzaniem jajek z łososiem.

– Mamuś, jak ty to widzisz: kiedy ludzie zaczynają się ze sobą nudzić, no wiesz, ich miłość powoli umiera, to jak to najlepiej scementować?

– O czym ty mówisz? – Ewa się przeraziła. – Już się nudzisz z Lucy?!

– Nie, ja pytam czysto hipotetycznie. Bo wiesz, tyle się słyszy o tym, że uczucie trzeba pielęgnować, że trzeba je podsycać i tak dalej.

– Tak, słyszy się – mruknęła Ewa sceptycznie. – I co z tego?

– Mogłabyś wykrzesać z siebie nieco entuzjazmu! Córka pierwszy raz w życiu pyta cię o takie sprawy, a tobie się nie chce pomyśleć.

– Nie o to chodzi, że mi się nie chce. – Ewa zaciekle siekała koperek. – Rzecz w tym, że nie jestem mistrzynią w tym temacie. Sama nie umiałam utrzymać zainteresowania taty, nie zauważyłaś?

Klaudia chciała powiedzieć: „Ale umiałaś utrzymać miłość Andrzeja”, lecz w porę przypomniała sobie o tajemniczej Alinie. To chyba nie byłaby dobra kwestia.

– Wiesz, teraz, jak tak o tym myślę – podjęła Ewa – to przychodzi mi do głowy stara, dobra zazdrość. Pamiętasz? Był taki czas, że nie mogłam się zdecydować, czy rozstać się z Jimem. Skoro mogłam mieć ich obu, to po co wybierać, chyba tak jakoś głupio rozumowałam. Właśnie wtedy po raz pierwszy usłyszałam od Sławka o tej jakiejś Alinie, i omal mnie szlag nie trafił. Od razu wiedziałam, kogo naprawdę chcę.

Klaudia patrzyła na nią szeroko otwartymi oczami.

– Tyle że już było za późno i całe to moje podjęcie decyzji można sobie było o kant tyłka rozbić. Bo potem żona Andrzeja trafiła do szpitala i wszystko się pokomplikowało – zakończyła mama i zamyśliła się głęboko.

Jej córka też intensywnie myślała.

Po wieczornej rozmowie z Lucy i ponownym przemyśleniu słów mamy następnego ranka Klaudia miała już pewien plan. Nie wiedziała, czy ma on jakikolwiek sens, postanowiła jednak spróbować. Uznała, że zarówno Tania, jak ojciec potrzebują terapii wstrząsowej.

Najpierw zajęła się swoimi sprawami, pojechała do szkoły, poprosiła o rozmowę w cztery oczy z wychowawczynią i powiedziała jej, że nie była w stanie dłużej znosić napiętej atmosfery wokół swojej osoby po tym, jak wynikła sprawa studniówki. Nauczycielka przyznała jej rację, że w takiej -sytuacji lepiej, aby uczyła się w domu, i ży-czyła powodzenia.

Klaudia rzeczywiście pouczyła się trochę w czytelni Bi-blioteki Raczyńskich, a kiedy minęła pora obiadowa, pojechała do mieszkanki Tatiany.

– Wybieram się właśnie do taty – powiedziała. – Pomyślałam, że może pojedę z tobą.

Tatiana zbierała myśli, najwyraźniej nie wiedziała, jak wybrnąć. W komputerze miała otwarty program pocztowy.

– Ja jeszcze nie wracam – powiedziała po chwili. – Jeszcze troszkę posiedzę nad tym przekładem. Musimy się z Olegiem naradzić co do kilku końcowych akapitów. A potem jadę do lekarza, wiesz, mam ostatnio jakieś problemy ginekologiczne. Krwawienia mi się przedłużają.

Prawdopodobnie kłamała, ponieważ policzki jej się zaróżowiły i nie wiedziała, co zrobić z rękami.

– Szkoda – westchnęła Klaudia. – Miałam nadzieję, że we dwie przepłoszymy tę panią Hankę. Nie podoba mi się ten babsztyl.

Tatiana podniosła brwi, nie rozumiejąc, do czego dziewczyna zmierza.

– Ona wyraźnie dostawia się do taty – wyjaśniła Klaudia. – Wiesz, tu kawusia, tam koniaczek, tu ciasteczko. Może jeszcze sosiku, Mirku, może ziemniaczka. Znasz mężczyzn, wiesz, jacy oni są. Żeby ci go nie sprzątnęła sprzed nosa.

Tania wydawała się poruszona.

– W dodatku to jest jakaś manipulantka – ciągnęła Klaudia, postanawiając iść za ciosem. – Ćwierka do Igorka, nosi go bez przerwy, tui, tui, tui. Ja bym jej nie ufała.

– Ale co masz na myśli?

– Oj, Taniu, przecież wiesz. Mówię to zupełnie bez złośliwości: mama też kiedyś nie zauważyła, że coś się zaczyna dziać, no i pamiętasz, jak to się skończyło.

– Ależ to zupełnie inna sytuacja – obruszyła się tamta.

– No nie wiem, jak uważasz. Tak czy siak, nie lubię tego babska. A teraz nie będę ci przeszkadzać, pracuj sobie. Ja podjadę do taty, a potem wracam do nauki. Zajrzę do was w sobotę, pa!

I Klaudia wyszła, zostawiając Tanię z bardzo głupim wyrazem twarzy.

Ojciec jadł właśnie gęstą zupę koperkową. Pachniała prze-cudnie.

– Siadaj, Klaudus, zjedz z nami – powiedział na widok córki. – Haniu, skąd tyle kopru o tej porze roku? Te pęczki w warzywniaku jakieś takie rachityczne...

– A skąd ty wiesz, jaki jest koperek w sklepie? Twoja żona nie robi zakupów? Ty musisz sam...? – Hanna się zdziwiła.

– Przecież ona później wraca – odpowiedział tata, a opiekunka pokręciła głową i cmoknęła z niezadowoleniem.

W Klaudię jakby wstąpił diabeł.

– Tato, chciałabym z tobą porozmawiać – zaczęła. – Na osobności.

Bezczelnie wlepiła wzrok w panią Hankę. Tamta stropiła się i wytarła ręce w ściereczkę.

– Już się zbieram, skoro nie jestem potrzebna. Tylko naleję ci zupy...

– Nie trzeba – przerwała Klaudia nieuprzejmie. – Gdybym miała ochotę, już bym sobie naląła. Mnie nie trzeba obsługiwać.

Ojciec spojrział na nią zdumiony. Dziewczyna umilkła i czekała. Urażona opiekunka zdjęła fartuch, poszła po torebkę i płaszcz, po czym pożegnała się i wyszła. Z pokoju dziecięcego dobiegało gaworzenie Igora.

– Co cię ugryzło?!

– Chciałam z tobą porozmawiać, to wszystko – powiedziała Klaudia milutkim głosem, jakby nie rozumiała, o co mu chodzi. – Pani Hanka nie należy do rodziny, a to będą nasze rodzinne sprawy.

– Aha, jasne.

– Chodzi o Tatianę.

Tata umilkł i przez chwilę poświęcał całą uwagę grubszej łydźce koperku, którą usiłował złowić na łyżkę.

– Po pierwsze, ona ma jakieś problemy zdrowotne. Gineko-logiczne. Martwię się o nią. A po drugie, wiesz, wydaje mi się, że ten pisarz ją uwodzi – wypaliła Klaudia.

Wzrok i wyraz twarzy ojca upewniły ją, że to był strzał w dziesiątkę.

Kiedy wieczorem opowiedziała o wszystkim mamie, ta wybuchnęła. Klaudia jeszcze nie widziała jej takiej wściekłej.

– Coś ty narobiła?! – grzmiała mama. – Zdajesz sobie sprawę, jakie mogą być skutki takich głupich podstępów? A jeśli oni teraz zaczną się kłócić, zamienią życie twojego braciszka w piekło? Jeśli się rozejdą z tak głupiego powodu? Nie wolno niszczyć zaufania między ludźmi!

– Wiem, mamo. Ale ktoś musiał im otworzyć oczy!

– Tylko że ty nikomu nie otworzyłaś oczu. Nie powiedziałaś prawdy, lecz to, co ci się wydaje prawdą. Żadnych faktów, a jedynie podejrzenia, przypuszczenia! To paskudne!

– Nie zgadzam się z tobą! Wyciągnęłam wnioski z tamtej historii sprzed lat. Powinnam była od razu powiedzieć ci prawdę, kiedy tylko przyłapałam tatę z Tanią po raz pierwszy.

Mama na chwilę straciła rezon.

– Wcale nie jestem pewna, że powinnaś była – odparła wreszcie. – Pewnie by to we mnie trzasnęło jak obuchem. Kto wie, kim bym dzisiaj była.

– A może zaczęłabyś walczyć o to małżeństwo? Może dziś bylibyście

kochającą się parą?

Ewa spojrzała na nią w zamyśleniu.

– Może i tak – rzekła. – Ale nadal uważam, że zachowałeś się wstrętnie i powinnaś to jakoś odkręcić.

Klaudia zrobiła minę winowajczynie.

– Postaram się – obiecała, lecz w głębi duszy uśmiechnęła się przebiegle.

Nie miała najmniejszego zamiaru niczego odkręcać.

Jim wyszedł ze sklepu rybnego. Było sobotnie przedpołudnie, ale zajęcia w szkole językowej zostały odwołane z powodu awarii instalacji elektrycznej. Miał więc cały weekend tylko dla siebie. Wyspał się porządnie, potem poczytał w łóżku siarczysty kryminał, a wreszcie postanowił upiec sobie pstrąga z masłem i czosnkiem. Kilka dni temu znalazł przepis na rybę na blogu swojej siostry; od tego czasu chodził za nim ten smak – albo raczej wyobrażenie smaku.

Wsiadł do samochodu, wyjął z kieszeni telefon i wybrał numer Lucy.

– *Sis*, co muszę mieć, żeby upiec pstrąga? Bo właśnie robię zakupy. Mam rybkę, czosnek i masło...

– Koperek, pietruszka i tymianek. Bez tymianku może być, ale bez koperku i natki ani rusz. To się wkłada do środka razem z masłem i czosnkiem.

– A widzisz, zapomniałbym o zieleninie.

– No i folia aluminiowa.

– Tak, tak. Jeszcze folia. W takim razie muszę iść do jakiegoś większego sklepu, żeby kupić wszystko za jednym zamachem. Dzięki.

– Dobry jest też kolorowy pieprz.

– Tak, pamiętam. Mam go w domu. A powiedz – Jim zmienił ton – co u ciebie? Wszystko dobrze?

– Dobrze – westchnęła Lucy, ale jakoś lekko; w jej głosie nie było smutku. – Tęsknię za Klaudią jak wariatka. W ogóle nie wiedziałam, że można tak za kimś tęsknić.

– Można, można.

– Po co ja ją namawiałam na te egzaminy?

– Bardzo dobrze zrobiłaś. W Polsce matura jest ważna. Gdyby miała kiedyś wrócić... – Urwał, ponieważ uświadomił sobie, jak to zabrzmiało.

– Mam nadzieję, że jeśli wróci, to weźmie mnie ze sobą – szepnęła Lucy.

Jim odniósł wrażenie, że jego siostra za chwilę się rozplacze, lecz na szczęście powiedziała już raźniej:

– No dobra, Jimmy, to ty się bierz za te zakupy, a ja wracam do pracy. Sadzę dla Klaudii drzewo.

– Drzewo?

– No, na razie to raczej drzewko, ale mam nadzieję, że się pięknie rozrośnie.

Znalazłam to cudo w centrum ogrodniczym i się zakochałam. Wyobraź sobie, że kwitnie tak, jakbyś posmarował gałązki klejem i obsypał drobnymi kwiatuśkami. To znaczy na zdjęciu tak kwitnie, bo ten nasz egzemplarz jest jeszcze malutki.

Wizja drzewa posmarowanego klejem wcale nie zachwyciła Jima, wysłuchał jednak uprzejmie zachwytów siostry, a następnie pożegnał się i pojechał do najbliższej Biedronki. Szukał właśnie tymianku na półce z ziołami, kiedy usłyszał znajomy głos.

– Cześć, Jim. – To była Renata, kursantka ze szkoły „Ready to Speak”. – Widzę, że postanowiłeś spędzić wolną sobotę w kuchni?

Pokiwał głową. Dziewczyna zajrzała mu do koszyka, a widząc tylko pęczki koperku i natki pietruszki, zapytała:

– Przeszedłeś na weganizm?

Wyglądała ślicznie, miała na sobie wiosenną sukienkę i rozpięty kremowy trencz. Jim mimo woli zajrzał jej w dekolt, a potem jego spojrzenie samo powędrowało ku nogom. Nigdy wcześniej nie zauważył, że są takie zgrabne.

– Ja chcę upiec pstrąg w folii – wyjaśnił. – A właśnie, folia aluminiowa. O mały włos bym zapomniał. Tak się mówi? „Mały włos”?

– Dokładnie tak. Coraz lepiej mówisz po polsku. A folia jest tam. – Renata wskazała ręką. – Tylko nie bierz tej najtańszej, bo okropnie się rwie.

Poszli razem w stronę regału z folią i papierem śniadaniowym.

– Ty często gotujesz? – zapytał.

– Dosyć – odparła dziewczyna. – Jak się ma taką liczną rodzinę, to człowiek właściwie bez przerwy coś pichci albo szykuje. Chociaż teraz i tak jest łatwiej, bo siostry podrosły i pomagają.

– To ile masz? – zapytał z zawstydzającą świadomością, że nie potrafi poprawnie odmienić wyrazu „siostra”. – Te siostry, ile?

– Cztery – wyjaśniła zdziwiona, jakby uważała, że powinien pamiętać.

Jim uświadomił sobie, że rzeczywiście kilkakrotnie rozmawiali na zajęciach o swoich rodzinach – tyle że on nigdy nie zwracał większej uwagi na Renatę. Całe jego zainteresowanie do niedawna skupiało się na Ewie.

– I jeszcze bracia, tak? – zapytał niepewnie, bo faktycznie przypomniało mu się, jak opowiadała o rodzeństwie.

– Tak, dwóch byczków. Jeden będzie się żenił w przyszłym roku, drugi marzy o studiach, ale najpierw musi sobie na nie zarobić.

– Fajnie. Wesole.

– Dlaczego? – Dziewczyna nie rozumiała, najwyraźniej pomyślała, że „wesole” jest to, co mówiła o braciach.

– Wesole mieć taką liczną rodzinę. – Jim znowu zaczął zmiękczać głoski, jak dawniej przy Ewie, i nie wiedzieć czemu, zarumienił się z tego powodu. – Ja w Walii też mam liczną.

– Ale masz tylko jedną siostrę? – upewniła się Renata, a jemu zrobiło się przyjemnie, że pamięta takie rzeczy.

– Jedną, Lucy. Ale za to dużo ciotków, wujków i kuzynów.

Rozmawiali jeszcze dobre pół godziny, opowiadając sobie o spotkaniach w rodzinnym gronie oraz zabawnych dziwactwach dalszych i bliższych krewnych. Wreszcie dotarło do nich, że inni klienci fukają na nich z niezadowoleniem, ponieważ blokowali dostęp do półek. Wtedy, spłoszeni i przepraszająco uśmiechnięci, poszli wreszcie do kasy, a kiedy Renata pakowała swoje zakupy do reklamówek, Jim zaofiarował się z pomocą, zwłaszcza że dziewczyna miała zepsuty samochód i zamierzała jechać z tymi pakunkami dwa przystanki tramwajem.

– Nie ma mowy – powiedział. – Podwiozę cię, przecież to ziaden kłopot.

– W takim razie wejdiesz na kawę – powiedziała Renata kategorycznie. – Przy okazji będziesz arbitrem kulinarnym. Amelka właśnie dzisiaj piecze swój pierwszy sernik. Ona jest w szóstej klasie, to jej cukierniczy debiut. U nas wszyscy uwielbiają domowe ciasta.

– Ja też uwielbiam domowe ciasta – odparł Jim, kładąc rękę gdzieś między sercem a żołądkiem, zupełnie jakby nie był pewien, w którym z tych miejsc poczuł przyjemniejsze ciepło.

Wieczorem zadzwoniła Lucy, żeby zapytać, jak się udał pstrąg.

– Rewelacja! – powiedział Jim z entuzjazmem. – Bałem się, że dałem za dużo czosnku, ale wyszło idealnie!

– W przepisie były dwa ząbki.

– Ja dałem cztery, jakoś tak miałem dziś ochotę na wyrazisty smak. Pieprzu też sypnąłem sporo, ale na szczęście nie przedobrzyłem.

– Brzmisz zupełnie inaczej niż przed południem – zauważyła Lucy. – Coś się wydarzyło?

– Nie, nic szczególnego – odparł Jim wymijająco. – Nic poza tym, że miałem wolną sobotę.

– W takim razie chyba dodałeś do tego pstrąga jakiś sekretny składnik. Łyzeczkę optymizmu, kropelkę radości życia albo coś w tym stylu.

Kiedy Lucy się rozłączyła, Jim wrócił do sprzątanía swojej kawalerskiej kuchni. Radości życia to może nie, pomyślał, optymizm też nie jest tym sekretnym składnikiem. Ale coś jakby nadzieja. Tak. Odrobinka nadziei, że ta wiosna przyniesie mi coś szczególnego. To był pstrąg ze szczyptą nadziei.

Maj

Ewa wyprostowała się i przez chwilę masowała sobie plecy. Nie te lata, pomyślała. Kiedyś mogła godzinami siedzieć w pociągu w tej samej pozycji, spać w namiocie bez materaca i dźwigać plecak na obozach wędrownych. Teraz dwie godziny pracy w ogródku i już człowiek stęka z bólu.

Odkąd rozstała się z Mirkiem, zamieniła nowoczesny, elegancki ogród w jedną wielką rabatę kwiatową – pstrokatą i nieco bałaganiarską, ale piękną o każdej porze roku. Teraz, w połowie maja, przekwitwały już poduchy floksów, kwiatuszki traciła też jabłoń ozdobna, ale za to pod żywopłotem, w cieniu, zaczynał się prawdziwy festiwal azalii i różaneczników. Po drugiej stronie zaczynały kwitnąć bodzisзки, lawenda zieleniła się od nowych przyrostów, a wszystkie róże miały już maleńkie pączki!

Cohen wygrzewał się na tarasie, łaskawie pozwalając Klaudii drapać się za uchem.

– Lucy pisze, że ciotka Bonnie dorwała tych naszych budowlańców i zmusiła ich, żeby oddali pieniądze – zawołała dziewczyna i kliknęła coś w otwartym laptopie. – A w międzyczasie zatrudnili z wujkiem jakiegoś Steve’a, który robi nam taras.

– Fajnie – odparła Ewa. – Ten domek jest kamienny?

– Ceglany, i taras też ma taki być. Na tarasie będzie kilka stolików, tylko wiesz, ja wcale nie jestem pewna, czy ktokolwiek będzie tam chciał jeść. W Walii prawie codziennie pada. A wieje czasem tak, że głowę potrafi urwać.

– Ale mówiłaś, że jest widok na morze?

– No, jest.

Ewa się rozmarzyła. Kiedyś, gdy już... No właśnie, gdy co? Gdy już będzie na emeryturze? Gdy już będzie stara? Co za bzdura! W każdym razie – kiedyś pojedzie do takiego hoteliku na skraju klifu i spędzi tam cudowny urlop. Zabierze ze sobą wszystkie książki, na których przeczytanie nie miała czasu przez ostatnie kilka lat – i będzie czytać, spacerować, robić piękne zdjęcia i znów czytać.

Zapisała się ostatnio do klubu fotograficznego. Była dopiero na dwóch spotkaniach, ale zdążyła połknąć bakcyła. Kupiła sobie nowy aparat marki Nikon i zamierzała wypróbować swoje umiejętności na wycieczce w przyszłym tygodniu. Wybierała się z klasą do Krakowa i Zakopanego, liczyła więc na to, że ciekawych obiektów nie zabraknie.

Rozmyślenia przerwał jej dzwonek do furtki. Klaudia podniosła głowę znad laptopa z niemym zapytaniem, czy ma iść otworzyć.

– Siedź, ja pójdę. – Ewa machnęła do niej. – I tak muszę sobie zrobić przerwę, bo mi krzyż pęknie.

Zdjęła rękawice i poszła zobaczyć, kto dzwoni. Przy furtce stał Jim. Ewa zdziwiła się, bo nie odwiedzał jej od dnia pogrzebu Żanety Wójcik. Spotykali się wprawdzie na kursie językowym, ale dla obojga w pewien sposób dla obojga było jasne, że nie powinni się już odwiedzać. W każdym razie nie bez uprzedzenia.

– Cześć, Ewa – zaczął Walijczyk. – Chciałem zapytać, kiedy Klaudia wyjeżdża, bo może zawiozłaby parę drobiazgów dla Lucy.

– Czemu nie zadzwoniłeś? – Zdziwiła się. – Taki kawał drogi jechałeś, żeby zapytać? Wejdz, napijemy się czegoś zimnego. Klaudia jest na tarasie.

– Nie, nie. – Jim się spłoszył. – Ja tylko zapytam. Zapytałem.

Najwidoczniej nie mógł się zdecydować, jakiego czasu gramatycznego użyć.

– Nie wiem, kiedy dokładnie jedzie – odpowiedziała coraz bardziej zdumiona Ewa. – Ma jeszcze tylko jeden egzamin, z biologii. Ale zostanie parę dni dłużej, żeby przypilnować psa, bo ja jadę z klasą na wycieczkę. Poza tym kończy kurs prawa jazdy.

– Aha, rozumiem.

Stał przez chwilę, niezdecydowany.

– Wejdz, Jimmy – poprosiła Ewa. – Nie wygłupiaj się.

– Nie, naprawdę nie trzeba. Jeszcze tylko... Chciałem ci powiedzieć, że spotkałem się z Renatą. Zepsuł jej się samochód i ja ją podwiozłem. Zaprosiła mnie i jadłem sernik. I potem drugi raz, prawdziwa randka. – Jak zwykle, gdy zaczynał mówić spontanicznie, popełniał więcej błędów. – Ona ma duzią -rodzinę, ty wiesz? Chciałem ci powiedzieć, że... podoba mi się.

Renata czy rodzina, chciała zapytać Ewa, ale nic nie powiedziała. Renata rzeczywiście była bardzo atrakcyjna, choć sporo młodsza od Jima, ale to przecież żaden problem.

– Ty nie jesteś uraziona?

– Daj spokój, Jim! Bardzo się cieszę. Mam nadzieję, że pójdziemy gdzieś to uczcić. Całą grupą.

– Ale to może nie teraz. – Spłoszył się nieco. – Jeszcze za wcześnie.

– Tak czy owak, bardzo się cieszę. Bardzo bym chciała, żeby ci się udało. Żeby ona cię pokochała tak, jak na to zasługujesz. A co do Klaudivii, jak już ustalili termin wyjazdu, damy ci znać.

– Ewa...

Najwyraźniej chciał jeszcze o czymś pogadać.

– Może jednak wejdiesz, Jim.

– Nie, nie. Ale powiedz mi: Anziej przyszedł? Pogodził się?

– Pogodził, pogodził.

– To dobrze.

Guzik dobrze. Wcale nie przyszedł, nie pogodził się. Zresztą przecież się nie

pokłócili, po co więc byłoby się godzić. W maju pojawił się na wywiadówce, porozmawiali o sytuacji Sławka, który – jak należało się spodziewać – zupełnie stracił zapal do nauki, ale pod innymi względami wyglądało na to, że nieźle sobie radzi.

– A ty? – zapytała wtedy Ewa. – Jak sobie radzisz?

Andrzej wzruszył ramionami. Nie patrzył jej w oczy, a ona nie zdobyła się na to, żeby zadać kolejne pytania: czy kochał tę Alinę, czy Żaneta o niej wiedziała, czy on się czuje winny. Andrzej też o nic nie pytał, ani o Jima, ani o Klaudię. Rozmowa im się nie kleiła i chyba oboje odetchnęli z ulgą, gdy się wreszcie pożegnali.

Ewa pomachała Walijczykowi na do widzenia, westchnęła i weszła do domu, żeby zrobić sobie i córce wczesną kolację. Przygotowała sałatkę z serem feta oraz czarnymi oliwkami, a potem włączyła komputer, żeby sprawdzić, czy nie ma -listu od mamy. Ostatnie wieści dostała od niej jakiś tydzień temu i już zaczynała się martwić.

Na szczęście mail był, w dodatku ze zdjęciami.

Cześć, Kochanie,

wiem od Klaudii, że świetnie jej poszedł angielski, reszta egzaminów też chyba w porządku, prawda? Bardzo to przeżywasz? Pamiętam, że gdy Ty zdawałaś maturę, dostałam kompletnego rozstroju żołądka.

Szybko napiszę Ci, co u mnie, bo czeka na mnie mój nowy znajomy, Minoru. Chce mi pokazać swój ogród, w każdym razie tak mi się wydaje, bo porozumiewamy się głównie na migi.

Ostatnio pisałam z Alp Bawarskich i mówiąc szczerze, miałam zamiar pojechać do Prowansji, a potem do Włoch, ale spotkałam przemitych Polaków, którzy mieszkają w Podgoricy i zabrałam się z nimi do Czarnogóry. Kiedyś już tu byłam i zachowałam w pamięci widok niezwykłych, głębokich kanionów, a ponadto najstarsze drzewo oliwne w Europie – Starą Maslinę. Okazało się jednak, że przy tym pierwszym pobycie przegapiłam piękne Jezioro Szkoderskie i podobno jedno z najbardziej urokliwych miasteczek tej części Europy – Kotor. Uznałam więc, że po prostu muszę je zobaczyć.

No i jestem. Jezioro Szkoderskie już zobaczyłam i wiem, że muszę tu wrócić latem. A może po prostu zostanę do lata? To bardzo kusząca opcja, zwłaszcza że rakija jest taka dobra...

Z Podgoricy pojechałam autostopem do Baru, żeby zwiedzić tamtejsze ruiny, a potem zasiedziałam się na plaży, zbierając płaskie kamyki. Nie masz pojęcia, jakie są piękne: zielone, czerwone i białe. Zrobiłam kilka zdjęć, ale nie oddają wiernie odcieni. Tak czy owak, na tej właśnie plaży spotkałam przesympatycznego Czarnogórcę, który – jak się okazało – kiedyś przez pewien czas pracował w Polsce (jaki ten świat jest jednak mały), i w ten sposób znalazłam idealne miejsce na

nocleg w maleńkim pensjonacie jego rodziców. Poza sezonem turystycznym jest tu bardzo tanio i chyba zostanie na dłużej.

Wczoraj na kolację przyszedł Minoru. O ile zdołałam zrozumieć z rozmowy gospodarzy (bo sam Minoru niewiele mówi), jest Japończykiem, który postanowił szukać przestrzeni, ponieważ w Japonii było mu zbyt ciasno. Zamieszkał w Barze i zajął się ogrodnictwem. Uprawia tak zwane ogrody japońskie – a ponieważ nie mam zielonego pojęcia, co to takiego, właśnie idę na przechadzkę, podczas której zamierzam się tego dowiedzieć.

Schudłam trzy kilo, chociaż ciągle coś jem, wyobrażasz sobie? Ogólnie jest fantastycznie. Nie spałam tak dobrze, odkąd skończyłam dziesięć lat.

Nawet gdybym umarła dzisiaj albo straciła pamięć w tym japońskim ogrodzie, to i tak było warto!

Kocham Was

Mama

Zdjęcia przedstawiały Barbarę siedzącą na mokrym piasku, ze stopami przykrytymi piramidką z kolorowych kamieni. Ewa pomyślała, że o mamie można by nakręcić film. Taką zwariowaną komedię o dziarskiej staruszce, która realizuje marzenia z młodych lat. Ta myśl przypomniła jej o czymś – że sama natknęła się ostatnio na ogłoszenie o kursie dla początkujących pisarzy. „Masz pomysł? Chcesz napisać powieść, dramat lub scenariusz?” – tak się zaczęło.

Ewa chciała. Czy miała pomysł? Tego nie była pewna. Mogłaby to być powieść o kobiecie, która budzi się pewnego dnia i czuje, że jest jej mniej. Że część wyciekła, jakby ciało okazało się nieszczelne i przez to uszło z niego powietrze jak ze starej, zapomnianej i porzuconej na strychu piłki plażowej. No i ta kobieta postanawia coś zmienić w swoim życiu. Przy okazji wprowadzania zmian odkrywa, że zdradza ją mąż, a córka oszukuje, a wówczas...

Albo na przykład scenariusz filmu. Ale nie o nich, o Ewie, Mirku i Klaudii, lecz o wędrownicy Barbary. Taki film drogi mógłby być bardzo piękny, plastyczny. Można by zmieścić w scenariuszu trochę zazdrości, odrobinę lęku o mamę i całe morze zachwyty nad światem.

Zamknęła skrzynkę pocztową i wpisała w wyszukiwarkę: „kursy pisania, Poznań”.

Klaudia uściskała serdecznie egzaminatora, który wydawał się trochę zniesmaczony tym wybuchem czułości.

– Zdałam! – oznajmiła światu, a potem pobiegła przed siebie z uczuciem niesamowitej lekkości.

Część teoretyczną kursu na prawo jazdy miała w małym palcu już od dawna, ale naukę jazdy po mieście przerwała, gdy wyjechała do Walii, dlatego teraz podchodziła do egzaminu z wielkimi obawami. Mimo to zdała już za pierwszym

razem. Przy ruszaniu pod górkę noga zadrżała jej tak okropnie, że silnik zgasł, na szczęście jednak za drugim razem udało się i dalej wszystko poszło już bez problemów.

Czuła się cudownie – nieustraszona, wolna, lekka; świat stał przed nią otworem. Gdzieś tam w dalekiej Walii czekała na nią stęskniona Lucy i praca, której Klaudia się nie bała, wręcz przeciwnie – była jej ciekawa. I gdzieś tam, w nieokreślonym „kiedyś”, czekała na nią przyszłość, czekały dziesiątki możliwości, z których jedna była bardziej ponętna od drugiej.

Matura poszła jej dobrze. Na oficjalne wyniki trzeba było jeszcze trochę poczekać, ale Klaudia doskonale wiedziała, że zdała. Teraz, kiedy było już po wszystkim, śmiała się z własnego strachu. Bawiło ją też nerwowe obliczanie koleżanek – ile punktów mogą stracić, żeby dostać się tam czy siam. Klaudia pochodziła do tego inaczej. Nie zamierzała jeszcze iść na studia, ani w Polsce, ani gdziekolwiek indziej. Chciała najpierw przekonać się, co lubi, co chciałaby robić. Chciała wydorosnąć, poznać życie i samą siebie. Zrozumiała, że życie otwiera szeroko ramiona przed tymi, którzy nie boją się marzyć i próbować. Ci, co się wiecznie boją, co idą wydeptanymi ścieżkami, widzą przed sobą tylko wąski tunel.

Była tak zamyślona, że dopiero po dłuższej chwili poczuła wibrujący w kieszeni dzinsów telefon.

– Cześć mamuś! Zdałam – oznajmiła, zanim mama zdążyła zapytać. – Poszło mi świetnie, tylko na placu omal nie zawałam, bo mi się telepały nogi.

– Masz to po mnie – brzmiała odpowiedź. – Ja z powodu trzęsących się kolan zdawałam trzy razy.

– Nie mówiłaś mi tego wcześniej!

– Bo nie chciałam, żebyś się zasugerowała moją historią. Ty sobie wydeptujesz ścieżki po swojemu.

Gdzieś w tle rozległ się huk, a potem gromki śmiech.

– Co tam się dzieje? Coś spadło?

– Nie, moi uczniowie bawią się balonikami z McDonald’s – odparła mama. – No nic, kończę, muszę ich uspokoić. Chyba zrobię małą rozsadę, bo jak tak dalej pójdzie, to wysadzą w powietrze autokar.

– Ale wycieczka ogólnie udana? – Klaudia się upewniła.

– Tak, tylko padam z nóg. Nie zmrużyłam oka przez te trzy noce. Co jeden pokój zasypiał, to drugi się budził. Nigdy więcej.

– Jasne, zawsze tak mówisz. No nic, jedźcie bezpiecznie.

– A ty co będziesz robić?

– Odwiedzę ojca, poświęcimy trochę, pobawię się z Igor-kiem. Będę w domu akurat na twój przyjazd. Szkoda, że nie można od razu odebrać prawka, bo przyjechałabym po ciebie na dworzec. Pa, mamu.

Po drodze Klaudia wstąpiła do delikatesów i kupiła dobre wytrawne wino

oraz mieszankę orzeszków i owoców suszonych. Od jakiegoś czasu nie odczuwała już ochoty na odmawianie sobie jedzenia. Właściwie kiedy tak sięgała pamięcią do ostatnich tygodni, dochodziła do wniosku, że wszystkie te jedzeniowe „fanaberie” przeszły jej po tym, jak porządnie dostała w kość podczas podróży do Walii. Zaczynała rozumieć, że kiedy oberwie się porządnego kopniaka od życia, tak fizycznie, naprawdę dostanie się w skórę, to człowiekowi mijają wszelkie fochy i humory. Babcia zawsze mawiała, że ma sprawdzony sposób na depresję: pójść na długie zakupy w za ciasnym obuwiu. Podobno kiedy człowiek wreszcie wróci do domu i zdejmie buty, depresja przejdzie jak ręką odjął – efekt murowany! Człowiek będzie się czuł szczęśliwy jak nigdy przedtem.

Wszystkie te przykre sprawy, które dotyczyły Klaudię w ostatnim czasie – historia z Arkiem, z Szajbą, przykrości w szkole, trudy samodzielnej podróży i ciężka harówka przy urządzaniu Clarke Bed & Breakfast – to były właśnie za ciasne buty. Zadawały rany i sprawiały ból, ale były potrzebne po to, by teraz, kiedy Klaudia wyszła na prostą – potrafiła odczuć, jak cudowną wędrowką może być życie.

Taty ani Igora nie było w domu; Tania siedziała skulona na sofie, ze stopami w ciepłych wełnianych skarpetach, okutana w grubaśny sweter założony na piżamę w gwiazdki.

– A ty co, chora? – zapytała Klaudia z niepokojem.

– Nie, tylko wróciłam dziś z zabiegu i Mirek kazał mi obiecać, że będę się oszczędzać.

– Czyli w końcu miałaś operację?

Klaudia nie odwiedzała ojca przez ostatnie parę dni, bo wkuwała biologię, uznała zresztą, że po tym, jak przeprowadziła akcję o kryptonimie „Zazdrość”, przez jakiś czas nie powinna pokazywać się na oczy ani tacie, ani Tatianie.

– Żadną tam operację, to był po prostu zabieg. Miałam polipy w macicy, nic poważnego. Byłam w szpitalu raptem jedną dobę. Ale Mirek szaleje, jakbym już miała umierać.

– Kocha cię.

– Ja też go kocham. Klaudia... – Tatiana zamilkła na chwilę, a potem wypaliła: – Chcę ci podziękować.

– Za co? – Dziewczyna udała, że zupełnie nie wie, o co chodzi.

– Miałas rację z tą panią Hanką. Ona chyba rzeczywiście zagięła parol na tatę. Przyjrzałam się temu i uznałam, że pora wkroczyć. Postanowiłam więcej pracy wykonywać w domu. Wracam teraz wcześniej z biura, a rano wychodzę później, więc pani Hanna nie ma już okazji, żeby podsuwać Mirkowi smakołyki. Teraz ja mu je posuwam.

– Ale nie ty gotujesz?

– Oczywiście, że nie ja, ale nie mam wyrzutów sumienia. Wiesz, tata płaci pani Hance za te obiady, prawda? Poza tym ona bierze też porcję dla córki, no i sama się u nas stołuje. Uważam, że układ jest uczciwy. Ale mężem się dzielić nie będę.

– Bardzo słusznie.

– A co do tego... co powiedziałaś tacie o Olegu...

Klaudia splonęła rumieńcem. Przez cały czas obawiała się, że ten wątek się pojawi i że Tatiana będzie miała do niej pretensje.

– Za to też ci dziękuję. Oczywiście nie przyznałam się do tego przed twoim ojcem, ale prawda jest taka, że... owszem, Oleg mnie chyba trochę uwodził. I wiesz, mnie się to zaczęło podobać. Ale porozmawialiśmy sobie szczerze z Mirkiem, o pani Hance i o Olegu; czasem jest potrzebna taka szczerza rozmowa, o wzajemnych oczekiwaniach.

Urwała i teraz ona zapłonęła się jak panienka, z czego Klaudia wywnioskowała, że te wzajemne oczekiwania dotyczyły między innymi spraw łóżkowych. Na szczęście Tania oszczędziła jej szczegółów.

– Kiedyś, gdy już będziesz w stałym związku, przypomnisz sobie moje słowa: że o miłość trzeba dbać jak o kwiat w doniczce. Wystarczy, że kilka razy nie podlejesz na czas albo postawisz w złym miejscu, gdzie nie dochodzi słońce, a on zacznie obumierać. I jeżeli w porę nie zauważysz, że dzieje się coś złego, to już po wszystkim. Nie przywrócisz go do życia. Jeszcze raz ci dziękuję, Klaudia, bo gdyby nie ty, nie zauważyłabym pewnie, że oboje z tatą zaniedbaliśmy naszą roślinkę. – Uściskała dziewczynę, po czym dodała weselszym tonem: – A teraz ty opowiedz o egzaminach. I w ogóle: jakie masz plany?

Klaudia z ulgą powitała zmianę tematu. Opowiedziała o maturze (*Nie było tak źle...*) i o egzaminie na prawo jazdy (*Było świetnie!*), a potem zaczęła z zapałem mówić o Lucy i ich małym hoteliku na klifie.

Kiedy tata z Igorkiem wrócili ze spaceru, siostra zajęła się maluchem, wykapała go i poczytała mu do snu starą, dobrą *Lokomotywę*, po czym gdy mały zasnął, napili się w trójkę wina, a Klaudia po raz pierwszy poczuła się naprawdę dorosła. Tata nie krytykował jej decyzji o powrocie do Walii i odłożeniu studiów na czas bliżej nieokreślony, z zainteresowaniem wysłuchał opowieści o remoncie starego domu i taktownie powstrzymał się od pytań, co łączy Klaudię z Lucy.

– Jesteś szczęśliwa? – zapytał, kiedy odprowadzał córkę do drzwi.

Nie musiała się zastanawiać nad odpowiedzią.

– Bardzo, tato. Jeszcze nigdy nie było tak dobrze.

W taksówce rozmyślała o tym, że babcia miała rację. Po szczęście nie trzeba nigdzie jeździć, nie trzeba go szukać gdzieś daleko. Ono naprawdę pojawia się w nas, wystarczy go nie przegapić. A pojawi się, gdy pozalutujemy wszystkie ważne sprawy i zwolnimy, przestaniemy się spieszyć, wsłuchamy się w siebie. Gdy

odważymy się na coś, czego od dawna pragnęliśmy. Gdy polubimy siebie takich, jakimi jesteśmy, i jeszcze – gdy polubimy innych.

Andrzej wcisnął ręce w kieszenie spodni. Tylko w ten sposób mógł ukryć fakt, że reaguje jak nadpobudliwy nastolatek – dłonie mu się pocily i trzęsły. Przez całą drogę zastanawiał się, dlaczego Ewa zadzwoniła i poprosiła go o spotkanie. Jedyne, co przychodziło mu do głowy, to możliwość, że Sławek przeszkrobał coś na wycieczce. Albo nie tyle przeszkrobał (bo po śmierci matki stał się aż nadto wyciszony), ile na przykład dziwnie się zachowywał. Coś Ewę musiało zaniepokoić.

Z drugiej strony – i to była przyczyna roztrzęsionych dłoni – istniała niewielka szansa, że nie chodzi o Sławka. Sprawy związane z chłopcem załatwiali przecież w szkole, a Ewa wyraźnie zasugerowała spotkanie na gruncie prywatnym. Andrzej poczuł się zobowiązany wymyślić jakieś interesujące, eleganckie miejsce, ale ona spokojnie wysłuchiwała jego propozycji, po czym powiedziała po prostu:

– Nie wygłupiajmy się. Klaudia wyjechała, nikt nie będzie nam przeszkadzał, po prostu wpadnij do mnie i porozmawiamy.

Najpierw to zdanie rozпалиło mu wyobraźnię. Przyjeżdża, a Ewa w peniuarze... Nie, dobra, to było głupie. Inaczej. Przyjeżdża, a ona w sukience. Boso (bardzo lubił kobiece stopy). Piją dobrą, aromatyczną herbatę, ona siada blisko niego i jej nagie kolano dotyka jego nogi (on oczywiście jest jeszcze w spodniach, ale efekt i tak byłby piorunujący).

Przywołał się do porządku. Ewa nie będzie ani w peniuarze, ani w sukience, zresztą przecież nadal widuje się z tym swoim rudzielcem. Zapewne chce po prostu porozmawiać. Oczyszczyć atmosferę między nimi. Andrzej nie był pewien, czy jest jeszcze cokolwiek do oczyszczenia, bo tamtego dnia, kiedy po pogrzebie Żanety poszedł do niej jak do przyjaciela – zastał ją w szlafroku, z kieliszkiem szampana w dłoni, w towarzystwie Walijczyka. Rozmazany makijaż wskazywał na niezwykle gwałtowne pocałunki. Wszystko było jasne, klarowne i naprawdę oczyszczać już niczego nie trzeba. To tylko jemu się głupio wydawało, że coś między nimi ciągle trwa, zwłaszcza po tamtym wieczorze, kiedy wypłakał w jej ramionach smutek po śmierci pani Aliny.

Zastanawiał się, czy kupić kwiaty. Ostatecznie nie zrobił tego, ale wciąż miał wątpliwości, czy należało – w końcu jedzie na spotkanie z kobietą, którą kocha (na pewno? nadal? a może już tylko tęskni za miłością?) i która jeszcze niedawno była mu najbliższa na świecie. Nawet jeśli to jedynie ostateczne pożegnanie, można pozostawić po sobie dobre wspomnienie.

Gdyby jednak miała to być rozmowa o Sławku i jego problemach emocjonalnych, Andrzej czułby się idiotycznie z bukietem w dłoni. Stchórzył więc, wybrał bezpieczne rozwiązanie, choć pozbawione klasy: przyjechał z pustymi

rękami.

Już kiedy Ewa otworzyła drzwi, pomyślał, że to był błąd. Należało kupić chociaż bukiet konwalii. Wyglądała zjawiskowo. Chyba opaliła się na tej wycieczce albo miała takie rumieńce, w dodatku jej oczy błyszczały, miała piękne, puszyste włosy i była ubrana w elegancką sukienkę o barwie wina. Gdyby zapraszała go na rozmowę o Sławku, byłaby w śliwkowych dresach, przecież chodziła w nich po domu na co dzień. Z drugiej strony, mogła przed chwilą wrócić z randki z Jimem i nie zdążyła się przebrać.

Andrzej poczuł się strasznym smarkaczem, analizując to wszystko. Trudno, nie kupiłem kwiatów i tyle, powiedział -sobie w duchu. Jeśli spotykamy się, żeby rozmawiać o nas, zdążę to nadrobić. Obsypię ją kwiatami. Będę się z nią kochał w stokrotkach, fiołkach albo makach. Rozbiorę ją i pokryję jej skórę płatkami róż, a potem zdmuchnę je z niej, jeden po drugim, aż ponownie stanie się naga.

Stop. Znowu zaczynasz, upomniał się w myślach. Skup się człowieku, nie patrz na jej dekolt ani na łydki. Patrz jej w oczy i nie myśl o seksie.

– Pójdziemy na taras? – zapytała Ewa. – Właśnie wróciłam z zakupów, stałam w okropnym korku i nie zdążyłam ogarnąć mieszkania.

– Oczywiście – mruknął Andrzej, trochę do niej, a trochę do siebie, w sensie: oczywiście, że była na randce, dlatego jest taka śliczna i elegancka.

Usiedli w wygodnych rattanowych fotelach. Ptaki ćwierkały jak szalone. Z głębi ogrodu dobiegał niesamowity, odurzający zapach. Ewa westchnęła głęboko i odchyliła głowę. Teraz, kiedy Andrzej przyjrzał jej się uważniej, dostrzegł cienie pod oczami – pewnie jest zmęczona albo może ma jakieś zmartwienia; wspominała przecież o wyjeździe Klaudii.

– Napijesz się kawy, herbaty czy może wolisz coś zimnego?

– Czegokolwiek – powiedział. – Nawet wody. Co tak pachnie?

– Jaśminowiec – odparła. – Prawda, że pięknie?

Wstała i lekkim krokiem poszła do kuchni. Zsunęła kapcie i rzeczywiście miała bose stopy, jak w fantazjach Andrzeja. Nie myśl o seksie, upomniał się znowu.

Po chwili wróciła i postawiła na stole szklanki z lemoniadą.

– Dołożymy sobie mięty? – zaproponowała, po czym udała się w kąt ogrodu, skąd wróciła z kilkoma niewielkimi listkami.

– Zmieniło się u ciebie – powiedział Andrzej.

Jakoś nie miał odwagi zapytać, dlaczego poprosiła go o spotkanie. Postanowił zaczekać, aż Ewa sama przejdzie do sedna sprawy.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo – podjęła. – Wszystko. I ogród, i dom, i rodzina. Klaudia mieszka teraz w Walii, wiesz? Pracuje w hoteliku wraz z siostrą Jima.

Andrzej pokiwał głową, bo nie wiedział, co powiedzieć. Może ona chce

mnie zaprosić na ślub, pomyślał. Może z tym Jimem to już tak na całe życie...

– A moja mama postanowiła spędzić resztę życia, spełniając marzenia z młodości. Wyobrażasz sobie? Zaczęła od Mostu Karola, bo jako studentka wymarzyła sobie, że usiądzie na murku i będzie machać beztrosko nogami. Nigdy dotąd nie miała okazji, pojechała więc teraz.

– Niesamowite.

– Prawda? Też tak uważam.

Ewa umilkła, sięgnęła po napój i dopiero patrząc, jak pije, Andrzej zorientował się, że jej też drżą dłonie. Plasterek -cytryny podrygiwał śmiesznie w szklance.

– Poprosiłam cię o spotkanie – powiedziała po chwili – ponieważ muszę się przed tobą wytłumaczyć.

– Ty przede mną? – zapytał zdumiony.

Czyli jednak chodzi o Jima; pewnie rzeczywiście ślub albo może wyjeżdża z nim do tej Walii, będzie mieszkać blisko córki.

– Tak. Kiedy wracaliśmy z wycieczki, dosiadłam się do Sławka, bo siedział jakiś markotny i wystraszyłam się, że może mu niedobrze.

Andrzej poczuł się kompletnie zagubiony. Rozmawiają o Jimie czy o Sławku? Co ma do rzeczy Sławek?

– On nie choruje w autobusie – rzekł, ponieważ nic innego nie przyszło mu do głowy.

– Tak, wiem. Powiedział mi, że nie o to chodzi. Dobrze się czuł, ale... bał się.

– Czego?

– Nie czego, tylko o kogo. Bał się o ciebie.

Andrzej zaniemówił – najpierw ze zdziwienia, potem chyba bardziej ze wzruszenia.

– Powiedział mi, że w waszej rodzinie wszyscy umierają: najpierw wujkowie, potem dziadek i babcia... To już wiedziałam, pamiętasz tamten jego rysunek? – Andrzej pokiwał głową, a wtedy Ewa podjęła: – Następnie pani Alina, a teraz mama.

– Tak. Wiem, to musi być dla niego trudne.

– Dla ciebie też, Andrzej. – Jej głos zabrzmiał bardzo miękko.

– Tak.

– Wiesz, co wtedy powiedziałam?

Podniósł głowę, zdziwiony.

– Że przecież pani Alina nie należała do rodziny. Była tylko przyjaciółką taty. A on mi odpowiedział... Że była jak babcia. Że traktowałeś ją jak mamę, a dla niego była drugą babcią.

– Bo tak było.

– Jasna cholera, Andrzej, ja byłam pewna, że to twoja nowa kobieta! – zawołała Ewa i zrobiła się zupełnie czerwona. – Nie przyszło ci do głowy, żeby mi o niej opowiedzieć?!

– Powiedziałaś, że wiesz. Że Sławek ci powiedział... – Andrzej rozłożył ręce, bezbrzeżnie zdumiony.

– Owszem, powiedział. Że tata ma nową przyjaciółkę, panią Alinkę, że ciągle u niej przesiaduje, bo jest chora. Że pani Alinka pomaga Sławkowi w niemieckim. Wyobraziłam sobie jakąś atrakcyjną germanistkę, której remontujesz dom!

– Ewka...

– Tak, wiem. To strasznie głupie. Powinnam była zapytać. Tak długo nosiłam w sercu zadrę, chowałam jakąś głupią urazę, zamiast zwyczajnie pogadać.

– Urazę? – zapytał gorzko Andrzej. – Dlaczego chowałaś urazę? Przecież miałaś swojego Jima, nie powinnaś czuć do mnie żalu, nawet gdybym ja też kogoś sobie znalazł.

– Rzecz w tym, że ja już bardzo dawno rozstałam się z Jimem, Andrzej. Wiem, że kiedy ostatni raz tu do mnie zajrzałeś, wyglądało to inaczej. Ale pozory mylą, wiesz? Jim przyszedł, kiedy szykowałam się do kąpieli. Przyniósł szampana, żeby uczcić to, co się dzieje między Lucy a Klaudią. One się kochają.

– Kto? – Andrzej nie zrozumiał.

Był zupełnie skołowany, zaczynała go boleć głowa i czuł, że albo wybuchnie płaczem, albo zacznie się histerycznie śmiać.

– Lucy także jest lesbijką. Klaudia nie miała o tym pojęcia, ale kiedy tam pojechała... Znowu miała jakieś nieprzyjemności w szkole, wiesz, i uciekła. No więc kiedy pojechała do tej Walii, zwyczajnie się zakochała. I Lucy w niej także. Ale żadna z nich tego nie powiedziała i tak błędziły wokół siebie po omacku.

Przez chwilę oboje milczeli. Andrzej niewiele rozumiał; wciąż miał w głowie straszny mętlik, ale wołał się nie odzywać. Miał wrażenie, że jeśli zacznie zadawać pytania, spłoszy coś bardzo ulotnego.

– W każdym razie to się skończyło happy endem. Właśnie Lucy nakłoniła Klaudię, żeby jednak wróciła i zdała maturę.

– Rozumiem.

– A Jim ma nową dziewczynę, wiesz? Renatę z naszego kursu językowego. – Ewa zakończyła.

– To dobrze czy źle? – Andrzej postanowił zaryzykować.

– Dobrze. Dzięki temu nie jest mi przykro, że jest taki samotny.

Oddech. Nie wzruszyć się, nie rozkleić.

– Ale ty jesteś sama. Samotna.

– Sama, tak. Samotna, nie. Nie czuję się samotna, Andrzej. Dobrze mi jest, wiesz? Wreszcie mam czas na wszystko, na wylegiwanie się z książką i na spacer

z psem. Zaczęłam robić zdjęcia, zapisałam się do klubu fotograficznego. Mam też parę pomysłów... tylko się nie śmieję! Mam pomysł na film. Albo na książkę. Tak czy owak, rozglądam się za kursem pisarskim.

– Fajnie.

– Tak, jest naprawdę fajnie – potwierdziła Ewa.

Przez chwilę delikatnie kręciła szklanką, obserwując wirujące listki mięty.

– Przypomnij mi, dlaczego ludzie tak rozpaczliwie szukają sobie pary? Po co? Przecież single mają święty spokój – powiedziała wreszcie, wciąż nie patrząc na niego.

– Żeby się bzyknąć od czasu do czasu – palnął. – Szkoda by było całkiem z tego zrezygnować.

– No tak, może masz rację.

Milczeli przez chwilę, oboje uśmiechając się do swoich myśli.

– I jeszcze z powodów ekonomicznych. We dwójkę jest trochę taniej – uzupełnił Andrzej.

– Aha.

– Chociaż do mnie ten argument nie trafia.

– Czyli jeśli mnie zaprosisz na randkę, to tylko po to, żeby się bzyknąć.

– Na pewno nie po to, żeby było taniej.

Listki mięty kręciły się coraz szybciej.

– Okej. W sumie to chyba lepiej.

– Ale co?

– Że mnie zaprosisz w celu erotycznym. Lepiej, niż gdybyś to zrobił w celu oszczędnościowym.

– Tak, pewnie tak. Cel erotyczny jest zawsze lepszy.

Potem już nie rozmawiali. Najpierw posiedzieli jeszcze trochę, obserwując te listki i plasterki w szklankach, onieśmieleni niczym gimnazjaliści na pierwszej randce, a następnie przeszli się po ogrodzie. Ewa pokazała Andrzejowi wszystkie kwiaty, które zakwitły w ostatnim roku oraz te, które nie zakwitły, a powinny. On starał się nie myśleć o seksie. A kiedy uznał, że dłużej nie wytrzyma, poszli do domu.

Wcale nie było łatwo. Nie tak jak wtedy, kiedy się ma szesnaście lat i jest tak łapczywym, tak głodnym, a przy tym odważnym i beczelnie przekonanym, że cielesna bliskość jest najbardziej naturalnym stanem dwojga ludzi. Ale mimo to udało im się rozebrać nawzajem, zdjąć z siebie te wszystkie warstwy: nieufność i niepewność, zadawnione żale i głupie pretensje. Dotykali się opuszkami, ustami i rękami, ich ciała odnalazły znany sobie kiedyś szyfr i wróciły do dawno zapomnianego rytmu. Wszystko stało się proste; tak naturalne, jakby nigdy się nie rozstawali. Ewa krzyczała, a kiedy usłyszała własny krzyk, rozplakała się, bo zdała

sobie sprawę, że jej rozkosz była wymieszana w równych proporcjach z bólem. Ale wiedziała także, że z każdym dniem – albo może z każdą nocą – rozkoszy będzie więcej niż smutku.

FRAGMENTY BLOGA KLAUDII KRASICKIEJ „NOWA JA”

12 lipca

Wyobraźcie sobie najcudowniejsze miejsce na ziemi. Stary, ceglany piętrowy domek z pomalowanymi na zielono ramami drewnianych okien i pięknym ogrodem. No dobrze, ogród je-szcze nie jest piękny, ale taki będzie. Po lewej – ścieżka wiedzie na taras, także ceglany (wprawdzie jest nowy, ale zrobiono go tak sprytnie, że udaje równie stary jak sam dom), gdzie ustawiono trzy stoliki. Jeśli będzie trzeba, to się postawi więcej, powiedział wujek Stanley, a on w kwestii stolików ma absolutnie decydujący głos.

W kącie między domem a murkiem odgradzającym ta-ras od drogi rośnie moje drzewko – to znaczy drzewko, które specjalnie dla mnie posadziła Lucy: judaszowiec. Jest jeszcze bardzo młodziutki, ale za parę lat na pewno pokaże, na co go stać: podobno kwitnie najpiękniej na świecie, na -fioletowo, a jego kwiatki wyrastają wprost z pnia i gałęzi.

Aha, zapomniałam dodać, że z tarasu widać zatokę. Lu-bimy tam siedzieć z Lucy, godzinami mogłybyśmy wsłuchiwać się w szum fal i patrzeć na ich białe grzywki.

Wnętrze hoteliku oraz części restauracyjnej jest jasne i przestronne. W sali jadalnej zamiast tynku zobaczycie pobieloną cegłę. Ściany zdobią jedynie czarno-białe fotografie skalistych wysepek (wykonała je moja mama, która realizuje swoją nową pasję i wraz z członkami klubu fotograficznego pojechała niedawno do Szwecji). Kiedy przysłała nam te fotki, obie z Lucy uznałyśmy, że są precudne i tak oto zawędrowały na nasze ściany.

Kuchnia nie jest duża, ale za to wszystko znajduje się w zasięgu ręki. Tak naprawdę najważniejsze było, żeby spełniała wszystkie te szalone wymogi higieniczne i tak dalej – na szczęście pojawiły się tu już dwie komisje i uznały, że wszystko jest okej.

Po bukowych schodach wchodzi się na górę, do części hotelowej. Każdy pokój ma swoją łazienkę, w każdym jest też wygodne łóżko (na wszelki wypadek podwójne), toaletka z lustrem, szafa i stolik nocny.

Za domem znajduje się coś w rodzaju obory. Na razie budynek nie wygląda może jakoś rewelacyjnie, ale mamy już z Lucy pomysł, jak go przerobić na mieszkalny. Póki co stoją tam cztery rowery, z których mogą korzystać nasi goście. Lucy mówi, że kiedyś, w przyszłości, może zamieszkamy tam we dwie, ale ja wolę się nie przywiązywać do tego miejsca. Bo chociaż w tej chwili jest najpiękniejsze na ziemi, to przecież wiem, że świat jest wielki i kryje w sobie wiele tajemnic. A sekret

szczęścia polega na tym, żeby nie bać się z tego wszystkiego korzystać.

Pisałam już, że dostałam wyniki matury? Jakoś dziwnie mało mnie w tej chwili obchodzi, że zdałam. Ale nie wykluczam, że pewnego dnia stanie się to bardzo ważne. W każdym razie – zdałam naprawdę dobrze. Cieszy mnie to głównie ze względu na rodziców, no i Lucy, bo to przecież na jej prośbę w ogóle przystąpiłam do egzaminów. Fajnie jest sprawiać komuś radość.

Aaa, coś jeszcze mi się przypomniało. Moja Mama zaczęła pisać powieść. Kiedy zapytałam ją – o czym, powiedziała, że zwyczajnie, o nas, o życiu. Obiecała, że pozmienia imiona. A potem zapytała, czy może wykorzystać fragmenty mojego bloga. Jestem bardzo ciekawa, co z tego wyjdzie ;).

Pozdrawiam

Kika

20 lipca

Uroczyste otwarcie – mówi Wam to coś? Tak, nasz hotelik Clarke Bed & Breakfast wreszcie otworzył swe podwoje dla gości. Z tej okazji ciotka Bonnie i wujek Stanley zorganizowali przyjęcie dla miejscowych, zaprosili też przedstawicieli okolicznych mediów. Było sympatycznie, choć tremę miałam jak stąd do Nowego Jorku.

Przygotowałyśmy z Lucy nasze pokazowe menu. Motto kuchni brzmi: Simple Food. Ja zajęłam się przede wszystkim ogórkami małosolnymi (bo oczywiście tubylcy nie znają takiego wynalazku), do których podawałam żytni chleb ze smalcem – jedno i drugie domowej roboty. Przygotowałam także podplomyki w trzech różnych wersjach. Przepisy znajdziecie poniżej. Do tego zrobiłyśmy jajka faszerowane z łososiem i żółtą sałatkę oraz upiekłyśmy udka z kurczaka z ziemniakami Hasselback – to dla tych, którzy wolą tradycyjne smaki. Na życzenie gości Lucy przyrządziła także crempog, czyli walijskie naleśniki (dla zagorzałych tradycjonalistów).

Z deserów podałyśmy kokosanki, babeczki z budyniem według przepisu mamy Lucy (która oczywiście także przybyła na otwarcie), a na zakończenie na stół wjechał piękny tort Pavlova, czyli beza z serkiem mascarpone, bitą śmietaną i truskawkami.

Wyjaśnię, o co chodzi z tymi podplomykami.

Ponieważ Lucy ma ciągoty w stronę prostego, wiejskiego jedzenia, a ja w stronę niełączenia węglowodanów z białkiem zwierzęcym, podczas remontu naszego hoteliku (no dobrze, nie naszego, lecz cioci i wujka – ale w rzeczywistości my tu rządzymy :) często robiłyśmy sobie takie proste potrawy, złożone z dwóch, maksymalnie trzech składników. Pewnego dnia nie miałyśmy w lodówce prawie

nic: kilka zdechłych pieczarek, cebula, a w szafce mąka i -suszone drożdże. Tak powstały moje pierwsze podpłomyki.

Na pół kilo mąki (ja używam żytniej, ale może być też pszenna) biorę jedno opakowanie drożdży w proszku, jedną łyżeczkę soli i trzy łyżki oleju. Potrzebna będzie także woda – około szklanki. Do miski wsypuję mąkę i mieszam z drożdżami, potem wlewam wodę i olej, po czym porządnie wyrabiam. Zostawiam pod ściereczką do wyrośnięcia, a potem dzielę na mniejsze kawałki i każdy cienko rozwałkowuję, podsypując stolnicę mąką. Tak przygotowane podpłomyki układam na blaszce wysmarowanej olejem lub wyłożonej pergaminem, nakładam wybrany farsz i piekę przez około piętnaście minut w temperaturze dwustu stopni.

Teraz o tym, co rozumiem przez „wybrany farsz”. Na potrzeby naszej małej restauracji przygotowuję trzy opcje: mięsną, wegetariańską oraz na słodko.

Farsz mięsny to po prostu podsmażony wędzony boczek z cebulką. Można go urozmaicić smażonymi pieczarkami oraz posypać na wierzchu żółtym serem, ale jak już pisałam, my z Lucy preferujemy prostotę. W tej najprostszej wersji podpłomyk smaruje się kwaśną śmietaną z odrobiną gałki muszkatołowej, a na to wyklada się podsmażony boczek z cebulką. I już.

Farsz wegetariański (przy okazji zgodny ze wspomnianą zasadą niełączenia) różni się od mięsnego tym, że podsmażamy cebulkę, pieczarki oraz ewentualnie drobno posiekaną kiszoną kapustę z odrobiną kminku. Placka nie smaruję wówczas śmietaną, lecz oliwą.

Farsz na słodko jest szczególnie lubiany przez wujka Stanleya. Bierzymy do niego jabłka, kroimy je na cieniutkie plasterki, mieszamy z brązowym cukrem (ile chcemy, do smaku), rodzynkami, odrobiną cynamonu, łyżką wiórków kokosowych i płatkami masła. Rozkładamy to wszystko na podpłomyku. Można też tu i ówdzie kapnąć ulubiony dżem, na przykład powidła śliwkowe.

Jak widzicie, możliwości jest wiele. Lucy, która pilnie uczy się ode mnie gotować (a ja od niej), obiecuje, że spróbuje ze śliwkami, niech no tylko zacznie się na nie sezon. Nie mogę się doczekać!

Pozdrawiam

Kika

17 sierpnia

Za nami pierwszy większy nalot gości. Reklama na Facebooku, którą wykupiła Lucy, okazała się naprawdę skuteczna i tym oto sposobem zawitały do nas aż trzy rodziny. Oczywiście nie wszystkie naraz. Oprócz tego w ostatnich tygodniach miałyśmy tu wielu pojedynczych turystów, wędrowców samotników,

którzy z plecakiem na grzbiecie i mapą w ręku przemierzają Wyspy.

Kiedy pojawił się pierwszy z nich, Edwin z Belgii, tylko popatrzyłyśmy z Lucy na siebie, ale jakiś tydzień później w naszych progach zjawił się Arno z Chorwacji i od tego momentu wszystko stało się jasne: my też chcemy. Pragniemy wyruszyć z plecakami i wędrować, pytać o schronienie, poznawać ludzi i ich zwyczaje, jeść ich ulubione potrawy oraz pić lokalne piwo (dzięki Lucy – albo raczej z jej winy – stałam się prawdziwym smakoszem piwa). Zaczęłyśmy planować podróże, oczywiście nie teraz, najpierw trzeba rozkręcić wujowi i cioci interes, a kiedy wszystko zacznie działać jak w zegarku, zatrudnimy kogoś na tymczasowe zastępstwo i wyruszymy. Na pierwszy ogień – Islandia.

Aha, po tym, jak napisałam Wam o podplomykach, dostałam kilka wiadomości, że okej, placuszki placuszkami, ale co to do licha jest ta żółta sałatka?!!!

Dobrze więc, oto przepis na żółtą sałatkę:

Gotujemy porcję ryżu, mniej więcej tyle, co dwa woreczki (nie znoszę gotować ryżu w folii), a następnie dodajemy do niego trochę kurkumy, żeby był żółciutki. Do wystudzonego dodajemy pokrojoną w kostkę żółtą paprykę, ananasa z puszki (też kostka) i kukurydzę z puszki. Lucy spróbowała też z selerem konserwowym, ale mnie szczerze mówiąc bardziej smakuje bez niego.

Cały pikus tkwi w sosie: mieszamy ze sobą kilka łyżek majonezu, łyżkę sosu sojowego, dwie łyżki zalewy z ananasa oraz trzy ząbki czosnku, zmiażdżone oczywiście. Nie potrafię podać Wam precyzyjnie ilości majonezu, bo zawsze dodaję go na oko – ja akurat lubię w tej sałatce dużo sosu. Wlewamy to do michy z ryżem i resztą, mieszamy i zostawiamy na pół godziny, żeby się przegryzło. Rewelacja, ale uwaga na zapach z paszczy!

Aha, à propos przepisów, odwiedziłyśmy niedawno Wrexham, gdzie Lucy ma rodzinę, i wyobraźcie sobie, że spotkałam tam Polkę, panią Helenę, o której niegdyś podczas korepetycji opowiadał mi w mój walijski nauczyciel angielskiego. Okazała się przesympatyczną, ciepłą osobą, a co dla mnie szczególnie cenne – prowadzi bloga kulinarnego pod nazwą „Moje Walijskie Pichcenie”. Zamierzam czerpać z niego pełnymi garściami, bo znalazłam tam cudowne receptury na lokalne przysmaki, ale też mnóstwo przepisów z kuchni polskiej. Zajrzyjcie koniecznie!

Pozdrawiam

Kika

20 października

Minęło sporo czasu, odkąd ostatnio pisałam. To był ciemny, bardzo trudny

czas. Moja Babcia, która wyruszyła w podróż życia, żeby zrealizować swoje marzenia, nie żyje. Umarła we śnie, w jakimś małym hoteliku na południu Sycylii. Bardzo się bała demencji, utraty pamięci i zdrowych zmysłów, a tymczasem umarła tak zwyczajnie i po cichu, po prostu wysiadło jej serce.

Przed śmiercią zdążyła zwiedzić Czarnogórę, Prowansję i południe Włoch. O ile wiem, wybierała się jeszcze do Japonii, gdzie nowy przyjaciel Minoru miał pokazać jej najpiękniejsze na świecie ogrody.

Pisała mi o tym wszystkim w mailach. Była radosna, pełna energii i młodsza o dwadzieścia lat od Babci, którą znałam. Nie mogę uwierzyć, że już jej nie zobaczę. Codziennie otwieram skrzynkę pocztową z głupią nadzieją, że przyjdzie jeszcze jeden list.

Kiedy pojechałam do Polski na pogrzeb, spodziewałam się, że Mama będzie rozpaczać. Tymczasem płakała jedynie podczas pogrzebu, ale potem, gdy usiadłyśmy już nad kieliszkiem nalewki, żeby powspominać Babcię, uśmiechała się. Był w niej cichy smutek, ale nie rozpacz. Zapytałam ją, jak jej się to udaje.

– Moja mama umarła jako zupełnie wolny człowiek – wyjaśniła. – Wiesz, jak niewiele osób ma tyle szczęścia?

Nie wiedziałam, co ma na myśli, ale teraz już chyba wiem. Babcia była wolna, ponieważ się nie bała. Bo wolność to jest brak strachu. Żeby żyć pełnią życia, trzeba znaleźć w sobie odwagę. Nigdy nie wiemy, co nas spotka za najbliższym zakrętem. Czy tam w ogóle będzie dalsza droga. Nigdy nie możemy być pewni tego, czy dzień, który właśnie przeżywamy, nie jest naszym ostatnim. Czy list, który do kogoś wysyłamy, to nie pożegnanie. Czy nie widzimy po raz ostatni ukochanej twarzy, czy nie idziemy ostatni raz ulubioną ścieżką na klif, żeby popatrzeć na morze.

Ale to nie znaczy, że należy się wciąż bać tej głupiej śmierci. Nie. To znaczy dokładnie tyle, że trzeba bardzo mocno, pełną piersią, każdą cząsteczką ciała – żyć. Nie od jutra, nie od poniedziałku i nie po sylwestrze. Już teraz. Podobno Einstein powiedział, że mamy dwa wyjścia: albo żyć tak, jakby cudów nie było, albo tak, jakby wszystko było cudem.

No więc moja Babcia wybrała to drugie. I ja też tak chcę.

Pozdrawiam

Kika

